

ŚWIATOWY BESTSELLER NAJPOPULARNIEJSZEJ  
WŁOSKIEJ AUTORKI.

SIMONA SPARACO

---

RÓWNANIE  
MIŁOŚCI

Prószyński i S-ka

SIMONA SPARACO

RÓWNANIE  
MIŁOŚCI

Przełożyła  
Agata Pryciak

Prószyński i S-ka

Tytuł oryginału  
EQUAZIONE DI UN AMORE

Copyright © 2017 by Simona Sparaco  
All rights reserved

Projekt okładki  
Magdalena Zawadzka

Zdjęcie na okładce  
© Julie Ponce/Arcangel Images

Redaktor prowadzący  
Monika Kalinowska

Redakcja  
Kinga Szafrugo

Korekta  
Mirosława Kostrzyńska

ISBN 978-83-8123-486-3

Warszawa 2017

Wydawca  
Prószyński Media Sp. z o.o.  
02-697 Warszawa, ul. Rzymowskiego 28  
[www.proszynski.pl](http://www.proszynski.pl)

*Mojej Matce, jej mądrymu sercu,  
które jest dla mnie wsparciem  
od dnia wydania mnie na świat.  
Oraz D., którego pierwsze uderzenia serca  
sprawiły, że wszystko inne zamilkło.*

4 kwietnia 2015, Singapur

„Osierdzie. Osłania mnie i chroni od dnia moich narodzin.  
Błona, która broni tylko mnie i żadnego innego organu ciała.  
Tyle razy zastanawiałem się dlaczego.  
Po wielu latach męczącego współistnienia znalazłem wreszcie odpowiedź.  
By chronić mnie przed zależnością od Ciebie.  
Przed Tobą, która wierzy gwiazdom raczej niż pragnieniom.  
Przed Tobą, która wszystko może i która rozkazuje”.

W fizyce kwantowej nie sposób ustalić położenia obiektu, jeśli obiekt ten nie oddziałuje z czymś innym. Tak, jakby rzeczy nie istniały od zawsze i materializowały się w konkretnym miejscu wyłącznie napotkawszy czyjeś spojrzenie.

Przed Leą, tuż za wielkim oknem pokoju dziennego, z wysokości osiemnastego piętra wieżowca, rozpościera się Singapur, błyszcząc jak diadem w ciemnościach nocy – na ciemnym tle geometrycznych uspionych budynków mieszkalnych ulice wciąż żarzą się światłami samochodów. Jest prawdziwy, namacalny, jak kieliszek czerwonego wina, który chłodzi opuszki jej palców i jak odbijający się w szybie płomień świecy ustawionej na środku stołu za jej plecami.

I znów zaskakuje ją ta sama, porzucona i odległa myśl. Delikatne szarpnięcie w sercu, które ucisza naprędce czujny rozum. Powraca wspomnienie podręczników do fizyki i matematyki, jest i chłopak, który patrzy na świat przez grube szkiełko nauki, który nauczył ją kochać literaturę. Chłopak, który może nawet nie jest rzeczywisty. Z całą pewnością nie ma go w jej życiu.

Rzeczywisty jest Vittorio, jej mąż, który wstaje teraz z krzesła i idzie w jej stronę. W szybie okna migocze i jego odbicie.

Właśnie skończyli jeść kolację.

Vittorio ma dzisiaj ochotę na czułości, wracając z biura departamentu prawnego banku inwestycyjnego kilka godzin wcześniej, pojechał aż na Katong, do ich ulubionej restauracji, by przywieźć jej *laksę*, singapurską zupę z makaronem. Zanim dotarł do domu, wysłał jej wiadomość: „Nakryj do stołu niebieską zastawą i włóż tę obcisłą małą czarną, w której tak mi się podobaasz :)”. Lea uśmiechnęła się, odgadując jego intencje, i tak jak prawie jej nakazał, zajęła się przygotowywaniem stołu do kolacji.

W wiadomości od Vittorio wyczuwalny był również szacunek do rytuału jedzenia. Dzięki daniom z najznakomitszych restauracji, najwymyślniejszym przepisom, których nieustannie próbuje, poświęcając swój czas wolny programom kulinarnym, Vittorio zdołał ją uleczyć. Dosłownie. Jego starania i kulinarne kreacje pozwoliły zażegnać jej przerażającą chudość, której przyczyn wciąż nie chce poznać. Od zawsze jednak okazuje jej wsparcie poprzez jedzenie.

Przytula ją teraz od tyłu, przyciska ją do siebie, oddychając głęboko. Zadanie zakończone sukcesem.

- W co się tak wpatrujesz?
- W przyszłość – odpowiada, nie odwracając się.
- W przyszłość? I co widzisz?
- Wydaje mi się, że nadchodzi zbyt szybko. Nawet o tej porze.

Reflektory samochodów zlewają się w rzeki światła, wcinające się między jedną dzielnicę a drugą.

Vittorio całuje jej szyję, oddycha zapachem jej włosów.

- A ty? Co widzisz?

Opiera brodę na jej ramieniu, i teraz on patrzy przez okno.

- Małą dziewczynkę. Mówi do mnie „tato” i ma twoje oczy.

Dopiero teraz Lea odwraca się i spogląda badawczo w błyszczące oczy swojego męża. Chwyta go za ręce i czule gładzi.

Pragnie dać mu szczęście, tylko na to zasługuje. Widzi go, widzi jego zaangażowanie, jego codzienną gonitwę i zmartwienia związane z pracą – wszystko po to, by przynieść do domu o wiele więcej, niż potrzebują. Osiągnął już wszystko w swoim życiu, zaczynał od zera. Ma pełne prawo, by pragnąć teraz dziecka. Są małżeństwem od pięciu lat i choć na początku to Lea nie czuła się gotowa, od kiedy półtora roku temu przeprowadzili się do Singapuru, zaczęli starać się z nieco większą determinacją. Zdawałoby się, że natura postanowiła posadzić ich w poczekalni – a to niezbyt odpowiednie miejsce

ze względu na niecierpliwość cechującą Vittorio. Dlatego tak świetnie czuł się w tym kręgu kulturowym, że był perfekcyjnie zorganizowany i do bólu punktualny, i właściwie tylko zaburzenia cyklu miesięczkowego u Lei, która już jako dziewczynka krwawiła nieregularnie, wymykały się spod kontroli. Rytm ich nowego życia wyznaczały więc długie okresy wyczekiwania.

W kilka minut ulega namowom Vittorio i zaczynają się kochać na dopiero co uprzątniętym stole, w pozycji, na którą nie pozwolili sobie już od jakiegoś czasu. Z kratki klimatyzatora włączonego w dzień i w nocy, by zrównoważyć piekielne gorąco i wilgotność, dociera do niej podmuch zimnego powietrza i czuje, jak ból głowy wierci jej w skroni, napływa falami. Migreny uprzykrzają jej życie mniej więcej od chwili, gdy się przeprowadzili.

Dłonie jej męża rozpinają ostrożnie czarną sukienkę, delikatnym i uważnym ruchem, dbają o każdy szczegół. I choć stół to niecodzienne dla nich miejsce na miłość, początek ceremonii przebiega powoli, z całą serią znajomych gestów, które sprawiają, że Lea czuje się bezpieczna. Kiedy kładzie mu dłoń na ramieniu, jej wzrok trafia na paznokieć, z którego odprysnął kawałeczek lakieru. Pomalowała paznokcie kilka godzin temu, wie, że mu się podoba. Ona nie przepada za makijażem, wystarczy jej odrobina pudru, żeby ukryć piegi widoczne na mlecznobiałej skórze. Nigdy ich nie lubiła. Odgarnia długi kosmyk miedzianorudych włosów, odsłania szyję, a Vittorio całuje ją, aż przechodzi ją dreszcz. W tej samej chwili wyobraża sobie, że mąż zrywa z niej ubranie, pospiesznie sadza ją na stole, nie zważając na kosztowną zastawę. To tylko ulotna pasja, to nie miłość porządkująca ci życie, powtarza sobie, gdy czuje ciało Vittorio na swoim ciele. On nachyla się i szuka jej, by złączyć się z nią w jedność.

Teraz musi przestać myśleć o bólu głowy, o klimatyzacji i wszystkich tych błahostkach, które trzymają ją mocno w tym pokoju. I ona musi uwierzyć, że można stać się jednością – kiedyś wierzyła, że można stracić wszelki kontakt ze światem zewnętrznym i trafić tam, gdzie nie istnieje materia ani granice.

Ale materia wciąż tu jest, wszędzie dookoła, stanowi kwintesencję tego mieszkania, identycznego pewnie i tak samo wykończonego, jak pozostałych trzydziści osiem mieszkań w ich wieżowcu. Jak w wielkim ulu. Materia krystalizuje się we wszystkich udogodnieniach, w jakie ich apartament został wyposażony – w windzie, która zatrzymuje się bezpośrednio w mieszkaniu, w małej karcie magnetycznej zastępującej tradycyjny klucz, w śmieciach, które wyrzuca się przez odpowiednią klapę w kuchni, w domofonie, przez

który można zadzwonić do recepcji przy wejściu. To materia tworzy minimalistyczne meble z przewagą bieli i aluminium, składa się na marmur podłogi: bez żyłek i zawsze nieskazitelnie czysty, choć Lea rzadko go wyciera – nikt nie wchodzi do tego domu w butach, to miejscowy zwyczaj, na który Vittorio przystał z zadowoleniem. Materia to też suma, którą bank Vittorio wydaje co miesiąc na wynajem i dodatkowe opłaty za mieszkanie, gdzie Lea nie mogła wybrać nawet obrazka na ścianie ani zastawy stołowej, ponieważ zastała je w pełni wyposażone – w tak nowoczesnym i esencjonalnym stylu, że nawet regał na książki okazał się niefunkcjonalną fanaberią. I w tej materii brakuje zapachu papieru, bo kiedy zamknęła drzwi domu na Zatybrzu, by jechać za Vittorio do Londynu, Lea podarowała wszystkie swoje książki Bianca, a większość ubrań i rzeczy, których nie miała serca wyrzucić, zdeponowała w piwnicy swojej matki w Morlupo. Nauczyła się czytać książki na Kindle’u, a antyramy zastąpiła elektrycznymi wyświetlaczami, na których przesuwają się w równych odstępach czasu sceny z pięciu lat jej życia – zawieszono i stworzonego z materii: to zdjęcia z ich ślubu, z podróży, uchwycone na fotografiach najzabawniejsze chwile spędzone razem.

Czuje zapach perfum Vittorio, wdycha aromat białego piźma, ich ślina ma posmak tabasco. On nieruchomieje wewnątrz niej i chwyta jej twarz w dłonie, spogląda na nią z uchylonymi ustami, szeroko otwiera oczy, czuje jego ciepły oddech na skórze swoich policzków.

– Boże, jesteś zjawiskowa – szepce, zatapiając twarz w jej włosach, i wreszcie Lea sięga swojej namiętności. Jest jak niedomknięta muszla, w której wnętrzu pulsuje życie. Vittorio wykrzywia twarz w grymasie, który Lea tak dobrze zna – marszczy się mała biała blizna tuż nad jego górną wargą, dokładnie tak, jak wtedy kiedy kończy gotować danie z nowego przepisu lub kiedy przedstawia jej jakąś kuszącą propozycję.

Ten sam grymas zapamiętała już z ich pierwszej randki w Londynie. To było sześć lat temu, lało jak z cebra, a on wysiadł z samochodu i czekał na nią pod parasolem przed bramą przy Ellerdale Road. Wtedy jeszcze Lea studiowała scenopisarstwo na London Film Academy i mieszkała na trzydziestu metrach kwadratowych pełnych książek, naczyń, pościeli i ubrań zmiętych w każdym kącie. Jej jedynym towarzystwem był kanarek oraz zółw. Ani jedna kropla deszczu nie zdołała zmoczyć jej twarzy tamtej nocy, ani jedna łza nie spłynęła jej po policzku, chociaż miała ogromną ochotę płakać. Powtarzała sobie: „To właśnie mężczyzna, któremu możesz i powinnaś zostawić klucze do swojego



życia”.

Znajomy elektroniczny dźwięk odzywa się między nimi, oznajmia nadejście wiadomości. To telefon Vittorio, wiecznie oblegany. Gdy mężczyzna pospiesznie po niego sięga, magia chwili chowa się z powrotem do środka muszli.

Vittorio wciąż stoi przed nią, lecz myślami jest już daleko, skupiony na ekranie przesuwa palcem wiadomości. Niedawno skończył czterdzieści pięć lat, przeredziły mu się włosy, a na skórze szyi i torsu pojawiły się pierwsze zmarszczki. Jego nagie ciało jest chude, prawie bez owłosienia, mięśnie klatki piersiowej rysują się, dopiero gdy zgarbi nieco plecy – niewielkie i zmysłowe jak posągi Apollina. Biega, gra w tenisa i spędza godziny na oczyszczających posiedzeniach w saunie. Wie, że może się podobać i żywi się uwodzicielskimi spojrzeniami kobiet, lecz we wszystkim, co robi, zawsze zdaje się być drugie dno, które dotyczy Lei: – Nie zatrzymam się, nie zestarzeję – zdaje się mówić. – Nigdy nie będę cię traktował jak pewnik. I nigdy nie będziemy tylko we dwoje, choćbyśmy nigdy nie mieli dzieci. Zawszę będę ja, ty, i wszyscy ci ludzie, którzy mieszkają w moim telefonie.

Lea również korzysta z przerwy, żeby sprawdzić, czy któreś wydawnictwo odpisało jej na e-maila. Przeprowadzka do Singapuru zainspirowała ją do napisania powieści, jedynej, którą udało się jej doprowadzić do końca. Niedawno wysłała ją wszystkim znanym jej włoskim wydawcom. Prócz jednego. Skrzynka pocztowa jest jednak wciąż pusta. Lea strofuje się w myślach, nie chce popaść w obsesję, chce być bardziej cierpliwa, lecz sama myśl o tym, że ktoś po drugiej stronie świata czyta właśnie jej maszynopis, napawa ją niepokojem.

Vittorio przestaje wreszcie grzebać w telefonie, układa piżamę na łóżku i wślizguje się pod prysznic. Starannie namydla ciało, przesuwając maszynką po szyi i po policzkach. Zdaje się odprężony, na ustach błąka mu się uśmiech zadowolenia. Lea znika w drugiej łazience, jedynym miejscu, w którym może sobie pozwolić na trochę kobiecego nieładu. Robi siku i widzi cienki skrzep krwi unoszący się na powierzchni wody w toalecie. Tym razem pojawił się zbyt wcześnie.

Odprawdza go wzrokiem do chwili, gdy znika w spiralnym nurcie. Cicha możliwość wessana przez strumień wody. Lea czuje napływającą falę melancholii. Nie zamierza mówić o tym Vittorio, nie dziś wieczorem.

Podchodzi do okna.

Miasto powoli cichnie. Światła przygasły nieco, a biały księżyc, któremu do pełni brakuje tylko ząbka, świeci wysoko na niebie. Zdaje się większy niż zwykle. Lea spogląda przez szybę, przez moment odnosi wrażenie, że widzi błysk oczu tamtego chłopaka. Ma wciąż „naście” lat i rzuca jej surowe spojrzenie za każdym razem, gdy ona gubi się w swoich myślach przed matematycznym równaniem w zeszyście. Teraz Lea patrzy na miasto, nie skupia się na niczym szczególnym, to przejrzysta przestrzeń, w której nie istnieje czas.

Heisenberg i jego skoki kwantowe. Twierdził, że elektrony mogą zaistnieć tylko wtedy, gdy przeskakują z jednej orbity na drugą. Jeśli nic nie stanie im na przeszkodzie, nie znajdują się w żadnym konkretnym miejscu, tylko w abstrakcyjnej przestrzeni matematycznej, i nie można przewidzieć, gdzie na nowo pojawi się elektron, można jedynie obliczyć prawdopodobieństwo tego zdarzenia.

Czyżby uciekła tak daleko tylko po to, by ograniczyć prawdopodobieństwo ich spotkania? Czy po to, by uwierzyć wreszcie, że ogranicza go abstrakcyjna matematyczna przestrzeń i że nie istnieje?

A przecież tak nie jest.

To matematyka sprawiła, że się spotkali. Niektóre spotkania ciągną za sobą ciężar nieodwracalnych wydarzeń, choćby wynikały z czystej chęci poprawienia błędu. Gdyby nie banalny błąd w rachunkach, który popełniła jako uczennica pierwszej klasy liceum, nigdy nic by się nie wydarzyło.

To był jeden ze zwyczajnych dni stycznia. Właśnie zadzwonił dzwonek i Lea przechodziła przez korytarz oddzielający sale lekcyjne od gabinetu dyrektora. Wciąż niewiele było gracji w jej ruchach, chodziła nieco sztywno i niezgrabnie. Miała na sobie szerokie dzinsy i ciepły sweter z wysokim golfem, tak jakby chciała zamaskować naturalny wdzięk, z którym wciąż nie potrafiła się obchodzić. I tamtego dnia jej długie włosy sięgające dołu pleców zwinięte były w niedbały węzeł unieruchomiony ołówkiem. Pełne czerwone usta kontrastowały z anonimowością jej stroju, przyciągały spojrzenie – tak jak i dołeczek w brodzie, który dodawał jej uroku dziecinnego i złośliwego zarazem. Była wysoka jak na swój wiek, długa i wyprostowana. Wąskie biodra, szczupłe ramiona i nogi budzące obawę, że mogą w każdej chwili się złamać, ledwie widoczny biust. Wciąż nieforemne, cierpkie jak niedojrzałe jabłko stworzenie, desperacko usiłujące zwiększyć swoje zdolności intelektualne, jakby na przekór matce nieustannie wychwalającej jej urodę. Lea nigdy nie była zdolną uczennicą, skupienie przychodziło jej z trudem, nie

miała pamięci do dat ani nazwisk i pewnie dzisiaj zdiagnozowałiby u niej lekką formę dysleksji. Kiedy czytała, myliła *d* z *b*, lecz rzadko zdarzało się, by ktoś skarcił ją za niespodziewane potknięcia, które wzbudzały wyłącznie czuły uśmiech.

Po raz pierwszy całowała się w ostatniej klasie podstawówki. Grali w butelkę w garażu u Bianki, a kiedy chłopiec, na którego wypadło, wpatrywał się w nią oszołomiony, naprędce wsunęła język w jego półotwarte usta. Jej koleżanki rozmawiały już o seksie i antykoncepcji, a Lea słuchała ich z zaciekawieniem. Nie czuła pośpiechu. Bardzo chciała spróbować, nie zniosłaby jednak goryczy, która pozostała jej po tym pocałunku. – Nie podobasz mi się – powtarzała szczerze i bez ogródek chłopcom, którzy zgłaszali chęci uprawiania miłości tego ostatniego lata, po czym próbowała ich pocieszać. Pomagała im się pogodzić z odmową lub wskazywała na mniej wymagające przyjaciółki: – Moim zdaniem ona jest idealna, możesz dać jej w prezencie *Heart Shaped Box* Nirvany. – Czekwała jednocześnie, aż i jej zaśpiewają: *Hey, wait, I've got a new complaint, forever in debt to your priceless advice.*

Tamtego dnia dyrektor zaprosił ją do swojego pokoju, by porozmawiać o jej tragicznych ocenach z matematyki. Zjawiła się tam z rozwiązaniem butem, potknęła się o własne nogi. Zobaczyła go, kiedy podniosła wzrok: starszy od niej, mógł być byłym uczniem, który odwiedza starą szkołę. Dopiero później okazało się, że jest w ostatniej klasie i niedawno przeprowadził się z miasta na północy.

Z nieprawdopodobną wręcz przytomnością wyciągnął rękę, by jej pomóc, lecz w obliczu jej beztroskiego i radosnego: – Ale ze mnie łamaga! – natychmiast się wycofał. A Lei zdawało się, że jego dłoń, wycelowana w nią, popycha ją z powrotem na ziemię. Zawstydziała się.

Przez chwilę siedzieli obok siebie na ławce przed drzwiami do gabinetu dyrektora. Nie powiedzieli do siebie ani słowa: Lea trzymała na kolanach zeszyt do matematyki, pełen rysunków i bazgrołów na marginesach, przerzucała nerwowo jego kartki, wlepiając wzrok w ścianę; on, ubrany w dziwaczną sztruksową marynarkę, za dużą przynajmniej o dwa numery, z podwiniętymi rękawami – wbrew obowiązującej modzie, która, paradoksalnie, dopuszczała ekstrawaganckie stroje. Daleko mu było do atrakcyjności, przynajmniej na pierwszy rzut oka. Regularne rysy twarzy kontrastowały ze zbyt krótko obciętej włosami, przy których wyraźnie

odcinały się nieproporcjonalnie duże uszy. Pełne blizn policzki stoczyły nierówną bitwę ze złośliwą formą trądziku. Blizn musiało być więcej, tych niewidzialnych, odbijających się w ciemnych oczach, w których błyszczało coś bolesnego i nieodwracalnego. Wpatrywał się w nieokreśloną przestrzeń za oknem, a jego źrenice poruszały się szybko z jednej strony na drugą, jakby chciał przegonić czas tracony na oczekiwanie. Nerwowy tik, kiedy gładził płatek ucha, wydawał się sposobem na ukojenie wewnętrznych ran, a niespokojne podrygiwanie nogi, którą usiłował wcisnąć w podłogę, wyrażało jego zniecierpliwienie.

Wprawił ją w dziwny stan poruszenia i kiedy podniosła się z ławki, by pierwsza wejść do pokoju dyrektora, Lea prawie poczuła ulgę.

Tego samego popołudnia zatrzymała się w szkolnej bibliotece, by odrobić zadania na następny dzień. Zdała sobie sprawę z jego obecności dopiero w chwili, gdy usiadł u jej boku.

Już po raz drugi Lea wyrywała stronę z zeszytu i przepisywała bezskutecznie to samo równanie. Traciła całkiem cierpliwość, kiedy zorientowała się, że ją obserwuje.

Rozbawionym tonem powiedziała: – Dalej się śmiejesz z tego, jak się wywróciłam dzisiaj rano?

Nie odpowiedział. Wpatrywał się w skupieniu w kartkę z zeszytu. Położył jej dłoń na przedramieniu, spokojną dłoń, poczuła, jak emanuje z niej ciepło. Niepokój napłynął niespodziewanie.

– Tu się pomyliłaś – powiedział to kategorycznie, dobitnie.

Lea nie mogła uwierzyć, że w tak krótkim czasie zdołał dostrzec błąd w tej plątaniu cyfr.

– Tu jest dwa, nie osiem – dodał. – I tym samym, w skrócie, nie może to być równe cztery.

Choć w tym roku postanowiła naprawdę się przyłożyć, by nadrobić zaległości, nigdy nie zdarzyło jej się wstydzic własnych błędów, nie przejmowała się nimi szczególnie. – W gruncie rzeczy, czy w życiu kiedykolwiek przydają się równania? – powtarzała sobie. A teraz ten nieznamy wytykał je jej palcem. *Forever in debt to your priceless advice?*

Zanim zdążyła odpowiedzieć czy przynajmniej sprawdzić słuszność jego uwagi, wstał i skierował się w stronę wyjścia.

Słyszy głos dobiegający z sypialni. Vittorio woła ją spod warstwy kołder. Lea idzie do niego, nie chce, by dostrzegł jej rozterki. Czuje potrzebę wtulenia się w jego pierś, chce odnaleźć to ciepło, które Vittorio okazuje jej często, nie tylko podczas zbliżenia. A jednak stoi na progu zawieszona, niepewna. Po raz ostatni zerka na wciąż pustą ikonkę poczty na komórce.

- Co ci jest? Wydajesz się niespokojna.
- Dostałam okres – odpowiada, podchodząc do łóżka, z prawej strony. To jedno krótkie zdanie gasi uśmiech na jego twarzy.

## 2

Jeśli to prawda, że każde miejsce ma swoją historię, ta dotycząca Urban Suites, nowoczesnego budynku, w którym znajduje się apartament Lei i Vittorio, jest wciąż jeszcze niezbyt długa. Kompleks powstał zaledwie kilka miesięcy temu, a pierwsze, co przychodzi do głowy po przekroczeniu szlabanu przy wejściu, to gra w Tetris przeprogramowana na geometryczne kształty ze stali i szkła. Mieszkańcy budynku to w znacznej większości ekspaci, niektórzy tylko przejazdem, wielu przywiozło ze sobą potomstwo.

Singapur został zaprojektowany zwłaszcza z myślą o dzieciach. Lea domyślała się tego już po kilku wizytach w parkach rozrywki na wyspie Sentosa i w futurystycznych shopping mallach, w których za szkłem witryn widziała wanny w sklepach zwanych Baby Spa – pełne noworodków unoszących się w wodzie pod czujnym okiem niepewnych, lecz uśmiechniętych matek trzymających je w ramionach. W publicznych toaletach obowiązkowo musiały być oddzielne pomieszczenia wyposażone w zabawki i spowite dźwiękami muzyki relaksacyjnej. Pobyt w apartamentach Urban Suites utwierdził Leę w przekonaniu, że to miasto przeznaczone do wychowywania dzieci.

W latach sześćdziesiątych ówczesny prezydent Lee Kuan Yew zasadził tysiące drzew, czym wzbudził zgodny zachwyt mieszkańców. Marzyło mu się miasto-ogród, zdolne zapewnić odpowiednią ilość tlenu rodzinom przyszłości. Także w Urban Suites znalazło się miejsce na ogród oraz ogromny basen wykończony kamieniem wulkanicznym. Dmuchane zabawki, samochodziki i gumowe figurki porzucane są tam na całej przestrzeni między placem zabaw a grillem z marmuru i stali otoczonym rzędem drewnianych stołów.

Jest Niedziela Wielkanocna i ogród wypełnił się dziećmi w każdym wieku, biegającymi między rzeźbami i fontannami. W cieniu trampoliny z teku sąsiedzi Lei i Vittorio smarują się olejkiem do opalania, a automatyczne zraszacze kręcą się miarowo i wypływają wodę lśniąca w promieniach

słońca. Nieukończone budowy wznoszących się powoli drapaczy chmur budzą to samo poczucie wyobcowania co plaże wyspy Sentosa – bielusiński piasek, bujne czupryny palm, schludne budynki fabryk, a w oddali, na horyzoncie, równe sylwetki tankowców.

„Wyobcowanie” to słowo, które często powraca w powieści Lei. Napisała dziennik młodej ekspatki, która wyobraża sobie, jak dzień w dzień przechadza się po Singapurze w towarzystwie Lee Kuan Yewa, przez wszystkich wciąż nazywanego tutaj Prezydentem. Doszedł do władzy zaraz po zdobyciu niepodległości od Wielkiej Brytanii i stworzył system rządowy, który zdołał przekształcić mały kraj bez zasobów naturalnych, udręczony przemytem narkotyków i przestępczością w prężnie rozwijające się państwo i wspaniałe miejsce do życia.

Kiedy Lea zobaczyła go po raz pierwszy, uderzyła ją energia w jego oczach, niewspółmiernie wąskich do ogromu dumy, którą błyszcząły, widocznej nawet na małej fotografii zajmującej centralne miejsce na kokpicie samochodu taksówkarza.

– Przepraszam, kim jest ten człowiek? – zapytała wtedy kierowcę, wychylając się pomiędzy dwoma przednimi siedzeniami.

Odruchowo chciał się odwrócić, a kiedy spojrzał na nią w lusterku, w jego oczach rysowało się osłupienie, jakby chciał powiedzieć: „Naprawdę nie wiesz kto to?”

– Dla nas, Singapurczyków, jest jak ojciec – odparł z mieszanką dumy i nabożeństwa w głosie. – To on to wszystko stworzył.

Lee Kuan Yew wpatrywał się w nią ze świętego obrazka na kokpicie, a w jego spojrzeniu było coś niezmiernego. Wiara w moc ideałów.

Vittorio nie był nigdy zapalonym czytelnikiem, uwielbiał jednak biografie ludzi sukcesu.

– Czyżbyś to ty była tą młodą ekspatką, o której piszesz? – zapytał Leę.

– To ja, choć tak naprawdę to wcale nie ja. To zagubiona kobieta ze starej Europy – nagle przenosi się do pozornie nieskazitelnego świata i widzi w nim odkształcenia, których nie jest w stanie zrozumieć.

– Jakże znowu odkształcenia? Bądź ze mną szczerą, nie oszalałaś na punkcie tego miejsca.

– To nieprawda. Myślę tylko o wszystkich tych wywrotowcach, którzy trafili za kratki bez prawa do procesu; myślę o cenzurze, o karze śmierci za posiadanie narkotyków i o tym, że mogą cię wychłostać, jeśli przyłapią cię na

kradzieży.

Vittorio usprawiedliwiał ciężką rękę władzy:

– Moim zdaniem, koniec końców liczy się efekt – powiedział jej tamtego dnia. – Surowość kary przekłada się na szacunek do zasad. To najbezpieczniejszy, najczystszy kraj, jaki znam, z kompetentnymi ludźmi u władzy.

Kilka dni po tej rozmowie stan zdrowia Lee Kuan Yewa znacznie się pogorszył. A kiedy Lea była w trakcie pisania swojej powieści, Prezydent wyszedł na spotkanie śmierci. Ogłoszono siedmiodniową żałobę narodową, a flagi na budynkach rządowych zostały spuszczone do połowy masztu. Długa procesja sparaliżowała całą dzielnicę Orchard, której ulicami płynęła niekończąca się rzeka ludzi, ściśniętych w tłumie dorosłych, przypominających małe sieroty o zdezorientowanych twarzach.

Lea pluska się leniwie w basenie, opierając łokcie o kamienny brzeg. Vittorio jest tuż za nią, masuje jej plecy.

Z boku wyglądają jak para nastolatków na wakacjach, a przecież dopiero co podjęli ważną decyzję, jedną z tych zdolnych zmienić bieg życia. W oczach Vittorio jaśnieje nowe światło, jego spojrzenie zdaje się bardziej otwarte, jak kwiat, który rozkwita z rana. Zaraz po świętach skontaktują się z doktor Jong w sprawie badań, by wykluczyć ewentualne przeszkody uniemożliwiające zapłodnienie. Opracują dla Vittorio spermogram, Lea podda się badaniom specjalistycznym. Wszystko po to, by osiągnąć cel. Zrobią wszystko, co każe im pani doktor, byle tylko udało im się zostać rodzicami w jak najkrótszym czasie.

Vittorio patrzy na rozbawione dzieciaki:

– Lea, chciałbym więcej niż jedno. Wolałbym, żebyś nie pracowała, cieszyła się domem, miastem i naszymi nowymi przyjaciółmi – mówi.

Tak jakby ludzie, z którymi się spotykają, nie byli tylko znajomymi z jego pracy, czy jakby ekskluzywny apartament, w którym przyszło im gościć, naprawdę potrzebował jej opieki. Przecież nawet to, co jedzą, to prawie zawsze efekt wizyt Vittorio w kolejnej restauracji czy też zasługa jego determinacji, by wypróbować jeszcze jeden przepis kulinarny. Przez chwilę Lea ma wrażenie, że zaczyna się dusić, jakby jej szyję znów oplatał gryzący wełniany szalik, który matka ciasno zawiązywała jej w dzieciństwie.

– Dla dziecka obecność matki jest niezwykle istotna – mówi sentencjonalnie Vittorio.



Wybiegł daleko w przyszłość, wypowiada się tak, jakby ich cel został już osiągnięty. Identycznie zachowuje się w pracy, kiedy jest przekonany, że kolejne przejęcie firmy zakończy się sukcesem. Lea słyszy jego słowa i myśli o fartuchach swojej teściowej, w kwiatowy wzór, przesiąkniętych aromatem jedzenia. Wyobraża ją sobie za młodych lat, zanim jeszcze ją poznała, jak stoi w swojej kuchni z dłońmi zanurzonymi w misce z warzywami i wzrokiem wbitym w okno wychodzące na grządki w ogródku. Pięcioro dzieci i znikąd pomocy. Wyobraża sobie Vittorio – jest jeszcze dzieckiem i właśnie rozgniatą kamieniem szyszki drzew piniowych na werandzie. Towarzyszą mu jego bracia. Lea wyobraża sobie, niemal czuje, zapach makaronu dochodzący z piekarnika i aromat świeżej bazylii na pomarszczonych rękach jego matki... Wreszcie wraca z tej podróży w czasie i spogląda na rodziny sąsiadów szykujących grilla w tym astralnym, dalekim miejscu, gdzie kreska termometru prawie nigdy nie spada poniżej dwudziestu siedmiu stopni. Wkrótce i oni staną się uczestnikami tego pseudorodzinnego rytuału, tak jak zdarzyło im się kilkakrotnie w niedzielę: Harvey i Satoshi, Australijczyk i Japończyk, zajęci są przygotowaniem mięsa, a ich żony, Susan i Akame, opowiadają sobie zapewne o ostatniej wyprawie na zakupy.

W zeszłym tygodniu podczas niedzielnego grilla synek Susan prawie przez cały czas był na rękach u Lei. Rozmawiały o lokalnym systemie szkolnictwa. W Singapurze już bardzo małe dzieci przechodzą testy predyspozycyjne, które w znacznej mierze decydują o ich dalszej ścieżce rozwoju – w obliczu zbliżających się egzaminów matki nie rozmawiają o niczym innym. Kto wie: kiedy mały Vittorio rozgniatł szyszki, może i jego matka, obserwując go przez okno, już myślała o tym, by nadać kształt jego przyszłości.

Choć w Singapurze czternastoletnie dzieciaki wiedzą dokładnie, jak potoczy się ich los, Lea w ich wieku nie miała o tym bladego pojęcia. Tylko kilka kwestii zdawało się wtedy jasnych: to, że jej matka właśnie z hukiem wyrzuciła ojca z domu po kolejnej zdradzie, to, że wisiąco nad nią ryzyko powtarzania klasy z powodu fatalnych ocen z matematyki i wreszcie, że jest w szkole chłopak, który zdołał zakłócić jej spokój.

Los to wykres z mnogością wyborów. Może być tak, że te, nad którymi nieszczególnie się zastanawiamy, nieokupione większym cierpieniem, lub te, których dokonuje się zwyczajnie przez pomyłkę, okazują się mieć determinujące znaczenie. Tak jak ten, który spowodował, że przez jeden test orientacji zawodowej Lea trafiła do liceum o profilu ścisłym.

Test przeprowadzano w ostatniej klasie podstawówki. Należało odgadnąć kształt bryły, którą stworzyłyby kolejne formy geometryczne, gdyby kręciły się na pionowej osi przechodzącej przez ich środek. – Stożek – mówiła, podnosząc rękę, lub: – Walec. – Kula. I nie dawała za wygraną, kiedy oś została przemieszczona: – Stożek z walcowatym otworem w środku. I tak dalej.

Nauczyciel był pod takim wrażeniem przygotowania i entuzjazmu Lei, że zasugerował jej ojcu, inżynierowi architektowi Federici, że powinien skierować ją na drogę studiów naukowych. Wcześniej jednak podsunął mu plan mieszkania do remontu, które zakupił nie tak dawno w okolicach szkoły. Gdyby nie nauczyciel, gdyby nie wynik jej testu, Lea nigdy pewnie nie znalazłaby się na korytarzu liceum o profilu ścisłym, nigdy nie musiałaby walczyć z liczbami i może nigdy nie poznałaby okrutnego oblicza miłości.

### 3

Po pierwszym spotkaniu w bibliotece Lea widziała tego dziwnego chłopaka jeszcze kilkakrotnie, lecz za każdym razem mignął jej tylko w szkolnym tłumie. Któregoś dnia wpadła na niego przypadkiem, w chwilę po ostatnim dzwonku, gdy siedział na murku na wewnętrznym dziedzińcu szkoły i coś czytał. Przywitała się, a on odpowiedział roztargnionym skinieniem głowy. Ona jednak nie zamierzała dać się tak łatwo zbyć.

- Mamy ze sobą coś wspólnego – oznajmiła.
- To znaczy? – Podniósł oczy znad książki.
- Dwóję z jakiegoś przedmiotu, skoro zasłużyliśmy sobie na prywatną pogawędkę z dyrektorem.
- Ty swoją dwójkę napisałaś w zeszycie z błędem – odpowiedział jej z chirurgiczną precyzją i znów wsadził nos w książkę, jakby jego chwilowe zainteresowanie dziewczyną zgasło w mgnieniu oka.

Miał na imię Giacomo. Odkryła to, kiedy zaczęła o niego rozpytywać. Zmienił szkołę w połowie roku, po przeprowadzce z Turynu do Rzymu. Wydawało się, że liceum nie jest dla niego niczym więcej niż zwykłą poczekalnią – trzymał się zawsze na uboczu, skupiony na książkach, również podczas przerw w zajęciach. Kiedy coś przykuło jego przenikliwy wzrok, zdawało się, że prześwietla to promieniami rentgena. I ona tak właśnie się poczuła przez ułamek sekundy, kiedy maszerowała w drugą stronę chwilę po tej krótkiej rozmowie na szkolnym dziedzińcu: czuła żar palący jej plecy.

Giacomo sprawiał wrażenie kogoś, kogo dręczy niewidzialny cień towarzyszący mu bez przerwy, to był jeden z tych chłopców, którzy ze swojej izolacji i odosobnienia uczynili własną siłę. Coś fascynującego. Przynajmniej Lea widziała to w ten sposób. Nie był nieszczęśliwym odludkiem, wręcz przeciwnie: gdy ktoś się do niego zwracał, starał się być uważny i uczynny. Skupiał całą uwagę, by zrozumieć, kogo ma przed sobą, słuchał i ofiarowywał pomoc, jeśli ktoś tego potrzebował, nigdy jednak nie okazywał chęci wejścia

na głębszy poziom interakcji. Leę także rzadko zaszczycał choćby spojrzeniem.

I być może właśnie dlatego zdołał rozpalić w niej ciekawość i szybko znalazł się w centrum jej zainteresowania. Było jednak coś jeszcze: wdzięk w jego miękkich ruchach, coś ciepłego i uspokajającego w jego spojrzeniu. Zdarzyło jej się wyobrazać go sobie jako starca, cierpliwego i mądrego, i w tamtych chwilach bardzo pragnęła, by ujął jej dłoń.

Szkoła zyskała dla niej inny wymiar: każdego dnia mogła go przecież spotkać. Przerwy, koniec zajęć – wszystkie chwile wyznaczające rytm szkolnego dnia – stały się dla niej doskonałą motywacją do wcześniejszej pobudki – po to, by większą uwagę poświęcić wyborowi odpowiedniego stroju, starannie wyszczotkować włosy i nadać im więcej blasku.

To były takie dziwne miesiące. Nie wiedziała, kto odbierze ją po ostatnim dzwonku – matka, w której oczach czaił się smutek zranionego zwierzęcia i której krótkie włosy przetykane siwizną kontrastowały z kusymi sukienkami w kwiaty, prowokacyjnie podkreślającymi jej kobiecość, czy ojciec z nienaturalnym uśmiechem przyklejonym do twarzy, dziwnie niespokojny. Lea nie wiedziała, czy zabiorą ją do domu, do ich niespodziewanie prowizorycznego domu pełnego niezliczonych rulonów z projektami przygotowanych do przeprowadzki, czy do maleńkiej rezydencji, do której przeniósł się jej ojciec.

Pełna niepewności Lea szukała oczu Giacomo.

Majstrował właśnie przy łańcuchu roweru na dziedzińcu szkolnym, kiedy odezwała się do niego po raz trzeci.

– Słuchaj, jeśli dobrze nie wepniesz spinek w blaszki, to go nie zamkniesz. – Wzięła go z zaskoczenia i powtórzyła słowa zasłyszane w warsztacie rowerowym pod domem.

– A skąd niby o tym wiesz? – zapytał sceptycznie.

– Wyniosłam tę wiedzę z pola bitwy. – Uśmiechnęła się, z dumą odsłaniając bliznę w kształcie litery v na kolanie. Wyjęła chusteczki z kieszeni i podała mu jedną, by wytarł czarne od smaru ręce.

Zgodnie z jej wskazówkami Giacomo umieścił łańcuch w prowadnicy roweru, po czym, nie do końca świadomie, zaczęli iść w tym samym kierunku.

– To przeznaczenie każe nam ratować się nawzajem z opresji – powiedziała Lea, zadzierając głowę i spoglądając w niebo.

– Przeznaczenie nie istnieje – poprawił ją cytatem z Demokryta, który uważał, że wszechświat to ogromna pusta przestrzeń, a w niej szaleje

nieskończona liczba atomów, elementarnych drobinek rzeczywistości, niepodzielnych, bez jakichkolwiek właściwości prócz własnej formy, bez masy, koloru, zapachu. I wyłącznie sposób, w jaki się łączą lub dzielą, odpowiada za narodziny, przemianę, śmierć wszystkiego, co istnieje w przyrodzie. – Myśl chrześcijańska rozwijająca się przez stulecia sprawiła, że zapomniano o jego dziele – podsumował lodowato. – Do tego stopnia, że zachodnia myśl powstała na bazie koncepcji Platona i Arystotelesa, i to właśnie przez nich ty mi mówisz dziś o przeznaczeniu.

Gdy na niego spojrzała, na jej twarzy malowało się i oszołomienie, i uwielbienie. Nie mogła uwierzyć w jego nedorzeczną odpowiedź. Uśmiechnęła się z nieposkromioną chęcią, by droczyć się z nim dalej:

– A więc i nasze spotkanie to najzwyczajniejszy przypadek?

– Wszystko dzieje się przez przypadek i z konieczności – odparł i wyjaśnił jej, że antyczna teoria atomistyczna miała podobne założenie: porządek naturalny przewiduje przyczynę oraz efekt wszelkich zdarzeń.

– A według ciebie, jaka przyczyna spowodowała efekt, którym jest nasza rozmowa?

– Twoja kompletna nieznajomość matematyki? – zasugerował, a w jego głosie niewiele było ironii.

Lea zrozumiała i zacisnęła zęby, czuła ogień palący ją po same czubki uszu. Nie miała najmniejszego zamiaru dać za wygraną. Nie mogło spotkać ją nic gorszego, niż „nie”, a „nie” od kogoś takiego jak on nie było w zasadzie niczym zaskakującym.

– Skoro tak, to ty mógłbyś mi pomóc, jeśli jesteś taaaki zdolny. Nauczyciele mówią, że jak dalej tak pójdzie, mogę zawalić rok – ciągnęła, próbując dramatyzować. – Może udzieliłbyś mi kilku korepetycji, jak myślisz?

Giacomo już prawie potrząsał głową w geście odmowy, Lea jednak zostawiła najmocniejszy argument na sam koniec:

– O ile oczywiście nie chcesz czuć się odpowiedzialny za to, że będę musiała powtarzać rok.

Zadrzał nieznacznie, jak od smagnięcia niewidzialnym batem, Lea była absolutnie pewna, że uderzyła we właściwą strunę, odnalazła jego słabość. Odślonięty czuły punkt.

– We wtorki i piątki mój ojciec nie przyjmuje pacjentów w domu. Ale w tym tygodniu nie mogę. W przyszłym. We wtorek o 17.30 u mnie. – Na ułamek sekundy ich spojrzenia się spotkały. Jakby za tym zimnym, lakonicznym

komunikatem, za tym pozornie beznamiętnym wyrazem twarzy kryła się zakodowana wiadomość. Przynajmniej taka myśl pojawiła się w głowie Lei, kiedy odwrócił wzrok i pożegnał się z nią.

Mieszkanie rodziców Giacomo znajdowało się w dzielnicy Prati, na trzecim piętrze kamienicy w stylu liberty z odrapaną z tynku fasadą. Podłoga za drzwiami wejściowymi pokryta była skrzypiącym parkietem, układającym się w romby zdobione marmurowymi inkrustacjami. Duże mieszkanie o arystokratycznej przeszłości upstrzone było oklejonymi taśmą pudłami wciąż upchniętymi w kątach. Jedyne pokój, w którym nie panował już nieład, należał do Giacomo. Sięgające sufitu regały wypełnione były nieprawdopodobną liczbą książek, spośród których wyróżniały się tomy o fizyce teoretycznej. Obok łóżka piętrzył się stos czasopism naukowych, a na stole, wśród kłębiących się długopisów i zeszytów, stał talerz z widelcem leżącym na zasychających resztkach sosu pomidorowego – znak, że szkoła nie była jedynym miejscem, w którym Giacomo woli trzymać się na uboczu.

Nie musiała rozglądać się zbyt długo, by zidentyfikować „religię” Giacomo. Znad łóżka spoglądał na nią z zawieszzonego byle jak plakatu Che Guevara, a na poduszce leżał rzucony niedbale czerwony T-shirt z nadrukiem sierpa i młota. Z rozgardiaszem tego pokoju kontrastowały wyłącznie książki, ułożone według tematu i wydawnictwa. Łypały na nią z regałów, jak wyprostowani mali żołnierze gotowi na Bóg wie jaką bitwę.

– I wszystko to przeczytałeś? – zapytała. – To znaczy... Myślisz, że ktokolwiek w świecie przeczytał je wszystkie?

Po raz pierwszy Giacomo wydawał się udobruchany spojrzeniem jej zaokrąglonych ze zdumienia oczu. Prawie ojcowskim ruchem wziął z biurka tom *Dialektyki oświecenia*, jak wykopalisko, które zmaterializowało się tu wprost z innej planety.

– Adorno i Horkheimer... co to takiego? – zapytała Lea, obracając książkę w rękach.

– Szkoła frankfurcka.

– Czy to tam chodziłeś, zanim przeprowadziłeś się do Rzymu?

Giacomo wybuchnął głośnym śmiechem, choć pewnie nie zdarzało mu się to zbyt często. Lea zamarła ze wstydu, jednocześnie czując niespodziewaną satysfakcję ze swojej gafy. Był taki uroczy, kiedy się śmiał.

– Coś mi się zdaje, że powiedziałam coś wyjątkowo głupiego...

– Mnie też się tak wydaje – odpowiedział, tłumiąc śmiech. – To szkoła

filozoficzna założona w latach dwudziestych przez intelektualistów marksistowskich...

Lea usiłowała zamaskować kompletny brak zainteresowania opasłym tomem i zapytała, czy może wyjść do łazienki. Odprowadził ją na korytarz, wskazując drzwi w głębi na prawo.

Wychodząc z toalety, Lea odniosła wrażenie, że cały ten dom wypełniony obrazami, przedmiotami i skrzyniami kurczy się i zaciska wokół niej jak pułapka na łapie zranionego zwierzęcia. Niewiele brakowało, a potknęłaby się o oparty o ścianę wielki fortepian okryty celofanem, i musiała oprzeć się pokusie, by nie nacisnąć przypadkowego klawisza, ukrytego pod opinającą go ochronną warstwą plastiku. Znajdujące się jakieś pół metra dalej dwuskrzydłowe drzwi, teraz uchylone, odsłaniały wewnątrz jeszcze nieumeblowanego pokoju. To musiał być gabinet jego ojca, o ile jej było wiadomo, znanego psychoanalityka.

Naprzeciw, za drzwiami z matowego szkła prowadzącymi do kuchni, przy stole z laminatu siedziała kobieta na starym drewnianym krześle. Rozmawiała przez telefon. Lea nie mogła dostrzec jej twarzy, widziała jedynie szerokie spodnie z lejącego materiału w odcieniach szarości, wstęgę dymu unoszącą się znad jej papierosa, łańcuszek pereł na szyi, który nerwowo zaplatała na palce, mówiąc do słuchawki:

– To wszystko jest takie męczące. Giacomo ma się lepiej, tak, ale trudno nawiązać z nim jakikolwiek kontakt, po tym, co się stało... Nie wiem, czy popada w szaleństwo, czy w rozpacz... Poza tym... tak, to piękne miasto, ale tęsknię za przyjaciółmi, za gorącymi dyskusjami, za naszymi rytuałami. – Przerwała na chwilę, jakby czuła, że ktoś ją obserwuje, a kiedy odwracała głowę w stronę korytarza, Lea czmychnęła czym prędzej i wróciła do pokoju Giacomo. Miała wrażenie, że nawet niepokój w tym domu ma inny wymiar, odczuwa się go z racjonalnym umiarkowaniem.

Giacomo siedział przy biurku z przygotowanymi zawczasu zeszytami. Odzyskał już charakterystyczny dla niego dystans, nie było ani śladu po chwili zapomnienia, na którą pozwolił sobie przed momentem.

– Chyba widziałam w kuchni twoją matkę.

– Czy twoim zdaniem tak należy prowadzić zeszyty? – odparł prawie z wrogością, ignorując jej uwagę i wskazując palcem plataninę obrazków i bazgrołów wypełniających puste miejsca.

– Lubię rysować.

– Niektóre szkice nawet całkiem dobrze ci wychodzą. Szkoda, że nie jesteś na Akademii Sztuk Pięknych.

– To jedynie twarze i kobiece akty. Tylko tyle potrafię. Nie wydaje mi się, żeby czekała na mnie przyszłość na polu artystycznym.

– Ani na naukowym. Jeśli nie zabierzemy się natychmiast do pracy.

Lea przysiadła u jego boku.

– Widziałam fortepian w korytarzu. Kto na nim gra?

– Nikt na nim nie gra. To tylko efekt obsesji mojego ojca, który chciał mieć syna pianistę, i kiedy byłem dzieckiem, bezskutecznie próbował mnie zmusić do nauki gry. Jak niektóre mamy, marzące, by ich córeczka wyrosła na baletnicę, wiesz, co mam na myśli? – powiedział z odrazą i niemal współczuciem w głosie.

– Bingo! Spędziłam dzieciństwo w szkole tańca – miesiące przygotowań do spektaklu na koniec... Spektakularna kłapa, rzecz jasna. – Próbowała uśmiechnąć się do niego.

Taka doza ekshibicjonizmu sprawiła, że Giacomo ponownie wycofał się do swojej skorupy, jakby uważał, że każdą pokusę spontaniczności należy zdławić w zalążku.

– Zaczynamy od zbiorów?

Zamyśliła się, wyobrażając sobie grono przyjaciół Giacomo – tych, których miał, zanim wydarzyło się to coś. Kiedy on, skupiony, tłumaczył jej podstawowe zagadnienia matematyki, Lea rozglądała się dyskretnie wokół. Dostrzegła trzy ramki na zdjęcia rozstawione na półce na przeciwległej ścianie: Giacomo na plaży z ojcem, przystojnym postawnym mężczyzną; Giacomo w towarzystwie starszej pani w tradycyjnym ubraniu, charakterystycznym dla ludzi z wioski – to pewnie babcia z południa; oraz Giacomo przed pozostałościami muru berlińskiego, obejmujący chłopaka w swoim wieku, obaj z włosami postawionymi na żel i arafatkami na szyjach.

– Ty mnie nie słuchasz – skarcił ją zniecierpliwionym tonem.

– Pojechałeś do Niemiec, kiedy upadł mur?

– Czyli jakieś sześć miesięcy temu, według twojego kalendarza... – skomentował sarkastycznie.

– Dziewiątego listopada 1989 roku, nigdy nie zapomnę tamtego dnia! Miesiąć w łóżku z ospą wietrzną i świnką jednocześnie. – Wzruszyła ramionami w prawie dziecięcym odruchu, po czym, wpatrując się w chłopca o kręconych włosach stojącego u jego boku, zapytała: – A to kto?



Giacomo zacisnął zęby, zanim powiedział, powoli:

– Wszystko to, czym chciałem być. – Przełknął głośno ślinę i zaległa pełna zakłopotania cisza.

Jego spojrzenie powędrowało w przestrzeń za oknem, a ona nie spuszczała oczu z chłopca na zdjęciu: chuderlak w grubych okularach, tak wiotki, że, jak jej się zdawało, byle podmuch wiatru może poderwać go w powietrze.

Giacomo nagle włączył wieżę i puścił *Dream Brother* Jeffa Buckleya.

Milczeli przez chwilę wsłuchani w muzykę, a Lea uświadomiła sobie, że każdy przedmiot w tym pokoju – od regałów przez książki po wytarty parkiet i fotografie – emanował bólem. Było to zaraźliwe uczucie, które udzieliło się i jej, tak sugestywne jak słowa tej piosenki opowiadającej o niespełnionej miłości.

Tamte miesiące sprawiły, że Lea po raz pierwszy w życiu uświadomiła sobie namacalnie, że ma serce. W nocy, gdy myślała o Giacomo, czuła jego bicie niemal w każdej części ciała – tuż pod mostkiem, w brzuchu, w gardle. Któregoś wieczoru zdawało jej się, że ono bije nawet gdzieś w okolicach podbicia stopy. Jej sercu zdarzało się gwałtownie i niespodziewanie przyspieszać, krępować jej gesty i dławić słowa, w każdym razie nie pozwalało zapomnieć o swojej, przez to wszystko dość uciążliwej, obecności.

Porzuciła spodnie i rozciągnięte swetry, spędzała długie godziny przed lustrem, przymierzając usztywniane biustonosze i krótkie spódniczki. Naśladowała uwodzicielskie spojrzenia i gesty i wyobrażała sobie, jak całuje chłopaka, przesuwając przy tym językiem po zimnej powierzchni szkła.

Dziewczynka odkrywająca swój oręż. Była pewna, że nie jest mu obojętna. Raz przyłapała go na tym, że patrzy na jej nogi, a kiedy opowiedziała o tym Biance, swojej najlepszej przyjaciółce, ta wytrzeszczyła oczy i z niesmakiem zapytała: – Czy możesz mi wyjaśnić, co ty w nim widzisz? Lea tylko się uśmiechnęła. To ona się zastanawiała, jak to możliwe, że dziewczyny ze szkoły nie dostrzegają jego czaru, i żyła oczekiwaniem na swoje lekcje.

Powoli zaczęła uzależniać się od atmosfery panującej w tym domu ze skrzypiącą podłogą, gdzie książki stanowiły element poznania i obrony przed otaczającym światem, gdzie Giacomo mógł nie spać do późnych nocnych godzin i gdzie dobry film był skuteczniejszym narzędziem edukacyjnym niż odrabianie zadań domowych.

Któregoś popołudnia, gdy objaśniał jej zasadę akcji i reakcji Newtona, włączył jej *Wujaszka z Ameryki* Resnaisa, wskazując, że za działaniem istot ludzkich stoi wyłącznie chęć zaspokojenia własnych potrzeb, przymus narzucony przez strukturę społeczną, w której przyszło im żyć.

Obrazy przesuwwały się na ekranie, rzucając blask na kanapę, na której siedzieli. Lea była spięta. Musiał przecież istnieć jakiś sposób, by wzbudzić zainteresowanie tego tak bardzo inteligentnego chłopaka, zbuntowanego przeciwko ludzkości, która musiała zdawać mu się raczej odrażająca i pozbawiona jakichkolwiek zasług, a mimo to, w razie potrzeby, zawsze mogła liczyć na jego wsparcie. Zwłaszcza w półcieniu dużego pokoju, gdy ich ręce przypadkiem ocierały się o siebie, a ona czuła, jak jej serce staje w płomieniach i rozpływa się niczym bulgocząca lawa. Za każdym razem, gdy myśli o nim i ich wspólnej historii, widzi się znowu tam, na tej skórzanej kanapie – łatwowierna dziewczynka, która marzy i drży w oczekiwaniu na coś, co nigdy się nie wydarzyło. Przynajmniej nie w taki sposób, jak sobie wyobrażała.

Z jednakową ostrością widzi w swoich wspomnieniach ostatnią lekcję matematyki.

Zaczął się lato, a wraz z nim pojawiła się pokusa morskich kąpiei i spacerów po plaży pełnej kolorowych parasoli. Tamtego dnia było wyjątkowo gorąco. Muskała szyję dłonią i nie miała najmniejszej ochoty skupiać się na liczbach, ale Giacomo upierał się przy definicji twierdzenia matematycznego.

Kiedy wreszcie zauważył bezpruderyjny kobiecy akt, który szkicowała na marginesie, prychnął:

- Co robisz, rysujesz?
- Nie mogę za tobą nadążyć – wyznała bez ogródek.
- To nie jest wymówka, żeby się bawić.
- Zobacz, jak ładnie wyszły mi te piersi – powiedziała, stukając ołówkiem w profil dekoltu, a on zaczerwienił się pod wpływem jej spojrzenia.
- Daj spokój, Lea, jeśli wolisz tracić czas, może lepiej sobie odpuśćmy.

Czuła wewnętrzny przymus, by dążyć dalej, upał wyzwolił w niej większą zuchwałość.

- Czy ty widzisz coś poza liczbami? Możesz mi to wyjaśnić?

- Słucham?
- Ktoś taki jak ty, człowiek-kalkulator, w jaki sposób postrzega świat? Tylko rachunki i prawa fizyki się liczą? A co z rozrywką? Co to dla ciebie znaczy?
- Giacomo wbił w nią palące spojrzenie, zmuszając ją, by opuściła oczy.
- W jakim kierunku zmierzasz, Lea?
- Nic. Tylko, że... – Nie wiedziała już, gdzie patrzeć. Chwyciła za przybornik stojący na jego biurku i zaczęła obracać w dłoniach kolorowe mazaki. – ...No tak, cóż, wszystko przychodzi ci z taką łatwością, zdajesz się być lata świetlne od nas, zwykłych śmiertelników. Wszystkie zębatki w twoim mózgu działają perfekcyjnie.
- Uśmiechnął się.
- Wręcz przeciwnie. Czasem czuję się jak ten bazgroł. – Wskazał na marginesie zeszytu coś, co wyglądało jak muszelka.
- A właśnie, że nie. Taki jesteś. – Lea zdjęła nakrętkę niebieskiego mazaka i narysowała idealne koło. Ręka jej nie zadrżała.
- Widzisz, jaka jesteś stanowcza, kiedy rysujesz? Może to właśnie twoja droga, a liczby nie zdadzą ci się na zbyt wiele.
- Lea nabrała powietrza w płuca i przyglądała mu się nieruchomo.
- Jestem stanowcza, bo to ciebie rysuję.
- Przez jedną setną sekundy Giacomo uczeplił się jej spojrzenia, a ona, by zapobiec nadciągającej fali chłodu, tym samym mazakiem narysowała kolejne niebieskie koło na grzbiecie jego szczupłej dłoni, we wgłębieniu pomiędzy kciukiem a palcem wskazującym.
- Co robisz? – Poirytowany wyszarpnął rękę.
- Próbuję zostawić ci po sobie ślad – Lea przybrała figlarny ton.
- Przestań.
- W ten sposób będziesz musiał o mnie myśleć, przynajmniej dopóki się nie zmyje. A może postanowisz nie myć już nigdy ręki i zawsze będziesz o mnie myślał?
- Wpatrywała się w niego bezczelnie, gotowa ciągnąć swoją grę dalej, aż do końca. Giacomo już usiłował pozbyć się kółka, pocierając je palcem zwilżonym śliną.
- Nie chce zejść...
- Jeśli poprawi ci to humor, to też sobie takie narysuję. – W tym samym miejscu narysowała na swojej ręce identyczny znak.
- Nie traćmy czasu, Lea, zrobiło się już późno.

– No tak, teraz oboje jesteśmy naznaczeni. A ja, uprzedzam cię od razu, właśnie postanowiłam już nigdy się nie umyć.

Giacomo zacisnął usta z pobłażaniem, a Lea wpatrywała się teraz w niego wzrokiem zasmuconej dziewczynki.

– To przez tego gościa ze zdjęcia mnie nie chcesz? – Pokazała palcem na chuderlaka w okularach za swoimi plecami.

– Co? – Wytrzeszczył oczy.

– Zakochałeś się w nim? Podobają ci się chłopcy?

Giacomo potrząsnął głową.

– Nie, nie... To zupełnie coś innego... – Na jego twarzy zagościł niekontrolowany gorzki grymas, nie powiedział jednak ani słowa więcej. – Podobają mi się dziewczyny. A raczej kobiety – podkreślił dobitnie.

– Chcesz mi powiedzieć, że jestem dla ciebie za młoda? Jest między nami tylko pięć lat różnicy.

– Różnica tkwi w odpowiedzialności. Ty możesz sobie pozwolić, by nie musieć się nią przejmować.

– Gdybym nie była odpowiedzialna, nie wydawałabym mojego kieszonkowego na te lekcje.

– Nigdy nie kazałem ci go wyjmować z kieszeni i nigdy tego nie zrobię. Cieszę się, że mogłem komuś pomóc.

– Dlaczego nie powiesz *tobie*, chociaż raz? Że zrobiłeś coś *dla mnie*.

– Proszę cię, Lea, nie poniżaj się...

– Jeśli nie chcesz mnie poniżać, to weź ode mnie pieniądze.

– Odpłać mi dobrą oceną na świadectwie.

– A ty mnie pocałuj.

Odsunął się od niej, chłodny i nieporuszony. Szykował sobie to samo przemówienie, które tyle razy i ona powtarzała chłopcom, których zaloty odrzucała, aż do tego dnia.

– Lea, jesteś naprawdę...

– Ot, co. Proszę cię, przynajmniej daruj sobie tę część, zupełnie do ciebie nie pasuje.

– Zasługujesz na to, by spotkać kogoś, kto...

Zerwała się na równe nogi, nie mogła go dłużej znieść.

– Nie, nie będziesz mi opowiadał takich bzdur.

Złapał ją za łokieć.

– Zaczekaj, stop. Posłuchaj mnie. – Już nigdy więcej miała nie zobaczyć

takiej troski w jego oczach. – Nigdy nie byłaś z żadnym chłopcem, prawda?

– A co to ma do rzeczy?

– Nie jestem właściwą osobą. Nie jestem właściwą osobą na twój pierwszy raz ani w ogóle niczyj inny.

– Czy ty się w ogóle słyszysz? Co by na to powiedział twój Resnais?

– Nie chcę wykorzystać tej sytuacji.

– Tylko ją pogarszasz! A i tak jest już dość nieprzyjemna.

– Dokąd idziesz?

Lea odeszła od biurka, z impetem wymaszerowała z pokoju, a potem z domu przekonana, że będzie próbował ją zatrzymać. Kiedy zamknęła za sobą drzwi, nie usłyszawszy jakiegokolwiek odgłosu dobiegającego z wnętrza mieszkania, po raz pierwszy poznała uczucie, które miało jej towarzyszyć jeszcze niejednym raz – prawdziwą miarę jego dumy i kategoryczności. Potrafił się za nimi skryć jak w okopach podczas bitwy, którą toczył przeciwko całemu światu. Zorientowała się, że zostawiła swój zeszyt na jego biurku – ten w okładce z komiksu Dylan Doga, pełen skończonych i nieskończonych równań ostatnich miesięcy, nagich kobiecych ciał i różnych bazgrołów. Zeszyt ze świeżo narysowanym niebieskim kółkiem.

Spoglądała na własną dłoń ozdobioną teraz niebieskim tuszem i poczuła się mniejsza niż najmniejszy atom. Zwilżonym palcem z wściekłością usiłowała zmyć malunek. Bezskutecznie.

Niebieski pisak był równie nieustępliwy jak ona. Aż do dzisiaj.

Nie znalazła już w sobie odwagi, by do niego podejść, choćby po to, by poprosić go o zwrot zeszytu. Miała nadzieję, że sam na to wpadnie, a jego niespodziewana obojętność paliła ją jak otwarta rana. Niektóre rysy, zwłaszcza za nastoletnich lat, gdy czuje się i żyje się mocniej, są jak znak wypalony na skórze.

Rok szkolny dobiegał końca. Był to czas baloników z wodą roztrzaskujących się o chodnik, świstu skuterów odjeżdżających szybko z miejsca, w którym zrobiło się głupi żart. Widziała go w rozwrzeszczanym tłumie uczniów kłębiącym się przy wejściu starego budynku szkoły. Cały ociekał wodą, gdy wsiadał na swój rower, zupełnie obojętny na szyderczy rechot rówieśników, którzy właśnie trafili w niego bombą wodną. Miał spojrzenie osoby bez zaproszenia, pasażera na gapę. W tamtej chwili Lea poczuła nowe, nieznanne

ukłucie w sercu – chciała do niego pobiec i go objąć, stała jednak nieruchomo i tylko bacznie obserwowała jego reakcję. Z zachwytem wpatrywała się w pełne skupienia wyobcowanie malujące się na jego twarzy. Ich drwina nie mogła go osiągnąć, był daleko stąd, w innym, lepszym świecie, tam, gdzie było jego miejsce.

Pod koniec roku Lea pomyliła się w zadaniu z matematyki. Nowa wściekłość pełna żądz zemsty prowadziła ją przez zawity labirynt równań. Kilkakrotnie wywołana do odpowiedzi nie wydusiła z siebie ani słowa i w ten sposób przekreśliła postępy, które zdołała zrobić w połowie semestru.

Kiedy czytała listy z wynikami wywieszane w witrynach przy wejściu do szkoły, nie poświęciła ani jednej chwili, by zastanowić się nad własną przyszłością, choćby tą najbliższą – nad beztróską jej wakacji zbierały się czarne chmury – Leę czekały egzaminy poprawkowe. W jej myślach było miejsce wyłącznie dla Giacomo, zastanawiała się, czy i on będzie szukał jej nazwiska na liście, czy robi mu się choć trochę przykro, gdy zobaczy wyniki.

A kiedy ona szykowała się do poprawki z matematyki, on zdawał maturę na najwyższą ocenę, bez najmniejszego wysiłku, jakby to było wpisane w naturalny tok rzeczy, jakby był skazany na bycie nieprzeciętnym.

Pierwszy raz Lei miał miejsce tego lata na plaży. Jej partnerem był kuzyn Bianki z Kanady. Chłopak z rozjaśnionymi kosmykami włosów nie mówił ani słowa po włosku. To, że doszło do ich zbliżenia, było efektem jakiegoś zakładu, konsekwencją kilku wypitych piw i wypalonych jointów, od których zawsze było jej niedobrze i które nieodmiennie będą się jej kojarzyły z godną pożałowania głupotą tamtej nocy.

Jedynym, na czym mogła się skupić przez cały ten czas, gdy Kanadyjczyk objął się rytmicznie o jej biodra, także niezupełnie świadom doniosłości wydarzenia, była twarz Giacomo. Nakładała się na nią złożona figura geometryczna, zupełnie niepodobna do prostych kształtów, które nauczyciel narysował na tablicy w ostatniej klasie podstawówki i które wtedy błyskawicznie i z łatwością rozpoznawała. Kiedy próbowała sobie wyobrazić, jak kręci się wokół własnej osi, nie była w stanie odgadnąć kształtu trójwymiarowej bryły, i czuła się oszukana, niepewna, jak w obliczu niewiadomych w równaniach i w książkach do fizyki znajdujących się w pokoju, w którym Giacomo udzielał jej korepetycji.

Od tamtej chwili ich drogi się rozeszły. Lea nigdy więcej o nim nie słyszała, dowiedziała się tylko, że chłopiec ze zdjęcia nazywał się Lorenzo Alberoni, był jego najlepszym przyjacielem i zmarł w tajemniczych okolicznościach na rok przed jego przeprowadzką do Rzymu.

Wspominała z przyjemnością ich wspólny seans *Wujaszka z Ameryki*. Jeden dialog z filmu na zawsze wrył się jej w pamięć: „W momencie naszej śmierci to inni umierają – ci, których zachowaliśmy w naszym systemie nerwowym, ci, którzy nas stworzyli, stworzyli nasz mózg i wypełnili jego wnętrze. To ich czeka śmierć”.

Wiedziała już, że wraz z Lorenzo umarła też jakaś część Giacomo.

Lea chwyta się krawędzi i dźwiga się na przedramionach, by wydostać się z basenu. Vittorio, zanurzony w wodzie, obserwuje płynność jej ruchów i zmysłowy łuk pleców. Podnosi się i stąpając po ścieżce z kamienia wulkanicznego pokrytej cienką warstwą wody, kieruje w stronę leżaków, pozwala, by krople spływały po jej ciele jak po świeżo złowionej muszli, i napotyka zafascynowane spojrzenie męża, który wciąż dostrzega pełnię jej piękna.

Ma trzydzieści pięć lat i choć czuje oddech czasu na karku, prawa fizyki zdają się jej nie dotyczyć. Długie szczupłe nogi zwieńcza krągłość jędrnych pośladków. Vittorio dostrzegł w niej piękno już podczas ich pierwszego spotkania, kiedy Lea, wychudzona i zagubiona, błąkała się po ulicach Londynu.

Vittorio jest estetą, uwielbia smukłość kobiecego ciała, mięsień rysujący się wyraźnie pod napiętą skórą. Musiał od razu dostrzec w niej diament i znalazł w sobie dość cierpliwości, by go oszlifować i przywrócić mu pierwotny blask. Wciąż korzysta z każdej okazji, by doradzać jej w doborze ubrań, takich, które podkreślają jej atuty, lub ganić za odstępstwa od odpowiedniej diety. Czasem bywa bezlitosny. I, tak, patrzy na nie, na inne kobiety. Oczywiście, że na nie patrzy. Lubi przyglądać się szczegółom i podziwiać ich kształt, niczym kolekcjoner stojący przed udanym dziełem sztuki.

Lea niejednokrotnie zadawała sobie pytanie, czy przez te wszystkie lata nie zdarzyło mu się pójść dalej, czy nie zbłądził przy jakiejś okazji, nie wykroczył poza bezpieczną granicę komplementów. Vittorio należy do osób skłonnych ulec pochlebstwu, rozpalonemu pożądaniem ciała dwudziestolatki, być może Azjatki o twarzy gejszy, jednej z tych, które wysysają spermę do ostatniej kropli i poruszają się powoli, w ciszy, nie pozostawiając po sobie śladów. Mógł to przecież zrobić, dlaczego nie? Tylko przez jedną noc. A rano, po przebudzeniu, ubrał się i wrócił do domu bez większych wyrzutów sumienia. To jedna z takich myśli, które pozostawiają po sobie posmak wyzwania oraz porażki. Ale wystarczy, że spojrzy na niego, by przegonić dręczące ją obawy,



a jego oczy zwężają się w dobrze jej znanym uśmiechu, z którego promieniuje spokój. W jego oczach tkwi moc zdolna stopić jej każdą wątpliwość.

Zbiera włosy w koński ogon, podnosi ramiona i znów wygina plecy w łuk. Choć w tej pozycji nie może go zobaczyć, wie, że wzrok Vittorio spoczywa nieruchomo na niej, że on zamiera na chwilę w bezruchu, by spiąć kosmyk włosów opadający na kark. Dobrze wie, jaką ma słabość do jej pleców wygiętych w ten sposób, jakie wrażenie robi na nim jej ciało, gdy właśnie w ten sposób przenosi jego ciężar na nogi. To prawie niedostrzegalny gest, a jednocześnie jasna aluzja do ich intymnego słownika, ten zwierzęcy zew, który czasem zakłóca racjonalny rytm ich życia. To gest tylko dla Vittorio, przypominający mu, że gdyby byli sami, wiedziałyby, jak zapewnić mu właściwą rozrywkę. Mogłaby jeszcze odwrócić się i zagryźć wymownie wargi, ale nie musi tego robić, bo zna przyczynę, dla której on zwleka z wyjściem z wody – uniesiony materiał spodenek kąpielowych, czego nikt nie może zobaczyć i co nerwowo usiłuje zamaskować.

Wyprostowana kroczy powoli brzegiem basenu – perfekcyjnie zestrojona z pragnieniem mężczyzny, który co noc sypia u jej boku. Ma w sobie tę pewność, silniejszą niż strach przed jakimkolwiek błędem czy odskocznią, która mogłaby im zaszkodzić, bo to Vittorio uratował ją przed tą toksyczną, nieznaną mu miłością z przeszłości, i po sześciu latach wciąż trwa obok niej.

Kiedy Lea dociera do leżaka, by się osuszyć, jej uwagę przyciąga migoczące światełko telefonu. Właśnie dostała wiadomość. Tę, na którą tak naprawdę czekała. I w jednej chwili jej przeszłość i teraźniejszość, rzeczywistość i wyobraźnia – wszystko traci znaczenie.

Odpowiedziało jej wydawnictwo, po którym zupełnie nie spodziewała się odzewu. Najmniejsze z całej listy, a jednocześnie to o najbardziej wyszukanych gustach. Chcą wydać jej powieść w niszowej serii i umieścić ją w przyszłorocznym katalogu.

„Niniejszym pragniemy poinformować, że Pani powieść wzbudziła nasze zainteresowanie”.

Czyta to zdanie wciąż od nowa. Wydaje się jej, że czekała na nie od początku świata. Czuje, jak niespodziewanie zaczynają pocić jej się dłonie, w gardle czuje wielki węzeł.

„Mamy przed sobą wciąż sporo pracy i chcielibyśmy wiedzieć, czy mogłaby Pani wrócić do Włoch na kilka miesięcy. Bliska współpraca z naszym redaktorem pozwoli nam wygładzić tekst przed publikacją – która, miejmy

nadzieję, nastąpi pod koniec stycznia. Podpisano: Grazia Cotronei, redaktor naczelny. Wydawnictwo De Carlo, spółka z o.o.”.

Jeszcze kilkakrotnie czyta e-mail i dopiero po chwili dostrzega obecność Vittorio, który właśnie się przy niej zjawił. Sąsiedzi wzywają:

– *Vittorio, come here! Beef is waiting for your touch!* – Nie wiadomo, czy to krzyczy Harvey, czy Satoshi, ale oni oboje ignorują te nawoływania.

Vittorio już wie, że za chwilę coś brutalnie przeszkodzi jego planom i zniknie ekscytacja, jaka przed chwilą była jego udziałem. Domyśla się tego po wyrazie twarzy żony. Przeciera czoło i kark wilgotnym ręcznikiem, by zyskać na czasie, i uważnie, ze zmarszczonymi brwiami, obserwuje Leę trzymającą telefon tak kurczowo, jakby przykleił się do jej dłoni.

– Co się dzieje? – pyta, maskując niepokój, ale Lea nie jest w stanie oderwać oczu od białej przestrzeni między literami, jaśniejącej prawie oślepiającym blaskiem. Kiedy wreszcie otwiera usta, wydobywa się z nich szept:

– Wzięli ją.

– Kogo?

– Moją powieść, Vittorio! Chcą ją! Zamierzają ją wydać pod koniec stycznia!

Na Orchard Road, niedaleko za Emerald Hill, znajduje się galeria Mandarin pełna sklepów i restauracji, przewyższająca elegancją i wyszukaniem kiczowaty chaos labiryntów charakterystyczny dla większości centrów handlowych. Rzeczywiście, na początku był to hotel i na ostatnim piętrze wciąż znajduje się małe francuskie bistro, gdzie pośród kolorowej mieszaniny tkanin, stołów, krzeseł i wytartych kanap z odzysku podają mrożoną herbatę o smaku chińskiej wiśni, najlepszą, jaką Lea kiedykolwiek piła.

Gdyby nie poczuła chłodnego powiewu klimatyzacji i gdyby nie spojrzała na szklaną witrynę wychodzącą na Grange Road, gdzie rzędy drzew szumią ptasim ćwierkaniem, mogłaby pomyśleć, że siedzi w modnym lokalu w samym sercu Paryża, wyobrazić sobie pobliskie zaułki, wyślizgane kamienie bruku oświetlone wątlm blaskiem nielicznych latarni. Paryż był jednym z jej ukochanych miast, strażnikiem wspomnień najzabawniejszych chwil spędzonych z Bianką.

Zamawiają martini. Siedzą przy małym stoliku tuż przy oknie. Vittorio

przesuwa palcem wskazującym po krawędzi blatu, Lea powtarza w myślach treść SMS-a, którego dostała od Bianki: „Nie mogę się doczekać”. Przypomina sobie spokojną okrągłą twarz przyjaciółki okoloną sprężynkami gęstych włosów, którym nie podołałby żaden spray wygładzający, i jej równie obfite ciało o pewnych gestach pełnych gracji. Znają się od czasów szkoły, a Lei brakuje jej bezpośrednich i bezceremonialnych opinii, szczególnie zdecydowanych właśnie w tamtym semestrze, kiedy Giacomo stanął między nimi, a Lea po tym, jak nie zdołała podbić jego serca, dała upust chęci ukarania samej siebie i rzuciła się w ramiona kuzyna przyjaciółki. Bianca nie okazała jej ani krzty wyrozumiałości, a swoimi złotymi myślami w rodzaju: „Kto nie jest panem swojego instynktu, jest jak łódź bez steru”, mogłaby zawstydzić nawet Gandhiego.

To instynkt kazał jej wyjechać. Miała spędzić dwa miesiące w Rzymie, w domu Bianki, i pracować tam nad książką, by przygotować ją do upragnionej publikacji. Tylko dwa miesiące. A kiedy ten czas wreszcie upłynie, fale uniosą ją z powrotem i żaden ster nie będzie jej potrzebny – jest Vittorio, który przyjeżdża na wakacje do Włoch w lipcu, i zanim wrócą razem do Singapuru, spędzą dwa tygodnie w Argentario, w wynajętym domu nad morzem, tak jak mu zaproponowała.

– To tylko dwa miesiące. – Lea czuje potrzebę, by powtórzyć mu to jeszcze raz.

– I tak już postanowiłaś – odpowiada Vittorio po długiej chwili ciszy. – Nie ma sensu dłużej o tym rozmawiać.

Wystarczył jeden dzień, by ich poukładany świat się rozpadł, jeden e-mail sprawił, że wszelkie plany stały się nagle jałowe i nieistotne. I chociaż jeszcze tydzień temu Vittorio szperał w sieci w poszukiwaniu informacji o spływie Mekongiem właśnie w tym terminie, teraz rozmowę o tym, co wydarzy się za dwa miesiące, uważa za bezsensowną. Wygląda jak ktoś, kto niespodziewanie znalazł się na kruchej powierzchni lodu, kilka kroków od pęknięcia na tafli, i właśnie zastanawia się, jakim cudem tu trafił.

Lea wpatruje się w Vittorio, w jego zmrużone oczy, nieobecny wyraz twarzy. Dla kogoś traktującego każdy dzień jako serię spotkań zapisaną w kalendarzu dwa miesiące, które Lea spędzi we Włoszech, są jak sto pustych stron.

Zawsze cechowała ich racjonalność zachowań, dzisiaj jednak jej po nich nie

widać. Vittorio wie, jak kontrolować własne emocje, a i Lea z upływem lat nauczyła się to robić. Ujarzmiła swój instynkt, przestała być tak rozkojarzona, stała się bardziej przytomna. Dostroiła się do łagodnych tonów mediacji, której on ją nauczył, zawsze gotowa dyskutować i umiejająca się zdystansować, nie bierze wszystkiego zbyt poważnie. A jednak teraz powiedziała twardo: „Ja jadę”, przeczytawszy e-mailową odpowiedź, nie zapytała nawet o jego zdanie. *Ja*. Nie było już tego *my*, które nauczyła się często wymawiać. *Ja* jadę i później *ja* wracam, przysięgam ci.

– Czego się boisz? – Teraz próbuje go rozpracować, pragnie bardziej szczerej reakcji.

Vittorio rozgląda się dookoła, unika jej wzroku:

– Nigdy nie mówiłem, że się boję.

– A więc? O co chodzi? Niemożność dostrzeżenia, jak wielkie znaczenie ma dla mnie ta okazja? – „I egoizm” – chciałaby dodać, ale się powstrzymuje, choć słowa cisną jej się na język.

– Czy nie może nawet być mi przykro na myśl, że będziemy tak daleko od siebie przez tyle czasu? – pyta wreszcie.

– Nie wydaje mi się, że jest ci przykro, Vittorio. Wygląda mi to na pretensje, czyste pretensje.

– Nie mogłaś przynajmniej spróbować wynegocjować innych warunków? – pyta z wyrzutem. – Poprosić o możliwość zdalnej pracy nad tekstem?

– To niemożliwe.

– Nie mogłaś przynajmniej spróbować? Nie wszyscy mają w zanadrzu dwa miesiące z życia, żeby móc, ot tak, je komuś ofiarować.

– Nie wszyscy piszą powieści – mówi stanowczo. – A ja nikomu niczego nie ofiarowuję.

Vittorio bierze głęboki oddech, już ma jej coś odpowiedzieć, w końcu się jednak powstrzymuje. Niczego, oprócz nas, może miałby chęć jej powiedzieć, oprócz naszych planów i dodatkowych dwóch miesięcy życia tego dziecka, którego wciąż nie ma, a które już traktowałem jak kogoś realnego. Nie mówi jednak nic, chowa się do swojej skorupy, ogranicza się do znużonego gestu, by zwrócić uwagę kelnerki.

– *Can we have another Martini, please?*

Ponownie wbija wzrok w Leę. Ton jego głosu jest teraz chłodniejszy:

– Mamy jeszcze pół godziny. Nie złączą jeść kolacji przed dziewiątą.

Prezes banku, w którym pracuje Vittorio, zaprosił ich na przyjęcie.

Uroczystą, służbową kolację, jedną z wielu, podczas których Lea mu towarzyszy, tak jak przystoi to żonie mężczyzny zajmującego tak wysokie stanowisko jak on.

– Nie wiem, co jeszcze powiedzieć – twierdzi. – Życzę ci owocnej pracy. – Wzdycha, w tonie jego głosu pobrzmiewa prawie nuta szantażu, po czym skupia się na swoim telefonie.

Lea odwraca od niego wzrok, pozwala, by jej spojrzenie uciekło daleko za okno, wpatruje się w sklepy przycupnięte jeden przy drugim, zlewające się w ołowianoszarą jedność, jeszcze bardziej ponurą przez odcień nieba, z którego lada chwila lunie deszcz. Na takie kaprysy pogody Singapurczycy są zawsze przygotowani, dlatego za moment szerokie chodniki wypełnią się parasolami, które z góry wyglądają jak poruszające się kolorowe bańki; jak cząstki elementarne, z których składa się przestrzeń.

Einstein pierwszy odgadł, że przestrzeń to nie stelaż zdolny pomieścić nas wszystkich, lecz jeden ze składników materii świata. Gigantycznych rozmiarów małą o elastycznej strukturze, która skręca się i zakrzywia i która otacza nas z każdej strony. A jeśli ten mały miałby również parę oczu, Lea jako dziecko widziałaby w nich oczy Boga. Gdy dorastała, wiele razy wyobrażała sobie, że to Giacomo obserwuje ją z jakiegoś miejsca w abstrakcyjnej przestrzeni bez współrzędnych. Myśl pojawiająca się co jakiś czas w jej głowie, bezcielesna fantazja, bo przecież po tym ostatnim lecie zdawało się, że miasto pochłonęło go i nie miało najmniejszego zamiaru przywrócić go światu.

A teraz, spoglądając na rwącą rzekę parasoli w tym mieście przyszłości, Lea rozmyśla o drugim rozdziale ich wspólnej historii, o tamtym styczniowym dniu. Znów jest styczeń, tak jak wtedy, gdy poznała Giacomo. Przeklęty styczeń? Tak jakby symetria, której to on jej uczył w matematycznym ujęciu, była zdolna zmaterializować się również w prawdziwym życiu i wyznaczać rytm ich znajomości.

Właśnie rozpoczął się rok 2000, komputery działały perfekcyjnie i wbrew najbardziej ponurym teoriom na temat pluskwy milenijnej świat się nie skończył. Jediną faktyczną rewolucją, która zaszła w jej życiu, okazała się przeprowadzka matki do domu dziadków w Morlupo, podczas gdy jej ojciec, zadłużony po uszy, znalazł sobie dwadzieścia lat młodszą narzeczoną, wpadł w jeszcze większe długi i dał się przekonać do zakupu poddasza w jednej z weneckich kamienic.

Tamtego poranka Lea miała zdawać swój pierwszy egzamin w życiu. Gdy wspinała się po wąskich schodach na Wydziale Filologii, czuła ciężar książek w plecaku. Dwie niestrawione kawy w żołądku także dawały o sobie znać. Nie skończyła jeszcze dwudziestu lat, a ostatnie miesiące upłynęły jej na zakreślaniu fragmentów w podręczniku De Sanctisa, biblii pierwszego roku przed egzaminem z literatury włoskiej. Była zmęczona, czuła, jak coś ściska ją w środku. Nie pojawiała się zbyt często na wykładach w pierwszym semestrze, początkowo wymawiała się przeprowadzką, później natomiast ustawicznie przegrywała z własnym lenistwem – trudno było jej się obudzić i zwlec z łóżka, by pospieszyć na podmiejski autobus, który dowiozłby ją z Morlupo do Rzymu. Niechętnie naciągała na siebie ubrania dopiero wtedy, gdy nagłace i poirytowane spojrzenie matki wypędzało ją z łóżka, lecz zamiast wkroczyć w światłe progi Uniwersytetu La Sapienza, snuła się po okolicy i niejednokrotnie gubiła wśród zadrzewionych alejek parku Verano, który zdobiły kapliczki w stylu liberty i po którym włóczyły się bezpańskie koty.

Studencka wrzawa wypełniała kwadratowy biały budynek, w którym mieścił się Wydział Literatury z tablicami obwieszonymi ogłoszeniami, tabelami z rozkładem zajęć, ulotkami, broszurami i plakatami z propagandowymi hasłami porozklejanymi po ścianach. Lea poczuła się tu obco.

Tamtego poranka miał ją odpytywać doktorant, asystent profesora. Jego postać, nawet widziana z daleka, budziła respekt – miał długie ciemne włosy, szczękę pokrytą kruczoczarnym zarostem i nawet gdy szedł korytarzem,

przerzucał jakieś papiery. Lea poznała go, dopiero gdy podeszła bliżej, i przez chwilę odnosiła wrażenie, że ma halucynacje – stojącym przed nią mężczyzną był... Giacomo.

Wyparowała już z niego niepewność osiemnastolatka – gładka skóra o bursztynowym odcieniu nie nosiła śladów po burzach hormonalnych, a nadal nieposłuszne kosmyki włosów okalały teraz dorosłą już twarz. Ciemnowłosy chłopiec o wąskich ramionach, który śmigał na rowerze do szkoły, przeobraził się w młodego, intrygującego mężczyznę. Tylko spojrzenie: jak dwie czarne szpilki gotowe, by zakłuć, pozostało niezmienione.

Lea poczuła drzenie serca. Dzieliło ją od niego zaledwie kilka kroków. Spotkali się w ostatnim z miejsc, w którym spodziewała się go ujrzeć. Co Giacomo, pasjonat fizyki i cyfr, robił na Wydziale Literatury? Wyobrażała sobie, jak jego genialne odkrycie rewolucjonizuje świat nauki, a tymczasem spotyka go za katedrą literatury, u progu kariery akademickiej. Jakież to niespodziewany splot wydarzeń zaprowadził go na tę ścieżkę?

I on musiał poznać Leę, w końcu wywołał ją po imieniu i nazwisku do odpowiedzi. Mimo to w pełni profesjonalnie, jak gdyby nigdy nic, poprosił ją, by usiadła, a ona raz jeszcze poczuła dobrze znany chłód, który wyrastał między nimi niczym mur. Wydarzyło się coś niezwykłego: umysł Lei zdawał się pracować na dwóch różnych prędkościach obrotów. Obserwowała Giacomo, chłonęła każde słowo i gest, przypominała sobie ich wspólną naukę, chwile przerwy i pogawędki o matematyce i filozofii, a jednocześnie z nonszalancją odpowiadała na jego kolejne pytania.

– Gratulacje, wybrałaś odpowiednią drogę. Liczby nie były twoją mocną stroną – Zawyrokował w końcu, przechodząc z „pani” na „ty” i wpisując dobrą ocenę do indeksu.

Kusiło ją, by zapytać o jego życie, powody, dla których wybrał literaturę, jednak kandydaci za jej plecami niecierpliwili się i chcieli jak najszybciej przystąpić do odpowiedzi. Zanim wstała z krzesła, twarz Giacomo rozjaśnił szeroki uśmiech.

– Chętnie zamieniłbym z tobą dwa słowa, kiedy tylko będziesz miała ochotę. Wiesz, gdzie mnie szukać.

Ktoś w tłumie studentów szturchnął łokciem sąsiada i skomentował cicho:

– Zawsze tak robi, gdy trafi mu się ładniejsza studentka.

Lea nie zwróciła na to uwagi, w tamtej chwili pragnęła tylko jednego: ujrzeć go jeszcze raz i wiedziała już, że ten długi dzień nie zapisze się w jej pamięci

jako wspomnienie pierwszego egzaminu. A przecież rano, gdy w podmiejskim autobusie recytowała z pamięci tytuły dzieł piętnastowiecznych poetów, nie sądziła, że to właśnie na dziś przypadnie początek lub ciąg dalszy czegoś ważnego.

Czekała na niego przy wyjściu. Patrzyła, jak pokonuje schody z taką samą niedbałą swobodą i dumą, która emanowała z niego w sali wykładowej. Był w tweedowej marynarce, z przewieszoną przez ramię starą skórzaną torbą – te elementy bardzo pasowały do pozycji, którą zajmował. Choć w dawnych czasach jego strój wymykał się szeroko pojętym standardom, to teraz Giacomo najwyraźniej czerpał inspiracje z intelektualistów lat siedemdziesiątych, którzy na czarno-białych zdjęciach pozowali w kurtkach parkach i sznurowanych półbutach. Jak ktoś, kto z ogromnym staraniem dba o to, by nie zdradzić, ile wysiłku włożył w dobranie stroju. Być może właśnie to rzuciło się Lei w oczy – pierwsze ustępstwo od bezkompromisowości, która charakteryzowała Giacomo w czasach liceum. Ot, kaprys, kompromis z samym sobą, krok w stronę głębszej samoświadomości. Teraz, w pogniecionej koszuli i z rozwichrzonymi włosami, posuwał się naprzód powolnym krokiem, nie bacząc ani na gorączkowy rytm, ani na gust otaczającego go świata. W pełni świadomy swojego uroku.

– I tak, prędzej czy później, spotykamy się w szkolnej sali – powiedział, zatapiając w niej przenikliwe spojrzenie.

– Prawdę mówiąc, wyobrażałam sobie ciebie w jakimś laboratorium na końcu świata.

– Miałbym dołączyć do grona smutnych naukowców na emigracji? Nie dam się zamknąć w kolejną cyferkę danych statystycznych. – Zmrużył oczy, jakby chciał skupić na Lei całą swoją uwagę i jednocześnie surowo ją upomnieć.

Dziewczyna spuściła głowę. Zapomniała już, jak należy odpowiadać na jego kąśliwe uwagi.

– A ty? Jak to się stało, że trafiłaś na Wydział Literatury?

– Z nas dwojga tylko jedno jest naukowcem.

– Mylisz się. Każde na swój sposób. – Uśmiechnął się i gestem zaprosił ją do zdezelowanego Fiata Punto, w którym pełno było porzucanych papierów, opakowań po papierosach i bibulek. – Muszę podjechać do punktu ksero po materiały. Chcesz mi towarzyszyć?



Tamtego wieczoru zjedli kolację w trattorii w centrum, niedaleko via Coronari. Giacomo znał właściciela, wąsatego typa z wydatnym brzuchem i nieodłącznym papierosem przyklejonym do ust. Był z nimi również Matteo, najlepszy przyjaciel Giacomo, fotograf, który jeździł robić reportaże z najdalszych zakątków świata, oraz pewien pisarz, jego partnerka i naczelny czasopisma literackiego, w którym Giacomo pracował jako redaktor. Zaczął pisać już podczas studiów, dał się uwieść literaturze, która stała się dla niego nowym źródłem pociechy i formą wyrażania siebie.

Lea po raz pierwszy miała okazję zaobserwować, jak Giacomo zachowuje się w kontakcie ze światem. Była zaskoczona i zafascynowana tym, jak bardzo jest bystry, a zarazem niespokojny, o czym świadczyło odpalanie jednego papierosa od drugiego. Jeśli ktoś nie był w stanie dotrzymać mu kroku, nie dostawał drugiej szansy, Giacomo nie miał zwyczaju niczego powtarzać, denerwowały go niepotrzebne wyjaśnienia. Mówił o organizacjach społecznych, o strajkach, o manifestacji przeciwko kibicom, którzy dzień wcześniej na stadionie zaintonowali hymn na cześć Arkana z Tygrysów, słynnego rzeźnika z czasów wojny bałkańskiej. Lea siedziała naprzeciwko i słuchała tego, co mówił. Brodę wsparła na dłoniach, a na jej twarzy oraz w spojrzeniu malowało się słodkie, łagodne otepienie. Odnalazła go. I chociaż nie zdołała naprawdę okazać zainteresowania rozmową toczącą się między ludźmi, którzy za wszelką cenę usiłowali udowodnić, że mają jasno sprecyzowane zdanie na każdy temat, widziała, jak na nią patrzył, i nie umknęła jej uwadze poufałość, z jaką się do niej zwracał. Zrozumiała, że jest już kobietą.

– Co o tym myślisz? – Zapytał w pewnej chwili, nawiązując do politycznej roli literatury, kwestii, na której skoncentrował się właśnie cały stół.

Oto i on, wreszcie zaczynała go rozpoznawać – nie zmienił swoich przekonań politycznych. Chyba nigdy wcześniej nie spuszczał z niej spojrzenia przez tak długą chwilę. Jego oczy zdawały się inne, jakby bardziej wydłużone, o cięższym spojrzeniu. W ich kącikach malowały się delikatne zmarszczki, które sprawiały, że patrzyła na niego z jeszcze większym zainteresowaniem. Były to świadectwa jego uśmiechów i jego trosk, wszystkich radosnych i smutnych chwil, które przeżył z dala od niej.

Sporo pił, a za każdym razem, gdy napełniał swój kieliszek, usiłował napełnić również kieliszek Lei, która aż do tego wieczoru z trudem odnajdowała przyjemność w ucieczce w alkohol.

– Jeśli utrzymasz takie tempo, to pod koniec wieczoru nie dasz rady doliczyć się nawet pieniędzy na napiwek – orzekła ze śmiechem dziewczyna pisarza.

– Musisz wiedzieć, Lea, że nasz asystent w Instytucie Literatury jest w rzeczywistości geniuszem matematycznym. Tylko pomyśl, że brał udział w olimpiadzie z matematyki. – Matteo chciał jej wyjaśnić coś, czego była świadoma, zanim dowiedziało się o tym towarzystwo zgromadzone przy stoliku.

– Znam go jeszcze z liceum – rzuciła z dumą.

– A więc pewnie znasz rozwiązanie jednej z jego nierozwiązywalnych zagadek. – Pisarz puścił do niej oko, a Giacomo, który kiedyś trzymał się na dystans, teraz nie bronił się przed tą maskaradą.

– Pluton żołnierzy składa się z trzech kolumn i piętnastu rzędów, rzędy oddalone są od siebie o dwa metry. Jak długi jest pluton?

Lea wolałaby poznać rozwiązanie innych zagadek. Giacomo zawsze potrafił dobrze strzec swoich tajemnic, a jednak nieśmiałość towarzysząca mu wiele lat temu ustąpiła teraz miejsca pewnego rodzaju narcyzmowi, który karmił się ukradkowymi spojrzeniami i westchnieniami pełnymi uwielbienia. Wciąż zdawał się kryć w sobie jakieś odległe cierpienie powodujące jego rezerwę i drażliwość, ale jaśniał nowym blaskiem, jakimś wewnętrznym światłem.

Po kolacji towarzystwo zaczęło się pośpiesznie żegnać.

– W porządku, odwiozę cię do domu – powiedział Giacomo, wsuwając rękę w kieszenie marynarki i kierując się w stronę samochodu.

Lea wciąż nie zdobyła się na odwagę, by mu wyznać, że przeprowadziła się do Morlupo i że dziś wieczorem poprosiła koleżankę z roku, by ta ją przenocowała. Znowu poczuła się jak mała dziewczynka przed drzwiami mieszkania Giacomo tamtego dnia, gdy wstała od biurka i wyszła z przypominającym znamię niebieskim kółkiem narysowanym na dłoni. Powiedz coś, upominała się w duchu, nie pozwól, żeby cię odwiózł do domu, i brzmiało to tak, jakby mówiła właśnie tamta dziewczynka.

– Może się jeszcze czegoś napijemy? – wydusiła z siebie wreszcie na jednym oddechu.

– Prawie bym zapomniał bezsenne studenckie noce. – Mrugnął do niej porozumiewawczo, jak ktoś, kto dobrze wie, jak kończą się takie wieczory.

Lea nigdy nie przepadała za powrotami do domu nad ranem, ale wtedy niczego nie pragnęła bardziej niż kilku chwil sam na sam z nim w jakimś barze.

Znaleźli zaciszne miejsce w małym lokalu z kutymi stolikami i fotelami obitymi miękkim welurem. Schronili się tam przed zimnem, zamówili rum podawany z płatkami z ciemnej czekolady. Nareszcie byli sami, a napięcie wywołane ich nieoczekiwanym spotkaniem zaczynało się rozładowywać za sprawą alkoholu i kilku godzin, które znów spędzili w swoim towarzystwie.

– Założyłabym się, że zrobisz dyplom z fizyki lub matematyki – powtórzyła mu raz jeszcze, bo wciąż nie potrafiła ukryć zaskoczenia.

– A ja myślałem, że wpadnę na ciebie w jakimś technikum mody, a ty będziesz zajęta projektowaniem strojów kąpielowych dla wyzywających kobiet. – Roześmiał się.

– A ty co niby byś robił w technikum mody?

– Szukałbym wyzywających kobiet. – Uśmiechnął się, a oczy błyszczały mu od dymu i alkoholu.

– Nie, poważnie: dlaczego akurat literatura?

Jego spojrzenie przez chwilę zasnuł cień. To było jedno z tych pytań, które chciał oddalić pospieszną odpowiedzią.

– Fizyka wciąż sprawia mi przyjemność, ale literatura, wbrew powszechnej opinii, będzie moim źródłem utrzymania.

– Nie wyglądałaś na kogoś, kto się szczególnie przejmuje pieniędzmi na życie... Byłam pewna, że znajdziesz równanie, które wyjaśni początki wszechświata. – Lea nie dała się tak łatwo zadowolić.

– Jakby się nad tym tylko zastanowić, to *Raj* Dantego, który powstał w czternastym wieku, przedstawiony został jako trójsfera.

Lea zdziwiona wytrzeszczyła oczy. Giacomo wciąż umiał sprawić, że czuła się jak ostatni nieuk.

– To kształt wszechświata, odkrył to Einstein jeszcze na początku dwudziestego wieku – wyjaśnił jej lekko poirytowanym tonem nauczyciela, który strofuje miernego ucznia.

– Co masz na myśli?

– To, że nauka i poezja w równym stopniu potrafią oddać złożoność i piękno świata. – Wbił w nią pełne wyższości spojrzenie, to samo, którym często mierzył ją w liceum, a Lea uśmiechnęła się, czując, jak wraca jej pewność, jakby przeniosła się w czasie i rozpoznała Giacomo sprzed lat.

– Poza tym to niejaki Faraday pierwszy rozpracował mechanizm siły elektromagnetycznej – dodał z powagą. – Wiesz, kim był?

Pokręciła przecząco głową.

– Biedaczyną z Londynu, który nie znał się na matematyce i pracował jako introligator. Na fizykę należy patrzeć oczami umysłu, Leo. I to dzięki nim jesteś w stanie tworzyć nowe światy, których nikt nie zdoła ci wytłumaczyć.

Dostrzegła, jak Giacomo zaciska usta w stanowczym grymasie, który zawsze pojawiał się na jego twarzy, kiedy tłumaczył jej wzory fizyczne.

– A jeśli chodzi o twoje oczy... – ciągnął dalej – to za ich sprawą w końcu runie mój świat. I nic nie mogę na to poradzić.

Nikt nigdy nie powiedział jej niczego równie romantycznego. Jedno jedyne zdanie sprawiło, że oboje poczuli się wolni od zawstydzenia charakterystycznego dla nastolatków i przedzierzgnęli się w dwoje dorosłych ludzi, świadomych uroku i szaleństwa chwili, chętnych, by z niej skorzystać i wyjść z tego bez szwanku. Jedno zdanie zdołało wprowadzić ich w stan oczekiwania pełnego napięcia i ekscytacji. Jakże ciasne wydało się nagle to miejsce, zagracone postarzanymi lustrami, ciężkimi ramami, zwisającymi z sufitu kryształowymi żyrandolami. Mieli chęć stamtąd uciec, chwycić się za ręce i biec przez wąskie zaułki centrum, potykając się o kocie łby bruku i oddychając powietrzem Rzymu, wiecznego i świętego.

Kiedy tylko wyszli za próg lokalu, Giacomo się zatrzymał i przyciągnął ją do siebie jak w powolnym tańcu. Przycisnął usta do jej ust, w naturalny i śmiały sposób, tak jak ktoś, kto odzyskuje to, co od dawna mu się należy. Pozwoliła mu na to. Umiała go zadowolić, czytała to z jego wygłodniałych ruchów, które znajdowały w niej zaspokojenie. W jego pocałunkach nie było niewinnej nieśmiałości typowej dla pierwszej miłości, chwycił się jej ust łapczywie, oplatał językiem jej język, gryzł, przyciskał ją do siebie, jakby chciał rozedrzeć na kawałki. A przecież w ich uścisku nie było ani jednej fałszywej nuty, niczego nieodpowiedniego. W Giacomo nie zostało już nic z wyizolowanego licealisty, który był obiektem żartów rówieśników. Przez jego zachłanność Lea miała wrażenie, że wszystko jest tak, jak być powinno, że wystarczy dać się ponieść, by odnaleźć to jedyne, wytęsknione miejsce, w którym mogłoby zamieszkać jej serce.

Namiętność zawładnęła nimi tak bardzo, że byli gotowi zacząć się kochać tam, gdzie stali, na środku pustej już ulicy. W pewnej chwili się zatrzymali, nie przez przyzwoitość, lecz po to, by złapać oddech, i wtedy wreszcie zdali sobie sprawę, jak daleko się posunęli. Zszokowani, oboje wybuchnęli śmiechem. Rozejrzeli się dookoła, bo nie pamiętali już, gdzie zaparkowali samochód, ale nie miało to znaczenia, wypili przecież zbyt dużo, by prowadzić. Złapali

pierwszą wolną taksówkę. Tryskali entuzjazmem typowym dla dwojga wpatrzonych w siebie podlotków, czuli ten niesamowity ładunek siły, energii i wolności zarezerwowany wyłącznie dla młodzieńczych miłości.

Lea pamięta każdy szczegół tamtej nocy: małą kawalerkę, w której mieszkał Giacomo, położoną w dzielnicy Monti. Mieszkanie wyglądało jak nora, sprawiało wrażenie zagraconego, a stała w nim wersalka, stary drewniany stół otoczony rozklekotanymi krzesłami i regały pełne książek zajmujących każdy skrawek wolnej przestrzeni. Kolejne schronienie pełne słów, wzorów i teorii strzeżonych pilnie przez tysiące stron książek porzucanych bezładnie, jakby obsesja katalogowania tomów przeminęła wraz z wczesną młodością.

Nie rzucili się na siebie bez słowa, jak tylko przekroczyli próg, wyłącznie dlatego, że Lea z ciekawością wodziła wzrokiem po grzbietach książek. Dobrze pamiętała niektóre z nich – niemych towarzyszy korepetycji z matematyki sprzed pięciu lat, ustawionych na półkach w pokoju Giacomo. W powietrzu unosił się zapach wina zmieszanego z niedopałkami papierosów wrzuconymi do plastikowych kubeczków. Lea zastanawiała się, czy Giacomo przypadkiem nie zaprosił tu też kogoś poprzedniego dnia, choć mała przestrzeń nie sprzyjała raczej przyjmowaniu gości – być może były to tylko świadectwa wieczorów spędzanych w samotności.

Spojrzała w stronę aneksu kuchennego znajdującego się w rogu, niemal całkowicie zasłoniętego przez sterty brudnych naczyń. Szybki bieg po schodach i szaleństwo tego wieczoru sprawiły, że paliło ją pragnienie. Rozglądała się za butelką z wodą. W lodówce znalazła jedynie opakowanie serka kanapkowego, jedno nadgryzione jabłko i kilka puszek coli. Prócz tego: butelka wódki i sambuca.

Giacomo wyjął szklanę z suszarki do naczyń i sięgnął do kredensu po butelkę rumu.

– Chcesz? – zapytał po tym, jak sobie nalał.

Lea odmówiła przekonana, że już wystarczająco kręci jej się w głowie.

Nie wyglądał na zawstydzonego nieporządkiem, otworzył jedynie okno, by wywiał zapach papierosów i wczorajszego alkoholu. Obok rozłożonej wersalki, na komódce, stał stary słoik po musztardzie z wepchniętymi do środka prezerwatywami i szarawymi resztkami skręta. Seks i narkotyki w jednym słoiku, pomyślała, wyobrażając sobie jego nowe życie – młody geniusz, który wkroczył w dorosłość, mógł pozwolić sobie na wszystko.

Niedotrzymana obietnica czy celowa zmiana priorytetów?

Usadowili się wygodnie niedaleko łóżka na dwóch wielkich miękkich pufach, które zyskiwały określony kształt pod ciężarem ciała. Lea dalej przypatrywała się półkom uginającym się pod ciężarem opasłych tomów. Dostrzegła też plastikowe pudełko pełne starych biletów tramwajowych.

– Niczego nie wyrzucasz, co? Już niedługo będziesz musiał sobie poszukać większego mieszkania.

– Jesteśmy tym, co po nas zostanie, zwykł mawiać Picasso. Te przejażdżki w tę i w tę po mieście również stanowią część mnie.

Zauważyła też kilka jego zdjęć z chłopięcych czasów, fotografie z obrony pracy i z życia prywatnego, tego rozdziału, który wydarzył się już po niej, a jednak właśnie zdjęcie z Lorenzo przed murem berlińskim rzuciło się jej w oczy. Zachował je, a ono wkomponowało się w bałagan i chaos. Nie mogła oprzeć się pokusie, by wreszcie zapytać o niego, o okoliczności jego śmierci, ale Giacomo od razu wyraźnie się zachmurzył. Wstał, by włączyć płytę z utworem Rachmaninowa na fortepian. Lea uznała jego wybór za niecodzienny, a jednocześnie ze zdziwieniem przyglądała się imponującej kolekcji płyt z muzyką klasyczną. Zorientowała się, że tuż obok głośników znajdują się książki z nazwiskiem jego ojca wytłoczonym na grzbiecie. Podręczniki do psychologii.

– Twój ojciec je napisał?

– Nie będziemy o nim rozmawiać dzisiaj wieczorem.

– O czym więc chcesz rozmawiać?

– Choćby o tym, jak pięknie urosły ci piersi.

– Nie uważasz, że jestem nieco zbyt... zaokrąglona? – Lea uśmiechnęła się, spuszczać wzrok.

– Stałaś się dokładnie taka, jaka zawsze byłaś w moich najśmielszych wyobrażeniach.

Przyciągnął ją do siebie, jakby należała wyłącznie do niego, z tą samą pasją, której świadkiem chwilę wcześniej była brukowana uliczka. Popchnął Leę na łóżko, jego usta szukały jej ust. To, co zdawało się niemożliwe, działo się naprawdę; poczuła, jak bardzo rzeczywiste i namacalne są jego wargi i dłonie na jej ciele, wiedziała, że za chwilę wydarzy się to, czego pragnęła i co wyobrażała sobie od tak dawna.

Kochali się aż do świtu, a mlecznopomarańczowa mgiełka zasnuwała szkło szyb tak bardzo, że krawędzie okien w kamienicy naprzeciwko się rozmywały.

Nie wypuszczał jej z objęć, mocno przyciskał ją do siebie. Ich ciała splatały się tak ściśle, jakby chcieli zatracić się w sobie, niczym wszyscy kochankowie po raz pierwszy wkraczający do krainy miłości. Ona odkrywała w jego silnym, prężnym ciele dorosłego już mężczyznę, stworzonego do uciech cielesnych. Była gotowa kochać się z nim dalej, przez cały dzień, i choć nie mogła w to uwierzyć, wciąż dawał jej siebie, nieustępliwy, niezaspokojony.

Kiedy rytm melodii ich ciał zwalniał, otwierała się przestrzeń na słowa, na małe wyznania:

– Przypominasz mi pierwszą dziewczynę, w której byłem zakochany – powiedział.

Lea, niepostrzeżenie, poczuła ukłucie zazdrości, choć ta myśl jednocześnie jej schlebiała:

– Jak długo byliście razem?

– Nigdy nawet się nie pocałowaliśmy. Pragnąłem jej do utraty zmysłów, kiedy jeszcze byłem w liceum.

– I co się stało później?

Cień przemknął po jego twarzy, Giacomo odsunął się i wyciągnął rękę po butelkę rumu stojącą na komodzie, pociągnął kilka łyków. W jego spojrzeniu błysnął żal, który miała zobaczyć jeszcze wielokrotnie w przyszłości i który zawsze napawał ją lękiem.

– Nic, co warto byłoby wspominać – odparł i odrzucił głowę do tyłu, by ukryć twarz przed jej wzrokiem. Przygniótł ją ciężarem swojego ciała, wciąż głodnego jej miłości, i wszedł w nią prawie ze złością, w jego ruchach było teraz mniej cierpliwości. Tak jakby nie chciał już zadziwiać jej swą wytrzymałością, chwalić się swoimi umiejętnościami, jakby nie odkładał przyjemności na później, niczym odległego wspólnego celu. I w całej swej wirtuozerii, po krótkiej chwili, doszedł.

Lea wtuliła się w jego ramię zaspokojona, oddając się jedyne mu pragnieniu, które w niej pozostało. W niespokojnym półśnie zrozumiała, że nigdy nie chciała i nie potrafiła oddalić się od tego dziewiczego i nieznanego jej dotąd świata, którym był dla niej Giacomo.

Pierwszy raz kochała się z kimś jak dorosła, a jeszcze niedawno miłość kojarzyła się jej z nakładaniem grubej warstwy makijażu, godzinami spędzonymi przed lustrem, przebieraniem się po kilkakroć przed wyjściem na randkę w sobotni wieczór. Teraz zrozumiała, że wszystko, co przedtem utożsamiała z miłością, to zaledwie przygotowanie do właściwego aktu, tak

jak wtedy, gdy w dzieciństwie pomalowano jej oczy, by wyglądały na skośne, ponieważ miała zagrać rolę Madame Butterfly w szkole tańca.

Wtedy zresztą Lea jako Madame Butterfly również długo czekała na powrót ukochanego, śniła o ich ponownym spotkaniu. Teraz, w prawdziwym życiu, jej sen się ziścił, a ich ciała złączyły się w jedno po raz pierwszy. Doświadczyla spełnienia. Kiedy jednak otworzyła oczy, by upewnić się, że wszystko to nie było wyłącznie wytworem jej wyobraźni, Giacomo już siedział przy stole i pił kawę. Przetarła twarz i spojrzała na niego, a wszystkie te myśli w jednej ogłuszającej sekundzie uleciały na odległą galaktykę, jakby na potwierdzenie tego, jak trudno sprostać dorosłości.

Giacomo był już kimś innym, oddalonym o lata świetlne od tego pełnego pasji i niez mordowanego kochanka, który towarzyszył jej tamtej nocy. Wyglądał na kogoś, kogo dręczy pytanie: „I cóż ja mam zrobić z tą dziewczyną w moim łóżku? Jak mam jej powiedzieć, by sobie poszła, i nie wyjść przy tym na chama?”. Lea kątem oka dostrzegła jego nagi tyłek znikający za drzwiami łazienki i przez chwilę bezwolnie leżała na łóżku jak marionetka. Znowu byli dwójką nieznanymi.

Zdezorientowana zaczęła się w pośpiechu ubierać, a w jej sercu kiełkował niepokój. Chciała jak najszybciej wrócić do domu.

Nastał czas próby. Kolejne godziny odkryły przed nią, jak długi wydaje się dzień spędzony w oczekiwaniu na dźwięk telefonu i jak przytłaczający może być czas wypełniony wyłącznie czekaniem. Jaką siłę przyciągania ma ekran telefonu komórkowego, gdy zaczynasz irracjonalnie wierzyć, że jeśli ma zacząć dzwonić, to nie możesz nawet na chwilę spuścić go z oka. Spoglądała na niego raz po raz, jednak Giacomo przez cały dzień nie dał znaku życia.

Nazajutrz wieczorem Lea zrozumiała, czym jest ból fantomowy: czuła się jak ktoś, kogo po amputacji nogi boli odcięta kończyna. W końcu nie wytrzymała. Chwyciła za telefon i napisała: „Co robisz?“, i zaledwie sekundę później bardzo tego żałowała.

Wbrew jej oczekiwaniom, odpisał: „Jestem tutaj, kiedy mam się Ciebie spodziewać?”. Lea nie potrafiła zignorować zaproszenia. Przełknęła poczucie rozczarowania i pobiegła do łazienki. Umyła w pośpiechu zęby, wyjęła z szafy pierwszą lepszą sukienkę, nie traciła czasu na przyglądanie się i długie przymiarki; była gotowa wybiec z domu nawet nago, byle tylko jak najszybciej



znaleźć się u jego boku. W tym rozgorączkowaniu zapomniała pożegnać się z koleżanką, u której nocowała. Nie miała najmniejszego zamiaru wracać do Morlupo, zadzwoniła więc do matki, wymyślając sobie seminarium o świcie, przez które musiała spędzić noc w Rzymie. Nie dopuszczała do siebie myśli, że od Giacomo mogłaby ją dzielić godzina drogi, co opóźniałoby ich spotkanie, gdyby zechciał ją do siebie wezwać... A wykradanie się z cudzego domu jak złodziej wydawało się teraz najbardziej naturalną rzeczą na świecie.

A kiedy Lea wchodziła już po schodach jego kamienicy, spocona i z bijącym szybko sercem, w jej głowie tliło się jedno pragnienie – powtórzyć spędzoną z nim właśnie noc.

Giacomo zostawił otwarte drzwi. Siedział na pufie zatopiony w lekturze Spinozy, z niedopałkiem skręta w zaciśniętych w skupieniu ustach. Grube szkła w czarnej oprawce dodawały mu powagi i władczości, choć wciąż sprawiał wrażenie nieco przykurzonego włóczykija. Wystarczyło, że na niego spojrzała, a znów poczuła podniecenie.

I tym razem nie przejmował się bałaganem. Ze zlewu ubyło kilka talerzy, jednak cała reszta wyglądała tak samo jak poprzednim razem. W powietrzu unosił się znajomy zapach potu splecionych ciał.

– Udało ci się zasnąć?

Zabrzmiało to tak, jakby się o nią troszczył, choć dla kogoś takiego jak on ucieczka przed codziennością, zwykłym rytmem życia, była raczej normą niż wyjątkiem. Ale dzięki Lei zaspokoił pragnienie i popęd, i to nie jej umysł i uczucia, lecz ciało stworzone na potrzeby ich wzajemnej wymiany przyjemności. I gdyby może była bardziej trzeźwa, wyczytałaby to w chytrym spojrzeniu jego wygłodniałych oczu. Bezbronność Lei jednak wynikała ze strachu przed porzuceniem, który towarzyszył jej przez cały dzień, a teraz ustępował miejsca podnieceniu, wewnętrznemu nakazowi, by skryć się w ramionach ukochanego, zatracić się w nim.

Kiedy światło poranka zajrzało do ich sypialni, zdawało się, że nie ma już tam miejsca ani dla niej, ani dla żadnej innej, choć Lea chętnie znalazłaby tu swoją małą przestrzeń. Miała ochotę sprzątać, myć naczynia, gotować – choć dotychczas nie czuła takiej potrzeby nigdzie indziej – a jednak coraz bardziej odczuwała dystans i zniecierpliwienie Giacomo wywołane każdą jej sugestią czy wyznaniem. Komunikat z jego strony był jasny – powinna już sobie pójść. Był czas dla nich i jest czas na wszystko inne, a te dwa wymiary nie miały punktów stykowych.

Noce spędzone z Giacomo obfitowały w powoli płynące słowa. Wiedział, jak się nimi właściwie posługiwać, wypowiedane przez niego brzmiały w jej uszach jak głos jakiegoś aktora. I tamtej nocy jakieś niepojęte przyczyny, które spychają rozmowy na najbardziej nieprzewidywalne tory, sprawiły, że zaczęli rozmawiać o religii. Lea dorastała w katolickim domu, wierzyła w Boga, a Giacomo znajdował przyjemność w podważaniu jej wiary. Dyskutowali o tym w przerwach między kolejnymi uniesieniami miłosnymi, jakby jedyna ich forma komunikacji ograniczała się do seksu.

– A więc jaki jest koniec tego wszystkiego? – pytała go. – Ani śladu po rajach?

– Ani śladu. Tylko koniec.

– I nie boisz się śmierci?

– Nie boję się. Boję się tylko, że w tamtej chwili nie będzie przy mnie kogoś, kogo kocham.

– A jeśli miałyby to się stać teraz, kogo chciałbyś mieć obok siebie?

– Ciebie. Ale jest jedna zasada, Lea, i musisz ją zapamiętać. Wszystko to, co mówi się przed orgazmem lub po nim, nie ma większego znaczenia.

– Jeśli tak, to kocham cię – wyznała, a on już przyciągał ją do siebie.

– I ja cię kocham – odparł.

Brodaty i długowłosy Giacomo w ciemnościach wyglądał podobnie jak Jezus w klasycznej ikonografii. Ostry profil nosa, podłużne oczy.

– To nieprawda, że on nie istnieje – przekonywała, patrząc Giacomo w oczy.

– A jeśli masz rację i nie ma rajów, które na nas czekają, to ja, kiedy umrę, chcę, by ktoś przeniósł mnie tutaj, w tę chwilę.

Na uniwersytecie Giacomo nie okazywał Lei zainteresowania, ledwo się z nią witał. Wychodził z roli namiętnego kochanka i przybierał pozę zamyślnego asystenta, który tak bardzo podobał się studentkom. Na korytarzach uczelni każda z nich posyłała mu przelotny uśmiech, rzucała zaciekawione i porozumiewawcze spojrzenia, jakby już zdołała poznać sekretny pakt, który zawierał w łóżku, i zdążyła zaakceptować jego zasady. W każdej ze studentek Lea, targana zazdrością, widziała samą siebie i własne troski; czuła się jednocześnie ofiarą i wybranką losu.

To prawie zawsze ona odzywała się do niego pierwsza. Godziła się na wszystko: na koncerty w domach kultury, na manifestacje, odczyty poezji w zadymionych klubach. Nie była częścią tego świata, nie miała jeszcze wyrobionych poglądów, a w jej głowie wciąż nie zagościła na dobre żadna doktryna. Czuła się zagubiona wśród tych zmęczonych i wytatuowanych ludzi,

nieufnych, aroganckich, z zawsze uniesioną gardą, choć wyraz ich oczu zdradzał rany wewnętrzne. Niezdarnie i nieumiejętnie robiła wszystko, żeby ją zaakceptowali, polubili.

By być z Giacomo, przestała prawie spać w nocy. W dzień, na zajęciach, przysypiała potem z nosem w książkach. Wymyślała kolejne kłamstwa, by nie wracać do matki do Morlupo. Jak narkomance na głodzie, wystarczała jej słodycz ich wspólnych nocy; krótki, enigmatyczny telefon w ciągu dnia sprawiał, że zrywała się na równe nogi. Czasem nachodziła ją myśl, że ich relacja to pewnego rodzaju surowa edukacja uczuciowa, karcący policzek, którego nigdy nie doświadczyła jako mała dziewczynka, bezpieczna w ochronnej skorupie swojego dzieciństwa. Choć poczucie ich wzajemnego niedopasowania wpędzało ją we frustrację, tkwiła w nim też jej siła – czuła, że nie może dać za wygraną.

Kiedy Giacomo irytował się każdą błażostką lub gdy zamykał się w sobie, ona się od niego odcinała, przestawała dzwonić, lecz jej infantylne strategie, o których szepcze się z koleżanką ze szkolnej ławki, działały jedynie przez kilka dni. Nigdy zresztą przecież nie myślała, by zniknąć naprawdę, nigdy nie wierzyła, że może trzymać się od niego z daleka. „Miłosną wojnę wygrywa ten, kto pierwszy zdoła uciec” – mówiło przysłowie, lecz Giacomo tkwił nieruchomo, zamknięty w swojej fortecy nie do zdobycia. To Lea zawsze szukała sposobu, by raz jeszcze się z nim zobaczyć, by przyciągnąć go do siebie, i to zawsze ona kapitulowała, bo nie umiała odrzucić zaproszenia. Byle tylko zasmakować jeszcze trochę tego sztucznego rajku, który na całe dni zmieniał się w realne piekło.

Tak naprawdę wystarczała rozmowa z Giacomo o literaturze, by zagoić każdą ranę. To on polecił jej wszystkie lektury, które później miały wywrzeć największy wpływ na jej życie: za jego radą zabrała się do Dostojewskiego, Cortáзара, Kafki. Nocami, w przerwach między miłosnymi aktami, czytał jej na głos najważniejsze fragmenty. Stawał się wtedy erudyta, niezwykle imponującym, ale też kimś opiekuńczym i życzliwym.

W seksie mogła mieć go całego dla siebie: pieścić go, lizać, oddawać się mu na stojąco, klękać przed nim, ofiarowywać mu swoje piersi, usta, pośladki... Ale poza tą niewielką przestrzenią Giacomo natychmiast się wycofywał, a Lei pozostawały tylko gorzkie rozrachunki z rzeczywistością. To, co było dla nich wspólne, ograniczało się do kilku niezwykle intensywnych godzin, całą resztę wypełniała niepewność. Lea nigdy nie przypuszczała, że może się czuć aż tak

bardzo bezbronna. Czy to dojmujące poczucie kruchości, ulotności to właśnie była miłość?

Rzadko spotykali się w ciągu dnia. Któregoś razu poszli na wystawę Picassa, tylko ona i on. Trzymając się za ręce, spacerowali między dziełami przeczącymi zasadom perspektywy, będącymi zdekomponowanym pamiętnikiem artysty opowiadającym o życiu człowieka czerpiącego inspirację z miłosnego spalania się i splotów kolejnych historii pełnych pasji. Lea pamięta z tej wystawy ciepło dłoni Giacomo obejmującej jej dłoń oraz myśl, która pojawiła się w jej głowie przed jedną z najsłynniejszych akwafort artysty: *Minotauromachia*, gdzie seksualność staje się bestialstwem, a Picasso jest Minotaurem, potworem pożerającym młode kobiety, w których się kocha. Marie Thérèse, dla której Picasso zostawił swoją pierwszą żonę, zainspirowała go do stworzenia tego dzieła. To ona kryje się pod przywiązaną do grzbietu konia kobietą, która ma być złożona w ofierze; to ona obserwuje potwora przez okna, nie wiedząc, dokąd zmierza, lecz także ona, poprzez swoje światło, jako jedyna może go ujarzmić i ocalić. Gdy Lea obejrzała wystawę, dręczyło ją pytanie, jak długo jeszcze zdoła wytrzymać. Czy i ona, jak Marie Thérèse, znajdzie sposób, by uratować kochanka?

Bianca, powierniczka rozterek jej serca – tymczasowo komunikowały się na czacie, bo przyjaciółka w ramach programu Erasmus studiowała przez semestr w Paryżu – powtarzała jej:

– To zwykły przypadek ZPZ, facet, nic więcej niż facet. Zjeść, Pieprzyć, Zasnąć, nic poza tym. Namieszał ci w głowie, bo pieprzenie wychodzi mu lepiej niż innym.

– Nie rozumiesz, Bianca, to nie jego ciało mnie przy nim trzyma, to jego umysł. Nie możesz sobie wyobrazić, jak potrafi być bystry, inteligentny, stymulujący.

– To zwykły manipulator. Jak ci z telewizji, hipnotyzerzy: „patrz na mnie, patrz na mnie”, i trach, rozluźniasz się, a z twojej szyi znikają klejnoty. No właśnie, tak samo i on wie, jak zrobić użytek z własnej głowy, trochę nią ruszyć i codziennie kraść po kawałku twojej duszy dla swojej własnej przyjemności. Możesz dodać jeszcze jedną literkę do naszego skrótu, ZPZZ: Zjeść, Pieprzyć, Zasnąć, Zracjonalizować, bo właśnie rozum stoi za wszystkim tym, co on robi. Na próżno szukasz, nic więcej nie znajdziesz.

Gdy Giacomo opowiadał Lei o planach na lato, na nadchodzący rok, jej imię nie pojawiło się w nich ani razu. Mówił jej o wyspie, którą odkrył, maleńkiej

wysepcie na Cykladach, swojej prywatnej enklawie. Jeździł na Andiparos każdego lata, lecz nawet przez chwilę nie brał pod uwagę tego, że mógłby zabrać Leę ze sobą. Kiedy mówił o przyszłości, choćby tej najbliższej, nie było tam dla niej miejsca. Nie miał nawet pewności, jak długo jeszcze pozostanie w Rzymie, nie był zainteresowany karierą akademicką, chciał pracować w przemyśle wydawniczym i rozważał przeprowadzkę do Mediolanu.

Któregoś wieczoru dołączyła do niego w lokalu, gdzie grali jazz na żywo. Było tam kilku jego znajomych, w tym jakaś dziewczyna, która nie spuszczała z niego wzroku. Giacomo wypił już sporo, sporo palił, jak zwykle, i nie opierał się jej zalotom. Towarzystwo wybierało się na imprezę, Lea była zmęczona, za dwa dni czekał ją egzamin pisemny z italianistyki i chciała wrócić do domu, on jednak ani myślał rezygnować z wieczornej zabawy.

Dziewczyna i grupka znajomych wyszli z lokalu i powiedzieli, że czekają na Giacomo w samochodzie.

– Chodź z nami, będzie fajnie.

– Jestem ledwo żywa. Poza tym nie podoba mi się, jak ta dziewczyna się do ciebie klei.

– Mnie się podoba. Moglibyśmy spróbować czegoś we troje... Jak myślisz?

– Jesteś pijany, Giacomo.

– Bo mówię ci to, co myślę? To, czego naprawdę pragnę? Jestem tylko szczery.

– Gdyby wszyscy mężczyźni byli tak samo szczerzy jak ty, nie istniałyby związki.

– Jeśli w związku nie ma miejsca na męską szczerść, powinien umrzeć, zanim jeszcze się narodzi.

– Nie chcesz mnie w swoim życiu, prawda?

– Jeśli masz zamiar w nim zostać, chciałbym, żebyś nie próbowała mnie dusić.

Dziewczyna wróciła do baru.

– No i co robisz, Giacomo? Idziesz z nami?

– Jesteś pewna, że nie chcesz z nami jechać? – zwrócił się do Lei.

– Tak.

– To wracaj do domu. Słuchaj, nie dam rady cię odwieźć.

– Nie ma takiej potrzeby.

Musnął jej czoło pocałunkiem, z zuchwałością, jaką napełniły go alkohol

i opary skręta.

– Dobranoc, maleńka – pożegnał ją jednym z tych zdań, których Lea szczerze nienawidziła.

Po raz pierwszy pocałował ją publicznie, choć sposób, w jaki to zrobił, był daleki od wyobrażeń Lei. Jego chłodny pocałunek miał smak upokorzenia, a kolejne dni przyniosły tylko bolesną udrękę, która jest następstwem milczenia, okrucieństwa i porzucenia. Porzucenie, tak jak miłość, przypomina niewidzialny pył, który zniekształca nasz wzrok, sprawia, że gaśnie, a potem przenosi go daleko za horyzont.

I w ten sposób Lea trafiła do Paryża, do Bianki, która zaprosiła ją z okazji urodzin i wysłała jej bilety na samolot.

Spacerowały po Place de la Bastille, planując wieczór w dyskotecce, gdy Lea nagle zupełnie straciła wątek.

– Masz już do niego nie dzwonić – zakazała jej Bianca.

– Do kogo? Co?

– Do Giacomo. Na kilometr czuć, że o nim wciąż myślisz. Skasuj jego numer.

– Znam go na pamięć.

– Spuściłabym ci lanie, tak bardzo mnie denerwujesz. – Bianca potrząsała bezradnie głową, a po chwili się ożywiła: – A co powiesz na małą przysięgę? Wiesz, że zawsze dotrzymujesz słowa?

– Jaką przysięgę?

– Obiecujesz, że czegoś nie zrobisz, żeby nie zapeszyć i ustrzec się od nieszczęścia. Jedną jedyną – pomyśl, że jeśli do niego zadzwonisz, to już nigdy w całym twoim życiu nie będziesz szczęśliwa.

– Mam wrażenie, że jeśli już nigdy go nie zobaczę, to wyjdzie na to samo.

– To pomyśl, że jeśli do niego zadzwonisz, to nie będziesz mogła mieć dzieci.

– A jeśli ci powiem, że chciałabym je mieć właśnie z nim?

– Lea, to poważna sprawa. Przysięgnij! – Bianca była nieustępliwa. Przyparła ją do ściany.

Lea spuściła oczy na znak kapitulacji. Nie miała wyjścia i dlatego odparła:

– W porządku, masz moje słowo. – Nigdy nie wyobrażała sobie siebie w roli matki, jednak w tamtej chwili myśl o pozbawieniu się tej możliwości napawała ją strachem. Złożyła przysięgę z rezygnacją równą tej, z jaką narkoman zgadza się na terapię w grupie wsparcia.

Nie zadzwoniła do Giacomo. Minęło całe lato, a ona miała wrażenie, że to,

co przeżywa, jest trudniejsze niż odwyk. Wyobrażała sobie Giacomo wypoczywającego na Andiparos, jak na białych plażach, niczym Minotaur głodny ofiar, zbiera swoje żniwo. Ona duszne i gorące lato spędziła w Rzymie, bo musiała się uczyć do poprawek egzaminów, których nie zdołała zdać z winy Giacomo.

Była znużona miastem, w którym nie mogła zaznać pocieszenia. Gdziekolwiek kierowała swój wzrok, cokolwiek robiła, wciąż czuła dłonie Giacomo pieszczące jej ciało. Na szczęście nie mogła go szukać na uniwersytecie, który był zamknięty w wakacje. Przysięgała sobie, że zapomni jego numer telefonu, lecz niezależnie od tego, dokąd się udawała, zawsze wybierała taką trasę, żeby przejść koło kamienicy, w której mieszkał. Gdy się do niej zbliżała, starała się być niewidoczna, zakradała się w jej pobliże niczym złodziej. Czuła przy tym ogłuszające bicie własnego serca, takie samo jak to, które towarzyszyło kiedyś każdemu jego telefonowi. Wciąż liczyła na to, że go spotka. I nie było dnia, w którym walczyłaby z pokusą, by do niego zadzwonić.

Później, pewnego wrześnieowego dnia, gdy przechodziła obok drzwi prowadzących do kamienicy, w której mieszkał, zobaczyła wychodzącą kobietę wynoszącą śmieci. Nie mogła być jego matką, raczej kochanką, choć wydawała się starsza od Giacomo. Lea musiała poznać prawdę. Gdy zapytała, usłyszała, że kobieta jest nowym najemcą kawalerki na czwartym piętrze, która w wyobraźni Lei natychmiast przestała być zadymioną i zabałaganioną norą. A więc Giacomo jednak wyjechał, najprawdopodobniej do Mediolanu, dostał pracę w dużym koncernie wydawniczym – wspominał jej, że ma takie plany. Jedno z miejsc, których nienawidził, lecz które miało mu pozwolić na zdobycie niezbędnego doświadczenia. Jeszcze jedna z miotających nim niezliczonych sprzeczności.

## 6

Na chodniku przed Mandarin Gallery Lea i Vittorio czekają w kolejce na taksówkę.

Deszcz najwyraźniej nie zamierza ustać, nie słabnie również zły humor jej męża, uśmiechającego się do niej, jakby ktoś poprosił go o przywołanie na twarz pospiesznego grymasu, który ma wywołać wymówienie słowa *cheese* przed aparatem fotograficznym.

Lea nie znosi lodowatej obojętności, będącej następstwem każdej kłótni, a czasem pozostaje z nimi całymi dniami i chyba nie ma sposobu na to, by jej uniknąć.

Wiedziona impulsem, oddała się bez słowa w stronę placu, tonąc przy tym w strugach deszczu. Nie martwi się jednak zbytnio o jedwabną sukienkę, którą ma na sobie, ani wyszywane koralikami sandałki grzęznące głęboko w kałużach. Vittorio szybko rusza jej śladem, a jednocześnie daje chłopcu parkingowemu znak, by podszedł do Lei z parasolem. Ten staje przy niej w sekundę.

– Zmokniesz, nie ma sensu tu czekać.

Nie ma też sensu bać się kropli deszczu, chciałaby mu odpowiedzieć. Widzi, jak Vittorio stoi, wzburzony i wyprostowany, w swojej jak zawsze nienaganej marynarce. Parkingowy jest tuż obok, gotowy na każde jego skinienie, bo doskonale zna szczodrość jego napiwków. Lea ma chęć rzucić się na Vittorio, potrząsnąć nim i wyciągnąć na deszcz z okrzykiem: Nawet jeśli zmokniemy, Vittorio, co takiego się stanie? Pocałujmy się w strugach deszczu, rozczochrajmy włosy, wróćmy do domu, aby się kochać, i odpuśćmy sobie kolejną nudną kolację. Niech na nas czekają na próżno, ten jeden jedyny raz... Co takiego się stanie?

A jednak przedwczesny przyjazd taksówki wrywa ją z zamyślenia.

Vittorio jest szybszy niż parkingowy, w mgnieniu oka otwiera przed nią drzwi i podaje jej rękę, by pomóc wsiąść do auta.

To właśnie przez tę całą galanterię Lea uwierzyła, że byłoby



świętokradztwem nie pragnąć się zestarzeć z takim mężczyzną u boku. Teraz jednak jego gest budzi w niej odrazę, zdaje się jej pusty, automatyczny, jest tylko fasadą.

– Patterson Hill, sir – mówi Vittorio taksówkarzowi, sadowiąc się u jej boku.

Mieć willę na Patterson Hill oznacza zarobić tyle pieniędzy, by móc wypowiedzieć wojnę. Lea u boku Vittorio przestępuje progi dostojnego domostwa państwa Van Der Meer i wchodzi na wykończone marmurem patio z nadzieją, że dyrektor banku, sześćdziesięcioletni Holender z naciągniętą liftingiem twarzą i młodszą o trzydzieści lat Filipinką, którą poślubił, u boku, jest przynajmniej pacyfistą.

Przyjmuje ich pani domu, Maricel Van Der Meer, obnosząca się z nowym nazwiskiem, dumna niczym masażystka z Lucky Plaza paradująca w markowym ubraniu w niedzielne popołudnie.

Spowita w długie *peplos* w kolorze kości słoniowej delikatnie wydyma usta, trzymając w długiej szczupłej dłoni kieliszek czystej wódki. Wita gości uprzejmym skinieniem głowy. Kiedy Vittorio znika za osobami tłoczącymi się przy wejściu i czekającymi na kolację, która raczej nie zapowiada się kameralnie, Lea maskuje podenerwowanie i daje się zwabić przenikliwym śmiechem pani domu, przypominającym dźwięk silnika z zerwanym paskiem rozrządu.

Maricel trzyma pod pachą liska, a Lea zauważa zwierzę, dopiero gdy kobieta podnosi go i pozwala polizać się po policzku. Wcześniej zdawało jej się, że to futrzana kamizelka. Widziała już w Singapurze zamożne panie otulone futrem i doszła w końcu do wniosku, że arktyczne temperatury zostały w niektórych centrach handlowych wprowadzone celowo, po to, by skłonić żony bogatych przedsiębiorców do zakupienia zimowej kreacji. Ale zwierzę, które trzyma pod pachą pani Van Der Meer, to pies.

– To niemiecki szpic miniaturowy, szlachetna odmiana liska – wyjaśnia. Rzadkość w mieście, które w każdym zamkniętym miejscu jasno zakazuje wstępu psom i przewiduje kwarantannę lotniskową dla tych, którzy zdecydują się przekroczyć granicę w psim towarzystwie. – Wabi się Lovely Kitty – dodaje, zadowolona z siebie.

Lea nie bywa agresywna, jednak w obliczu kogoś, kto traci czas na wymyślanie absurdalnych imion zwierzętom domowym, wzbiera w niej gniew. To i tak nic w porównaniu z tym, co czuje po wejściu do irytującego świata

Jonathana. Architekt wewnątrz, Walijczyk o zniewieściałych ruchach, pała do niej niczym niezасłużoną sympatią. Maricel przedstawia go wybranym gościom jako swoją „damę” do towarzystwa.

W salonie najpierw rzuca się Lei w oczy dostojny portret olejny Van Der Meer, na którym pani domu pozuje jak księżniczka. Otacza go złocona rama, najpewniej stylizowana na antyk. Zważywszy na zawód, jaki wykonuje, Jonathan musiał akurat patrzeć w drugą stronę, w chwili gdy wieszano obraz na ścianie. Spomiędzy skórzanych kanap i perskich dywanów wyzierają posągi hinduskich bóstw i egzotycznych zwierząt z cennego drewna. Wszystko wygląda trochę jak Beverly Hills w orientalnym sosie.

Chwilę później Maricel się oddala, by przywitać swoją naaaajdroższą przyjaciółkę, a Lea żegna ją westchnieniem ulgi. Wzdycha po raz kolejny, gdy odnajduje wzrokiem Vittorio, stojącego w grupce ubranych na czarno rekinów finansjery, żywo dyskutujących o negocjacjach i transakcjach przyprawiających o zawrót głowy. Na tle błyskających świateł ich garnitury wyglądają jak skóry leoparda.

Vittorio rozmawia z koleżanką z pracy, poważną Niemką o kamiennym wyrazie twarzy, z której Lea często stroi sobie żarty i nazywa ją prześmiewczo Angelą Merkel. Jest wysoką blondynką, ładną pomimo ostrych rysów twarzy. Na dzisiejsze przyjęcie wybrała zachowawczy czarny kostium ze spódnicą przed kolana, która odsłania umięśnione łydki. Na pozdrowienie Lei odpowiada nieszczególnie wylewnym spojrzeniem.

– Myślałam, że zgubiłam cię na dobre. – Lea uśmiecha się do męża.

– Nie sądzę, żebyś dziś wieczorem bardzo się tym przejęła – odpowiada, a w tonie jego głosu wciąż pobrzmiwają cierpkie nuty.

– Nie chcieliśmy cię zanudzać naszą rozmową – wyjaśnia koleżanka, czym nieświadomie rozładowuje narastające między nimi napięcie, a potem usiłuje wrócić do rozmowy o pracy, ignorując przy tym obecność Lei.

Vittorio i Merkel rozmawiają w tak profesjonalny sposób, że Lea nic nie rozumie, a przynajmniej oni sprawiają, że tak się czuje. Banki inwestycyjne zupełnie jej nie obchodzą, tak samo, jak nie obchodzą jej małostkowość, uwagi wypowiedane półgłosem, uprzejmość pełna hipokryzji ani sekrety alkowy. Nie wie naprawdę, co chciałyby powiedzieć. Czuje się tak, jakby jej mąż i Angela Merkel zawarli sojusz w ich codziennej wojnie. A może Vittorio chce tylko sprawić takie wrażenie? Przeciąga strunę, pragnie zademonstrować, że świetnie rozumie się z inną kobietą, a Leę wyklucza z rozmowy, wysyła jej

sygnały ostrzegawcze, a wszystko po to, żeby decyzja o wyjeździe zaczęła ciążyć Lei jeszcze bardziej. A jednak Vittorio to doskonały strateg i każdy, choćby najbardziej naturalny, jego gest jest w istocie dobrze przemyślany.

Z niezręcznej sytuacji wybawia Leę szczupła młoda Azjatka, która uśmiecha się do niej z drugiego końca salonu. Stoi blisko stolika z napojami, w ręce trzyma kieliszek.

Lei zdaje się, że nigdy wcześniej jej nie widziała, ale mimo to podchodzi bliżej zaciekawiona. Jest pod wrażeniem jej elegancji, którą podkreśla opadająca jedwabna sukienka w kolorze zgaszonego turkus. Geometrycznie ścięte włosy doskonale współgrają z jej smukłą sylwetką. Wygląda delikatnie, zwiewnie. Rysy jej twarzy też nie zdradzają wieku: ma pełne i symetryczne usta, bladą jak wosk dziecięcą wręcz skórę. To wszystko, jak u większości Azjatek przed trzydziestką, które Lea poznała, kontrastuje z głębokim spojrzeniem dojrzałej kobiety.

– Musiałam się pomylić – pospiesznie wyjaśnia kobieta, gdy tylko Lea podchodzi bliżej. – Miałam wrażenie, że już cię gdzieś spotkałam.

– Singapur nie jest w sumie aż taki duży – odpowiada Lea. – Na przyjęciach, na które zabiera mnie mój mąż, zawsze przewijają się ci sami ludzie. Ale nie wydaje mi się, żebyśmy już kiedyś się spotkały.

– Jestem Lin Yu. – Wyciąga do niej drobną dłoń o prawie przezroczystej skórze.

– Lea. Ty też pracujesz z Van Der Meerem?

– Nie, przyjaźnimy się tylko. Jestem urbanistką, współpracuję z ERB, Zarządem Rozwoju Ekonomicznego Singapuru.

– A czym się zajmujesz, jeśli mogę zapytać?

– Rozwojem miasta – wyjaśnia kobieta, spoglądając na nią z zaciekawieniem i uprzejmością.

– Nie sądziłam, że to miasto wciąż potrzebuje strategii rozwoju. – Lea się uśmiecha.

Zdaje się, że Lin Yu nie odczytała zawartej w tym stwierdzeniu ironii.

– Ja zajmuję się tym, co wydarzy się od dwa tysiące trzydziestego piątego roku i później – tłumaczy jej swobodnie, jakby był to najbardziej oczywisty fakt, nic nadzwyczajnego. – Projekty mojego zespołu wdrażają zmiany w organizacji ruchu, konieczne ze względu na szereg zjawisk, jak choćby przyrost demograficzny. Właśnie taki rodzaj rozwoju planujemy.

– Od dwa tysiące trzydziestego piątego roku i później? – Lea patrzy na nią

w osłupieniu.

– Singapur to prawdziwe królestwo przyszłości: wszystko się tu planuje, przekuwa w projekt i urzeczywistnia.

– To miasto nigdy nie przestanie mnie zaskakiwać – wyznaje. – Gdybym spotkała cię wcześniej, z całą pewnością trafiłabyś do mojej książki.

– Piszesz?

– Właśnie skończyłam swoją pierwszą powieść.

Lin Yu upija maleńki łycalek z kieliszka, tak jakby chciała tylko zwilżyć wargi.

– I o czym opowiada, jeśli mogę zapytać?

– To historia młodej kobiety, która przeprowadza się z Włoch do Singapuru. Przytrafiają jej się tutaj różne rzeczy, a ona wyobraża sobie codzienne spacerunki po mieście z duchem Prezydenta.

Oczy Lin Yu stają się bardziej okrągłe, przez jej twarz przemyka nagły cień. Mówi szeptem:

– Niektórzy zasłużyli sobie na dar nieśmiertelności. – Odwraca głowę w stronę tłumy wypełniającego pokój. – Jak wszyscy Singapurczycy i ja mam wrażenie, że straciłam przewodnika, ojca duchowego.

– Jesteś stąd?

– Moja rodzina pochodzi z Zhejiang, chińskiej prowincji. Przenieśli się do Singapuru, gdy mnie nie było jeszcze na świecie. Uciekali od biedy, szukali szczęścia. To właśnie Lee Kuan Yewowi nasza rodzina zawdzięcza wszystko. Nie wyłączając mojego wykształcenia. Gdyby nie on, ja dziś nie miałabym stopnia doktora i nie pracowałabym dla rządu. Dlatego zawsze będę wdzięczna jego duszy.

– Musiał być naprawdę wyjątkowym człowiekiem. Przynajmniej dla mieszkańców tego kraju.

– Zdaje się, że i dla ciebie, skoro zdecydowałaś się zadedykować mu swoją książkę – stwierdza Lin Yu, wykrzywając usta w porozumiewawczym grymasie. – Chciałabym ją przeczytać.

– Zostanie wydana we Włoszech. Nie wiem, czy ktoś kiedyś ją przetłumaczy.

– Cóż, życzę ci, żeby tak się stało. Choć pewnie chciałabym mieć czas, by nauczyć się włoskiego, może właśnie czytając twoją książkę. – Jej szeroki uśmiech znów wyraźnie przygasa, a dłoń wędruje do naszyjnika zdobiącego jej łąbiedzią szyję.

Lea nigdy nie była wielbicieleką biżuterii, nie rozumie obsesji dotyczącej

brylantów, i nawet pierścionek zaręczynowy, który dostała od Vittorio, szybko zniknął z jej palca. Jednak ten naszyjnik emanuje prawie hipnotyczną elegancją – symbol nieskończoności na cienkim łańcuszku, błyszczący rzędem maleńkich brylantów. Wpatruje się w niego jak zaklęta i spod wpływu jego czaru wyzwala ją dopiero młoda kobieta wyglądająca na asystentkę Lin Yu.

– Czekają na nas przy stole – informuje Lin Yu półgłosem. – Poprosiłam lokajów, żeby przykręcili trochę klimatyzację, jest za zimno.

Zdaje się, że jest tu tylko po to, by ochronić Lin Yu przed jakąkolwiek niedogodnością. Bierze ją pod ramię i prowadzi aż do stołu, jakby była zbyt słaba, żeby iść sama, lub niechętna, by samotnie stawić czoło grupie gości. Zanim się oddali, Lin Yu odwraca się jeszcze i kiwa głową do Lei, jakby zapraszając ją, by do nich dołączyła. Lea rozgląda się dookoła, straciła z oczu Vittorio i zaintrygowana czymś, czego jeszcze nie potrafi zdefiniować, zajmuje miejsce tuż obok Lin Yu.

Na pełnych przepychu stołach pojawiają się podłużne półmiski z *gado-gado*, mieszanką warzyw w sosie arachidowym ułożonych na liściach bananowca. Asystentka przynosi jej talerz z małymi porcjami różnych potraw, a Lin Yu z każdym kęsem zamyka oczy, jakby chciała zachować smaki i aromaty w głębi swojego jestestwa.

Ta eteryczna istota wyróżniała się spośród pozostałych gości, jakby nie miała z nimi nic wspólnego, i może dlatego Lea nie mogła oprzeć się jej swoistemu magnetyzmowi. W jej zapachu, w gestach, w samej idei urbanistyki, zajmującej się daleką przyszłością tego technologicznie doskonałego miasta, było coś fascynującego. Zdaje się, że ta kobieta wciąż pamięta o swoich korzeniach, w przeciwieństwie do tego wszystkiego, co Lea widzi dookoła siebie. Niespodziewanie dla niej samej nagle zaczyna jej ciążyć ponura wizja kompromisu, przyzwolenia na ten pełen przywilejów i wyzuty z przeszłości świat, który podarował jej mąż. Dopiero teraz widzi, że napełniła talerz tymi samymi potrawami co Lin Yu i ma nadzieję, że i ona zdoła osiągnąć ten błogostan, to samo poczucie nieprzynależności.

Lea wpatruje się we własny talerz tak długo, że Lin Yu zauważa jej nieobecne spojrzenie i z tym samym niczym niezmaconym spokojem zaczyna na nowo mówić o Lee Kuan Yewie, jakby chciała wyrwać ją z zamyślenia. Opisuje go bardzo dokładnie, aż Lea odnosi wrażenie, że prezydent za chwilę zmaterializuje się przed nimi. Właśnie to przytrafia się przecież głównej bohaterce jej książki.

– Od kiedy umarł – mówi Lin Yu – codziennie rano przynoszę mu kwiaty. Widziałaś kiedyś dom, w którym mieszkał?

Lea przyznaje, że jeszcze tam nie była. To niesamowite, że napisała książkę, która w części opowiada o nim, a dopiero spotkanie z nieznaną uświadamia jej, że nigdy nie pomyślała o tym, by odwiedzić jego dom.

– Zaskoczyłaby cię prostota wnętrza. To rezydencja jednego z najpotężniejszych ludzi naszego świata, a zdawałoby się, że mieszkał tam prosty urzędnik z banku.

Właśnie kilka dni temu do prasy trafiła informacja, że z polecenia Lee Kuan Yewa jego rezydencja ma zostać zburzona, by w jej miejscu jak najszybciej powstał drapacz chmur.

– Nie chciałyby mauzoleów ku swojej pamięci – tłumaczy jej Lin Yu w pełnym zachwytu uniesieniu. – Nie należy tracić czasu na spoglądanie wstecz, to jego słowa. Miasto musi iść naprzód. I choć wkrótce tak się pewnie stanie, to ja nie przestanę przynosić mu kwiatów i zostawiać ich pod jego drzwiami. Każdego ranka, przez wszystkie dni, które jeszcze mi pozostały, niezależnie od tego, co wybudują w miejscu jego domu.

W tej samej chwili do Lin Yu podchodzi asystentka i przypomina jej, że zrobiło się późno. Pomimo ledwie widocznych cieni pod oczami, które odznaczają się na jej pełnej blasku cerze, chciałaby zrobić wyjątek od reguły, przez chwilę się waha, lecz wreszcie wbrew samej sobie, żegna się ze zgromadzonymi i wstaje od stołu.

– Jestem zaszczycona, że mogłam cię poznać, coś mi mówi, że wkrótce spotkamy się ponownie – mówi, rzucając Lei pożegnalne spojrzenie.

Ta ze smutkiem odprowadza ją wzrokiem. Po chwili jedyna sojuszniczka, którą zdołała zyskać w tym miejscu, jest już za drzwiami, a ona czuje się samotna. Ten, kto powinien być tego wieczoru kimś więcej niż tylko sojusznikiem, osoba, po której spodziewa się wsparcia, znienacka pojawia się tuż za jej plecami.

– Tu jesteś? Wolne? – pyta Vittorio, wskazując na krzesło, na którym siedziała Lin Yu.

– Znamy się? – odpowiada Lea z kąśliwym uśmiechem. – Zachowujesz się, jakbyśmy nie byli już małżeństwem.

– Wybacz mi. Czasem zapominam, że na przyjęciach nie jestem w pracy. A przynajmniej powinienem udawać, że w niej nie jestem.

Zapadła noc, zalewająca ulice światłem pomarańczowego księżyca i wygaszająca ostatnie echa tego światowego wieczoru. Lea rozpina haftki sukienki, czując, jak ręce Vittorio obejmują ją w talii.

– A jeśli każdy dzień tych dwóch miesięcy będzie ciągnął się jak rok – szepcze, kryjąc twarz w jej włosach. Jego głos brzmi nieswojo. – Właśnie tego się boję.

Lea się odwraca. Na twarzy Vittorio maluje się tak ogromne cierpienie, że nie potrafi znaleźć odpowiednich słów. Gładzi go po twarzy.

– I oczywiście tego, że kogoś poznasz i uciekniesz – dodaje po chwili z uśmiechem.

– Zdaje mi się, że istnieje większe prawdopodobieństwo, że to ty trafisz do łóżka swojej koleżanki Merkel.

Vittorio otwiera szeroko oczy rozbawiony.

– Angela to baaaardzo poważna osoba, zapewniam cię. – Poklepuje ją żartobliwie po policzku. – A poza tym, czy uważasz, że kobieta, która obsesyjnie, bardzo często, pociąga usta szminką, może być w moim typie?

Lea wybucha śmiechem.

– W sumie to zbyt wielka z niej perfekcjonistka, nawet jak dla ciebie.

Vittorio znów robi się poważny, zaciska dłonie na jej biodrach.

– Jeśli wciąż to do ciebie nie dotarło, to szaleję za tobą – wyznaje. – Również za twoim bałaganiarstwem i rozkojarzeniem. Za tobą, bez szminki i obcasów, piękną zawsze i wszędzie.

Lea wznosi oczy do góry, potrząsa głową, rozbawiona i jednocześnie połączona pochlebstwem.

– Po pierwsze: nie masz pojęcia, co to prawdziwe bałaganiarstwo, skoro mnie o nie oskarżasz. Po drugie: prawie zapomniałam, jaki z ciebie lizus. – Wyswobadza się z jego objęć i kieruje do łazienki.

Vittorio idzie za nią i staje przy niej przed lustrem, obserwując, jak przemywa twarz bawełnianym wacikiem zanurzonym wcześniej w mlecznobiałym płynie.

– Jesteś *naprawdę* piękna – mówi z naciskiem.

– Ale i tak się maluję, choć tego nie widać. – Broni się Lea, wyjmując szczotkę z szafki pod umywalką. – Dzisiaj wieczorem na kolacji jedna dziewczyna *rzeczywiście* nie miała na sobie ani grama makijażu, ani obcasów i *naprawdę* była najpiękniejsza ze wszystkich obecnych.

– Dziewczyna, z którą rozmawiałaś? Urbanistka?

– Och, widzę, że nie umknęła twojej uwadze, co? – karci go, śmiejąc się z udawaną zazdrością. Po chwili, zaciekawiona, dopytuje: – Znasz ją?

– Tylko z widzenia, mamy kilku wspólnych znajomych, którzy za każdym razem zapominają nas sobie przedstawić. Ale i ty zapomniałaś dziś wieczorem, a widziałem, że długo ze sobą rozmawialiście.

– Jeszcze tego brakowało, żebym zaczęła przedstawiać ci piękne kobiety.

Vittorio jest już w drodze do pokoju, zdejmuje krawat i krzyczy do niej z korytarza:

– Ale rzeczywiście muszę przyznać, że wyglądała bardzo elegancko.

– Jej elegancja to coś więcej niż sam strój. Naprawdę zrobiła na mnie wrażenie, Vittorio. A najbardziej niesamowita jest jej praca. – Zbiera włosy gumką. – Nie wyobrażałam sobie nawet, że w Singapurze istnieje zespół planistów zrekrutowanych przez rząd, żeby zajmować się projektami miejskimi od dwa tysiące trzydziestego piątego roku i później. Zdajesz sobie sprawę? Od dwa tysiące trzydziestego piątego!

Vittorio uśmiecha się do niej i odwiesza krawat na swoje miejsce w szafie, w której rzeczy zostały ułożone kolorami. Podchodzi do Lei i chwyta jej twarz w dłonie.

– Zabrałem cię do świata, w którym wszystko można przewidzieć.

– Do idealnego świata – uzupełnia Lea, nadając głosowi ironiczny ton, by nie zabrzmieć nostalgicznie. – Idealnego jak naszyjnik tej kobiety – dodaje po chwili.

– Jaki naszyjnik?

– Symbol nieskończoności wysadzany maleńkimi diamentkami. Przepiękny.

– Od kiedy cię znam, nigdy nie słyszałem, żebyś wyraziła aprobatę dla czyjejś biżuterii.

– Rzeczywiście, nie przepadam za błyskotkami. Ale tamta wyglądała na wyjątkową.

– Słyszałem, że choruje na serce.

– Kto?

– Pani architekt przyszłości.

– Kto ci to powiedział?

– Van Der Meer. Pomyśl tylko, jaki to paradoks: osoba, której zadaniem jest projektować przyszłość miasta takiego jak to, sama nie ma przed sobą przyszłości.

Cień smutku przesłonił jej oczy.



– Paradoks – przyznaje i w tej samej chwili widzi twarz Lin Yu, która patrzy przez okno na ogród otaczający willę. – Mam nadzieję, że znajdzie się dla niej lekarstwo. Medycyna rozwija się z dnia na dzień.

Vittorio jest już pod kołdrą, ponagla ją gestem.

– Ja też potrzebuję od ciebie lekarstwa. Chcę cię przytulić – mówi jej prawie dziecięcym tonem.

Czasem przed snem Lea czyta mu na głos książkę, która właśnie ją pochłonęła. To ich wieczorny zwyczaj już od pięciu lat, o wiele częściej ich wieczorny rytuał stanowi czytanie niż uprawianie seksu.

– Dziś wieczorem żadnego czytania – oznajmia stanowczo Vittorio. – Muszę przyzwyczać się do ciszy. W przeciwnym razie nie zdołam zasnąć, gdy cię tu nie będzie. – Z jego spojrzenia można wyczytać, że ma zupełnie inne plany na ten wieczór.

Changi, lotnisko w Singapurze, dla podróżnych czekających na przesiadkę to coś w rodzaju inkubatora. Jego zadaniem jest sprawić, by odzyskali siły, otrząsnęli się z niewygody po godzinach spędzonych na siedząco w hermetycznej kabinie samolotu. Wewnątrz lotniska znajduje się kino, park motyli oraz basen. Raj na ziemi, który uczy, jak doceniać samą podróż, a nie tylko jej cel; jak z szacunkiem i życzliwością traktować wszystko, co napotykaemy na swojej drodze, nie tylko to, co jest już w naszym posiadaniu.

Lea po raz pierwszy ma wsiąść do samolotu na Changi bez Vittorio u boku.

– Jestem taka podenerwowana... – mówi mu zaraz po odprawie. – Rozmawiaj ze mną. Mów do mnie, cokolwiek, niech to będzie nawet spis z książki telefonicznej, i tak nic do mnie teraz nie dociera. Wiesz, że kiedy się stresuję, potrzebuję dźwięku twojego głosu.

– Zero zero dziewięć osiem trzy cztery jeden siedem sześć... w porządku?

– A jeśli samolot się rozbije? – Lea dyszy, nie zwracając najmniejszej uwagi na jego żart.

W oczach Vittorio zapalają się prześmiewcze iskierki.

– Uczynisz mnie niepocieszonym wdowcem.

– Przestań, bądź poważny.

– Jestem poważny i będę niepocieszony!

Lea potrząsa głową i sili się na uśmiech.

– Moim zdaniem przez najbliższe dwa miesiące zdążysz sobie znaleźć kogoś, kto cię pocieszy, nawet jeśli ten samolot się nie rozbije. – Zarzuca mu ramiona na szyję i infantylnym tonem dodaje: – Miałeś rację. Te dwa miesiące będą naprawdę bardzo długie. A ty należysz do osób, które nie potrafią czekać cierpliwie nawet przez pięć minut.

– Nauczysz mnie czekać, tak jak nauczyłaś mnie kochać.

– Od kiedy stałeś się taki romantyczny? Mdłe frazesy to moja działka. Jesteś taki słodki przez ostatnich kilka godzin... To klasyczna scena poprzedzająca katastrofę, mówię ci to z doświadczenia. Teraz na pewno ten cholerny samolot

się rozbija, bez cienia wątpliwości.

– No już, przestań.

– Wzięłam ze sobą dwie fiołki kropli na uspokojenie.

– Nie będziesz miała potrzeby ich zażyć. Nagrałem ci wiadomość głosową, wyślę ci ją na WhatsAppie. Nie bierz kropli, wsłuchaj się w mój głos.

– Spróbuję.

W wytłumionej przestrzeni lotniska, tuż przy punkcie kontroli paszportów, o krok od flegmatycznych podróźnych krążących pośród sklepów *duty free* i restauracji, Lea kołysze się w ramionach swojego pragmatycznego męża, który wciąż potrafi ją zaskoczyć. Przygotowuje się do czekającej ją rewolucji, do życia z dala od niego. To Vittorio już raz ją ocalił, a teraz jego obecność w samolocie na siedzeniu obok wydaje jej się bardziej potrzebna niż kamizelka ratunkowa. Kiedy wreszcie wypuszcza go z objęć, by się pożegnać, czuje, jak nagły smutek ściska ją w gardle, jakby zaraz miała wybuchnąć płaczem.

Chwilę później maszeruje już w stronę bramki, połykając łzy. Pilnuje, by ani jedna nie spłynęła po jej policzku, dławi je w środku. Vittorio odprowadza ją wzrokiem.

Lea się oddala wessana przez tłum osób, które, jak i ona, są tu tylko przejazdem. Zastanawia się nad swoim życiem uczuciowym, które w jednej chwili zdaje się jej długą podróżą, niczym innym jak trudem wędrówki przerywanym chwilami odpoczynku w przydrożnych zajazdach.

Za każdym razem, gdy Giacomo stawał na jej drodze, a potem znikał, pozostawiał ją w stanie dezorientacji i destabilizacji, która trwała aż do chwili, gdy spotkała Vittorio.

Od dwudziestego do dwudziestego ósmego roku życia gubiła się kilkakrotnie. Od czasu do czasu zdawała egzamin, a chwile koncentracji były jak spadające gwiazdy, które pojawiały się w momentach samotności, by na nowo rozpalić uspięne pragnienia. W międzyczasie zaczęła pracować, najpierw jako kelnerka w herbaciarni pełnej książek, następnie jako bibliotekarka, odnajdując w lekturze jedyną stałą i wierną towarzyszkę każdego rozczarowania.

Zanim skończyła studia, wyprowadziła się z domu matki i przeniosła do małego mieszkania na Zatybrzu, które na początku dzieliła z drugim studentem, później z kuzynką, aż wreszcie jej przyszły mąż zabrał ją stamtąd na zawsze. W tamtych latach towarzyszyło jej poczucie, że pozostaje w tyle za innymi,

jakby świat wystartował do biegu, a ona nie miała dość sił, by za nim gonić. Czowała, że jej chęć zatracenia się przewyższa jakiegokolwiek inne pragnienie.

I Bianca brała udział w wyścigu. Obroniła dyplom z psychologii, zaczęła właśnie pracować w poradni psychologicznej i poznała Andreę, który później miał zostać jej mężem, mocno stąpającego po ziemi geologa zajmującego się utylizacją odpadów, gotowego zapuścić korzenie i spłodzić z nią całą gromadkę potomstwa.

Ukończenie studiów i pierwsze literackie próby zawdzięcza wyłącznie Biance, która po każdej pijackiej nocy przed egzaminami stawiała ją na nogi, zamykała w pokoju i kazała się uczyć oraz przedstawiała od czasu do czasu kogoś, kto był w stanie ofiarować jej odrobinę stabilności między jedną a drugą przelotną znajomością.

I gdyby nie to opowiadanie o sztuce biegania, które zdołała napisać w tamtych latach i które wygrało w konkursie literackim, a potem zostało opublikowane na łamach czasopisma literackiego, pewnie nigdy nie spotkałaby znów Giacomo.

Zaczynało się lato 2008 roku, nad wszystkimi wisiało widmo recesji, a amerykański kryzys rozlewał się jak plama ropy naftowej. Włosi, wykończeni i obojętni, szukali rozrywki i pocieszenia po rozczarowaniach, jakie przyniosły im mistrzostwa Europy w piłce nożnej. Tamtego wieczoru Lea szykowała się na wieczór z Bianką, której mąż pozwolił wyrwać się na trochę z domu i odpocząć od bycia mamą. Mieli już drugie dziecko, i to Andrea został obarczony odpowiedzialnością uspienia malca przed meczem Hiszpania–Rosja. Wybrały się do pubu w gronie znajomych, by świętować początek nowego życia Lei; zabrały ze sobą czasopismo z opublikowanym w nim opowiadaniem. W błyskającym świetle ekranów projekcyjnych, które zdominowały wszystkie lokale w mieście, wymachiwały pismem jak trofeum i wznosiły toasty kufłami piwa.

Dopiero wtedy, kartkując czasopismo, kilka stron za swoim opowiadaniem Lea zauważyła niewielki artykuł o tym, jak ważne jest czytanie. I nagle wydało się jej, że wszystko dookoła jakby ucichło i zastygło w bezruchu.

Artykuł był opatrzony zdjęciem autora. Giacomo wciąż nosił brodę, zdawała się nie mieć końca, a jego włosy były jeszcze dłuższe i bardziej nieujarzmione niż zwykle. Miał identyczny wyraz twarzy jak za czasów uniwersyteckich. Powściągliwy i chłodny, ze zmarszczonymi brwiami, czujny, spoglądał wyzywająco w obiektyw.

Ścieżki ich życia przecięły się ponownie. Od ostatniego spotkania upłynęło prawie dziesięć lat.

Wystarczyło, że zobaczyła jego nazwisko, a już rytm jej serca przyspieszył, znów, za jego sprawą, czuła, że brakuje jej tchu w piersiach, podczas gdy siedzący obok zagraniczni kibice zdzierali gardła po udanej akcji piłkarzy. Przeczytała artykuł kilkakrotnie, z rozdzierającym pragnieniem, by ponownie zobaczyć Giacomo.

„Ja i literatura: dwie cząstki kwantowe” – głosił tytuł.

Giacomo odnosił się w artykule do zjawiska fizyki kwantowej, *l'entanglement*, dosłownie splątania kwantowego, zapętlenia, by wytłumaczyć relację, w którą jego życie weszło z przeczytanymi książkami. W teorii kwantowego *l'entanglement* dwie cząstki elementarne, jak na przykład elektrony lub fotony, łączą się, tworzą jedność i oddziałują w takim układzie przez pewien czas, wytwarzając nierozzerwalną więź, i nawet jeśli zostaną rozdzielone, oddalone od siebie o kilometry czy lata świetlne, wciąż będą zachowywać się tak, jakby były jednością. *L'entanglement* Giacomo z literaturą rozpoczął się, gdy był jeszcze chłopcem i zaczytywał się książkami Hermana Hessego. W artykule, w którym Giacomo obficie przetykał swoje przemyślenia cytatami dowodzącymi jego erudycji, wyobrażał sobie literaturę jako wielki równoległy wszechświat zdolny do oddziaływania na jego świat – cokolwiek zdarzało się w jego życiu, zapisane było również w powieściach, które w niewytłumaczalny sposób trafiały w jego ręce. „To książki wybierają nas – pisał. – Wzywają nas, jak gdyby wiedziały, czego nam potrzeba”. Na tym właśnie polegał, według Giacomo, sens czytania, to było jego esencją. Coś, co wraz z nami się porusza, co nas określa i co czasem, jeśli mamy szczęście, może nas ocalić.

Pod artykułem, na dole strony, umieszczono jego podpis: *Giacomo Valenti, Dyrektor Redaktor Naczelny Gandini Editore*, rzymskiego niszowego wydawnictwa. Kilka miesięcy wcześniej wydało ono książkę, która nieoczekiwanie stała się bestsellerem i sprzedawała się w setkach tysięcy egzemplarzy. To, że Gandini zakupiło prawa autorskie na chwilę przed tym, jak powieść trafiła na pierwsze miejsca międzynarodowych rankingów książek, zawdzięczało właśnie intuicji Giacomo.

Bohaterem opowiadania Lei był niewysoki człowiek z garbem na plecach, który mimo swych ułomności miał talent do biegania, i wbrew wszelkim przewidywaniom, potrafił wygrywać jak nikt inny. Teraz wreszcie miała

okazję, by się o tym przekonać, choć zawsze zdawało jej się, że także kariera Giacomo w prostej linii prowadzi ku sukcesom. Choć pewnie w wieku piętnastu lat zupełnie inaczej wyobrażała sobie swój bieg.

– Co teraz zamierzasz? – zapytała Bianca. I ona wpatrywała się oszołomiona w stronę czasopisma.

– Wydawnictwo Gandini ma siedzibę na via Crescenzo.

– No i co? – W spojrzeniu przyjaciółki błysnęła dezaprobata, a błękitnawe światło ledowych lamp podkreślało ciemniejszą plamkę, która w ostatnich miesiącach pojawiła się nad jej górną wargą jak wąsik. – Co to znaczy?

– To znaczy, że chcę go znowu zobaczyć.

– A co z przysięgą?

– Przysięga zakładała, że już nigdy do niego nie zadzwonię. I nie mam nadal takiego zamiaru.

– Jakiegokolwiek masz zamiary, wiedz, że oszukujesz.

Naprzeciwko siedziby wydawnictwa, przy chodniku po drugiej stronie ulicy, mieścił się mały bar z daniami obiadowymi. Lea stawiała się w nim punktualnie za piętnaście pierwsza, dzień po dniu, przez tydzień. Wybierała casualowe stroje: koszula, najczęściej biała, para spranych dżinsów i czerwone baleriny na nogach. Od jakiegoś czasu zaczęła biegać przed pójściem do pracy do biblioteki i zdołała zgubić kilka kilogramów, choć jej biodra i piersi zachowały naturalną krągłość.

Zamawiała jedyną apetyczną rzecz dostępną w barowym bufecie – pierś kurczaka z grilla ze szpinakiem o metalicznym posmaku. Wybierała stolik w głębi pomieszczenia, z którego miała dobry widok na witrynę, drzwi i przechodniów zaglądających do lokalu.

Czekała aż do poniedziałku. Zobaczyła, jak wchodzi do środka pogrążony w rozmowie z kolegą idącym obok. Nosił okulary, które kiedyś zakładał tylko wieczorem do czytania, miał na sobie szarą koszulę bez kołnierzyka, z podwiniętymi rękawami, i żywo gestykulował. Lea dobrze wiedziała, jak zacięty potrafi być, a z jego rozdrażnionej miny nietrudno było wywnioskować, jakim tyranem jest w pracy.

Spójrz na mnie, zaklinała Lea raz po raz. Odwróć się, poznaj mnie. Włókno szpinaku utkwilo jej między zębami.

Giacomo wyraźnie pobladł, gdy napotkał jej wzrok. Trwało to ułamek

sekundy, wbiła spojrzenie w talerz, przełykając pospiesznie warzywa. A kiedy podniosła głowę, jego już nie było. Poczowała zimny dreszcz przebiegający wzdłuż kręgosłupa i instynktowną chęć, by zerwać się i wybiec z lokalu, krzycząc jego imię. Nie ruszyła się jednak z miejsca. Nie zdążyła się zastanowić nad jego ucieczką, gdy poczuła czyjaś dłoń na swoim ramieniu.

– Lea... – Usłyszała głos Giacomo. – Ty tutaj?

Gdyby miała narysować, jak wygląda szczęście w czystej postaci, wystarczyło jej przypomnieć sobie niepokój chwili, w której się odwróciła i zobaczyła przed sobą jego twarz. Szczęście to spocone ręce, serce, które wypełnia całe ciało, i metaliczny smak w ustach.

– Co robisz w tej okolicy?

Odpowiedź, którą sobie przygotowała i powtarzała już wiele razy, wyszła z jej ust prawie mechanicznie:

– Umówiłam się z koleżanką.

– Mogę z tobą zjeść i poczekać? – Zdawał się oszołomiony, rozemocjonowany ich spotkaniem.

Taka wylewność była zupełnie nie w jego stylu, a może właśnie tak, może był taki sam w wieku dwudziestu lat, na uniwersytecie. Lea nie mogła sobie przypomnieć. Istniała tylko obecna chwila, gęsta od słów, które należało powiedzieć.

Kiedy wstał i podszedł do lady, miała wreszcie okazję mu się przyjrzeć. Zdawał się szerszy w ramionach, postawniejszy, miał wciąż wąskie biodra i duże silne dłonie. Mężczyzna, który na zewnątrz emanował poczuciem pewności i bezpieczeństwa. Giacomo nałożył na talerz porcję kurczaka z ziemniakami i usiadł naprzeciwko niej. Jego zły humor zniknął, a oczy błyszczały teraz zniecierpliwieniem, bo chciał jak najszybciej usłyszeć wszystko, co miała mu do powiedzenia.

– Też wzięłeś kurczaka?

– To jedyne jadalne pożywienie w tym miejscu. Unikam go jak zarazy, zachodzę tu tylko, gdy mam dużo pracy i mało czasu.

– Wobec tego musimy się pospieszyć.

– Wobec tego musisz mi najpierw opowiedzieć, gdzie się podziewałaś przez te wszystkie lata.

Lea, nie przestając się uśmiechać, pomyślała: wszystkie te lata, przez które

nigdy nie próbowałeś mnie odnaleźć. Zdziwiła się jednak, bo Giacomo po chwili dodał:

– Gratulacje! Napisałaś świetne opowiadanie.

Przeczytał je, nie umknęło jego uwagi, a w tonie jego głosu nie pobrzmiwała kpina, lecz szczerzy podziw. Lea przyjęła jego słowa z przyjemnością i nie potrafiła powstrzymać rumieńca, który wykwitł na jej policzkach.

– Nawzajem. Gratuluję ci artykułu o cząstkach kwantowych – odpowiedziała.

Kiwnął głową w podziękowaniu.

– A więc w końcu oddałaś się swojej pasji.

– Czy nie każdy z nas o tym marzy? – W jej pytaniu zabrzmiała aluzja, która nie uszła jego uwagi.

– Ostatnim razem zniknęłaś bez słowa, teraz jednak wydaje mi się, że słów ci nie brakuje.

– Byłam tylko zazdrosną dziewczynką. A ty asystentem, który korzystał ze swojej pozycji, żeby zawrócić w głowie takim jak ja.

Giacomo wybuchnął głośnym śmiechem. Niepokój, rosnący w Lei przed ich spotkaniem, napełnił ją wolą walki, pragnieniem, by stanąć jak równy z równym do pojedynku w ich grze uwodzenia.

– Och, śmiejesz się. Nie pamiętałam, że to potrafisz.

– Wiesz, w Mediolanie poznałem jedną taką, która mi przypominała ciebie. Miała siedem lat i była córką mojego szefa – zażartował.

Opowiadał jej o swojej pracy w jednym z największych włoskich wydawnictw. Rzucił ją przez wzgląd na swoje poglądy polityczne – a biorąc pod uwagę, ile kosztowała go ta rezygnacja, zwłaszcza w kwestii finansowej – był zadowolony, że zdołał to zrobić.

– Ale to ci sami, co wydają Marksa, zgadza się? – Polemizowała Lea, daleka i wolna od wszelkich ideologii. – Dzisiaj chyba czytałam na Facebooku, że ktoś oskarżył Woody’ego Guthrie, że się sprzedał, bo zdecydował się wystąpić w radiu, ot, dyskusja, która wraca co jakiś czas, nic nadzwyczajnego.

– Jak wszystkie dyskusje, które codziennie ktoś wymyśla na Facebooku – skomentował.

Wytrzeszczyła oczy w szczerym oszołomieniu:

– Nie mów mi, że nawet ty założyłeś sobie konto!



– To narzędzie służące do komunikacji, nie mogę przed nim bez końca uciekać. Zresztą poddałem się już i przestawiłem się z maszyny do pisania na komputer... – odparł z pewną dozą autoironii, jakby już od jakiegoś czasu usiłował wygładzić swoje szorstkie zachowania.

– Pomyśl tylko, że Facebook powstał po to, by studentom college’u łatwiej było plotkować...

– Czasem najprostsze pomysły są w stanie zrewolucjonizować świat.

– A więc chcesz mi powiedzieć, że możliwość interakcji z tłumami osób, które masz w gronie znajomych, to idea rewolucyjna?

– A więc pragnę ci powiedzieć, że chciałbym, żebyśmy zostali znajomymi na Facebooku.

– A czy kiedykolwiek byliśmy czymś więcej niż znajomymi? – Prowokowała go, patrząc nieruchomo w jego oczy. W tym spojrzeniu odnalazła wspomnienie zmiętych prześcieradeł, spoconych ciał, dreszczy pożądania, miłosnych sporów.

Giacomo wstał, gotowy do wyjścia:

– Niestety, zrobiło się późno, a ja muszę wracać do pracy.

Kiedy już się z nią pożegnał, zawrócił na progu i zapytał:

– A może poszlibyśmy dziś wieczorem do kina?

– Pod warunkiem że to ja wybieram film.

– Zgoda. – Po długiej chwili wymownego milczenia, dodał: – A tak właściwie, to co się stało z twoją koleżanką?

– Pewnie zgubiła się po drodze. – Lea usiłowała ukryć zakłopotanie.

Wybrała kino, w którym grali *Śniadanie u Tiffany’ego*. Byli już przy wejściu, gdy Giacomo odkrył, że w małej salce obok wyświetlają *Amore tossico*, stary film Caligariego, który jako reżyser nigdy nie odniósł większego sukcesu.

– Uwierz mi, musisz to zobaczyć – upierał się. – Poza tym, to film o miłości – dodał.

Przez chwilę próbowała mamrotać coś pod nosem, ale w końcu, ku własnemu zaskoczeniu, ustąpiła. Kto wie, może Bianca miała rację, może Giacomo był zwyczajnym manipulatorem, bo w jego rękach – przy całej determinacji, by być sobą – Lea stawała się bezwolną kukiełką.

Historia opowiadana z ekranu, o niespełnieniu, narkotykach

i niepowetowanych stratach, wstrząsnęła nimi jednakowo, choć z różnych powodów.

– Komedie są dla mięczaków – skomentowała, gdy w sali zapalały się światła.

– Jakby się zastanowić, to opowieść o Romeo i Julii, którzy trafili w lata osiemdziesiąte.

– Prosto w szpony heroiny.

– Każdy z nas wybiera swoją truciznę. – W jego słowach odezwało się niespodziewanie echo dawnego bólu.

Wyszli z kina i skręcili w wąską uliczkę tuż przy Regina Coeli, gdzie w ciemnościach więzienne kraty wtapiały się w okna budynku, który mógł zdawać się zwykłym college'em wznoszącym się w samym sercu Zatybrza, pośród nieustającego gwaru dzielnicy, która nigdy nie kładzie się spać. Zmęczenie malowało się na twarzy Giacomo wyraźniej niż kilka godzin temu, a z jego powolnego, ociężałego kroku emanowała dziwna melancholia.

– Kiedy byłem chłopcem, ojciec powiedział mi pewnego razu: możesz robić wszystko, co ci się podoba w życiu, ale trzymaj się z dala od narkotyków. Narkotyki to najgorsza forma podległości finansowej, najstraszniejsze zniewolenie – zmusza cię do pracy, na którą nigdy byś się nie zdecydował, zmusza cię, byś zrobił wszystko dla pieniędzy.

– Wobec tego jest pewnie teraz z ciebie dumny. Rzuciłeś pracę, której nigdy nie chciałeś mieć.

– Nie zdążył się o tym dowiedzieć. Zmarł, zanim wróciłem do Rzymu. Wiedział tylko, że non stop palę blanty.

Westchnął głęboko, dając jej do zrozumienia, jak trudny był dla niego ostatni rok. Jedynym pocieszeniem okazał się burzliwy związek z tancerką baletową, równie elegancką jak skomplikowaną, skupioną na swojej sztuce; była pierwszą kobietą w jego życiu, która zdołała zająć go na prawie dwa lata.

– Dla kogoś takiego jak ja to rekord – przyznał z nutą żalu w głosie.

Lea znów odkryła w sobie pokłady zazdrości. Giacomo jednak się zakochał, dzielił z kimś swoje dni, posłał do diabła swój prywatny mit wolności, niezależności i indywidualizmu, który jak dotąd zdawał się jego niezbywalną potrzebą.

– Dlaczego się rozstaliście?

– Powiedzmy, że ona miała inne priorytety. – Jego odpowiedź wystarczyła, by skierować rozmowę na inne tory.

– Jakie to uczucie, gdy choć raz nie jesteś na pierwszym miejscu?  
– Nigdy do niego nie pretendowałem – odpowiedział i wskazał palcem na budkę naprzeciwko. – Masz ochotę coś zjeść?

Po chwili, z kawałkami pizzy w dłoniach, usiedli na schodkach przy piazza Trilussa.

– Skończyła im się nawet *quattro stagioni*, przecież zawsze ją mieli. Nie ma już żadnej pewności w życiu! – Roześmiał się, wbijając zęby w pizzę. Odwrócił się w jej stronę, wpatrując się w nią intensywnie. – Oprócz ciebie – powiedział.

– Oprócz mnie? – zapytała. Niespodziewanie poczuła się na tym pełnym ludzi placu tak, jakby była naga.

– Dorostaś, stałaś się kobietą, a wciąż jesteś tą samą dziewczyną, którą poznałem jako czternastolatkę i którą spotkałem ponownie w wieku dwudziestu lat. Czas zdołał cię oswoić, ale nie nauczył cię pokory. Nie znałaś jej także tamtego dnia, gdy wchodziłaś do gabinetu dyrektora.

Kawałek pizzy o mało nie stanął Lei w gardle. Nie wiedziała, co myśleć i z trudem przychodziły jej na myśl właściwe słowa.

– Brzmi jak opis dziewczyny pełnej wad – powiedziała wreszcie.

– Wyjątkowej dziewczyny – odpowiedział.

Tak wyjątkowej, że postanowiłaś złamać jej serce, pomyślała Lea.

Gdyby właśnie jej oznajmili, że kosmici postanowili najechać Ziemię, zrobiłoby to na niej mniejsze wrażenie niż jego deklaracja. Jakby na potwierdzenie niezwykłości tych słów nawet uliczny mim przebrany za sfinksa, który dotąd tkwił nieruchomo jak rzeźba, teraz zdawał się puszczać do niej oko.

Giacomo odprowadził ją do domu. Na progu pożegnał się pocałunkiem w policzek, a ona nie zaprosiła go do środka. Jej serce było już tak przepełnione emocjami, że nie byłoby w stanie pomieścić ani odrobiny więcej.

Następnego ranka zobaczyła zaproszenie do grona znajomych na Facebooku. Przyjęła je i prawie natychmiast Giacomo wysłał jej swoje zdjęcie z gitarą i cytatem z Woody’ego Guthrie „This machine kills the fascists”, z komentarzem pod spodem: „Cieszę się, że i ty lubisz Woody’ego Guthrie. Mamy wspólną pasję”.

Oficjalnie to on zrobił pierwszy krok, choć w rzeczywistości to ona przesiadywała godzinami pod jego biurem przez cały tydzień.

„Tylko jedną?” – odpisała przekornie.

„Jeśli i ty przepadasz za pizzą *quattro stagioni*, to już szaleństwo”. Jego osobliwe żarty, krótkie telefony: – Chciałem tylko wiedzieć, czy wciąż masz ten sam numer.

Bianca kazała jej mieć się na baczności:

– Uważaj, to szczywany lis. Posłuchaj mnie, Lea, już on znajdzie sposób, żebyś znowu straciła dla niego głowę.

– Ale ja jej nigdy tak naprawdę nie odnalazłam. – Lea wzruszyła ramionami, a Bianca, rozbrojona, zacisnęła tylko usta i podniosła ręce na znak rezygnacji.

Umówili się wreszcie na drinka po pracy w centrum, a zaraz później Giacomo zabrał ją do siebie do domu. Mieszkał przy vicolo del Divino Amore – jego lokum zdawało się już mniej prowizoryczne niż miejsca, które były jego przystanią w przeszłości. Drzwi wejściowe na parterze otwierały się na małą kuchnię, której większość zajmował stół obiadowy. Dalej znajdowały się salon, łazienka i sypialnia, a cała przestrzeń sprawiała wrażenie, jakby rzadko ktoś w niej mieszkał. Lea była zaskoczona porządkiem, który tam zastała, i tym, że kolekcja książek jakby stopniała. Obok nietkniętego zaścielonego łóżka, widocznego przez uchylone drzwi pokoju, nie leżały rozrzucone ubrania, a w niewielkiej wnęce obok łazienki znalazło się miejsce na pralkę. Być może życie z baletnicą nieco go ucywilizowało, pomyślała Lea, podnosząc korek od płynu do prania, który potoczył się aż pod jej nogi.

– Chciałabym zobaczyć, jak robisz pranie. Nie brakuje mi raczej fantazji, ale jakoś nie mogę sobie tego wyobrazić.

– Kobieto małej wiary – zachnął się. – Nauczyłem się nawet oddzielać białe od kolorowego – dodał, kierując się w stronę schodów prowadzących w dół. – Mój gabinet znajduje się tam.

Poszła za nim, by na nowo odnaleźć atmosferę przeszłości zepchniętą do piwnicy. Powietrze przesiąknięte było dymem, cała przestrzeń zavalona książkami, które w międzyczasie najwyraźniej jednak się rozmnożyły. Nawet opasłe tomy opisujące teorie fizyczne ustąpiły miejsca licznym wydaniom prozy, nad którą pracował jako redaktor przez ostatnie lata; przetrwały jedynie czasopisma naukowe podkreślające tylko związek ze ścieżką, którą dawno już porzucił, lecz którą wciąż nosił w sobie.

Giacomo wepchnął stopą parę skarpetek pod rozłożony tapczan zarzucony

ubraniami. Nieporządek wciąż się tu panoszył, jednak przynajmniej usiłował go zatuszować. To właśnie w tej suterenie spędzał większość czasu i najwyraźniej tu spał. Tak jakby jego świat wciąż częściowo pograżony był w ciemnościach, jakby nadal nie był gotowy, by ujrzeć pełne światło.

Lea zatrzymała się przy zdjęciu wiszącym na ścianie.

– Matteo je zrobił – powiedział Giacomo. – Mój przyjaciel fotograf, pamiętasz go?

Lea kiwnęła głową, wpatrując się w zdjęcie, a on wyjaśnił jej, że to gra kolorów i refleksów garstki ziarenek piasku uwiecznionych na plaży w Nikaragui podczas zachodu słońca. Matteo robił tam reportaż. Światło na zdjęciu rozszczepiało się i układało ziarenka w formę galaktyki podzieloną na dwie części. Przypominało jeden z tych obrazków, które psychologowie pokazują swoim pacjentom, składając na pół kartkę papieru z plamami atramentu na środku.

– Jej tytuł to „Los dwóch cząstek kwantowych” – powiedział, wskazując na dwa symetryczne punkciki, które wyróżniały się intensywnością błękitu. – Matteo zainspirował się moją wiedzą z zakresu fizyki kwantowej, a to właśnie jego interpretacja zasad nielokalności i niepodzielności dwóch cząstek supersymetrycznych.

– Cząstek, o których pisałeś w artykule?

– Właśnie tak – kiwnął głową z dwuznacznym uśmiechem, jakby ta teoria mogła też dotyczyć w pewien sposób ich losów.

Lea, kryjąc zakłopotanie, skierowała wzrok na ścianę.

Tu i ówdzie wisiały inne zdjęcia – nie było już dziecięcych portretów, zastąpiły je migawki z pochodów i manifestacji, prezentacji książek, podróży z Matteo do Nikaragui. Wciąż obecne było zdjęcie z Lorenzo, tajemniczym przyjacielem, na tle pozostałości muru berlińskiego. Jedna rzecz nie umknęła jej uwagi – obok fotografii z Lorenzo znajdowała się podobizna jego ojca.

– Pierwszy raz widzę jego zdjęcie – powiedziała Lea łagodnie.

Giacomo znieruchomiał i spojrzał na nie bez słowa. Teraz w jego oczach widniał cień pretensji, być może do siebie. W tej samej chwili Lea zauważyła znajomy fortepian wciśnięty w kąt, ten sam, który wcześniej widziała w domu jego rodziców.

– To ten, który stał w korytarzu! – rzuciła. Chciała odwrócić jego uwagę, lecz on spoważniał jeszcze bardziej.

– Jasne, ten sam – odpowiedział. – Ostatnio znowu zacząłem grać. Zabrałem

go z ich mieszkania zaraz po pogrzebie ojca.

Lea nie odważyła się, by skomentować to wyznanie. Słuchała go uważnie.

– Mam wrażenie, że przestałem grać na sześć lat tylko po to, by zrobić mu na złość – przyznał, wpatrując się w fortepian, jakby szukał dalekich wspomnień.

– Dzieci zawsze robią na złość rodzicom – stwierdziła z całą wyrozumiałością, na jaką było ją stać.

Giacomo uśmiechnął się z goryczą.

– Tak, ale ja czekałem na to dwadzieścia siedem lat.

Nie mogła się domyślić, czy pobrzmiwała w nim skrucha, czy chęć ukarania samego siebie. Wiedziała jednak, że nie wychyli się już bardziej.

– Zagraj mi coś – poprosiła, by przerwać ciszę, która zapadła między nimi.

Pokręcił głową. Pierwszy raz dostrzegła w jego oczach zakłopotanie.

– Proszę cię, zagraj – nalegała.

Giacomo usiadł wreszcie przy fortepianie na małym stołku obitym podniszczoną skórą. Pod jego palcami wybrzmiało zaledwie kilka dźwięków, gdy przerwał. Oderwał dłonie od klawiatury, jakby go parzyła, i przycisnął je do piersi, niemal w obronnym geście. W całym swym perfekcjonizmie nie potrafił poradzić sobie ze strachem, że nie stanie na wysokości zadania. Wycofał się. Nigdy wcześniej go takim nie widziała, znała jednak dobrze ten rodzaj braku pewności siebie, to właśnie on napędzał najważniejsze wybory w jej życiu, to dlatego przestała rysować, szukać własnej prawdy w nagości kobiecych ciał, które szkicowała w liceum na marginesach zeszytów.

Odwrócenie się plecami do własnego talentu, zwłaszcza w nastoletnim wieku, gdy szczególnie trzeba pielęgnować swój dar, jest równoznaczne z unicestwieniem go w załączku. Oboje dokonali tego na swój sposób, jedyna różnica była taka, że Giacomo miał naprawdę ogromne zasoby. Zniszczył swoją pasję do muzyki z taką samą żarliwością, z jaką zdołał zachować tę do fizyki. Teraz świadomość jego wewnętrznego rozdarcia napełniła ją nagłą czułością, na którą zupełnie nie była przygotowana.

– Mistrz nie czuje się dziś zbyt pewnie. – W jej tonie pobrzmiwała kpina, lecz uśmiechała się ze zrozumieniem. – Właśnie doświadczasz czegoś, co zawsze czuję w twojej obecności, od kiedy cię znam.

– Chyba tak, po prostu nie potrafię – przyznał z nutą ironii. – Nie umiem przed tobą grać, nie mogę. Może któregoś dnia wyślę ci nagranie.

Znów zrobił się poważny. Siedział wciąż przy fortepianie, wbijając zachmurzony nagle wzrok w białe-czarne klawisze. Położył ręce na kolanach

i zacisnął je w pięści.

Lea nigdy tak bardzo nie pragnęła go pocałować jak w tamtej chwili. Podeszła do niego, tak blisko, że dotykała kolanami jego zaciśniętych dłoni. Nie spuszczała z niego oczu, czekała, aż na nią spojrzy.

I tak też zrobił.

Lea poczuła dotyk jego palców na swoich udach, jej ciało natychmiast odpowiedziało dreszczem. Jego pieśczoła była zaproszeniem, by usiadła mu na kolanach. Lea rozchyliła nogi i posłuchała. Pragnęła stać przed nim naga, natychmiast poczuć go w sobie, choćby to miał być ostatni raz, choćby to miała być jedna tylko noc.

Pozwoliła, by jego ręce przesunęły się aż po jej pośladki, pod spódnicę. Teraz na nią patrzył, przyjmował pieśczołę jej dłoni gładzących jego włosy jak zmęczone dziecko. Byli tak blisko, wpatrzeni w siebie, jakby wrócili do domu po bardzo długiej podróży.

Wtedy ją pocałował, a kiedy rosła w niej ta sama zachłanność, jaką odczuwała jako dwudziestolatka, odnalazł w sobie odwagę, by wyciągnąć ręce do klawiatury i zacząć grać.

Przez cały ten czas, gdy jego palce przesunęły się po klawiszach, miał zamknięte oczy i nie odrywał ust od warg Lei. Całował ją z intensywnością dyktowaną przez muzykę, która płynęła z instrumentu, i posłuszny melodii dotarł do końca utworu, nie przerywając pocałunku. Gdy fortepian zamilkł, oderwali się, by znów na siebie popatrzeć. Oczy Lei były wilgotne:

– Co zagrałeś? – zapytała, łapiąc oddech.

– *Larghetto z II Koncertu Chopina.*

Lea poczuła, jak palą ją policzki. Przesunęła po nich dłonią i pociągnęła nosem, teraz było jej wręcz zimno.

– Nigdy chyba nie czułam takich emocji podczas słuchania muzyki.

– Nie sądzę, byś kiedykolwiek miała okazję całować się z pianistą, który gra.

– Rzeczywiście, nie. A ty?

– Całować się z pianistą?

– Przestań.

– Grałem fatalnie. Powinnaś przesłuchać sobie ten kawałek w wykonaniu Daniela Barenboima. Poszukaj jutro na YouTube, wtedy porozmawiamy jeszcze raz.

– Nie wydaje mi się, żebym mogła słuchać tego utworu w czymkolwiek

innym wykonaniu. Chcę, żeby właśnie tak zapisał się w moich wspomnieniach.

Jego usta rozchyliły się w grymasie pełnym zdumienia i zaczął znów ją całować, w jeszcze większym uniesieniu niż chwilę wcześniej.

Wziął ją na ręce i zaniósł do sypialni.

W porównaniu z ostatnią nocą, którą wspólnie spędzili, teraz w jego gestach było więcej namysłu, ostrożności. Dużo więcej troski.

Kiedy Lea obudziła się następnego ranka, Giacomo obracał w dłoniach jej wyłączony telefon.

– Szpiegujesz, co wypisują mi moi absztyfikanci?

– Naprawdę ktoś dzisiaj podbija serca kobiet poprzez to ustrojstwo?

– Sam nie szczędziłeś mi wiadomości przez ostatnich kilka dni...

– Ale ja miałem konkretny cel: chciałem cię tu zaciągnąć – powiedział z dwuznacznym uśmiechem i trudno było odgadnąć, czy żartuje, czy mówi poważnie.

– Nie masz pojęcia, co działo się w mojej głowie, kiedy do mnie nie dzwoniłeś za moich studenckich czasów – wyznała mu nagle, już przy stole, popijając łyk kawy. – Cierpiałam przez ciebie. Nie rób tego nigdy więcej.

Myślała później o tym przez cały dzień, jej słowa zdawały się teraz tak bardzo nie na miejscu. Zacząć od reprimendy, przejść do wyrzutów, zakończyć rzuconą ot tak groźbą. Czy to możliwe, że w wieku dwudziestu ośmiu lat wciąż nie wiedziała, jak rozmawiać z mężczyzną i jak ostrożnie dobierać słowa? Była pewna, że wzbudziła w nim niepokój, dostrzegła iskrę w jego nerwowym spojrzeniu, które rzucił jej przy drzwiach, zanim się pożegnali. Choć nie próbował jej pospieszać i nie był niegrzeczny, Lea obawiała się, że zniknie z jej życia po raz kolejny. Gdy wychodziła z vicolo del Divino Amore, by złapać autobus, czuła, jak obcasy jej butów grzęzną co chwilę między kocimi łbami, i przeklinała się raz za razem. Wszystko zepsuła. W jej piersi pulsował dawny ból osamotnienia, który tylko on potrafił rozniecić.

Tak naprawdę Lea niewłaściwie oceniła samotność, którą Giacomo nosił w sobie. Może od kiedy zmarł mu ojciec, od kiedy wyniósł się z Mediolanu, a jego baletnica odfrunęła na pointach, nękała go samotność inna od tej, którą pamiętała jeszcze z licealnych lat i ze studiów – teraz przekształciła się w potrzebę pocieszenia, czułości, stabilności. Wszystkiego tego, czym w jego oczach była Lea.



I rzeczywiście jeszcze tego samego wieczoru wysłał jej wiadomość.

„Moje łóżko wciąż mi o tobie opowiada. Zostawiłaś tu swój zapach i trochę swoich molekuł. Twoja pościel to wyjątkowa szczęściara, jeszcze dziś w nocy będzie mogła całą cię otulić. Chyba że masz ochotę do mnie przyjść”.

Nie dała się prosić drugi raz. Do diabła ze strategiami, z radami Bianki, jak utrzymać w niepewności mężczyznę, którym jesteś zainteresowana. Do diabła ze strachem przed porażką, przed utratą tego wszystkiego po raz kolejny. Potrzebowała go, potrzebowała jego ciała, pragnęła poczuć go w sobie, pragnęła, by znów stał się jej, chciała rzucić się na jego łóżko i nie wstawać już nigdy więcej.

Nieraz, gdy długo patrzyli sobie w oczy, mieli wrażenie, że czas się zatrzymał. Nigdy nie zdarzyło jej się wpatrywać w kogoś tak intensywnie, zawiesić nieruchomo spojrzenia w czyichś źrenicach, szukać w nich czegoś niezwykle ważnego, rozumieć, że tylko w tym poszukiwaniu kryje się chęć życia, poczucie rzeczywistości.

Gdy Lea wracała do pracy, czuła w ustach smak tych nocy. A kiedy siedziała w bibliotece i nagle dostawała wiadomość w stylu „Uda nam się ukraść trochę czasu tylko dla nas?” – czekała tylko, by wrócić do tego podziemnego schronienia, w którym Giacomo nie obawiał się uległości. I czasem, nawet w świetle dnia, zdawał się być gotowy, by uchylić drzwi do swego wnętrza i ukazać, co tak bardzo go gnębi. Błagał ją prawie, by przy nim została. Któregoś ranka, gdy próbował wywabić z kanapy płamę po kawie, Lea zaoferowała mu swoją pomoc. Wyjawiła mu całą serię przydatnych sztuczek i zabrała się do porządków – wypucowała dom od góry do dołu.

– Czy aby na pewno nie policzysz sobie za dniówkę? – zażartował potulnie, choć w gruncie rzeczy zdawał się zadowolony z jej znajomej i jednocześnie niecodziennej obecności w swoim mieszkaniu.

Zdawało się, że nadludzkim niemal wysiłkiem walczył ze swoją naturą, by oswoić to, co dotąd nie było jej znane. Nocami płonęła w jego ogniu, dni przynosiły lód, którego on nie potrafił stopić. Był to czas, w którym żył jak w zawieszeniu, jakby wysiłek budowania czegoś solidnego pozbawił go wszelkiej energii – wciąż o wszystkim zapominał: o kluczach do domu, o rachunkach do zapłacenia, w sobotę i w niedzielę nie miał ochoty nigdzie wychodzić, cały dzień spędzał w bokserkach i podkoszulku. Nie pił już tyle co kiedyś, wieczorem tylko palił kilka skrętów, by się rozluźnić, a kiedy Lea pytała, dlaczego jego wzrok czasem gaśnie, odpowiadał, że potrzebuje tylko

oczyszczenia. Był daleki od racjonalnych i filozoficznych powodów, którymi zawsze tłumaczył wszelkie swoje zachowania.

W oczach Giacomo snuł się cień smutku, jakby jego przyzwolenie na czas, który spędzali razem, nie miało w sobie nic ze zwycięstwa, a sporo z kapitulacji. Zdawało się, że walkę i bunt zastąpił obojętnością w stosunku do wszystkiego, co go otaczało.

W tamtych chwilach napawał ją strachem. Przypominała sobie słowa Bianki:  
– Nie możesz być z kimś, kto nie kocha życia. Zaciągnie cię ze sobą do prawdziwego piekła.

Któregoś poranka piekło pojawiło się samo. Rzym dogorywał w duszących oparach letnich upałów, a gazety, jak co roku, wielkimi nagłówkami obwieszczały, że to najgorętsze lato stulecia. To była sobota. Lea obudziła się niespokojna, lecz pełna dobrych intencji, myślała, że jedynym sposobem na to, by wyrwać go z otępienia, jest zmiana otoczenia i postanowiła zaproponować mu krótkie wakacje – wspólnie mogli zdecydować o tym, dokąd pojechać.

Ku swojemu zaskoczeniu zastała go odmienionego: ze starannie przyciętą brodą i w kompletnym stroju. Mimo upału miał na sobie długie spodnie. Książki, nad którymi właśnie pracował, ułożone były na stole w kuchni w schludny stosik.

– Wygasła ważność mojego dowodu osobistego, muszę go przedłużyć. Potrzebuję go do wyjazdu do Grecji – powiedział jej.

Lea poczuła nagły zawrót głowy, jak akrobatka na linie wiszącej tysiące metrów nad ziemią, narażona na to, że w każdej chwili runie w dół. To on zamierzał wyjechać na wakacje, być może daleko od niej.

– Jadę na Andiparos za dziesięć dni. To tam spędzam lato. Matteo dołączy do mnie trzeciego, jak wróci z Wenezueli.

A ja? Pomyślała tylko, lecz nie powiedziała ani słowa, zagryzając od środka policzki.

Po chwili to jego słowa wyrwały ją ze stanu bezwładu, jak ręka, której mogła się uchwycić, by nie upaść.

– A może pojedziesz tam ze mną? – Zapytał ją z łagodnością, której nie potrafiła już nigdy zapomnieć. – Kiedy przyjedzie Matteo, jakoś się pomieścimy. Zawsze wynajmuję ten sam domek, od dziesięciu lat, w salonie stoi kanapa. Chciałbym, żebyś tam ze mną była.

Niektóre miłości otwierają nowe przestrzenie, inne wypełniają sobą całą przestrzeń. Są miłości, które otwierają okna na oścież, wpuszczają do środka wiatr, deszcz, śnieg; są miłości, które pragną wyłącznie chronić, szczelnie osłaniać od wszelkich burz i zawirowań. Giacomo był jedną z tych bolesnych miłości o wciąż otwartych drzwiach, za którymi nie można było się schronić. Ich miłość rozlewała się przez szpary między cegłówkami, przez szczeliny murów, nie po to jednak, by wypełniać je sobą i umacniać jak gwałtowny strumień wnikający głęboko. A przecież ich więź była niezniszczalna, należała do takich, które wciąż żyją w najciemniejszych czeluściach wspomnień.

Fala podróżnych na lotnisku w Singapurze płynie powoli. Pasażerowie lotu do Rzymu są już gotowi. Lea siedzi przed bramką, właśnie przeszła przez kontrolę bezpieczeństwa i trzyma w ręku paszport oraz kartę pokładową. Wsłuchuje się w głos swojego męża płynący z wiadomości, którą właśnie jej wysłał, by uspokoić ją przed lotem. – Teraz pomyśl o mnie – mówi jej. – Pomyśl o nas, właśnie bierzemy kąpiel, pomyśl o wwiercającym się w nos zapachu liczi unoszącym się na bazarze na Arab Street w sobotnie poranki, który tak bardzo lubisz. Pomyśl o naszej ciepłej kołdrze, o filmach, które nas wzruszają, pomyśl o muzyce, której czasem słuchamy wieczorem, pomyśl, jak czytasz mi wszystkie twoje książki, a ja złoścuję się, że wszędzie panuje bałagan i nie mogę znaleźć garnituru... Coś mi mówi, że jeśli dalej będziesz mnie znosić, to znaczy, że nie jestem tak bardzo upierdliwy, jak sugerujesz... – Głos Vittorio jest monotony, hipnotyczny, zajmuje całą przestrzeń, a jej łzy płyną stróżkami po twarzy.

Lea wie, dlaczego nigdy nie zdołała wyjawić Vittorio niczego o swojej historii z Giacomo. Vittorio nie poznał prawdziwej przyczyny przygnębienia dręczącego ją, gdy się poznali – nie potrafił też odgadnąć, skąd wzięła się jej niepokojąca chudość. Lea wiedziała, dlaczego woli przekonać go, że przyczyną jej problemów były odległe sprawy rodzinne, które wolała przemilczeć. Gdyby Vittorio dostrzegł, że na dnie jej oczu, jak owad uwięziony w bursztynie, odcisnięty w skale jak resztki skamieliny, wciąż tkwi tęsknota za innym mężczyzną, nie znalazłby w sobie nigdy odwagi ani chęci, by zrobić pierwszy krok. Gdyby tylko wiedział, że wspomnienia wciąż tkwiły w jej głowie jak odłamki pocisku: co prawda nie zdołały jej zabić, lecz odłamków nie można było usunąć, pewnie trzymałby ją na dystans. Bo choć te

miłości, które dotąd przeżywała, miały usuwać bolesne kolce z jej życia, Vittorio pojawił się po to, by złożyć Leę w całość; nadać nową formę temu, co rozpadło się na małe kawałeczki i co nowej, prawdziwej formy mogło już nigdy nie przybrać.

## 8

Może się zdarzyć tak, że samolot w fazie wnoszenia nagle traci moc, zawodzą go silniki i pikuje w dół. Lea najbardziej boi się chwili, w której maszyna wznosi się w powietrze. Zaciska mocno palce na podłokietnikach siedzenia, wpatrując się nieruchomo w spokojną twarz stewardesy o orientalnych rysach twarzy, siedzącej na miejscu obok drzwi wyjściowych, i myśli, że w historiach miłosnych właśnie w fazie wzbijania się w górę ryzykuje się najwięcej.

Miłości, które dopiero przysły na świat, mają w sobie mnóstwo pasji – jej chwiejny krok stawiany pomiędzy odwagą a nieświadomością budzi w innych zawiść i podziw. Miłości, które dopiero przysły na świat, rozdzierają przestrzeń, wytrącają z równowagi, a w swych niespodziewanych i oślepiających rozbłyskach marzą o wzbiciu się wysoko w powietrze, fantazjują o tym, jakie obiorą trasy, i nie przejmują się przy tym zbyt turbulencjami ani spadkami ciśnienia. Ale większość miłości trwa trzy miesiące. Rzadko zdarza się taka, która potrafi przetrwać całe życie.

Był początek sierpnia 2008 roku. Na lotnisku ona i Giacomo zdawali się dwójką nastolatków po raz pierwszy będących w podróży. Lea co chwilę wybuchała śmiechem, a jej euforia spowodowana wyjazdem zdawała się udzielić również Giacomo, który wyraźnie ożywiony komentował wszystko z pełnym rozbawieniem sarkazmem, robił głupkowate miny, dopytując się o wszystko, i po raz pierwszy zdawał się szczęśliwy.

Ludzie musieli się im przyglądać z pewnym rodzajem zazdrości – było jasne, że promienieją entuzjazmem pierwszych miłosnych odkryć, nie puszczały swoich dłoni nawet na chwilę. Wzbudzali uwagę także przez to, że wcale do siebie nie pasowali: on pojawił się przy okienku check-in w japonkach, koszulce w kolorze khaki z czerwonym nadrukiem, w bermudach nadgryzionych zębem czasu i spłowiałych od morskiej soli; na ramię zarzucił plecak z niezbędnym minimum, między innymi dwoma kartonami Marlboro, które z niego wystawały. Ona, z miedzianymi włosami zebranymi w gładki

i błyszczący koński ogon, miała na sobie perfekcyjnie wyprasowany nieskazitelnie biały kombinezon i ciągnęła walizkę pełną ubrań, których nie miała na siebie włożyć. Do torby spakowała kremy przeciwsłoneczne z wysokim filtrem, by chronić tę zbyt jasną nawet dla miejskiego słońca karnację, tak delikatną i bezbronną w porównaniu ze skórą Giacomo – ciemną, zahartowaną, dziką.

Kiedy samolot oderwał się od ziemi, Lea doznała znajomego zawrotu głowy, mimo że jej dłoń ciasno obejmowała rękę Giacomo, tak jakby to był spadochron. Budynki lotniska, domy o ciemnych dachach, samochody i tiry stawały się coraz mniejsze, miniaturowe, a ona wyznała mu, że się boi, choć czuła, że ekscytacja przewyższa strach przed katastrofą. Szybko znalazł odpowiedź, która na chwilę zdołała odciągnąć jej uwagę:

– I masz rację. Jestem pewny, że umrę młodo, gwałtowną śmiercią. Tym samym nie byłbym taki pewny, czy bezpiecznie jest wsiadać ze mną do samolotu. – Po czym chwycił w dłonie jej twarz i pocałował ją z zaciekleścią porównywalną do tej, z którą silniki samolotu przyspieszały, sunąc po pasie lotniska.

Pierwsze chmury zasłoniły widok z bulajów i przyniosły kilka lekkich wstrząsów. Usta Lei i Giacomo szukały się nieustannie w miłosnej grze, a ona pomyślała, że umrzeć w takiej chwili byłoby równie niesprawiedliwie jak pięknie.

Andiparos. To była jego wyspa. Znał ją jeszcze lepiej niż książki w swojej bibliotece. Ogromny krokodyl zbudowany z piasku, skały i krzewów, pełen domów z białego kamienia, dryfujący po Morzu Egejskim obok swego brata bliźniaka – Parosa, otoczony przez inne Cyklady, wyróżniający się jednak dzięki zaskakującemu życiu nocnemu i swojej niejednoznaczności – pocztówkowe plaże z białym piaskiem przetkane były ciasnymi skalistymi zatoczkami, ciemnymi i surowymi, w których wyczuwało się atmosferę plemiennych rytuałów, a brzegi z kredowej skały budziły skojarzenia z krajobrazem księżycowym.

Kiedy tylko dobili do portu, wypożyczyli skuter i dotarli nim do domu, który Giacomo wynajmował przez wszystkie te lata, od kiedy odkrył wyspę. Pochylona bryła z białej cegły z tarasem z przodu była położona niedaleko od centrum miasteczka. Spartańska konstrukcja, której zaletą była odległość od morza – mierzona zaledwie kilkoma krokami; by się tam znaleźć, wystarczyło przejść przez żwirową ścieżkę i zejść w dół po kilku kamiennych

stopniach. Tam, zaraz za kępą zarośli i paroma drzewkami strzelającymi w niebo, znajdowała się mała plaża ze złocistym piaskiem. Ponad zatoką, na klifie, wznosił się biały kościółek o drzwiach z błękitnego drewna, który zdawał się stać na straży tego pejzażu.

Właściciel domku zamontował hamak między dwoma konarami cyprysów, zaraz przy skalistym zejściu, obok schodków prowadzących na plażę. W domku znajdował się mały salonik z aneksem kuchennym, przedwojenną lodówką i kanapą, która od biedy mogła służyć za trzeszczące łóżko z dwoma miejscami do spania. Były tam dwie sypialnie – jedna, większa, z łóżkiem małżeńskim, w drugiej, mniejszej, stało łóżko dla dziecka, z sufitu zwisał różowy żyrandol, a na ścianie widniała podobizna wróżki. Łazienka znajdowała się po drugiej stronie salonu: niewielka, bezpretensjonalna, z okienkiem wyglądającym jak obrazek, na którym ktoś wymalował roślinność, niebo i morze. Sielankowy landszaft.

Na zewnątrz ustawiony był grill – Lea od razu zaczęła wyobrażać sobie romantyczne wieczory spędzone przy ogniu, a pod altaną pokrytą wijącym się bluszczem znalazło się miejsce na stół z długą, wygodną ławką i krzesła. W niszach pomiędzy czterema kolumnami a dachem kilka ptasich rodzin uwiło sobie gniazda.

– Nawet nie wiesz, jak potrafią jazgotać, robią piekielny hałas, zwłaszcza z samego rana – zobaczysz, pękną ci bębenki w uszach – zapowiedział Giacomo, widząc, jak Lea, poruszona, wdrapuje się na krzesło, by dostrzec nieśmiały ruch pomiędzy płataniną igieł i gałązek.– Właściciel mówił mi, że chciałby przerobić altanę, żeby zapobiec zakładaniu kolejnych gniazd.

– Co za okrucieństwo – skomentowała Lea, kątem oka dostrzegając nagie jeszcze piskląta wróbla usadowione tuż obok skorupki.

Wiał lekki wiatr, lecz słońce przesuwano się na bezchmurnym niebie, rozpalając do białości kamienną ścieżkę, którą Giacomo, już w kąpielówkach, rzucił się biegiem, by dotrzeć wreszcie do morza i wskoczyć do wody, po czym łapczywie popłynąć daleko przed siebie, aż na głębię.

W pośpiechu rozpakował swój plecak, wyjął zakupy i w chwilę później to małe miejsce wypełniło się jego nieporządkiem, jakby poddało się potulnie jego osobowości. Owoce w lodówce zniknęły na dnie pojemników, ustępując miejsca butelkom piwa i opakowaniu otwartego już serka do kanapek, na który zdążyły spaść okruchy chleba.

A jednak tym razem książki były wyraźnie nieobecne.

– Wyobrażałam sobie, że lato upływa ci w nieodzownym towarzystwie lektury – powiedziała mu Lea jeszcze przed wyjazdem, teraz zaskoczona.

– Kiedy jadę na Andiparos, jedyne, czego mi trzeba, to natura. Morska woda i piasek. W tym roku wystarczy, że dorzucę do tego zapach twojej skóry.

Teraz jednak pobiegł aż do brzegu, by jak najszybciej znaleźć się w wodzie, nie zapraszając jej nawet do tej pierwszej kąpieli.

Gdy do niego dołączyła, on już wrócił i rozłożył się na piasku. Było bardzo cicho, szumiał tylko wiatr, który zdążył już osuszyć jego skórę. Giacomo zdawał się nie patrzeć w żaden konkretny punkt nieba czy morza, lecz w jego pełnych ekspresji oczach malował się również cień udręki, jakby wciąż miał z tą ziemią rachunki do wyrównania.

– Jak woda?

– Jak w wannie – odpowiedział, nie zmieniając wyrazu twarzy.

Wieczorem wybrali się do miasteczka i trafili na ulicę pełną sklepików, w których sprzedawano tkaniny, sandały, bransoletki i skórzane rzemyki. W bladym świetle latarni brukowane uliczki i stare domy w chmurach purpurowego kwiecia, z drewnianymi drzwiami w pastelowych kolorach sprawiały wrażenie żywcem wyjętych z bajki. Zatrzymali się w tawernie na uboczu. Powietrze wewnątrz przesiąknięte było zapachem przypraw i smażeniny. Zamówili retsinę i ośmiornicę w winie, którą Giacomo polecił jej jako najlepsze danie z menu. Wino było lodowate, z mocną nutą piniowej żywicy. Lea nie potrafiła sobie przypomnieć takiej chwili, nigdy dotąd nie doświadczyła czegoś podobnego: niemal idealnej harmonii ze światem, a jednocześnie niezwykłego pobudzenia. Dotychczas nie kąpała się też nocą w morzu. Sama myśl, by zanurzyć się pod ciemną jak smoła powierzchnią wody, nie wiedząc, co znajduje się pod stopami, napawała ją przerażeniem. Tej nocy jednak dłonie Giacomo mogły wszystko, mogły nawet zaciągnąć ją aż na plażę przed domem, poprowadzić po kredowej ścieżce oświetlonej Drogą Mleczną, przecinającą niebo dokładnie nad ich głowami. Wystarczyło im zaledwie kilka gestów, by zsunąć z niej wszystkie ubrania.

Ciepłe poddmuchy północnego wiatru meltemi ucichły nagle, morze było płaskie i skrzyło się, jakby zatoneły w nim wszystkie gwiazdy. Przyjęło ich jak pożądlivy kochanek i w chwilę później płynęli już pośród ciemności stworzonych z wody i nieba. Przenikliwie zimno, jakie poczuła przy pierwszym



kontakcie z morską wodą, ustąpiło miejsca miłym doznaniom, mięśnie rozluźniły się nieco. Leę ogarnął spokój, dryfowała na powierzchni wody, a pukle jej włosów tańczyły dookoła głowy jak u Meduzy.

Giacomo zawrócił w stronę brzegu, dopłynął tam, gdzie można już było sięgnąć stopami dna, chwycił ją za rękę i pociągnął powoli w kierunku plaży. Lea słyszała dochodzący z wody głuchy odgłos jego kroków na piasku, ciała stawiającego niewielki opór falom. Nad głową rysowały się prawie wszystkie konstelacje, jeszcze nigdy nie widziała, by świeciły tak jasno. Pomyślała o porządku rzeczy, który Giacomo objaśniał jej przed laty, wpisanym w niebo, w koniunkcje gwiazd, w wibrację liczb. Poczwała pieśczętę pierwszych ziarenek piasku łaskoczących jej plecy, wreszcie jej głowa wynurzyła się z wody, a ciało wciąż obmywały przybrzeżne fale. Kiedy wyszła na brzeg i położyła się na ręczniku, nie zdążyła nawet poczuć wieczornego chłodu na swojej skórze, bo Giacomo zamknął ją w swym uścisku.

Wspomnienie jego dotyku na jej ciele wciąż żyje w pamięci Lei, tak jak i jego usta smakujące słodkim likierem.

– Kocham cię. – Chciała mu wtedy powiedzieć, czując, jak ich ciała spajają się w jedność niczym brakujące elementy układanki. Przyłgnęła do niego mocno, tracąc powoli świadomość głębokiej nocy panującej dookoła nich.

Na wzgórzu Aghios Ioannis, na południowo-wschodnim brzegu wyspy, znajduje się grotę, którą Giacomo bardzo chciał jej wtedy pokazać. Sięga prawie stu metrów w głąb i kryje w sobie złociste sklepienie z tysiącletnich stalaktytów. Dotarli tam skuterem następnego dnia rano, czując na sobie morską sól i piasek we włosach. Była w nich magia nocy, którą razem spędzili.

Starsza pani w drewnianej budce sprzedawała bilety wstępu, co Giacomo skwitował stwierdzeniem, że przynajmniej natura powinna być dostępna dla wszystkich, bez konieczności płacenia myta.

– Czterysta jedenaście stopni – powiedział Lei. – Kiedyś policzyłem je wszystkie.

Grotę zdawała się pogrążona w samych trzewiach ziemi, lecz tym, co uderzyło Leę, jak tylko tam weszła, były napisy na ścianach. Przy prawie wszystkich widniały daty. Najnowsze ktoś nabazgrał długopisami i mazakami, te starsze zdawały się wyryte w skale.

– Znajdziesz tu słowa poetów, suwerenów i ambasadorów – wyjaśnił jej Giacomo. Wszystkich tych, którzy trafili tu przez ostatnie wieki, tak jak my teraz.

Po tych słowach wyjął z plecaka niezmywalny marker, jakby ten pozornie spontaniczny gest, którego właśnie stała się świadkiem, w rzeczywistości był w pełni zamierzony. Znalazł wolne miejsce na ścianie i zostawił tam swoje świadectwo.

– Co robisz? Nie sądzę, żeby tak było można. – Lea rozejrzała się ostrożnie, niepewna, czy ktoś ich widzi, zastanawiając się jednocześnie, czy to jego pierwszy raz, czy już kiedyś to zrobił, być może w towarzystwie innych kobiet. Inne napisy, inne daty. 1 sierpnia 2008 – zatytułował treść, którą miał zapisać właśnie tamtego dnia: wzór, równanie, które wydało jej się całkowicie niezrozumiałe:  $(\partial + m)\psi = 0$ .

– Co to? – zapytała, wciąż rozglądając się podejrzliwie wokół.

– Równanie Diraca.

– To znaczy?

– Paul Dirac, fizyk, który sformułował je w 1928 roku. To równanie fali opisujące zjawisko możliwej korelacji kwantowej pomiędzy dwoma cząstkami, o których ci mówiłem. Ignoranci mający niewielkie pojęcie o fizyce nazywają je równaniem miłości.

Zrobił przerwę.

– Gdybyśmy byli dwiema cząstkami kwantowymi – ciągnął żartobliwym tonem – teraz, jako że weszliśmy w interakcję, musielibyśmy zostać uznani za jeden układ, nierozdzielny przez całą wieczność.

– Wolałabym, żebyś nie uciekał się do trybu przypuszczającego.

Uśmiechnął się, ale zdawało się, że zdążył już pożałować swojego wyznania. Lea była jeszcze bardziej poważna. Tak bardzo chciała mu coś powiedzieć, otworzyły się w niej pokłady bólu, którego zdołał jej przysporzyć.

– Były takie chwile, przez te wszystkie lata – zaczęła cicho – w których zdawało mi się, że wszędzie widzę twoje imię. Na ulicach, w artykułach w gazetach, miałam wrażenie, że cały świat nazywa się tak jak ty. Może to właśnie ta fizyka kwantowa, może dlatego czasem czujesz w głowie obecność kogoś, kogo fizycznie przy tobie nie ma.

Giacomo spłoszył się wyraźnie, owładnięty paniczną chęcią ucieczki, która od zawsze była jego specjalnością.

– W mózgu znajdują się filtry pozwalające mu wychwycić określoną liczbę danych i eliminować inne – wyjaśnił jej tonem pozbawionego emocji księgowego, który tak dobrze pamiętała z liceum. – Tak zwany filtr rzeczy nieistotnych, który sprawia, że skupiamy się wyłącznie na tym, co szczególnie nas interesuje.

– Na wszystko masz naukowe wyjaśnienie? – odcięła się Lea.

– Ja nie, ale uczeni, którzy chcieli nas oświecić w kwestii funkcjonowania wszechświata, owszem.

– A miłość? Czym jest? Naprawdę można upchnąć ją w jednym równaniu?

– Nie. Tu matematyka nie ma nic do rzeczy.

Spojrzał na nią przeciągle, a jego milczenie było dla niej jak bingo na loterii w lunaparku, jak celny rzut, trafiający w sam środek tarczy. Czekwała, aż jej ulegnie, podda się prawom uczucia. Musiał tylko przyznać, że serca nie da się ujarzmić sterylnymi regułkami, łudziła się też, że widzi wąły cień skruchy w jego oczach, skruchy z powodu tych wszystkich udręk, których był przyczyną. On jednak mówił dalej:

– Miłość to chemia. Przyciąganie dwóch osób zależy od tego, jak łączą się pewne substancje w naszym organizmie. Dopamina, oksytocyna, feromony.

Potrząsnęła głową i prychnęła:

– Jesteś naprawdę nudny, nie mam pojęcia, co w tobie widzę. Ale podsunąłeś mi pomysł na tytuł powieści: „Los dwóch cząstek kwantowych”. Brzmi niezłe, co? – dodała z melancholijnym uśmiechem.

– Właśnie skradłaś tytuł fotografii Matteo, ale próbuj dalej, ciekaw jestem, co by z tego wyszło.

– Nie jestem pewna, czy mam dość talentu. Opublikowali jedno moje opowiadanko w czasopiśmie, i tyle.

– Większość tych, którzy łapią za pióro, nie ma najmniejszego talentu, uwierz mi. Codziennie czytam niewiarygodne bzdury.

– Czy chcesz mi powiedzieć, że skoro nie trzeba być geniuszem, by pisać, to i ja mogę się do tego zabrać?

– Mówię ci, że w ciebie wierzę – odpowiedział, poważniejąc i podchodząc do niej bliżej, jakby szukał z nią kontaktu, jakby cała ta chemia, o której przed chwilą jej mówił, zaczynała dochodzić do głosu. Usta Lei zaczęły rozciągać się w uśmiechu pełnym rozczulenia, a wargi Giacomo zbliżały się coraz bardziej. – I wiesz, że nie mogę się doczekać, żeby się dowiedzieć, co stanie się z cząstkami kwantowymi z twojej powieści.

– Ja też bardzo chciałabym to wiedzieć.

W ich pocałunku w zaciszu tamtej jaskini, równie gwałtownym i żarliwym jak wszystkie inne, były też jednak czułość i spokój, smak morza.

Wrócili do domu żądni tego, by zespolić swoje ciała z dala od skał i ostrych kamieni grotty. Nie zdążyli dotrzeć do sypialni, gdy uwagę Lei przyciągnęło pisklę wróbla, które spadło z jednego z gniazd uwitych pod dachem altany.

– Musimy coś zrobić – powiedziała poruszona.

Giacomo schylił się, by podnieść pisklę, lecz w porę zagroziła mu drogę.

– Co robisz?

– Chcę go włożyć z powrotem do gniazda.

– Jeśli go dotkniesz, jego rodzice nie rozpoznają już jego zapachu i nie dadzą mu więcej jeść.

– Kto ci to powiedział?

– Wiem o tym. Kiedy byłam małą dziewczynką i zdarzało mi się znaleźć pisklę, robiłam sztuczne gniazdo, na przykład z pudełka po butach. Wsadzałam maleństwo do środka, ustawiałam pudełko pod lampą, żeby było w nim ciepło, i dawałam pisklakowi okruszki chleba do jedzenia. Wiesz, ile udało mi się ich ocalić?

Giacomo uśmiechnął się delikatnie.

– Okruszki chleba – powtórzył. – Chyba teraz nie zamierzasz zrobić tego samego? – Zapytał sarkastycznie.

– Tak, chcę je uratować.

– Uratujemy je, jeśli włożymy je z powrotem do gniazda – odparł, jakby nie słyszał jej słów. I bez ceregieli chwycił wróbelka w dłoń.

Pisklę było nagie, nie miało jeszcze piór, drżało. Lea patrzyła na nie z żalem i rezygnacją, gdy Giacomo podsuwał sobie krzesło, by włożyć wróbla do gniazda.

Kiedy nogi Giacomo znów dotknęły ziemi, chciał ją pocałować, lecz ona, w odruchu smutku i złości, odwróciła się i poszła położyć się na hamaku.

Przez kilka minut kołysała się łagodnie, wpatrując się w błękit nieba wyzierający zza liści.

– Zrobisz mi trochę miejsca?

Lea tkwiła w bezruchu, nie przeszkodziła mu jednak, gdy układał się obok niej.

– Jesteś moją małą dziewczynką, wiesz – powiedział, gładząc ją po policzku.

– A ty jesteś ten niedobry. – Przybrała dziecinny ton, a uśmiech na jej twarzy walczył z obrażonym grymasem.

– Chcę trochę okruszków chleba, można? – przedrzeźniał ją Giacomo, szczebiocząc tak błazeńsko, że doprowadził ją tym wreszcie do śmiechu.

Nagły dźwięk dzwonka i głos dobiegający z kabiny pilotów informujący o zbliżającej się strefie turbulencji są dla Lei jak wstrząs, który wyrywa ją gwałtownie ze wspomnień i sprowadza z powrotem do kabiny samolotu.

Zaczyna rosnąć w niej strach, pocą jej się ręce, głowa pulsuje bólem. Patrzy na siedzenie obok, które teraz jest puste. Obecność Vittorio podniosłaby ją z pewnością na duchu.

Przypomina sobie, że kiedyś wrócił do domu z ulotką reklamującą kurs prowadzony przez chińskiego lekarza, który obiecywał pomóc pokonać strach przed lataniem. Vittorio podczas dwóch pierwszych spotkań siedział ze sceptycznym wyrazem twarzy w przerobionej na gabinet graciarni Clark Quay – odcinku bulwarów oddzielających Colonial District od Chinatown – podczas gdy wyżej wspomniany lekarz nauczał ich techniki oddechu, zaplatając kciuk z palcem serdecznym, by wykorzystać mózgową falę theta i wejść w stan harmonii z rytmem uderzeń serca. Vittorio stosował się do poleceń prowadzącego z głupkowatą miną, a jednocześnie okazywał Lei wiele czułości – było jasne, że jest tam tylko dla niej. To właśnie podczas tego kursu Lea usłyszała po raz pierwszy o So Wen – starożytnej chińskiej księdze rytuałów, teorii Shen, której elementy postanowiła później wykorzystać w swojej powieści.

– Wyobrażasz to sobie? – powiedziała Lea na koniec kursu. – Jesteśmy mnogością małych Shen pochodzących z jednego wielkiego zbiornika i któregoś dnia powrócimy do wszechświata. Mnogość małych części, nieświadomych tego, jak blisko są ze sobą związane.

Vittorio patrzył na nią niepewnie.

– Mam tylko nadzieję, że wszystkie te pieniądze, które wydaliśmy, powstrzymają cię od łykania kropelek następnym razem.

– Jeśli tylko będziesz obok mnie, nie będzie takiej potrzeby.

Samolot nie przestaje podskakiwać. Lea usiłuje oddychać, splatając palce tak, jak została tego nauczona. Czuje, jak mocno bije jej serce, i wyobraża sobie zawieszony w nim Shen, cząstkę światła wspierającą ją w misji, którą

ma spełnić w życiu. Według tamtego lekarza nic nie dzieje się przypadkiem, a my przechodzimy przez ten świat i usiłujemy odnaleźć właściwą ścieżkę. Jakie znaczenie miało dla niej Andiparos i to, co czuła wtedy do Giacomo?

To przyjazd Matteo wszystko zmienił. Był jak obcy element, który zagnieżdża się w pozornie stabilnym systemie i go zmienia. Ich skuter ustąpił miejsca czerwonemu Mehari z kasetą Miny w odtwarzaczu, która tkwiła tam Bóg wie od kiedy. Dzień później pojechali po niego do portu.

Miał dotrzeć tam na pokładzie barki, która wypływała z Paros o piątej po południu. Łódź przygotowywała się do cumowania, a Matteo, ze swoim aroganckim wyrazem twarzy i burzą blond loków rozwianych przez wiatr, uśmiechał się do swojego przyjaciela i machał mu z mostku kapitańskiego.

Nie był sam, przywiózł ze sobą mieszkającą w Atenach Polkę o imieniu Angelika. Nie było w niej nic z anioła – wręcz przeciwnie: miała kruczoczarne włosy, tatuaż układający się w tribalowy wzór na łopacie i wystrzępione dżinsowe spodnie odsłaniające połowę wyrzeźbionych pośladków. Nie wyglądała na jego dziewczynę, nie zdawała się też jednak zwykłą koleżanką.

Nie po raz pierwszy spędzali wakacje we trójkę, Lea zdała sobie z tego sprawę, gdy obserwowała ich powitanie w porcie. Widoczne w gestach nieme porozumienie i poufałość szybko sprawiły, że poczuła się tam zbędna.

Kiedy już znaleźli się w samochodzie, Matteo, przekrzykując słowa i dudniącą muzykę *Città vota* Miny, zaczął wychwalać przezorność Angeliki, która miała ze sobą cały kolorowy inwentarz substancji odurzających. Choć Lea nigdy nie odkryła w sobie ciągoty do alkoholu ani do narkotyków, pomyślała, że w towarzystwie Giacomo mogłoby to się okazać zabawnym doświadczeniem. Jedno było pewne – skarbica Angeliki była zapowiedzią zupełnie innych planów wakacyjnych niż te, które realizowali aż do teraz.

Dom szybko wypełnił się cudzym bałaganem. Kremy i kosmetyki do makijażu Lei wkrótce zostały wciśnięte na samo dno szafki, a na nich wylądowała pękata kosmetyczka Angeliki, pełna kosmetyków z supermarketu, kolorowych buteleczek i krzykliwej biżuterii zakupionej pewnie na bazarze. Rzuciła swoją torbę na pojedyncze łóżko w różowym pokoiku z wrózką na ścianie, obiecując, że opuści pole bitwy już za trzy dni, kiedy wyruszy na Santorini, by dołączyć do kolejnej grupy przyjaciół.

– Przez trzy dni będę jednak waszą córeczką i będziecie musieli się mną zajmować – wymruczała zmysłowo po angielsku, rozsmarowując sobie balsam

na gładkiej oliwkowej skórze.

Wzrok Matteo skupił się na jej małym i jędrnym biuście, po czym zwracając się do Lei, powiedział:

– Czyli znów się spotykamy, hm?

Od chwili, kiedy się widzieli, czyli od kolacji z Giacomo w centrum Rzymu, minęło osiem lat, a teraz w jego głosie pobrzmiwały nuty wyzwania i prowokacji, która zaznaczyła się jeszcze wyraźniej, gdy dodał:

– Zabrał cię na swoją wyspę. Nie wszystkie tu zabierał.

– Nigdy nie myślałam, że startuję w jakimś konkursie – odparła sucho, chociaż obiecała sobie, że zrobi wszystko, by w ich wakacyjnym domu panował spokój.

Matteo wstał i przez chwilę patrzył jej nieruchomo w oczy, po czym podszedł do Giacomo, by pomóc mu przy rozpalaniu grilla. Lea obserwowała z dystansu, jak swobodnie rozmawiają, lecz do wyobcowania, które dopadło ją już w samochodzie, teraz dołączyło poczucie zagrożenia.

Po kolacji wybrali się na główny plac miasteczka. Wstąpili do lokalu o ścianach z białej cegły, gdzie przyłączyli się do pary Francuzów, których znała Angelika, oraz do dwójki Meksykanów, znajomych Giacomo i Matteo. Wyspa, która jeszcze chwilę temu zdawała się czarującym tłem romantycznej schadzki we dwoje, najwyraźniej zmieniła oblicze i stała się terenem oddziaływania złożonych mechanizmów grupowych.

Jeden z Francuzów opowiadał bajkę o greckiej księżniczce. Zakochała się w cudzoziemcach, którzy przyjeżdżali do niej w odwiedziny co roku latem. Każdemu z nich ofiarowała kawałek swojego serca. Kiedy cudzoziemcy postanowili wyjechać, zabrali ze sobą podarunki. Księżniczka umarła zaraz po tym, gdy zostawiła ostatni kawałeczek serca ostatniemu cudzoziemcowi, którego nie udało jej się przekonać, by został wraz z nią na wyspie. Giacomo zabił tragizm opowieści, gdy wtrącił:

– Serce powinno być jak jaszczurka – powiedział. – Kiedy ktoś odrywa jej ogon, wie, jak sprawić, by odrósł na nowo. – Wszyscy, z wyjątkiem Lei, się roześmiali.

Giacomo zdawał się pochłonięty przybyciem znajomych do tego stopnia, że Lea musiała zabiegać o jego zainteresowanie. Odwracał wzrok, gdy szukała jego spojrzenia, na próżno próbowała przyciągnąć jego uwagę porozumiewawczym uśmiechem. Był jakiś pobudzony, nieuważny. Musieli coś zażyć zaraz po kolacji. Jego błyszczące oczy były rozbiegane.

– Też chcesz? – Angelika zapytała Leę, pokazując jej przezroczystą torebkę z białym proszkiem, która wystawała z jej kopertówki.

– To nie dla niej – wtrącił się Giacomo, nie pozostawiając jej czasu, by odpowiedziała sama za siebie.

– Robię to, na co mam chęć – fuknęła poirytowana Lea.

– Och, tatuśku. Jaki jesteś słodki! – Skomentowała Angelika, przesuważąc palcem po jego podbródku. W odpowiedzi Giacomo przygryzł opuszkę jej palca. W odpowiedzi na jego gest Lea podniosła się gwałtownie od stołu, mówiąc Angelice, że jest gotowa pójść z nią do łazienki, by wciągnąć kreskę kokainy, którą ta jej proponowała.

– Niesforna dziewczynka – skarcił ją Giacomo.

– Tylko dlatego, że też mam ochotę się rozerwać?

– Ty taka nie jesteś.

– Ty z kolei jesteś większym moralistą, niż kiedykolwiek sobie wyobrażałam.

– Martwię się tylko o ciebie.

– Chyba już trochę za późno.

Na twarzy Matteo pojawił się przygłupi uśmiezek.

– Nie macie chyba zamiaru kłócić się właśnie w tej chwili? – Przesunął kolejny kieliszek w stronę przyjaciela, łaskocząc Leę w łokieć poufałym gestem, jak pierwszoroczniczkę, która przeszła wszystkie próby i wreszcie została dopuszczona do braci wakacyjnej.

Giacomo przechylił trzeciego szota wódki i skinął głową, a Angelika puściła Lei oko na znak zgody.

Kiedy wróciły z łazienki chwilę później, Angelika chciała tańczyć. Miała w sobie hipnotyzującą wręcz siłę zdolną poderwać z miejsc wszystkich obecnych w lokalu. Lea przez chwilę pozazdrościła jej energii, którą promieniowała, naturalności i nonszalancji, jej samej zazwyczaj niedostępnych.

– I jak? Jakby jutra miało nie być?

Giacomo podniósł się pierwszy, skłonił się ceremonialnie i podał jej dłoń. Lea była zazdrosna o jego naturalność i wesołość, którą potrafił okazać Angelice. Pod wpływem alkoholu i narkotyków, w towarzystwie tej beztrudnej, bezczelnej dziewczyny, i on stawał się nagle lekki, w pełni swobodny.

Niedługo potem dotarli do niewielkiej dyskoteki nad morzem, która



nazywała się „La luna”. Spartańskie zdumiewające miejsce z drewnianym barem i rzędem prostych stolików ustawionych w półokrąg. To właśnie tam Giacomo przetańczył w przeszłości większość swych greckich nocy u boku Angeliki, Matteo i innych przejezdnych postaci. A teraz nagle znaleźli się tu wszyscy, wraz z Leą, i teraz podrygiwali w rytm muzyki.

W pewnej chwili Matteo przyciągnął ją do siebie w tańcu. Był pijany, podekscytowany otwartą sytuacją, w której wszystko w każdej chwili mogło się zmienić, jakby dla Giacomo naturalne było dzielenie się z nim wszystkim, nawet kobietą. I Lea nie stanowiła wyjątku.

Czuła serce walące w piersi, pędzące w narkotykowym galopie do nieznaney mety. Pomyślała, że gdyby ktoś zamienił się z nią teraz na serce, to pewnie by umarł. Własny umysł wydawał się jej odległy, jakby nie był połączony z resztą, a może tylko to sprawiało, że jeszcze trzymała się na nogach? Giacomo, tańczący niedaleko nich, zupełnie obojętny wobec prowokacyjnych ruchów swojego przyjaciela, wpędzał ją w jeszcze większą paranoję. Miała wrażenie, że gdyby teraz poszła do łóżka z Matteo, może Giacomo patrzyłby na to podniecony. Ta nagła myśl sprawiła, że Lea znieruchomiała, oddaliła się od grupki i przestała tańczyć.

Nie mogła już dłużej być pewna tego, co działo się dookoła niej, obawiała się, że wszystko, co widzi, to tylko kokainowe urojenia. Z ciężkim oddechem poszła usiąść na niskim murku otaczającym budynek. Giacomo podszedł do niej, ale ani na chwilę nie przestał tańczyć, poruszał rękoma w rytm muzyki.

– Nie chciałaś przypadkiem się rozerwać? – Rzucił z sarkazmem. – No dalej! – Dodał rozkazującym tonem, wyciągnął ręce i zaczął ją ciągnąć w stronę pozostałych.

Lea jednak potrząsnęła głową, stawiając opór:

– Jestem zmęczona.

Zaczynało świtać. Giacomo zaproponował, by przenieść imprezę na ich plażę. W domu mieli odtwarzacz i głośniki, mogli też się wykąpać.

Wrócili do białego domku położonego tuż przy morzu. Dołączyli do nich znajomi Francuzi i Meksykanie, którzy raz po raz wyjmowali butelki wódki i rumu.

Lea patrzyła na nich wyczerpana. Na stole zrobiło się ciasno od kieliszków, wszędzie walały się skręty. Przeprosiła wszystkich i powiedziała, że idzie spać.

Kiedy opadła na łóżko, była tak senna, że nie przeszkadzały jej ich wybuchy

śmiechu, brakowało jej jednak wtulonego w nią ciała Giacomo. Miała ochotę wrócić tam i krzyknąć mu prosto w twarz:

– Jak długo jeszcze masz zamiar ciągnąć ten cały cyrk? Jeśli chcesz się ode mnie uwolnić, dlaczego nie powiesz mi o tym wprost?

Zasnęła, przełykając złość, która paliła ją w gardle.

Obudziła się kilka godzin później. W domu panowała głucha cisza, którą zakłócało tylko rozdzierające ćwierkanie ptaków dopominających się o poranny posiłek. Lea zajrzała do pokoiku z wróżką i zobaczyła, że łóżko Angeliki pozostało nietknięte, a góra jej ubrań nadal piętrzy się na pościeli – poczuła, jak gęstnieje jej krew, i skierowała się do salonu.

Matteo leżał nieruchomo w poprzek tapczanu. Jedna noga Angeliki przerzucona przez biodra zakrywała jego nagość. Spała obok niego i miała na sobie tylko dół od kostiumu.

Na ławce na zewnątrz leżał jeden z Meksykanów, chrapiący z otwartymi ustami, obojętny na ptasi jazgot. Po Giacomo nie było śladu.

Lea odwróciła się w stronę morza i zobaczyła, jak buja się w hamaku, ze spuszczoną nogą. Nie spał, a skrzyżowane ramiona założył za szyję.

– Jest jedenasta, a ty wciąż nie poszedłeś spać?

– Godzina to tylko konwencja. Powinniśmy wszyscy nauczyć się od czasu do czasu o niej zapominać – miał zachrypnięty głos i oczy wciąż zasnutę mgłą narkotyków.

– Zamierzasz więc spędzić pozostałe tygodnie tak jak tę noc? Czy nie można mówić o tygodniach, skoro czas to tylko konwencja?

– Byłaś taka sama, kiedy miałaś dwadzieścia lat.

Lea nagle zapragnęła go spoliczkować. Z trudem się przed tym powstrzymała.

– Taka sama, to znaczy jaka? Stara? Nudna?

– Ty to powiedziałaś. – Podniósł do góry ręce, jakby zrzucał z siebie poczucie winy. – Nie mam ochoty na dyskusję. Może chcesz się koło mnie położyć?

– Myślałam, że nie znajduję się już na liście twoich pragnień – odparła Lea, lecz w tonie jej głosu pobrzmiwała już pobłażliwość, pozwoliła mu nawet złapać się za rękę.

– Nieznośna jesteś, wiesz? – Roześmiał się.

– I kto to mówi... Czuję się zobowiązana, by przypomnieć ci, że...  
– Zobowiązana, zobowiązana... – Przerwał jej i przyciągnął do siebie. – A może byśmy sobie wyobrazili, że nie istnieją zobowiązania? Tylko impulsy, pragnienia?

Lea opadła na hamak, zanurzyła się w ciepłe jego piersi i próbowała odgonić od siebie przykre myśli, podczas gdy on ciągnął dalej:

– Tak niewiele trzeba, by uleciały w jednej chwili. Życie odbiera nam wszystko, Lea, i nie ma w nim możliwości zwrotu.

– A tobie co takiego odebrało?

Myślał przez chwilę, zanim odpowiedział:

– Nic niezbędnego do życia. Oprócz marzeń. Możliwe, że marzenia kończą się w chwili, gdy umiera ktoś, kto nauczył cię marzyć.

Lea podniosła głowę, szukając jego wzroku. Oczy Giacomo nagle zrobiły się małe i smutne.

– Masz na myśli swojego ojca? – zapytała.

– Mojemu ojcu nic do tego.

Giacomo patrzył w dal, na morze.

– O kim mówisz?

– O Lorenzo. – Westchnął.

– Lorenzo, twoim koledze z tego zdjęcia sprzed lat? Nigdy mi o nim nie opowiadałeś.

W jego nieruchomym spojrzeniu wbitym w horyzont dostrzegła niemą walkę: pragnienia, by o tym opowiedzieć, ze strachem.

– Co mu się stało?

Grymas niechęci przemknął po twarzy Giacomo. W jego oczach błysnęło ledwo zauważalne oskarżenie, jakby to ona mogła mieć coś wspólnego z całą tą tajemniczą historią.

– Lorenzo kochał literaturę, filozofię – zaczął. – Był najbardziej inteligentną osobą, jaką kiedykolwiek poznałem.

– Musiał być z was niezły duet.

– Nierozłączni... prawie. – W jego „prawie” usłyszała cień poczucia winy.

– Co mu się stało?

Odetchnął głęboko zanim zeskoczył z hamaka.

– Stało się tyle, że życie to podła dziwka – odparł i stało się jasne, że zamierza wrócić do domu i zakończyć rozmowę o przyjacielu. – Czasem miewa oczy tak piękne jak twoje, a jest tak podłą dziwką, że zasługuje na

śmierć.

– O kim mówisz?

W jego nieruchomym wzroku na ułamek sekundy pojawił się strach.

– Przesadziłem trochę wczoraj wieczorem. Z alkoholem i z całą resztą – przyznał, usiłując zrobić bardziej dobroduszną minę. – Jest prawie południe, muszę odpocząć.

– Mówiłeś, że godzina to tylko konwencja.

– Lea, ja pieprzę strasznie dużo głupot. A ty powinnaś się nauczyć je rozpoznawać.

Ledwo Giacomo ułożył głowę na łóżku, a już spał jak zabity. Kolejne godziny były dla Lei jak więzienie. Nie mogła wziąć samochodu ani ruszyć piechotą w popołudniowym słońcu, nie wiedziała nawet, jaka odległość dzieli ją od portu. Gdziekolwiek próbowała się usadowić: czy w domu, czy na werandzie – wszędzie natykała się na śpiących i chrapiących uczestników wczorajszej imprezy. Kiedy zaczęli się budzić, właśnie wybiła piąta. Ich pierwsze powolne, nieskoordynowane ruchy w oparach alkoholu i krótkie, niejasne wymiany zdań – Lea przyjęła jak wyzwolenie. Tak bardzo pragnęła odnaleźć magię ich pierwszego wieczoru z Giacomo – zajęła się przygotowaniem kącika tylko dla nich dwojga, zrobiła kawę i sałatkę owocową, by wypełnić czas oczekiwania. Ale on nie raczył nawet spróbować jedzenia.

Niedługo potem wcisnęli się wszyscy do samochodu i pojechali na plażę, z której roztaczał się widok na niewielką łachę piasku, mikroskopijną wysepkę o nazwie Dipla. Ulokowali sprzęt grający, ręczniki i swoje rzeczy osobiste w gumowym pontonie i ruszyli przez płyciznę, gdzie woda sięgała im do piersi, żądni przygody, dzicy.

Giacomo w wodzie chwycił Leę za rękę, uśmiechnął się do niej. Być może i on chciał odnaleźć porozumienie, które towarzyszyło im na wyspie, przynajmniej taką Lea miała nadzieję, powstrzymując nawroty złego humoru, jakby rzuciła wyzwanie samej sobie. Chciała – musiała – stawić czoło wszelkim trudnościom, a to był właśnie czas próby. Oswoić zniecierpliwienie i przejąć kontrolę nad niepewnością. Myśl, że prędzej czy później ona i Giacomo zostaną wreszcie sami, pomagała jej się zrelaksować. Teraz maszerowała w ciszy po morskich algach i od czasu do czasu na jej twarzy

gościł uśmiech. Pozostali zdawali się uśpieni, wciąż walczyli ze zmęczeniem poprzedniej nocy.

Kiedy dotarli na plażę na drugą stronę wodnego przesmyku, morze wyglądało jak złociste lustro, w którym za chwilę utopi się słońce.

– Jestem w raju. – Matteo westchnął, opadając bezwładnie na ciepły piasek.

My byliśmy w nim z całą pewnością, dopóki ty się tu nie pojawiłeś, pomyślała Lea, spoglądając na Giacomo, który znów biegiem rzucił się do morza. Gdy stał już po szyję w wodzie, odwrócił się, by na nią spojrzeć, lecz udała, że nie zrozumiała tego zaproszenia, i usiadła na ręczniku plażowym.

Choć miała ogromną chęć, by do niego pobiec i przeskakiwać razem przez fale, wiedziała, że musi się zatrzymać i zastanowić nad strategią działania. Nie mogła pozwolić sobie na kolejny błąd, te wakacje były jej trzecią szansą. Przez wszystkie te lata usiłowała deptać Giacomo po piętach i teraz musiała odnaleźć sposób, by to on zechciał się do niej zbliżyć.

Zrozumiała, że zrobiła właściwy ruch, kiedy zobaczyła, jak ze zdumieniem w oczach zawraca w jej stronę.

Podpłynął do brzegu jak rekin, a kiedy jej nogi znalazły się już w zasięgu jego ręki, chwycił ją za kostkę i próbował, dla żartu, ciągnąć ją ze sobą. Dostrzegła cień nabożnego uwielbienia w wyrazie jego twarzy, a mimo to, z uśmiechem, po raz pierwszy mu się oparła i odmówiła.

Giacomo ukląkł przed nią i ucałował jej łydkę. Gdyby Lea nic wtedy nie powiedziała, prowokowałby ją pewnie dalej, po czym wróciliby do domu, by się kochać, i żadna z rzeczy, które wydarzyły się tej nocy, z pewnością nie miałyby miejsca.

A jednak przemówiła, i to był niewłaściwy ruch.

– Obiecuj mi, że dziś wieczorem zostaniemy w domu – w jej głosie pobrzmiwało błaganie.

– Costas ma dzisiaj urodziny. Jasne, że wychodzimy.

– Ale ja ledwo żyję.

– Ja się obudziłem trzy godziny temu i mam w sobie mnóstwo chęci do życia, Lea. To moje wakacje.

– Dlaczego nie chcesz spędzić ich ze mną? Myślałam, że to nasze wakacje.

Odpowiadał jej wciąż cierpliwie i spokojnie:

– Zróbmy tak: odprowadzę cię do domu, kiedy tylko zrobisz się senna, i nakryję cię kołdrą w pokoju wróżki. A później do ciebie wrócę, jak skończymy świętować. Tylko ty jesteś moją małą dziewczynką.

– Wolałabym być twoją kobietą – powiedziała. – I chciałabym, żebyś ze mną został.

– Przyjechałem tu też po to, by pobyć z Matteo i całą resztą, żeby się odprężyć. – Jego odpowiedź dobiegła do niej już z daleka: wychodził z wody, by dołączyć do pozostałych i zaciągnąć się skrętem, którego właśnie skończyli dla niego przygotowywać. Giacomo był zupełnie obojętny na niepokój, który rósł w sercu Lei.

Wydarzenia kolejnych godzin są w jej pamięci jedynie wspomnieniem zasnutym dymem.

Po zachodzie słońca pożegnali się z Diplą i wsiedli do samochodu. Słowa piosenki Miny *La voce del silenzio* wypełniały całą niewielką przestrzeń: *I nagle już rozumiesz, że cisza ma twarz wszystkich twoich niepowetowanych strat*. Gdy przyglądała się, jak Giacomo prowadził auto, zdała sobie sprawę, że te słowa przenikają go na wskroś i pozostawiają nietkniętym. Jego już nie było.

Nie było go również później, kiedy dotarli do lokalu na plaży, gdzie ogłuszyła ich muzyka. Nie było go, gdy pozwolił, by jeden z Meksykanów odwiózł Leę do domu, bo on musiał pojechać na drugi koniec wyspy po kolejnego znajomego. Nie było go, kiedy Lea, rozdrażniona ciszą tej samotni i zaniepokojona odgłosami nocy, w impulsywnym geście łyknęła jedną z kolorowych pastylek z zawiniątka Angeliki i postanowiła wrócić sama w nocy po ciemnej drodze, by odnaleźć lokal, w którym ich zostawiła. I wreszcie go zobaczyła, z daleka, w pozycji pólężącej na jednym z wielkich pufów rozłożonych na piasku. Angelika siedziała na nim okrakiem, wijąc się jak wprawna striptizerka; a Matteo tańczył zapamiętale i ocierał się o jej plecy. Za nimi morze wbijało się falami w klify, a księżyc podświetlał jego spienione fale. Lea zwolniła kroku, by przyrzyć się dokładniej całej scenie. Widziała wyraźnie, jak dziewczyna klęka przed Giacomo, patrzyła na jej bezczelną twarz dziwki, gdy jego ręce obejmowały ją coraz mocniej, a usta wbijały się w jej wargi. Zobaczyła Matteo, który stał tuż za nimi i rechotał. Widziała lub tylko to sobie wyobrażała, jak język Giacomo oplata język Angeliki, a ręce Matteo wędrują po jej nagich udach. Inni znajomi podchodzili do nich, ich dłonie muskały jej skórę. Wyobraziła sobie, a może zobaczyła wygłodniałe oczy Giacomo zionące pustką, bezustannie wpatrzone w jej oczy,

i wszystko zdało jej się sennym koszmarem, który jeszcze potęgował połknięty przez nią kwas. To wszystko zapierało jej dech w piersiach.

Wróciła do domu, by czekać na świt. Miała nadzieję, że słońce odnajdzie ją szybciej niż oni. Chciała uciec, biec w kierunku portowej kei, by wsiąść na pierwszy odpływający stateczek. Zapach zgnilizny unosił się we wszystkich pomieszczeniach – sałatka owocowa, którą przygotowała, wciąż stała na stole, i zdążyła już skisnąć w letnim upale. Lea chwyciła za miskę, w której znajdowały się owoce, by je wyrzucić, i oczy zaszyły jej łzami – całe jej życie psuło się tak jak one. W tej samej chwili dostrzegła pisklę wróbla drżące w agonii pod gniazdem, z którego spadło dwa dni temu. Przyglądała mu się w bezruchu. Po raz pierwszy widziała na własne oczy śmierć.

Wyrwała kartkę z jednego z zeszytów Matteo, rozejrzała się za długopisem i wreszcie, bez zastanowienia, zaczęła pisać.

„Zwracam się do chłopaka, z którym przeżyłam swoją pierwszą kąpiel pod gwiazdami”, napisała, „ponieważ mężczyźnie, którego dzisiaj przyłapałam w dyskotekę z inną, nie mam zupełnie nic do powiedzenia. Ten człowiek nie zasługuje na ani jedno słowo”. Łzy kapały gęsto na papier, rozmazując atrament i zaciemniając białe miejsca pomiędzy literami. „Może i jestem zraniona, lecz nareszcie odchodzę. Wolna od żalu, lecz przede wszystkim wolna od mojej upartej chęci, by Cię dla siebie mieć za wszelką cenę: chęci, którą pielęgnowałam w sobie przez wszystkie te lata. Nigdy nie widziałam Cię tak daleko od miejsca, w którym ja się teraz znajduję. Byłam głupia, wierząc, że mogę dzielić z Tobą swoje życie, że mogę Ci coś ofiarować. Nie zdołałbyś dostrzec i docenić niczego z tego, co pragnęłam Ci dać, i nic nie wyszłoby Ci na dobre.

PS Dziś w nocy z gniazda wypadło pisklę. Umarło na moich oczach, w męczarniach, i po chwili już były na nim mrówki. Czasem wystarczy jeden dotyk, by kogoś potwornie skrzywdzić”.

Wsunęła mu list pod poduszkę. Nie obchodziło jej zupełnie, że ktoś inny może go przeczytać. Kiedy świt pokrył złotymi promieniami brzegi Andiparos, ruszyła drogą prowadzącą z domu Giacomo do portu. Ani na chwilę nie mogła przestać płakać. Po raz trzeci uciekała od mężczyzny, który zranił jej duszę. Przypomniła jej się księżniczka z bajki, którą słyszała na wyspie, a kiedy stateczek kursujący co godzinę pomiędzy Andiparos a bliźniaczą wyspą Paros odbijał od brzegu, pomyślała, że jej serce nie jest jaszczurką i nic nigdy nie odrośnie z jego brakującego skrawka.

Nie zadzwonił do niej ani nie odpisał na jej list. Jak zawsze. A fakt, że nie dał o sobie znać, dowodził, że przeczytał to, co mu napisała, i nie zmartwił się zbyt jej zniknięciem.

Porzucić go, i to w taki sposób, było najtrudniejszą rzeczą, którą kiedykolwiek zrobiła. W chwilach słabości nachodziła ją niepewność. Zniknęła i nie dała mu nawet okazji do wyjaśnień, do obrony. Tamtego wieczoru był całkowicie zamroczony, a ona nie okazała mu ani krzty wyrozumiałości. W głowie jednak huczały jej słowa Bianki:

– Całe szczęście, że brałaś wcześniej kwas. Gdybyś była trzeźwa, pewnie nie posłałabyś go tak szybko do wszystkich diabłów.

Lea jednak nie potrafiła w pełni zaakceptować stanowiska przyjaciółki: w jej oczach Giacomo był zagubiony, niepewny, a ona mimo wszystkiego, co się stało, tak bardzo chciała go uratować. Gdyby tylko dał jej tę możliwość, gdyby dopuścił ją bliżej do siebie – była pewna, że nikt tak jak ona nie zdołałby zrozumieć jego ciemnej strony. Niewykluczone jednak, że on potrzebował więcej czasu, by to pojąć.

Bianca mówiła jej o ranach narcystycznych, wyzierających zza zbroi, za którą skrył się Giacomo i za którą czuł się bezpieczny. Jej zdaniem rozprawił się z miłością, jeszcze zanim ją spotkał, choć na swój sposób próbował stworzyć z Leą relację damsko-męską. A jednak w związek trzeba wejść bez pancerza ochronnego. On sobie z tym nie radził i dlatego nawet najłżejszy podmuch mógł skłonić go do ucieczki. Bianca była świetną psycholożką i godzinami mogła ciągnąć swoje analizy: mówiła o samcach alfa, przywiązaniu ambiwalentnym, intersubiektywnym modelu związku. Nie miała jednak pojęcia, co naprawdę oznacza przyjąć mężczyznę w swoim ciebie i poczuć wreszcie jedność z samą sobą. Nie mogła mieć pojęcia, co oznaczają bezsenne noce spędzone na wczytywaniu się w jego profil na Facebooku, telefon milczący głucho przez cały sierpień, nie wiedziała, jak to jest nie móc jeść, i spalać się w oczekiwaniu na to, że on się odezwie.

Wreszcie w pierwszych dniach września wiadomość na komórce. Giacomo przesyła jej załącznik na skrzynkę pocztową: *II Koncert Fortepianowy Chopina*. Nic więcej.

– To sadystyczne – mówiła Bianca. – A jeśli do niego zadzwonisz, to znaczy, że jesteś masochistką. Pełna autodestrukcja – dwa freudowskie przypadki, jota



w jotę. To właśnie wy dwoje. – Ciągnęła, usiłując wywołać uśmiech na jej twarzy. – A czy ty w ogóle coś jesz? Niedługo wcale cię nie będzie.

Nawet karty nie dawały jej żadnych nadziei. Matka Bianki, wdowa, stawiała Tarota i oddawała się medytacji transcendentalnej, jeszcze zanim stało się to modne. Gratulowała Lei odwagi, dzięki której zdołała uchronić się przed upadkiem w przepaść, nie potrafiła jej jednak pocieszyć.

– To przepaść, skarbie, głęboka przepaść – mówiła, przekładając karty Tarota, które ułożyły się nie po jej myśli. – Nie wygrzebiesz się już, jeśli w nią spadniesz.

Facebookowy profil Giacomo ożywił się na początku września i niemal natychmiast stał się nową obsesją Lei. Nie mogła się powstrzymać przed tym, by patrzeć, o której godzinie on jest zalogowany i kto pisze na jego profilu. Pełno było komentarzy ładnych dziewczyn, komentujących zapamiętałe i „lubiących” jego posty. Bianca i jej matka przy każdej okazji sugerowały Lei, żeby usunęła go z listy znajomych, ona jednak nie potrafiła zdobyć się na ten gest, nawet jeśli był tylko wirtualny. Szpiegowała go tam bezustannie, by na tej wątpliej podstawie, jaką jest portal społecznościowy, próbować zgadywać, co się u niego dzieje, i sklejać w myślach brakujące części tak obcego już dla niej życia.

Lea chudła w oczach. Kiedy wskazówka wagi zaczęła pokazywać czterdzieści pięć kilogramów, Bianca zdołała przekonać matkę Lei, by ta zapisała ją na scenopisarstwo w London Film Academy. Dobrze zrobiłaby jej zmiana otoczenia, argumentowała. A nauka pisania prawdziwych scenariuszy w miejsce tych wymagowanych z Giacomo w roli głównej, mogłaby okazać się dużo bardziej użyteczna.

Rano, w dzień wyjazdu, Lea wydała się Biance zagubiona jak ptaszek, którego Giacomo chwycił w dłoń i na powrót włożył do gniazda. Szczelnie otuliła przyjaciółkę płaszczem, poleciła jej dzwonić jak najczęściej i zakazała smuć się londyńskimi mgłami. Jej matczyna opiekuńczość pozostała niezmienna także w dniu ślubu, prawie dwa lata później. Kiedy poprawiała kwiaty we włosach Lei, kazała jej uśmiechać się do zaproszonych gości, których na tę okazję udało jej się zaciągnąć aż na Bali: kilku starych przyjaciół w rolach świadków oraz jej rodziców, którzy piętnaście lat po rozwodzie wciąż nie odzyskali nawet pozorów serdeczności we wzajemnych kontaktach.

I to właśnie podczas swojej ostatniej panieńskiej nocy Lea znalazła w sobie odwagę, by wyznać Biance, że ona i Giacomo wciąż są znajomymi na

Facebooku, i choć nigdy ze sobą nie rozmawiali, nadal zdarza jej się zaglądać na jego profil, opublikować zdjęcie ze swojego życia wyłącznie dla Giacomo i wyobrazić sobie, jak na nie zareaguje. W głębi duszy żywiła nadzieję, że rozpali w nim ciekawość i skłoni go do nawiązania rozmowy. I wreszcie wydarzyło się coś, co spędzało jej sen z powiek, a teraz, w przeddzień swojego ślubu, musiała z kimś o tym porozmawiać.

Kilka miesięcy wcześniej opublikował *II Koncert Fortepianowy Chopina* z komentarzem: „Wciąż tu jesteś, a może nigdy stąd nie znikniesz”. Wstrząsnęły nią te słowa. Uchwyciła się myśli, że Giacomo zwraca się do swojego ojca, byle tylko nie budzić w sobie nadziei na ich ponowne spotkanie. Pamiętała, że chwilę przed tym, kiedy zagrał jej to po raz pierwszy, wspominał o ojcu. Była o krok od podjęcia decyzji, która raz na zawsze miała zmienić bieg jej życia, a jednak nie potrafiła przestać się głowić nad tym, kto był adresatem tego zdania.

– To coś bardzo ważnego, Lea – skarciła ją Bianca. – To nie dzień, w którym ktoś zrobi wam kilka zdjęć, by wrzucić je później na Facebooka i podrażnić kogoś, dla kogo już od dłuższego czasu nie powinno być miejsca w twojej głowie... Musisz naprawdę go wykasować, zwłaszcza ze swojego życia i ze wszystkich cholernych portali społecznościowych. Vittorio cię kocha, nauczył cię znowu się uśmiechać, a ja jestem szczęśliwa, że bierzecie ślub, nawet jeśli będziesz musiała przeprowadzić się do Londynu na stałe i nie będziemy mogły się tak często widywać. Ale myślę, że i ty właśnie tego pragniesz, więc się z tego ciesz. Bo tego chcesz, prawda? Ostrożnie, Lea, jeżeli tak nie jest, obróć się na pięcie i zmykaj. A jeśli zdecydujesz się zostać i stanąć przed balijskim pseudoołtarzem, który tam dla ciebie wybudowali, musisz raz na zawsze zapomnieć o Giacomo.

Gdy Lea wsłuchiwała się w słowa Bianki, przypomniało jej się pewne późne popołudnie. Po czterech niekończących się godzinach zajęć z middle point – co w scenopisarstwie oznacza moment iluminacji głównego bohatera, który dostrzega możliwe rozwiązanie swojego dylematu – biegła w ulewnym londyńskim deszczu, by znaleźć schronienie pod dachem przy przystanku Piccadilly Circus. Vittorio trzymał pod pachą zadziwiająco suchy, zważywszy na warunki atmosferyczne, egzemplarz „The Economist” i miał na sobie ciemny nieprzemakalny prochowiec. Widziała go wtedy po raz pierwszy – wyglądał na spokojnego mężczyznę, który nie ma żadnych tajemnic. Jasne włosy zaczesane na bok i gładkie jak u nastoletniego chłopaka policzki.

Prostokątna aktówka ze skóry kryła w sobie historię o dyplomie amerykańskiej wyższej uczelni, o błyskotliwej karierze w kancelarii prawnej. W oczach mężczyzny błąkał się błysk sympatii. Zdawało się, że ma ochotę powiedzieć: niech mi pani da rękę, proszę się wesprzeć na moim ramieniu, niech pani już nigdzie dalej nie idzie; zastanawiam się, jak można było tak długo wytrzymać, ile trzeba do tego odwagi...

Są ludzie, którym całe życie upływa na oczekiwaniu na takie właśnie spojrzenie. I Lea je znalazła. Vittorio to jej *middle point*.

Tak, Vittorio od zawsze motywował ją do tego, by zrobiła kolejny krok, a słysząc słowa Bianki, Lea domyśliła się, że nie może ryzykować tego, że go straci, za sprawą czyjś cienia, który mógłby tylko odebrać jej wyczekiwany happy end.

I tak jak w jednym z hollywoodzkich filmów, które Giacomo darzył głęboką pogardą, kolejnego ranka Lea w lekkiej sukience z białej misternej koronki stanęła przed ołtarzem na plaży. Przez sekundę w jej uszach zabrzmiało dalekie echo fortepianu grającego koncert Chopina, zamknęła jednak oczy i przegnała tę myśl z taką samą determinacją, jaką znalazła w sobie kilka godzin wcześniej, gdy wybrała opcję: „usuń z grona znajomych” przy zdjęciu bezczelnej twarzy człowieka, który naznaczał jej życie przez prawie dwadzieścia lat.

Turbulencje nie wstrząsają już samolotem, który leci teraz nad Oceanem Indyjskim. Vittorio zazwyczaj zasypia na tym odcinku trasy. Teraz jednak siedzenie obok niej jest puste. Całe szczęście, przemyka Lei przez myśl, bo nie zniosłaby czyjś chrapania u swojego boku w tak intymnej przestrzeni, którą od zawsze dzieliła wyłącznie ze swoim mężczyzną. Ale gdy spogląda w ciemność przez bulaj, myśli, że jeśliby samolot naprawdę miał spaść, nie miałyby nawet do kogo wypowiedzieć swoich ostatnich słów, nie miałyby z kim podzielić się strachem ani poprosić o dodanie otuchy. Zginęłyby całkiem sama.

Sama też wychodzi na spotkanie przyszłości, o której od zawsze marzyła. Nie czas na złe przeczucia – wraca do Rzymu, by wydać swoją pierwszą powieść, i wciąż wydaje się jej to wręcz nieprawdopodobne. Nadzieja, która zmienia się w rzeczywistość. Nigdy jej się to wcześniej nie przytrafiło, nie zdążyła się przyzwyczaić. A przecież wie, że kiedy ciemności za oknem

rozświetlają się błękitem, zaden cień nie zdoła tak naprawdę nią wstrząsnąć. Teraz dzieli ją od ziemi dziesięć tysięcy metrów, które rozszczelniają nieco jej hermetyczną pewność, nie może jednak oddać się perwersyjnej pokusie, by pisać powieść o własnym życiu.

Kiedy sporządzała listę wydawnictw, do których miała wysłać swój maszynopis, wzięła pod uwagę to, że może przypadkiem trafić na Giacomo. Raz jeszcze poczuła na sobie wzrok Wszechświata – gigantycznego małża Einsteina, wpatzonego w każdy szczegół tekstu, w dobór każdego przymiotnika. Stara jak świat potrzeba zabiegania o akceptację.

Od swej nocy poślubnej więcej już o nim nie słyszała. Mogło się okazać, że wyjechał na misję do Afryki lub zwyczajnie źle skończył – był przecież zranionym do głębi człowiekiem ze skłonnościami do depresji.

Lea wyeliminowała Gandini z listy wydawnictw, by uniknąć krępujących sytuacji i niefortunnego spotkania. Giacomo był jak jedna z tych blizn, które szczypią od czasu do czasu, kiedy na dworze robi się wilgotno. Można zatrzeć ręce, by mrowienie pełzające jak wąż po skórze wreszcie ustało. Wydawnictwo, które zainteresowało się jej książką – De Carlo, było niszową oficyną. Najprawdopodobniej pracują tam młodzi, pełni zapału redaktorzy, jeszcze nieskażeni znudzeniem. Lea nie ponosi więc żadnego ryzyka, pod warunkiem że samolot, którym podróżuje, wyląduje w jednym kawałku. By odgonić myśl, że tak się nie stanie, chwyta buteleczkę z kroplami na uspokojenie i pozwala, by spłynęły jej pod język, choć obiecała mężowi, że spróbuje się obejść bez nich. Musiała jednak dotrzymać słowa tyłu przysięg, które niejednokrotnie chciała złamać... Niedługo potem czuje, jak zamykają jej się oczy, nie ma już w niej strachu przed miejscem, w którym dane jej będzie unieść powieki.

W strefie przylotów na lotnisku w Singapurze przyjezdnych wita tablica z napisem: *Jeśli spędzisz tu ponad 15 minut, masz prawo do rekompensaty.* Prawdziwą pewność można uzyskać, wydostając się z Changi w jeszcze krótszym czasie, odbierając bagaż i podstemplowany paszport, choć oczekiwanie na tym lotnisku przypomina wakacje w rajach i można by zostać tu na wieczność. Oczekiwanie na rzymskim Fiumicino oznacza z kolei niepewny i uciążliwy postój przed pustą taśmą bagażową, która kręci się w kółko. Pracownicy o zdezorientowanych twarzach nie są zdolni do udzielenia pasażerom żadnej precyzyjnej informacji, a standardy tu panujące dobrze oddaje sprzątaczką, która bezmyślnie żuje gumę, niedbale oparta o rozklekotany wózek.

Lea siedzi na metalowej ławce i czeka, aż na taśmę wyjedzie jej czarna walizka. Wpatruje się w linoleum na posadzce upstrzone brudem i grudkami gumy do żucia. Nigdy wcześniej nie zauważyła, ile ich tu jest – w Singapurze amerykańskie gumy są zakazane, nie można ich nigdzie kupić ani tym bardziej sprowadzać z zagranicy. Posadzka lotniska Changi pokryta jest miękką czerwoną wykładziną w złote arabeski, tak nieskazitelną, że każdy, kto się po niej przechadza, zaczyna myśleć, jak to możliwe, że można utrzymać ją w takiej czystości.

Po godzinnym oczekiwaniu na bagaż Lea wychodzi z lotniska i myśli o prezydencie Lee Kuan Yewie, o tym, jak jego postać zmaterializowała się na jej oczach na przyjęciu u państwa Van Der Meer. A przecież podczas tamtego, na pozór przewidywalnego, wieczoru doszło do tak nieoczekiwanego zwrotu wydarzeń, jakim było spotkanie z Lin Yu.

I teraz go widzi, zupełnie wyraźnie. W jego oczach maluje się zdumienie, idzie tuż obok niej. Przed postojem taksówek stoi zniechęcający ogonek podróżnych, a kilku podejrzanych typów podchodzi do niej, żeby zaproponować przewóz do miasta.

Bianca wyłączyła telefon. Lea miała nadzieję, że dojrzy jej roześmianą buzię

gdzieś pośród oczekujących, w końcu jej przyjaciółka kocha niespodzianki. Tymczasem jednak musi ustawić się w kolejce do taksówek, która wydaje się nie mieć końca.

Rzym wydaje się jej bardziej zaniedbany, niż zapamiętała: fasady kamienic pokrywa łuszcząca się farba, a wszechobecne talerze satelitarne zakłócają jej poczucie estetyki. Niektóre części miasta sprawiają wrażenie opuszczonych. Na chodniku stoi Fiat Cinquecento, z którego ktoś ukradł wszystkie cztery koła. Samochód wspiera się na kupkach kamieni, zdaje się zawieszony w powietrzu jak zwykły wrak, kawałek błyszczącego złomu. Bianca, Andrea i trójka ich dzieci mieszkają niedaleko piazza Vittorio. We wspomnieniach Lei dzielnica nie była aż tak wieloetniczna jak teraz. Nawet w Singapurze nie widziała tylu Azjatów zgromadzonych w jednym miejscu. Taksówkarz z trudem znajduje miejsce postojowe. Lea zastanawia się, jak Biance udaje się przetrwać w tej miejskiej dżungli każdego dnia w jej passacie kombi.

Dociera pod starą kamienicę w stylu eklektycznym. Oddycha głęboko, przymykając oczy, szuka zapachów z przeszłości, lecz zalewa ją tylko fala smrodu, odoru moczu i śmieci. Ktoś otworzył bramę wejściową, na zewnątrz już zrobiło się ciemno, a telefon Bianki milczy jak zaklęty. Lea zaczyna się zastanawiać, czy przypadkiem coś się nie stało.

Na ostatnim piętrze, przed drzwiami mieszkania, panuje nienaturalna cisza. Lea upuszcza walizkę na ziemię, dotyka palcami skroni, a następnie naciska na dzwonek. Odgłos kroków, kobieca dłoń pojawia się w ciemności w uchylonych drzwiach. Nagle zapala się światło i niewielki tłumek znajomych twarzy krzyczy do niej z salonu: Niespodzianka!

Rozpoznaje twarz swojej matki, która ma wilgotne oczy, Bianki, Andrei i ich dzieciaków.

Jakiś czas później, gdy rozkłada stary tapczan, zaczyna myśleć, że może pokój Stelli pełen elfów namalowanych na suficie, który zaproponowała jej Bianca, to całkiem kusząca opcja.

Pokój dzienny przypomina krajobraz po bitwie. Lea wyczuwa pod stopą wymemłaną kość dla psa. W kuchni króluje ogromna lodówka pokryta mnóstwem magnesów, obrazków i wiadomości, która wydaje z siebie przeraźliwe buczenie. Od strony sypialni dobiega piosenka *Mam tę moc z Krainy lodu* i wysoki głos Bianki, która zwraca się do córki:

– Stella, nie masz chyba zamiaru oglądać tego po raz setny o tej godzinie? – Lee Kuan Yew ma wciąż ten sam zdumiony wyraz twarzy, z którym podróżował taksówką, kiedy przesuwa opakowanie pieluszek porzucone na krześle i zasiada wygodnie, by ze spokojem i smakiem przyjrzeć się tej scenie.

W Singapurze właśnie świta. Tego ranka Lea miała zgłosić się do szpitala Mounth Elisabeth na pierwszą ultrasonografię, dzięki której i przed nią wrota do świata smoczków i butelek stanęłyby otworem. Wizyta u pani doktor Jong była umówiona na dziesiątą. Vittorio o tej godzinie nie będzie mógł myśleć o niczym innym. I choć tak bardzo tęskni za przytłumioną ciszą swojego pokoju i mężem u jej boku, w tej chwili myśli, że jedyne miejsce, w którym pragnie teraz być, to salon Bianki. Zastanawia się też, czy byłaby już w stanie otulać kogoś kołdrą, czy raczej ona sama wciąż potrzebuje kogoś, kto układa ją do snu.

## 10

Jak się mają sprawy z Vittorio? – pyta Bianca następnego dnia rano, przeciskając się przez sznur samochodów na bulwarach Tybru z brawurą godną nastolatka na skuterze.

– Zdążyłam zapomnieć, jaki burdel panuje w tym mieście – komentuje Lea, wpatrując się w niekończący się korek za oknem samochodu.

– Zmieniasz temat?

– Co takiego?

– Nawet nie wspomniałaś o Vittorio. Od kiedy przyjechałaś, nie powiedziałaś o nim ani słowa. Powinnam zacząć się martwić?

– Nie, wszystko jest w porządku.

– No, nie wiem... Jakoś mnie twoja mina nie przekonuje.

– Może dlatego, że mało spałam i jestem wciąż skołowana od jet lagu.

– Wczoraj też taką miałaś.

– Co takiego miałam?

– Minę, nieprzekonującą. Znam cię, Lea. Jesteś pewna, że wszystko okej?

– Tak samo pewna, jak tego, że ten dostawczak, który próbuje skręcić w uliczkę po prawej, nigdy tego nie dokona – odparła, wskazując białą furgonetkę piekarza.

Po chwili jednak czuje, że dawne nawyki biorą nad nią górę, spogląda na przyjaciółkę i wzdycha głęboko.

– No już, dawaj, Lea.

– Czy to byłaby potworna niewdzięczność, gdybym ci powiedziała, że nie jestem aż tak szczęśliwa, żyjąc w raju? – Przyznała ze zmęczonym uśmiechem.

– A jest tak naprawdę?

– Tak. Nie ma tam rzeczy niemożliwych, lecz wszystko ma swoją cenę. No, może wciąż nie znaleźli sposobu na wilgotność powietrza. Czasem jest naprawdę nieznośna.

– Rozmawiałaś już o tym z mężem?

– Jest szczęśliwy w swojej firmie i daje z siebie wszystko, chociaż pracuje



w dziwnych godzinach, cóż, taki etap kariery. Aż do teraz miałam moją książkę, gdybym się tam nie przeprowadziła, to nigdy pewnie bym jej nie napisała. Zawsze można znaleźć jakieś jasne strony.

– A skoro teraz twoja jasna strona zostanie wydana we Włoszech, to co będzie dalej?

Lea nie ma dość czasu na odpowiedź, bo Bianca wciska gaz do dechy i uderza dłonią w klakson.

– Popierdoliło cię, debilu? – wrzeszczy. – Czy ty widzisz, ilu tu jest idiotów za kółkiem?! – Wykręca gwałtownie z zatarasowanej drogi z pewnością siebie, której brakowało jej jeszcze kilka lat temu.

– Głupia dziwka! – wrzeszczy ktoś w odpowiedzi, gestykulując zapamiętane przez okno samochodu, a Lea przygląda się całej tej scenie z drwiącym uśmiechem, wspominając anielski spokój mieszkańców Singapuru. Owszem, ich dni także naznaczone są pośpiechem, jednak oni zawsze pamiętają o właściwym zachowaniu i szacunku dla innych. Kiedy samochód Bianki jest już na tyle daleko, że nie słychać miotanych pod jej adresem wyzwisk, do Lei dociera, że od wielu lat żadne przekleństwo nie przeszło jej przez gardło. Jej koleżanki z Singapuru pewnie nigdy nie wypowiedziały czegoś podobnego nawet w myślach. A jednak nie przeszkadza jej ten koncert na klaksony i poirytowane tłumy osób zdolnych wybuchnąć w każdej chwili.

– Czy ty jesteś pewna, że chcesz wrócić do tego piekła? – Pyta Bianca chwilę przed tym, gdy mechaniczny głos nawigacji satelitarnej oznajmia: Jesteś u celu.

Siedziba wydawnictwa De Carlo znajduje się w dzielnicy Prati, w starej kamienicy z pomarańczową elewacją i ogromnym dziedzińcem wewnętrznym – na jego środku zasadzono pinie, która wystrzeliła wysoko w niebo, ponad sąsiednie dachy. Gdy Lea przecina podwórze, rośnie w niej nabożny wręcz strach. Przechodzi przez klatkę B i dociera na drugie piętro budynku.

Przez otwarte drzwi widać szarobłękitne pomieszczenie pełne regałów, piętrzących się papierów i plakatów reklamujących książki. Lea zawsze uwielbiała stylistykę ich okładek, dyskretną elegancję w doborze grafiki.

Sekretarka spogląda na nią pytająco zza biurka zawalonego dokumentami, trzymając przy uchu słuchawkę starego telefonu.

– Przepraszam na chwilę – mówi, po czym zasłania słuchawkę dłonią. –

A pani do kogo?

- Do pani Cotronei. Jestem Lea Federici, byłam umówiona.
- Ostatnie drzwi w głębi. Już na panią czeka.

Grazia Cotronei nie wygląda na redaktor naczelną, sprawia raczej wrażenie nauczycielki z podstawówki – dobrotliwe i cierpliwe spojrzenie spod kasztanowej grzywki, szarografitowa garsonka i para błękitnych czółenek na małych i drobnych stopach. Jest pewnie jeszcze przed czterdziestką. Na jej widok Lea czuje, jak napięcie, które zbierało się w niej aż do tej chwili, powoli zaczyna opadać.

Kobieta wychodzi jej naprzeciw z serdecznym uśmiechem, choć gabinet jest tak mały, że mogłaby to sobie darować i wcale nie podnosić się zza biurka. W powietrzu unosi się zapach papieru.

- Napije się pani czegoś?
- Nie, dziękuję.
- Przede wszystkim chciałabym pogratulować – mówi jej. – Nigdy nie byłam w Singapurze, a dzięki pani mam ochotę się tam wybrać.

Lea wreszcie zaczyna się rozluźniać, uśmiecha się i ma wrażenie, że całe jej życie było wyłącznie oczekiwaniem na taką właśnie chwilę.

- Kawał dobrej roboty, naprawdę.
- Dziękuję – Lea czerwieni się i opuszcza wzrok.
- Nie powinna mi pani dziękować, ja tak myślę. W przeciwnym razie nie byłaby pani tutaj. – Uśmiecha się i wyjmuje z szuflady grubą kopertę. – Będzie pani miała okazję spokojnie przyrzeć się proponowanej przez nas umowie. Czy ma pani swojego agenta literackiego?

Agent. Lea uśmiecha się z zaciśniętymi ustami, nawet nie pomyślała, że powinna sobie jakiegoś poszukać.

- Nie, nie mam.
- Cóż, pozostawiam pani wolną rękę w sprawie konsultacji.
- Oczywiście, tak właśnie zrobię – odpowiada potulnie Lea, chociaż miałaby ochotę podpisać umowę od razu, nawet bez czytania.
- Jeden z naszych redaktorów podsunął nam pani maszynopis – wyjaśnia naczelna, kartkując klauzule zapisane w umowie. – Plan jest taki, że popracujecie razem przez dwa miesiące, wygładzicie tekst przed publikacją, którą przewidujemy, tak jak pisałam w e-mailu, na połowę stycznia. To

doświadczony redaktor, od wielu lat w branży, i mieliśmy to szczęście, że niedawno udało nam się go zwerbować.

Lea cieszy się jej zapewnieniem, nie może się już doczekać, kiedy pozna osobę, która poprowadzi ją przez redakcyjny szlak nowicjuszeki.

– Poza tym zna panią – dodaje Cotronei po chwili, a jej słowa spadają na ziemię jak szkło. – Mówił mi, że przepytował panią na pierwszym egzaminie na studiach. Proszę pomyśleć, jak życie potrafi zaskakiwać.

Umysł i ciało Lei cofają się w czasie o trzy lata, kiedy do Singapuru dotarło tsunami. Czuje, jak podłoga pod krzesłem, na którym siedzi, rozstępuje się i mroczny wir wsysa ją do środka; jej członki, kości, wszystkie organy wewnętrzne rozpływają się i zjeżdżają na samo dno ogromnego leja. Przełyka ślinę, nie jest w stanie wydusić z siebie ani słowa. Ma wrażenie, że krew spowalnia w jej żyłach, i gdyby nie bijące mocno serce, pewnie by zemdląła.

Redaktor naczelna musiała zauważyć wrażenie, jakie wywarła na Lei jej wypowiedź: kąciki ust rozciągające się dotąd w uśmiechu opadły teraz, a pomiędzy jej brwiami wykwitła zmarszczka konsternacji. Z pewnym zakłopotaniem usiłuje wyjaśnić:

– Miałam na myśli Giacomo Valentiego. – Wstaje od biurka, by wypełnić niespodziewaną ciszę, która zapadła w pomieszczeniu. – Ale to nic złego, że nie pamięta go pani. Chociaż wygląda pani tak młodo, minęło pewnie wiele lat. Miał już tu być, wyjdę na sekundę zobaczyć, co się z nim stało. – I po chwili zamyka za sobą drzwi.

Lea zostaje sama. Jej puste spojrzenie wbite jest w regały znajdujące się za biurkiem redaktor naczelnej, których nawet nie widzi. Nie może się ruszyć, jej nogi zmieniły się w dwie drewniane kłody i czuje się, jakby ten ciasny pokój nagle zaczął się kurczyć wokół niej, jak pętla zaciskająca się na szyi skazańca.

Przesuwa nerwowo dłońią po włosach, usiłuje je wygładzić, przerzuca z boku na bok, a jednocześnie myśli o zmęczeniu, które pewnie maluje się na jej twarzy, o zmarszczkach w kącikach oczu, które dziś rano zdawały się liczniejsze niż zwykle. Ileż to razy marzyła, że jeszcze kiedyś go spotka. Ile razy liczyła, że to się stanie i ile razy miała nadzieję, że wreszcie przestanie tego pragnąć. Ileż scen odtworzyła w wyobraźni, na ulicy, w tłumie ludzi, w restauracji czy w sklepie. Ile kwestii powtarzała sobie w głowie, ćwiczyła, by odnaleźć właściwy ton głosu. Teraz nie potrafi go sobie przypomnieć, nie wie, jaką zrobić minę, bo zwykły przypadek sprawia, że to on pojawia się na jej drodze z nieoczekiwaną, ale charakterystyczną dla niego arogancją.

Gdy Giacomo staje w drzwiach z plikiem papierów pod pachą, które, jak domyśla się Lea, są jej maszynopisem, zdaje się, że zegar zaczyna gwałtownie się cofać i czas płynie wstecz. Nie zatrzymuje się w Grecji ani w kawalerce przy via dei Serpenti, ani w mieszkanku przy vicolo del Divino Amore, pędzi jeszcze dalej, do pierwszej klasy liceum, korepetycji z matematyki w pokoju na końcu korytarza w domu jego rodziców. Lea naciąga rąbek spódnicy, by ukryć bliznę na kolanie, a Giacomo dłuższym kosmykiem włosów zasłania przyszcze na czole. Lea wciąż dostrzega dystans i szorstkość dziewiętnastolatka w mężczyźnie, dla którego świat zawsze był wrogim miejscem i który teraz wyciąga do niej rękę w formalnym geście powitania i mówi: „Dzień dobry, Lea”, a jednocześnie emanuje z niego pewność osoby, może nie tyle usatysfakcjonowanej osiągniętymi celami, ile dumnej z konsekwencji życiowych wyborów. Ma wciąż bujne i długie włosy, wyraźnie krótszą, starannie przyciętą brodę przetykaną siwizną. Jego źrenice to dwie szpilki błyskające zza zmrużonych oczu, nakrytych cięższymi nieco powiekami, jest ubrany w białą koszulę ze stójką. Nawet nie tak bardzo pomiętą.

– Nie fatyguj się – dodaje, zanim Lea zdoła znaleźć siły i czas, by zaryzykować ruszenie się z miejsca. Jedyne, na co ją stać, to niepewnie wyciągnięta ręka, która nie przestaje drżeć.

– Cześć – wydobywa się z niej zachrypnięty głos.

W uszach słyszy natrętne brzęczenie i odnosi wrażenie, że wszystkie dźwięki otoczenia nagle się wytłumiły. Docierają do niej tylko słowa redaktor naczelnej.

– To właśnie nasz redaktor, Giacomo Valenti – mówi, jakby trzeba było jeszcze to potwierdzić. – Jeśli nie macie nic przeciwko, zostawię was samych, byście porozmawiali o książce – oznajmia i kieruje się do wyjścia. – Pójdę do twojego biura, Giacomo. Naprawdę miło mi było panią poznać, Lea. Zostawiam panią w dobrych rękach.

Przy pożegnaniu Leę nagle nachodzi potrzeba, by dotknąć obrączki, która lśni na jej serdecznym palcu. Ścisną ją mocno, żeby się uspokoić i odnaleźć w niej siłę i spokój, które Vittorio od zawsze jej przekazuje.

Po chwili jej nowy redaktor zasiada po przeciwnej stronie biurka, a kiedy zamykają się drzwi pokoju, rozciąga wargi w ostrożnym uśmiechu.

– Ileż to lat minęło? – pyta.

Będzie siedem w sierpniu, mogłaby mu odpowiedzieć, ale zamiast tego rzuca ogólnikowe i kategoryczne:

– Dużo. – Stara się nie pokazać po sobie żadnych emocji i zdobywa się na odwagę, by powiedzieć: – Myślałam, że pracujesz wciąż w Gandini. Nie spodziewałam się, że spotkam cię tutaj. – Przypomina sobie chwilę, kiedy z bólem serca postanowiła wykreślić Gandini z listy wydawnictw, do których zamierzała wysłać książkę.

– Gandini bardzo się rozrosło przez ostatnie lata, zmieniło się. Rzeczywistość pełna zależności... – wyjaśnił Giacomo. – Tam, gdzie jest rozwój, pojawiają się komplikacje. Tu czuję się bardziej wolny, zmotywowany. Koniec końców przeniosłem się tylko kilka bloków dalej w tej samej dzielnicy. Nie to co ty, trafiłaś na drugi koniec świata – dodaje, wpatrując się w nią tak intensywnie, że Lea opuszcza wzrok.

Giacomo odzywa się po krótkiej chwili, spoglądając na maszynopis leżący w teczce na biurku.

– Sądząc po tym, co piszesz w książce, łatwo w Singapurze o poczucie wyobcowania. Choć żyje się łatwo i wygodnie. – Jego spokojny głos, swobodna pozycja, jaką zajmuje na krześle, i palce splecione na piersi sprawiają, że czuje się jeszcze bardziej osamotniona. W tonie jego głosu wyczuwa prowokację, którą ma maskować to, że jest bardzo rozmowny.

– To rzeczywistość pełna zależności. A tam, gdzie rozwój, pojawiają się komplikacje, jak sam powiedziałeś – zręcznie odparła Lea, którą przepełniał teraz żal.

Dzień, który, jak wydawało się jej jeszcze kilka minut temu, miał należeć do najpiękniejszych dni jej życia, zaczyna zmieniać się w koszmar. Syrena odbijającego od brzegu promu miesza się z melodią sirtaki w uszach dziewczyny o oczach pełnych łez, którą czeka jeszcze wiele złości i rozczarowań. Przez wszystkie te lata zdołała oddalić się od tamtej dziewczyny, którą zostawiła na mostku, teraz jednak obawia się jej powrotu i niespokojnie wierci się na krześle, jakby nie chciała robić jej miejsca. Nie zamierza znów dać się przygnieść.

Giacomo otwiera maszynopis i powraca do swojej roli wprawnego redaktora.

– Przeczytałem to kilka razy – zaczyna spokojnym tonem. – I chciałbym omówić z grubsza to, co nie przekonuje mnie w strukturze powieści. W częściach, które nadają się do druku, zaznaczyłem, co jest do poprawy, dopisałem kilka sugestii. Jeśli zabierzemy się do roboty, nie powinno nam to zająć zbyt wiele czasu. – Zakłada okulary w szylkretowych oprawkach, dzięki

którym zdaje się bardziej uważny i bardziej zdystansowany, kiedy przegląda tekst.

– Jak widzisz, trochę tu nabazgrałem – sili się na dowcip. – Chciałbym zacząć od tytułu, jeśli nie masz nic przeciwko.

– Czy tego zazwyczaj nie zostawia się na sam koniec?

– Jasne. Zakładam, że będziemy mieli dość czasu, by znaleźć taki, który spodoba się nam obojgu, ale na przykładzie tytułu, który umieściłaś w egzemplarzu autorskim, chciałbym wyjaśnić, co moim zdaniem ogranicza tę powieść.

– Ogranicza? – powtórzyła Lea pytająco, ściskając oparcie krzesła.

Ma wciąż spięte plecy. Nie wie, czy bardziej wyprowadza ją z równowagi cała ta nierealna sytuacja, czy poczucie wyższości Giacomo.

– *Dzienniki ekspatki* odwołują się do koncepcji komedii romantycznej – tłumaczy jej. – A twoja powieść nią nie jest. Choć czasami niebezpiecznie się do niej zbliża. Niektóre decyzje bohaterki są zbyt oczywiste, inne wydają się mocno dyskusyjne, choćby to, że w finale postanawia poślubić swojego przyjaciela prawnika i zamieszkać tam na stałe, choć przecież to miejsce zupełnie jej nie odpowiada. Jestem pewien, że twoją ambicją było coś bardziej wyszukanego niż zwykłe romansidło.

Jego słowa wzbudzają w Lei nagłą głęboką niechęć. Już przy jego pierwszych uwagach jest przekonana, że mają całkowicie odmienne zdanie.

– A cóż jest takiego złego w romansidłach? – dopytuje Lea. Po raz pierwszy naciska na niego z taką asertywnością, choć dobrze wie, że to jego działka.

– Nic, tyle tylko, że romansidła zupełnie mnie nie interesują. Ale nie o to tu chodzi. Chcesz uderzyć w komediowy ton i jednocześnie spłaszczasz swoich bohaterów, pozbawiasz ich głębi. Amelia jako postać nie idzie w żadną stronę, nie rozwija się. Zdaje się, że nie jest tak naprawdę świadoma samej siebie. Czasem przypomina dziecko, które potrzebuje wsparcia, to niewolnica idei romantycznej miłości, która sprawia, że wiecznie czuje się więźniem, po którejkolwiek stronie świata zdecydowałyby się zamieszkać. I wreszcie mężczyzna, któremu w końcu udaje się ją zdobyć: jest jednowymiarowy, nie ma w nim złożoności, jakichkolwiek ciemnych stron. Musi nieustannie mieć kontrolę nad wszystkim, włacza swoje życie w ciasny program. Bohaterowie funkcjonują lepiej, kiedy mogą poruszać się na kilku płaszczyznach, gdy ukrywają traumy lub strach, które determinują ich zachowanie; jeśli występują dwie przeciwne postawy.

Mówi do niej, poważny i rzetelny, być może nieco uszczypliwy, i cały czas wpatruje się w nią intensywnie zza szkieł okularów. Z jego oczu łatwo wyczytać, że to, co mówi, nie dotyczy tylko powieści, to wyraźna aluzja do jej życia. Lea się zastanawia, czy redaktorzy zawsze mają monopol na rację i mogą tak bezpardonowo wygłaszać swoje opinie. Niepokój, który zaczęła odczuwać, zanim Giacomo wszedł do pokoju, wreszcie znajduje uzasadnienie: jest zapowiedzią rychłej wojny. I choć Lea bardzo pragnie ujrzeć swoją wydaną już powieść, uświadamia sobie, że czeka ją droga pełna przeszkód.

– Jest jeszcze jeden powód – ciągnie Giacomo. – Najciekawsza część książki dotyczy Singapuru, ich prezydenta, przedstawionego tak, jak sobie go wyobraziłaś. Na podstawie twoich opisów zdołałem niemal zobaczyć, jak jechał na rowerze, a jego obstawa podążała za nim: jak zatrzymywał się przy każdym, najmniejszym nawet klombie na peryferiach, żeby sprawdzić, czy wszystko z nim w porządku. Domyślałem się też, że historia o jego nieodłącznej czerwonej aktówce jest prawdziwa. Aż do jego śmierci nikogo nie obchodziła jej zawartość, a później okazało się, że nosił tam notes, w którym zapisywał wszystkie, najdrobniejsze nawet uwagi na temat swojego państwa-ogrodu.

Choć ton głosu Giacomo powoli łagodnieje, Lea nadal trzyma gardę, siedzi wciąż sztywno, nie ufa mu.

– Tak właśnie pisali w gazetach i tak mi o nim opowiadali – odpowiada lakonicznie.

– Tytuł *Człowiek z czerwoną aktówką* nie brzmiałby najgorzej – dodaje Giacomo.

– Mnie kojarzy się z nostalgiczną powieścią o komunizmie.

– A czy Singapur nie jest symbolem kapitalizmu? – Giacomo uśmiecha się. – Nie byłoby źle, co? Z największych konfliktów rodzą się najciekawsze opowieści, historie, które pozostawiają po sobie ślad. Studiowałaś scenopisarstwo, pewnie o tym wiesz.

Jasne, zawsze to powtarzali w jej londyńskiej szkole: „Nie istnieje wielki film bez wielkiego konfliktu”. Lea wylicza w myślach: *Łowca androidów*, *Chinatown*, *Pół żartem, pół serio*, wszystkie te tytuły, których bohaterowie walczą niezmordowanie na wszelkie możliwe sposoby ze swoimi wrogami. Giacomo przegląda jej rękopis. Te strony, które jego zdaniem należy napisać na nowo, zakreślił wcześniej od góry do dołu wężykiem. Znów zaczyna zachowywać się tak, jakby stał za katedrą, prowadząc wykład, tylko że tym razem Lea nie zamierza mu już na to pozwolić.

– Czego ode mnie chcesz?  
– W jakim sensie? Próbuję tylko dobrze wykonać moją pracę.  
– Nakłaniając mnie do napisania nowej książki?  
– Nie, nie, źle mnie zrozumiałaś – staje się ustępliwy i próbuje naprawić pierwsze nie najlepsze wrażenie. – Chciałbym tylko spróbować wydobyć z powieści to, co najlepsze. Zakochałem się w niektórych momentach, choćby w tym, gdy ona, stojąc w korku pomiędzy wszystkimi tymi luksusowymi samochodami, patrzy na robotników budowlanych stłoczonych jak bydło na pacy półciężarówki i napotyka ich zrezygnowane i zarazem groźne spojrzenia. Bardzo dobrze to opisujesz. Chciałbym pogłębić nieco kontrasty w tym pozornie perfekcyjnym systemie panującym w Singapurze. Moim zdaniem nie przemyślałaś tego wystarczająco.

W Lei narasta irytacja, jest bliska wybuchu:

– Nie zamierzałam pisać powieści politycznej, jeśli o to ci chodzi.

Giacomo wznosi brwi, teraz jest wyraźnie zmieszany.

– Żadnych powieści politycznych. Chciałbym tylko, żebyś dotarła do sedna niektórych kwestii. – Kładzie nacisk na słowo „sedno”, a jego twarz przybiera jeszcze bardziej niejednoznaczny wyraz. – W niektórych wątkach świetnie ci to wyszło. Pojawia się tam bardzo ciekawa koncepcja miłości, która ofiarowuje nam możliwość zrozumienia samych siebie. Amelia wierzy, że jej misją na ziemi jest przeżyć duchową miłość, trudno o bardziej rozbijającą tkliwość. I godną pozazdroszczenia naiwność. – Teraz jego oczy zdają się mówić bezpośrednio o niej.

– Paul Valéry zwykł mawiać, że „nic nie wynosi z lektury książki, która poddaje mu się bez oporu” – kontynuuje Giacomo. – Oznacza to coś, co stanowi wyzwanie dla naszego pragnienia całkowitego zrozumienia. Rozdrabniasz się w niektórych fragmentach, jesteś zbyt jednoznaczna, aż w końcu zbyt wiele podajesz czytelnikowi na tacy, nie potrafisz rzucić mu wyzwania. Ale to wszystko zasygnalizowałem na marginesach rękopisu.

Przez lata specjalnością Giacomo było konfrontowanie Lei z jej własnymi ograniczeniami. Nie łudziła się, że jest lepsza niż w rzeczywistości – nie w jego obecności.

– Wszystko zasygnalizowałem na marginesach – mówi jej teraz, a Lea jakby na chwilę zastygła i cofnęła się w czasie. Myśli o tamtej czternastoletniej dziewczynce, która podziwia Giacomo umiejącego błyskawicznie znaleźć błąd w równaniu w jej zeszycie. To jedyny szczerzy i prawdziwy gest, który



ofiarował jej przez wszystkie te lata. Od tamtego czasu było tylko gorzej. Jeśli gdzieś pojawiał się błąd, nie troszczył się już, by jej go wskazać. I we wszystkim tym, przez co razem przeszli, Lea wreszcie widzi jasno najważniejszą cechę: wytrzymałość. Miłość, w gruncie rzeczy, to test na wytrzymałość. Ona się odsłoniła przed Giacomo, on przed nią nie. A jeśli z jego strony to jedynie akt samoobrony wynikający ze strachu przed tym, że nie stworzą wspólnie nic, co mogłoby trwać czy się pogłębiać, to broniąc się, nie mógł nawet wyjawić jej swojej tajemnicy, obnażyć przed nią swej najciemniejszej i najprawdziwszej strony. A miłości, które żywią się ciągłymi nieporozumieniami, to też takie, które prędzej czy później kończą się klęską.

Lea patrzy mu prosto w oczy:

– Czy ty znowu próbujesz mnie czegoś nauczyć?

– Nie odważyłbym się – odpowiada Giacomo. – Jestem natomiast pewien, że to ty mogłabyś mnie nauczyć mnóstwa rzeczy – dodaje ze spokojem. – Na przykład, jak można przeżyć w dyktatorskim kraju, gdzie seks oralny został „zalegalizowany” w dwa tysiące siódmym roku, i to wyłącznie między osobami heteroseksualnymi powyżej szesnastego roku życia?

Lea czuje palący rumieniec na policzkach. Giacomo się przygotował, nie znalazł tych informacji w jej książce. To jeszcze jeden dowód, że powieść nie spełniła jego oczekiwań.

– Dobrze, postawmy sprawę jasno, rozumiem, że powieść ci się nie podoba. Wezwałeś mnie tu, żeby mnie ukrzyżować?

– Absolutnie, nie jestem przecież sadystą.

– A mnie się zdaje, że znalazłabym na to kilka dowodów z przeszłości... – wyrывa się Lei. Pozwala sobie na oskarżycielski ton, którego wolałaby uniknąć.

– Napisałaś coś bardzo wartościowego – zapewnia ją i najwyraźniej nie zamierza wracać w tej rozmowie do przeszłości.

Spojrzenie Lei staje się chłodniejsze, bardziej czujne. Zna zasady dramaturgii i wie, że pochlebstwo zawsze poprzedza krytykę.

– Właśnie kazałeś mi przerobić zupełnie zakończenie, wywrócić całą historię do góry nogami, nie wiem, czy cokolwiek zostanie z koncepcji miłości Amelii.

– Ależ nie, ja chciałbym tylko, żeby w bohaterce było więcej z wojowniczką, by wzięła życie w swoje ręce.

Lea w odpowiedzi wybucha tylko szyderczym śmiechem.

– No proszę, chętnie usłyszę, co więc twoim zdaniem powinna zrobić? – Lea wie, że sentymentalne historie to dla Giacomo nieznaną grunty, a ona chce się przekonać, do jakiego stopnia jest rzetelny w swojej pracy.

– Naprawdę jesteś w stanie wyobrazić sobie, że Amelia, idealistka wierząca w prawdziwą miłość, mogłaby wziąć ślub z tym prawnikiem i zgodzić się na takie życie? Albo musisz zmienić zakończenie, albo pobudki, które skłaniają ją do podjęcia takiej decyzji. Nigdy nie podobały mi się historie o męczennikach, my ich tu nie publikujemy.

Jego słowa są jak ostateczny cios.

– Być może się nie zrozumieliśmy. – Lea, rozgniewana, potrząsa głową. – Być może ja nie rozumiałam, co wy tu robicie. Co ty tutaj robisz. To nie jest powieść zaangażowana, nie ma intelektualnych aspiracji. Skoro nie zgadza się to z waszą linią wydawniczą, to dlaczego tutaj jestem?

Giacomo odchyła się na krześle i pozwala sobie na westchnienie.

– Rynek się zmienił, Lea. Nawet takie wydawnictwo jak nasze powinno rozszerzać horyzonty, docierać do szerszych kręgów odbiorców... Wierzmy, że pomożesz nam się przebić. – Lea zdziwiona słucha, jak człowiek, który żył poezją, teraz mówi jej o prawach rynku. Błuznierstwo w ustach osoby o jego zasadach moralnych. Prawdziwa obelga pod jej adresem. Jego wyniosła arogancja zmieniła się w protekcyjne zrezygnowanie. To właśnie poczucie porażki stało się nową pożywką dla jego cynizmu. Giacomo skapitulował – nawet praca redaktora w niszowym wydawnictwie zmusza go do kompromisów, a ona nie jest pewna, czy chciałaby być jednym z nich.

– Wszystko to, co napisałam, uznajesz za punkt wyjścia, z którego można by dotrzeć zupełnie gdzie indziej – wyrzuca z siebie. – Tak czy inaczej, nawet jeśli wprowadzę zmiany, to moja praca wciąż będzie dla ciebie zbyt komercyjna.

Giacomo zmienia wtedy wyraz twarzy.

– Co masz na myśli? – To pytanie z trudem przechodzi mu przez gardło, wygląda na zagubionego, czym wzbudza jej jeszcze większą niechęć. – Wcale tak nie jest.

Lecz choć z całych sił stara się odzyskać grunty pod nogami i przywrócić ich dyskusji wymiar czysto zawodowy, dla niej jest już zbyt późno: przeszłość i teraźniejszość nie mogą sunąć po dwóch oddalonych od siebie torach. Jakby teraz zupełnie nowa kobieta przyswajała sobie reakcje wyzwolone tym spotkaniem, daleka od umiaru. Towarzyszył jej przez ostatnie lata niczym

zbroja, wewnątrz której można się schować. Jej historia z Vittorio zyskała zupełnie inny wymiar: żadnych głośnych awantur, żadnych płomiennych starć. To prawda: „Tylko wielkie konflikty dają początek wielkim historiom”. To spotkanie w jednej chwili sprawia, że cała jej złość znajduje ujście, a prawdziwa natura dochodzi do głosu. Giacomo znów jest jej przeciwnikiem, a bez antagonizmów opowieść nie istnieje.

Chciałaby zrzucić na ziemię wszystkie te książki, chwycić go za koszulę i wykrzyknąć mu prosto w twarz: „Za kogo ty się, do diabła, uważasz? Myślisz, że możesz znów pojawić się w moim życiu bez uprzedzenia, jak gdyby nigdy nic? Możesz wsadzić łapska w moją intymność i ulepić mnie tak, jak ci się podoba, i jeszcze dawać mi tu lekcje taniej psychologii?”.

Nie robi jednak nic, patrzy tylko na niego, oddychając głęboko. Następnie, jako nowa, dorosła kobieta, którą stała się przez krótką chwilę ich rozmowy, bierze do ręki umowę i mówi:

– Myślałam, że chcę wydać powieść u was i że ta umowa to zwykła formalność, teraz jednak mam chęć podrzeć ją na strzępy.

– Po raz pierwszy stracilibyśmy autora z mojej winy – komentuje Giacomo, odzyskując dawną nonszalancję, a jego uśmiech sprawia, że Lea ma ochotę go spoliczkować.

– Może i ty byś się czegoś nauczył. Jestem pewna, że by cię za to nie wyrzucili z roboty.

„A prawdę powiedziawszy, ile innych autorek wylądowało w twoim łóżku tak jak ja?” – miałaby chęć dorzucić, ale gryzie się w język.

Najchętniej wbiłaby mu palce w policzki, rozdarła skórę paznokciami, zrobiła krzywdę. Sam fakt, że tego pragnie, że uczucie, które do niego żywi, jest wciąż zbyt gwałtowne, wprawia ją we wściekłość, bo wie, że za całą tą potrzebą przemocy kryje się władza, a on zawsze ją nad nią miał. Nie, to nie jest zamknięty rozdział: mimo to nie chce dać tego po sobie poznać, podrywa się z krzesła, jakby ją parzyło, gotowa oficjalnie się z nim pożegnać.

Giacomo siedzi jak zamurowany po drugiej stronie biurka. Ma wciąż okulary na nosie. Podaje jej rękopis.

– Powiedz mi chociaż, że to przemyślisz.

Lea bierze go do ręki uprzejmym gestem, odpowiada jednak chłodno:

– Nie jesteście jedynym wydawnictwem, które zainteresowało się moją powieścią.

Nie wie, dlaczego przyszło jej do głowy to kłamstwo. Opuszcza gabinet, nie

dodając już ani słowa. Przechodzi przez korytarz i dopiero za drzwiami prowadzącymi na dwór próbuje wyrównać oddech, teraz przyspieszony. Wpatruje się w ogromną sosnę na dziedzińcu i nie daje nic po sobie poznać, zachowuje kamienną twarz.

Z daleka dostrzega Biankę, która czeka na nią w samochodzie, targując się z obwoźnym sprzedawcą zapalniczek, choć ani ona, ani Andrea nigdy w życiu nie wzięli do ust papierosa.

Marokańczyk wsuwa pieniądze do kieszeni i pozdrawia ją radosnym: „Dobrego dnia, principessa!” – wtedy Bianca dostrzega napięcie na twarzy Lei.

– Co ci jest? – Pyta. – Wyglądasz, jakbyś właśnie zobaczyła ducha.

Na kanciastej podstawie z błyszczącego plastiku wznosi się duży pojemnik z matowego szkła, z którego, jak odnoga, wyrasta mniejsze naczynie w kształcie walca przykryte pokrywką z odpowietrznikiem. Na środku podstawy posrebrzonym pokrętkiem można ustawić prędkość. Obok, na stole, znajdują się półokrągłe noże do rozgniatań i wyciskania, dysk do krojenia i siekania, spiralne mieszadła do ubijania. Za oszronioną powierzchnią szkła stalowe ostrze w kształcie litery S obraca się zaciekle, zmieniając plasterki marchewki i cukinii w zielonoburą maź. Lea nie może oderwać wzroku od stałej materii przeistaczającej się w coś w rodzaju gęstego płynu. Posiadanie robota kuchennego jest symbolem rodziny, zaczyna myśleć. Nigdy nie nauczyła się gotować. Z nich dwojga to Vittorio spędza więcej czasu przy garnkach, eksperymentuje z nowymi przepisami; jednak z powodzeniem wystarczał im zwykły blender, dzięki któremu od czasu do czasu mogli pozwolić sobie na bananowe frappè czy kruszony lód, gdy nachodziła ich chęć na domowej roboty mojito. Degustację poprzedzała długa dyskusja, czy oryginalny przepis zakłada użycie lodu w kostkach czy kruszonego. Być może właśnie to charakteryzuje życie we dwoje, bez dzieci – tracenie czasu na rozstrzyganie podobnych dylematów, ścieranie się zmiennych punktów widzenia, podczas gdy składniki życia zlewają się w jedną całość, zmieniają się, stale i rzeczywiście. Nie ma to nic wspólnego z przecierami warzywnymi, papkami dla niemowląt, krojoną cebulą na sos do niedzielnego obiadu, pagórkami bitej śmietany i posypką z posiekanych orzechów na urodzinowe torty. Nie ma w nim nic wspólnego z absolutnym bezwładem i chaosem, panującymi w domu Bianki, gdy zbliża się pora kolacji.

– Ściągnął cię tutaj aż z Singapuru – w głosie Bianki pobrzmiewa rozgoryczenie, a burza jej kręconych włosów, szerokie barki i biust wciśnięty w czerwony dres podskakują wraz z nią i najmłodszą córeczką Luisą, którą trzyma na rękach. – Moim zdaniem nalegał na wydanie twojej powieści tylko po to, żeby znów się z tobą zobaczyć. Zawsze byłeś dla niego tym, czym

myszka dla najedzonego kota.

Lea nie może się skupić, jednak słowa Bianki są dla niej jak ukłucie szpilki na powierzchni balonika. Czuje, jak gorący rumieniec wpełza na jej policzki:

– Tak właśnie myślisz? Że gdyby nie on, to nigdy by mi się nie udało wydać mojej powieści?

Bianca nie daje wyprowadzić się z równowagi:

– Nie podaję w wątpliwość twoich umiejętności, ale ile wydawnictw ci odpowiedziało? – Mówi z naciskiem. – I wiesz, na czym polega problem? Zamiast podrzeć umowę na strzępy i wrócić natychmiast do swojego męża, ty wpatrujesz się we mnie tym samym zdezorientowanym spojrzeniem, które tak dobrze pamiętam sprzed sześciu lat.

Luisa wybucha płaczem, jakby wyczuła w poirytowanym tonie matki nadciągającą kłótnię.

– Czy ty zdajesz sobie sprawę, że mówisz do mnie, jakbyś była moją teściową? – atakuje Lea, a Bianca usiłuje odciągnąć uwagę małej od płaczu i daje jej kawałek chleba. – Miałabym wrócić do domu, żeby za wszelką cenę chronić swoje małżeństwo i uciec od pokus? Naprawdę myślisz, że ja sama nie potrafię się kontrolować? – pyta łamiącym się głosem, dalekim od spokoju, który pielęgnowała przez ostatnie lata. – Jestem tu tylko i wyłącznie z powodu książki. Giacomo wyrobił sobie nazwisko na rynku wydawniczym, nie sądzę, żeby chciał publikować powieść tylko po to, żeby spełnić swój kaprys.

– Nie ma sensu się wściekać...

– Nie mam czelności, by osądzać twoje życie – spogląda na małą, która wychyla się za matczyne ramię i jak wyrzutnia pluje kawałkami chleba, które lądują na patelni. – I oczekuję od ciebie, że postąpisz tak samo. Vittorio przyjeżdża do Rzymu na początku lipca, już postanowiliśmy wynająć mieszkanie na Porto Santo Stefano. To tylko dwa miesiące i zapewniam cię, że chciałabym, by minęły jak najszybciej, oczywiście nie dlatego, że martwię się perspektywą pracy z panem Valentinem.

Lea jest zbyt zmęczona, by dokończyć kolację przy stole wraz z pozostałymi, a Bianca nalega, by przeniosła się do pokoju Stelli.

– Przynajmniej się tam wyśpisz! – Namawia ją łagodnie, usiłując wymazać nerwową wymianę zdań sprzed kilku chwil.

W samym środku świata zaludnionego przez elfy i wróżki Lea wraca myślami do domku na Andiparos i ostatniej nocy, którą spędziła z Giacomo. Jej wspomnienia przerywa dźwięk otrzymanej wiadomości. To Vittorio.

„Nie mogę spać – pisze. – To pierwszy raz od pięciu lat, kiedy jestem sam w łóżku. Nie mieliśmy nawet okazji spokojnie porozmawiać przez telefon. Chciałem ci tylko powiedzieć, że cały dzień o tobie myślałem, o twoim pierwszym spotkaniu w sprawie powieści. Jestem z ciebie taki dumny”.

Lea przełyka ślinę, usiłuje stłumić poczucie zagrożenia, które potęguje się z każdą chwilą. Nie była w pełni szczerą ze swoją najlepszą przyjaciółką, nie wspomniała jej o ostrej wymianie zdań z Giacomo ani o tym, że poważnie zastanawia się, czy nie dać sobie z tym wszystkim spokoju i wrócić do Singapuru. Ale skoro jeszcze tego nie zrobiła, to tylko dlatego, że wciąż nie wie, jaka decyzja jest słuszna. Naprawdę musi zrezygnować z wydania swojej książki? Dlaczego Giacomo jest do niej tak wrogo nastawiony? Czy i on nie odnalazł stałości w życiu, kobiety, dzieci? Co poczuł na jej widok? Czy czekał na nią długo, a teraz zastawił pułapkę, czy też rzeczywiście jest szczerze zainteresowany powieścią?

Następnego ranka Lea otwiera oczy i rozgląda się dookoła. Jest sama, dom spowija cisza. W kuchni znajduje karteczkę: „Kawa na kuchence, ciastka znajdziesz w kredensie. Spałaś jak anioł i zachowywaliśmy się wszyscy bardzo cicho, żeby cię nie zbudzić”. Nalewa sobie kawy, podchodzi do okna pokoju gościnnego i spogląda przez nie na balkon.

Dwie zeschnięte pelargonie wystają z donic pełnych zasuszonej ziemi. Lee Kuan Yew gładzi ich liście ze zrezygnowanym wyrazem twarzy, a miejska krzątanina nabiera w słońcu jaskrawych barw. Przy wejściu, za plecami Lei, leży na ziemi torba z jej maszynopisem. Nie wie jeszcze, co się z nią będzie działo w ciągu najbliższych kilku dni: czy postanowi złapać samolot, czy może zostanie, by przyjrzeć się adnotacjom na stronach. Za oknem jednak czeka na nią miasto, a ona nie ma najmniejszego zamiaru wracać na obiad.

Wybrukowane kocimi łbami ulice zawsze przywracały jej spokój, pomagały na nowo pogodzić się ze światem. Pocieszała ją myśl o ich długiej historii, o tysiącach osób, które od najdawniejszych czasów spacerowały tymi wąskimi zaułkami.

Okna jej dawnego mieszkania przy via del Moro tego dnia mają odsłonięte żaluzje, ktoś inny zmaga się tam teraz z codziennością. Ilu ludzi tam mieszkało i pozostawiło po sobie niewidoczne ślady na zabytkowych kaflach w łazience i w kuchni. W tej samej łazience, w której Lea spędziła wiele nocy, wymiotując do ubikacji, w pokoju, w którym Bianca zamykała ją na klucz, by zmusić do nauki. Ile osób przed nią przeglądało się w tym samym lustrze, w które ona patrzyła, by dodać sobie odwagi przed wyjściem z domu na egzamin.

Delikatesy na rogu oferują wciąż te same wiejskie wyroby, pachnące zmęczeniem mądrych, spracowanych dłoni, które z pokolenia na pokolenie przekazują sobie te same dawne sekrety produkcji. Ten sam szyld wisi tutaj od czasów wojny. W witrynie wyłożono specjały dla turystów – różne rodzaje makaronu, biało-czerwono-zielonego, w kształcie motylków lub kolorowych fallusów, a jednak w tej zabawnej wulgarności zawiera się cała autentyczność rzymskich *Rugantini*, mieszkańców Trastevere z krwi i kości.

Lee Kuan Yew nie opuszcza Lei nawet na chwilę. I on wpatruje się w szklaną witrynę sklepu z mieszanką zdumienia i rozbawienia, jakby zastanawiał się nad synergią dwóch tak odległych ludów, Rzymian i Zatybrzan z krwi i kości, które zdołały złączyć swoją wiedzę w pradawnych czasach.

Wspólnie zbliżają się do nadbrzeża Tybru, siedzą na kamiennym murku i podziwiają panoramę miasta. Nad chaosem i dezorganizacją Rzymu góruje jego piękno. Wartki nurt rzeki w dole przenosi myśli Lei daleko od maszynopisu, który ciąży jej w torbie i którego nie ma odwagi otworzyć. W tej chwili współpraca z Giacomo i jego kolejny powrót do jej życia zdają się tak bardzo odległe. Jej myśli płyną aż do Vittorio, do hipnotycznego



spokoju jego głosu, i nagle czuje niespodziewaną potrzebę, by go usłyszeć. Kiedy jednak wybiera opcję: „połącz” na ekranie komórki, żeby rozpocząć wideorozmowę i widzi swoje odbicie, dociera do niej, że jej zaniepokojona twarz zdradza wszystkie lęki i wątpliwości. Zastanawia się, czy zdoła ukryć swój strach, tak jak kryła się z prawdziwym powodem swej niepokojącej chudości tamtego dnia, gdy spotkali się po raz pierwszy. Już ma nacisnąć „zakończ połączenie”, ale w tej samej chwili zmęczona twarz jej męża pojawia się na ekranie obok jej twarzy.

Leży na łóżku otulony białym szlafrokiem. Lea wyłącza kamerę na swoim telefonie, tak by tylko ona widziała jego, a on jej nie, i drugie już kłamstwo, od kiedy wyjechała, gładko przechodzi jej przez gardło:

– Niech to! Ten durny telefon nie działa!

– Co tam się u ciebie dzieje... a niech to! – Przedrzeźnia ją Vittorio.

I dopiero w tej chwili do Lei dociera, że łóżko, w którym wyleguje się Vittorio, nie znajduje się w ich pokoju. Podnosi plecy z poduszki, oddala od siebie telefon i rozszerza pole widzenia:

– Wynająłem pokój w hotelu. Nie mogę spać w domu, a choć jedną noc muszę porządnie odpocząć – tłumaczy jej, tłumiąc wszelkie podejrzenia w załączku.

– Może coś przede mną ukrywasz – nalega Lea, jakby prawdą było, że widzimy w innych odbicie naszych własnych win.

– Ja? Już prędzej ty. Mam przed sobą czarny ekran, kto wie, gdzie możesz teraz być.

– Nad coraz bardziej zanieczyszczonym Tybrem. Czekam na powrót stada bestii, czyli dzieci Bianki.

– Świetny trening dla przyszłej mamy. – Uśmiecha się. – Tak przy okazji, odebrałem wyniki mojego spermogramu.

Lea milknie na chwilę, odchrząka.

– I...?

– Zdaje się, że moje plemniki mają się świetnie, chociaż lata lecą – oznajmia jej z pełnym dumy uśmiechem, a po skroni płynie mu strużka potu. Nawet klimatyzacja w hotelach przegrywa z wilgotnością powietrza w Singapurze.

Na samą myśl o tym, że może kiedyś mieć dzieci, Lea czuje, jak poca jej się ręce.

– Plemniki godne swojego wytwórcy – odpowiada, maskując niepewność w głosie. Po chwili niespokojnie usiłuje skierować rozmowę na inny tor. – Jak

ci płynie czas w hotelu?

– Oglądam Colette Wong na Fox Sports.

– Ty oglądasz sport w telewizji? Przecież nigdy tego nie lubieś.

– Oglądam kobietę, która opowiada o sporcie – uściśla, owijając się szczerzej szlafrokiem.

Lea zmusza się do uśmiechu.

– Próbujesz wzbudzić we mnie zazdrość?

– Jeśli miałoby to sprawić, że wrócisz tu szybciej, to tak. – Po czym dodaje pospiesznie: – Jak ci idzie z książką?

– Mam nad czym pracować... – odpowiada, czując, jak udręka ściska ją za gardło, i zastanawia się, co może opowiedzieć mu o spotkaniu w wydawnictwie. I o tym, że mocno się zastanawia, czy nie zawrócić? Że wydanie pierwszej własnej powieści nagle zniknęło z jej listy priorytetów? Chce zyskać na czasie, więc ogranicza się do ogólnikowego stwierdzenia:

– Zastanawiam się jeszcze nad warunkami umowy i próbuję odgadnąć zamiary wydawcy.

– Chcesz, bym rzucił na to okiem? To w końcu mój zawód.

– Mówimy o kwotach i warunkach włoskiego rynku wydawniczego, tylko niepotrzebnie byś się zdenerwował.

– Rozmawiasz z kimś, kto uciekł z Włoch dwadzieścia lat temu.

Na ekranie telefonu Lea widzi teraz drugą poduszkę na łóżku w pokoju hotelowym, nieskazitelnie gładką. Nikt, tak jak on nie potrafi dodać jej otuchy. Ma wrażenie, że zaraz jej powie: – Tak naprawdę tylko ty się obawiasz, że wylądujesz z kimś w łóżku i nie znajdziesz w sobie już nigdy odwagi, by zawrócić.

– Muszę już kończyć, czekają na mnie z obiadem.

Trzecie kłamstwo jej rzymskich dni.

Lea wraca do domu późnym popołudniem. Dzień upłynął jej na bezcelowych przechadzkach po centrum Rzymu w towarzystwie Lee Kuan Yewa. Bianca mówi, że pracowała w bibliotece, ale skupienie przychodziło jej z trudem. Kłamstwo staje się mechanizmem, który osłania ją jak tarcza.

Bianca wygląda zupełnie inaczej niż wczoraj. Wyprostowała włosy, nałożyła cień na powieki. Koszula w kolorze szmaragdowej zieleni podkreśla jej szare oczy. Bianca ma twarz zapobiegliwej żony i matki. To dlatego kupiła dwa

bilety do teatru, dla siebie i męża, jeszcze tego samego dnia, kiedy Lea powiedziała jej, że przylatuje. Bianca wiedziała, że może zostawić gromadkę swoich dzieci pod opieką przyjaciółki, bo wciąż niechętnie wydaje pieniądze na opiekunkę. W przeciwieństwie do tego, jak wygląda życie w mieście przyszłości, w Europie czasy zmieniły się dla wszystkich. Te dwa światy dzieli już nie tylko odległość na mapie. Co miesiąc na konto Lei w singapurskim banku DBS wpływa okazały przelew z HSBC, w którym pracuje Vittorio. A kwota wydana dzisiaj przez Biankę i Andreę na teatr, powiększona o wynagrodzenie, którego zażądałaby opiekunka, równa jest mniej więcej temu, co Lea zapłaciła dzisiaj za beztrudny przejazd taksówką.

– Niewiele brakowało, a musielibyśmy czekać kolejne dziesięć lat na Cirque du Soleil. – Bianca stawia garnki na kuchence. – Dzisiaj po raz ostatni występują w Rzymie, nawet nie wiesz, jaka jestem podekscytowana!

Lea widzi radość przyjaciółki i bardzo ją to rozczula. Nigdy nie sądziła, że matce trójki dzieci wieczór w teatrze może przysporzyć takich emocji. Wszystkie ich dziewczęce ambicje, marzenia, życiowe potyczki poszły teraz w zapomnienie, a na pierwszy plan wysuwają się piruety akrobatów z cyrku.

Jest już po ósmej, a Lea czuje się tak, jakby znalazła się w epicentrum trzęsienia ziemi: Stella i Paolo, jej najmłodszy braciszek, walczą o walające się na podłodze salonu puzzle; resztki przypalonej kolacji pokrywają każdy skrawek wolnej powierzchni w kuchni, jakby zostały tam rozrzucone w wyniku eksplozji, a ryczący na cały regulator telewizor przypomina odgłosy strzelaniny. W tym chaosie myśli Lei ani na chwilę nie chcą oddalić się od Giacomo. Krążą wokół niego natarczywie, wślizgują się pomiędzy wszystko, czym jest teraz zajęta, jak choćby karmienie osiemnastomiesięcznej córki Bianki, kapryśnej i sennej, niebacznej nawet na reprimendę starszej siostry Stelli, która obserwuje całą scenę z progu pokoju.

– Nie widzisz, że Luisa ma to gdzieś? Nie masz nawet co próbować z tą papką. Mama by to załatwiła butelką.

Choć Bianca przed wyjściem przekazała Lei książeczkę z afrykańskimi bajkami i poleciła, by dzieciaki nie przesadziły dziś z telewizją, kilka minut później cała trójka rozsiadła się na kanapie z elektryczną niańką podłączoną do kamerki w pokoju Luisy. Gdy dzieci bezmyślnie wpatrują się w ogłupiające stado animowanych zabawek, Lea wyjmując z torby laptopa i zaczyna

przeglądać Facebooka.

Wśród powiadomień odnajduje nowe zaproszenie do grona znajomych. Zdjęcie Giacomo to ta sama fotografia, która pojawiła się w artykule o istocie czytania sprzed siedmiu lat. Déjà vu. Odsuwa od siebie komputer i próbuje skupić się na czymś innym. Wraca przed telewizor, dosiada się do Stelli i wpatruje się w kreskówkę.

Kiedy Bianca i Andrea wejdą do domu, zastaną całą trójkę śpiącą przed włączonym telewizorem, w którym kreskówki ustąpiły miejsca erotycznej scenie z wątpliwej jakości filmu. Nowe zaproszenie do grona znajomych zniknęło już z ekranu rozładowanego laptopa Lei.

Nazajutrz, w sobotę, kiedy Lea z dziećmi Bianki przygotowuje śniadanie, tak jakby sama była jej czwartą córką, niespodziewanie przychodzi jej do głowy paradoks kota Schrödingera, austriackiego fizyka, o którym opowiadał jej Giacomo.

Osobliwy eksperyment, w rzeczywistości czysto teoretyczny, zakłada, że kota zamyka się w pojemniku podłączonym do maszyny składającej się z licznika Geigera i mechanizmu zdolnego uwolnić do pojemnika trujący gaz. Licznik Geigera zawiera mikroskopijną ilość substancji radioaktywnej, tak niewielką, że w ciągu godziny może, lecz nie musi, zostać wykryta, i tym samym zainicjować pracę mechanizmu wypuszczającego trujący gaz. Istnieje takie samo prawdopodobieństwo, że kot przeżyje lub zdechnie, a skoro nie można się tego dowiedzieć, dopóki pojemnik pozostaje zamknięty, kot znajduje się w niesprecyzowanym stanie: jest jednocześnie żywy i martwy. Dopiero w momencie otwarcia pojemnika „superpozycja stanów” zostaje zredukowana.

To paradoks, jednak eksperyment ma udowodnić, że samo obserwowanie determinuje wynik obserwacji.

Gdy czekolada w proszku rozpuszcza się w filiżance pełnej gorącego mleka, siedząca u boku Lei Stella mówi:

– Ciociu, ale papugujesz, miałaś sobie zrobić kawę. – Lea nie reaguje, całą jej uwagę pochłania torebka porzucona na kanapie. Wie, że w środku znajduje się jej powieść, komputer i zaproszenie do znajomych od Giacomo, oczekujące na odpowiedź.

Dopóki nie otworzy torebki, jej zawartość jest jak kot z pojemnika Schrödingera.

Tego samego dnia je ze swoim ojcem obiad w jednej ze starych restauracji w centrum miasta. Ściany lokalu pokrywa drewniana boazeria, kelnerzy w eleganckich bordowych fartuchach podają *aperitivo*, ale czasy świetności tego miejsca dawno już minęły.

Inżynier Federici właśnie dotarł tu ekspresem z Wenecji. Ma na sobie kaszmirowy sweter w kolorze jaskrawej pomarańczy, nowe pajęczyny zmarszczek pojawiły się na jego twarzy, a włosy są jeszcze rzadsze i bielsze niż podczas ostatniego spotkania z córką. Wciąż jednak błyszczą mu oczy, a uśmiech zdaje się młodszy niż wtedy, kiedy Lea była małą dziewczynką. Adua – czy raczej „tanta baba”, jak nazywa ją jej matka – która w międzyczasie stała się dojrzałą kobietą, kolekcjonerką akwarel, poruszającą się małą motorówką po weneckich kanałach – najwyraźniej znalazła sposób, by ze sfrustrowanego człowieka, jakim był jej ojciec, uczynić umiarkowanego optymistę w gruncie rzeczy zadowolonego z życia.

Podczas obiadu rozmowa schodzi na temat matki. To Lea zaczyna wypytywać ojca, gdy wreszcie czuje się swobodniej dzięki luźnej atmosferze i jego żartom.

– To jak tortura – przyznaje, po raz pierwszy zwierając się jej z taką szczerością. – Wiesz sama, jak jest – ciągnie, a Lea myśli: „nie, nie wiem, tato”. Tak naprawdę nie znam twojej byłej żony, która od dwudziestu lat ściga cię o alimenty, wytyka ci wszystkie błędy i krytykuje sukcesy; znam tylko moją matkę, która uciekła na wieś, gdzie zamartwia się zdrowiem swoich kotów, słucha folku i znajduje czas na to, by robić na drutach całe kolekcje szalików i czapek, choć bardzo rzadko udaje jej się je sprzedać; znam wciąż atrakcyjną kobietę, która od wielu lat nie farbuję sobie włosów, uwielbia prowokacyjne dekolty i z przyjemnością przegląda albumy fotograficzne z czasów, gdy byliśmy jeszcze rodziną. Tak naprawdę nie znam kobiety, która wstydzi się twojego nazwiska, kiedy kupuje lekarstwa w aptece lub idzie na wosk do kosmetyczki, i która czasem mówi o tobie tak, jakbyś wciąż żył obok niej, a gdy zaciekle wrywa perz spomiędzy trawy w ogrodzie, myśli, że chętnie zrobiłaby to samo z resztką włosów, która pozostała ci na głowie.

– Można podjąć błędną decyzję o małżeństwie – mówi jej ojciec. – Lecz nigdy nie można pomylić się w kwestii rozwodu.

To słowo „błędna” brzęczy jej w głowie jak alarm. Wróciła do Włoch dla książki, której wydanie uczyni ją pisarką, nie może sobie pozwolić na błędną decyzję.

Ojciec opowiada Lei o ostatnim telefonie od jej matki, a ona myśli o Oldze, pierwszej żonie Picassa, i tym odległym słonecznym dniu, w którym ona i Giacomo wyszli ze swojej nory na via dei Serpenti i wybrali się na wystawę. Trzymali się za ręce, a on opowiadał jej, że Olga aż do samego końca kazała

mówić o sobie „pani Picasso”, być może dlatego, że nikt w tamtych czasach nie myślał nawet o rozwodzie, a wszystkie inne kobiety, które przewinęły się przez życie artysty i obdarzyły go kolejnym potomstwem, nigdy tak naprawdę nie mogły nosić legalnie jego nazwiska tak jak ona, ze złością i dumą, uporem graniczącym z szaleństwem. Olga była dowodem na istnienie kobiet, które potrzebują mężczyzny u swojego boku, by zyskać własną tożsamość; a ta zmienia się jak kameleon dopasowujący się do otoczenia, żeby przetrwać. Lea spogląda na pomarańczowy sweter ojca, błękitny sznureczek bransoletki oplatający jego nadgarstek, jeden z tych, które sprzedają latem na plaży i którego jej matka nigdy by mu nie podarowała. Po raz pierwszy zdaje sobie sprawę, że mężczyzna siedzący naprzeciwko niej nie jest panem architektem Federicim, którego pamięta z dzieciństwa, lecz kompilacją wielu odcieni szczęścia.

Lea zastanawia się, czy ma zamiar stać się panią Picasso z Singapuru, czy woli pozostać Leą Federici, autorką *Pamiętnika ekspatki* dostosowującą własne kolory wyłącznie do siebie samej, niezależnie od tego, gdzie się akurat znajduje. I właśnie w tej chwili podejmuje decyzję.

Po obiedzie wraca do samochodu i już wie, co robić. Wyjmuje z torebki komórkę i maszynopis. Giacomo zapisał jej swój numer telefonu na okładce. To już nie ten numer sprzed siedmiu lat, który Lea wciąż zna na pamięć, ma teraz nowy, z dużą liczbą zer.

Postanawia napisać mu zwięzłą wiadomość.

„Zostawiam ci podpisaną umowę w biurze i zabieram się do pracy według twoich wskazówek”.

Chowa komórkę do torebki i kładzie ją na siedzeniu pasażera. Rozstrzygnął się los kota Schrödigera. Lea odpala silnik w jednym z małych samochodzików, które trafiły nareszcie do Rzymu dzięki idei *car sharing*, i manewruje nim w gąszczu samochodów w sobotnie popołudnie, by dostać się do domu Bianki. Postanowiła, że spędzi najbliższe miesiące skupiona wyłącznie na książce, nie będzie akceptowała żadnych zaproszeń do grona znajomych. Profil Giacomo na Facebooku to otchłań pełna wspomnień płynących zwodniczym powolnym rytmem. Puszka Pandory, której wolałaby nie otwierać.

Kiedy dociera na piazza Vittorio, piknięcie telefonu oznajmia nadejście wiadomości. Lea prawie podskakuje na siedzeniu. Czy to możliwe, że już mi odpisał? – gdy się nad tym zastanawia, odczuwa ten sam dreszcz co kiedyś. Godzinami czekała wtedy na słowo odpowiedzi czy zaproszenie na kolejne spotkanie, które mogło się nigdy nie pojawić. Na chwilę traci koncentrację i z powodu roztargnienia o mały włos nie uderza w jadącą przed nią taksówkę.

Trzęsą jej się dłonie, gdy przesuwa słowa widniejące na ekranie, chwilę po tym, jak zatrzymała samochód tuż przy kontenerach ze śmieciami, pozwalając, by fetor wypełnił wnętrze auta.

„Cieszę się, że postanowiłaś mi zaufać – pisze. – Kiedy tylko będziesz gotowa na pierwszą weryfikację, wyślij mi wszystko pod ten adres: gvalenti@decarlo.it. Pamiętaj, jeśli tylko będziesz miała jakiegokolwiek wątpliwości albo będziesz potrzebowała dodatkowych wyjaśnień, pozostaję do twojej dyspozycji”.

Odpowiedź jest dość formalna, ale Lea dopatruje się w niej czegoś w rodzaju wyłomu. W przeszłości Giacomo był tak hermetyczny, że dopiero teraz dobór takich słów jak: „zaufać”, „pamiętaj”, „do dyspozycji” podsuwa jej obraz skały, w której być może zdoła znaleźć oparcie.

Bianca chciałaby wierzyć w dojrzałą i profesjonalną postawę przyjaciółki i stara się nie wytykać jej niebezpieczeństw związanych z podjętą decyzją. Chce, żeby Lea swobodnie poprawiała swoją powieść w pokoju Stelli, gdzie ma do dyspozycji biurko, podczas gdy dziewczynka odrabia prace domowe w pokoju dziennym. Ma to trwać tyle czasu, ile Lea będzie potrzebowała. Stella usiłuje protestować, to nowe rozwiązanie jest zupełnie nie po jej myśli, więc kaprysi i buntuje się. Ale Bianca potrafi przywołać swoje dzieci do porządku.

– Ciocia musi napisać ważną powieść – tłumaczy. – A ty, oferując jej swoje biurko, pomożesz w tym, by spełniło się jej marzenie.



Stella jest bystra, nie daje się przekonać.

– Tak wspaniale jest marzyć – odpowiada matce i łypie złowrogo na Leę.

– Tak, ale jeszcze lepiej sprawić, by marzenia się spełniały – Bianca ma gotową odpowiedź. – A teraz ty pożyczysz cioci swoje biurko, w przeciwnym razie i twoje marzenie, by zostać amazonką, wydaje mi się mało realne.

Stella wreszcie się poddaje i naburmuszona wychodzi z pokoju.

– Nic nie działa tak dobrze jak podły szantaż – komentuje cynicznie Bianca, kiedy tylko zostają same. – Obiecałaś, że dasz mi to przynajmniej przeczytać – dodaje, spoglądając na zamknięty maszynopis Lei leżący na biurku.

Lea kiwa głową z wdzięcznością i poczuciem winy wypisanymi na twarzy. Miałyby chęć powiedzieć: nigdy nie udało ci się skutecznie mnie zaszantażować, tylko raz, piętnaście lat temu, kiedy złożyłam przysięgę, do której mnie zmusiłaś. Nigdy tak naprawdę nie zdołałaś przywołać mnie do porządku. Lecz kiedy podnosi oczy znad stołu, Bianca jest już za drzwiami. Lea zostaje sama, by stawić czoło swojej powieści i wszystkim miotającym nią demonom.

– Nie popełniaj tego błędu i nie dopatruj się mnie w żadnej postaci – powiedziała któregoś dnia do Vittorio, który właśnie skończył czytać jej powieść, a okulary na czubku jego wydatnego nosa były równie rozchwiane jak jego myśli w tamtej chwili. – Znajdziesz tam tylko, być może, ducha, który żywi się moimi strachami, jednak nie żyje moim życiem.

Lea patrzy na strony i czuje, jak w jej sercu szaleje burza – właśnie teraz, gdy wreszcie zdołała zdystansować się do tej historii, będzie musiała na powrót się w niej zanurzyć, od nowa zbudować swoje postaci. Amelia, Francesco, mężczyzna, w którym się zakocha, i Lee Kuan Yew. Na marginesach widzi notatki Giacomo. Rozpoznaje jego charakter pisma, ściśnięte nerwowe litery. Od czasów równania na ścianach jaskini to drugi raz, gdy znajdują się w tak intymnej przestrzeni. A kiedy czyta swój maszynopis, jej bohaterka rodzi się na nowo w jego osądach: czasem obawia się zbyt surowego spojrzenia, czasem prosi o krztę aprobaty. Giacomo znów stał się tajemniczym chłopcem z liceum, siedzi obok niej, znów udziela jej korepetycji. Przed nią, dorosłą pisarką, stoi biurko małej dziewczynki, z lalką Barbie usadowioną pod jedną z szuflad, i czuje się tak, jakby słuchał jej cierpliwie i prowadził przez nowe niewiadome, które nie należą już do świata cyfr, lecz są częścią bardziej podstępного królestwa słów.

Przez następne trzy tygodnie Lea nie może oderwać myśli od książki, nawet kiedy próbuje skupić się na czymś innym. To jak gorączka. W telefonach do Vittorio pobrzmiwa jej zmęczenie, ciągłe rozkojarzenie, czasem opowiadają sobie tylko lakonicznie o tym, jak minął im dzień. Ich rozmowy straciły na autentyczności, bo Lea broni zaborczo dostępu do wszystkiego, co dotyczy książki. Powstaje między nimi niewysłowiony dystans, a Lea nosi w środku ranę nim spowodowaną. Vittorio zdaje się tego domyślać, aż wreszcie, nieoczekiwanie, w obliczu jej ciszy wie, jak dodać jej otuchy: „Dwa miesiące miną bardzo szybko”, pisze jej, „Pamiętasz? Sama mi to powiedziałaś, to mgnienie oka”.

Bianca nie zadaje zbyt wielu pytań, a dzieci obserwują ciotkę z pewną dozą zaciekawienia. Stella zaczyna uczyć się akceptować nowe zasady współżycia – to, że jej przyjaciółki nie mogą zostawać u niej na noc, a pokój dzienny zmienił się w nową przestrzeń, w której się uczy i bawi.

Wieczorami, kiedy Bianca i Andrea wychodzą, Lea pozwala Paolo oglądać kreskówki o wojnie i godzi się, by Stella buszowała w internecie na swoim iPadzie i oglądała *Frozen* tyle razy, ile tylko ma ochotę. To tajemny, milczący pakt, który zawarli między sobą w ramach poszanowania odrębnych terytoriów. Lea nie musi dla nich wymyślać ani czytać im żadnych bajek, wystarczy, że pamięta o tym, by wyłączyć telewizję, kiedy dzieci zasypiają na kanapie, i zanieść je lub odprowadzić do łóżka. Następnie wraca do pracy nad książką, która spędza jej sen z powiek również w nocy i siedzi do czwartej lub piątej, a strony maszynopisu oświetla blask lampki w kształcie róży. W ciszy spowijającej dom czasem słyszy Stellę mówiącą przez sen.

Fragmenty powieści, które Giacomo jedynie wygładził, zastąpił jedno wyrażenie innym, zmienił szyk słów czy wstawił inny przymiotnik w miejsce tego, który wybrała Lea, nabierają płynności, brzmią lepiej po poprawkach. Autorka musi raz jeszcze wyrazić uznanie dla jego kunsztu i profesjonalizmu. We fragmentach, gdzie nakazuje jej napisanie od nowa całych akapitów, pozostawił swoje adnotacje na marginesach, niekiedy surowe, aroganckie. Czytając je, Lea odnosi wrażenie, że słyszy jego głos, widzi jego bezczelną, zuchwałą minę. Znowu żywy staje się w niej konflikt, który dzielił ich przez te wszystkie lata. Kiedy czyta jego uwagi: „Pusta retoryka!”, „Na litość!”,

„Słabe!” i tak dalej – odnosi wrażenie, że to cały on. Tak jak kiedyś wdzierała się w intymność jej ciała, tak teraz równie władczo wdziera się na strony jej książki. Lea zastanawia się, czy Giacomo pozwala sobie traktować w ten sposób również innych autorów, czy tylko na nią jedną grzmi z wysokości katedry uniwersyteckiej. Obrywa od niego raz za razem, a wraz z nią jej bohaterowie, którzy dają się zastraszać, aż wreszcie nabierają werwy, charakteru i reagują, odpowiadają między wierszami.

Po trzech tygodniach intensywnej pracy Lea musi już tylko wygładzić zakończenie powieści i pogłębić kilka kwestii, postanawia jednak wysłać Giacomo tekst, zanim to zrobi. I tym razem on natychmiast jej odpisuje.

„Muszę zobaczyć się z jednym autorem o szóstej, miałabyś ochotę się ze mną spotkać o ósmej w centrum? Jestem zaraz przy via dei Coronari, lokal nazywa się »Lumière«”.

Kilka godzin później Lea stoi przed lustrem w łazience, właśnie skończyła robić dyskretny makijaż i teraz suszy sobie włosy. Delikatnym gestem nakręca na okrągłą szczotkę szerokie pasma, które, puszyste i błyszczące, opadają jej na plecy. Jednocześnie w ramie lustra, jak na ekranie, przesuwiają się kolejne sekwencje, jakby film o przeobrażeniach, jakie dokonały się w jej ciele: przypomina sobie obfitość swoich dwudziestoletnich kształtów, dłonie Giacomo, szalejące na jej krągłych piersiach, w których bez trudu rozpałały namiętność. Grecja zmieniła wszystko. Po powrocie ubrania Lei opinały wyłącznie wystające kości, jej piersi się zapadły, a ona schudła o dwa rozmiary. Spodnie wisiały na niej jak na wieszaku. Jednak życie z Vittorio przywróciło jej stopniowo kilogramy i to, co widzi teraz w lustrze – pełność kształtów i piękno, które właśnie z lekką nutą próżności podkreśla doborem stroju na wieczór. Szara koszula z głębokim dekoltem, zamkowy pasek w talii i para zwykłych czarnych getrów opinających jej kształtne, smukłe nogi, które dzięki godzinom spędzonym w siłowni mogą konkurować z nogami dwudziestolatki.

Bianca niespodziewanie wchodzi do łazienki i staje za jej plecami, spoglądając na lustrzane odbicie przyjaciółki.

Kiedy Lea wyłącza wreszcie suszarkę, słyszy, jak Bianca mówi:

– Waga spotkania jest wprost proporcjonalna do ilości cieni, które nałożyłaś na powieki.

Lea w odpowiedzi posyła jej uśmiech:

– Nie mogłam już na siebie patrzeć, ciągle ze związanymi włosami – odpowiada. – Pisanie odbija się na urodzie, czasem trzeba zareagować.

– Czyli na przykład przystać na propozycję spotkania.

– Mamy tylko rozmawiać o książce.

– Będziesz o niej rozmawiać taka odstrzelona, w dodatku o ósmej wieczorem?

– Pisanie powieści oznacza nielimitowany czas pracy. Choćby dlatego, że u ciebie mieszkam, powinnaś to zauważyć.

– Pisanie nie, korekta być może tak. – Bianca ma coraz bardziej poważny wyraz twarzy. – Uważaj, Lea. – Ostrzega ją. – Czasem wydajesz mi się taką delikatną, nieopierzoną istotką.

– Sama zaczynasz mówić, jakbyś pisała powieść...

– Ech, no wiesz, jak to jest, „choćby dlatego, że u mnie mieszkasz”.

Lea wypuszcza z siebie głębokie westchnienie, po czym chwyta czarny szal leżący na krześle, otula nim ramiona i mówi:

– Już niewiele zostało. Niedługo wrócę do Singapuru, tam jest moje życie.

Spojrzenie Bianki nie było tak czułe i słodkie od chwili, gdy przestały być dziećmi.

– Ja chcę tylko twojego szczęścia – odpowiada. – Nigdy nie było dla mnie ważne, gdzie je znajdziesz.

Gdy Lea parkuje kolejny mały samochodzik pożyczony od miasta na corso Rinascimento, zastanawia się, kto zajmie po niej miejsce kierowcy, kto następny zatrzyma się i poszuka odbicia własnej twarzy w lusterku wstecznym, może po to tylko, żeby przygładzić włosy, i nagle czuje ukłucie złości. Poświęciła zbyt dużo czasu na przygotowania do spotkania. Z lusterka samochodu spogląda nieopierzona istotka, która nauczyła się kłamać. Bianca ma rację: cień na powiekach zdradza wszystkie emocje, cały jej strach. Kolejny raz potraktowała Giacomo z większą uwagą, niż na to zasługuje. Zwilża opuszkę palca, by zetrzeć kolorowy makijaż z powiek, w odruchu pełnym dezaprobaty rozwichrza sobie włosy i wysiada z samochodu, by wyjść miastu na spotkanie.

Lampy rzucające złociste światło przydają ulicy miękkości i ciepła, rozmywają kontury, jakby wszystko było zamknięte w ogromnym matczynym brzuchu. Lea czuje jednak, jak rośnie w niej poczucie zagrożenia, zwłaszcza kiedy już pośród zaułków centrum uświadamia sobie, że Giacomo umówił się z nią w tym samym lokalu, w którym pewnego wieczoru pili rum i zagryzali go płatkami czekolady. To było tego samego dnia, kiedy Lea zdała swój pierwszy egzamin na studiach.

Wisi tu już inny szyld, w środku jednak wciąż są te same fotele z welurowym obiciem, te same lustra w ozdobnych ramach, kryształowe żyrandole, panuje ta sama teatralna atmosfera, która była tłem ich pierwszego dorosłego spotkania. A przy jednym z małych stolików w głębi sali siedzi on. Wyprostowany, nieruchomy, z nieco przydługimi i potarganymi włosami, ma na sobie znoszoną białą koszulę. Przez okulary w delikatnych oprawkach zdaje się patrzeć w dół, na maszynopis otwarty tuż obok stojącego na stole kieliszka. Ale tak naprawdę wpatruje się w coś, co znajduje się poza tym miejscem i poza tą chwilą.

Cała reszta znika. Teraz istnieje tylko ten stolik, podświetlony, jakby ktoś skierował na niego reflektor, a tak samo wyraźne i jasne jest wspomnienie wieczoru, podczas którego wyszli z tego lokalu, a szybkie kroki po bruku

zakłócające ciszę poprowadziły ich w stronę pierwszej, niezapomnianej wspólnej nocy.

Lea zatrzymuje się w progu, próbuje ukryć ten obraz głęboko w sobie, obok wielu innych, które tkwią gdzieś pomiędzy jej żołądkiem a sercem. Bierze głęboki oddech i podchodzi do niego.

– Cześć – mówi oficjalnym głosem, brzmi to trochę niezgrabnie.

On wstaje, powstrzymuje się od koleżeńskiego cmoknięcia w policzek, Lea również zachowuje dystans. Uśmiecha się do niej z czułością, a w jego oczach, co dla niego nietypowe, czai się smutek.

Lea nie komentuje wyboru miejsca, ignoruje to, zupełnie jakby weszła tu pierwszy czy setny raz w życiu, jakby nie było w nim nic szczególnego. Siada, zaciskając ręce, które trzyma na kolanach, w pięści, i czeka.

– Chcesz coś zamówić?

– Co pijesz?

– Rum.

– Dla mnie herbata, dziękuję.

Choć Giacomo ze wszystkich sił próbuje to ukryć, i on jest poruszony. Przekłada kartki maszynopisu, przypadkowo i automatycznie, byle tylko czymś zająć ręce, gdy spotykają się ich spojrzenia.

– Twoja powieść zadziwia mnie jeszcze bardziej – mówi, po czym nerwowo przerywa w pół słowa i woła kelnerkę, żeby zamówić herbatę. – Czy jeszcze podajecie czekoladę w płatkach? – pyta, a Lea mocniej zaciska pięści.

Kiedy kelnerka się oddala, on znów zaczyna się wpatrywać w Leę i zwraca się do niej tonem pełnym kurtuazji i jowialności, zupełnie do niego niepasujących:

– Pospieszyłaś się bardzo. Świetnie ci poszło.

Lea nie wie, co odpowiedzieć. Przygotowała się na konfrontację, miała stawiać opór jego krytyce, była gotowa na wojnę.

– Wciąż jest jeszcze sporo braków i nie zmieniłam wszystkiego, o co mnie prosiłeś – zauważa.

– Oczywiście, wiem. W niektórych fragmentach spodobało mi się to, że zachowałaś swój punkt widzenia. Udało ci się mnie przekonać. Zrobmy tak: oddam ci teraz tę pierwszą część z kilkoma niewielkimi poprawkami, a ty w międzyczasie dokończysz swoją pracę, zgoda?

– To dlaczego chciałeś się dzisiaj ze mną spotkać? Mogłeś mi to napisać.

– Myślałem, że należałoby porozmawiać o niedociągnięciach lub

przedyskutować twoje ewentualne wątpliwości, choćby w tej części, którą już udało ci się przejrzeć.

– Zawsze tak pracujesz? Wieczorami, przy kieliszku rumu?

Znów przybrała agresywny ton, taki sam jak w wydawnictwie. Zdawałoby się, że przemawia przez nią głos Bianki.

– Zazwyczaj zapraszam autorów do siebie do domu – odpowiada, zachowując spokój.

Jego wyznanie tylko pogłębia jej wzburzenie. Lea przyjmuje jeszcze twardszą linię obrony:

– My z kolei spotykamy się zawsze wieczorem, w knajpie, z mnóstwem ludzi gadających dookoła, żeby się jak najgorzej słyszeć?

Wciąż nie udaje się jej wyprowadzić go z równowagi. W jego oczach nadal błąka się cień melancholii.

– Już niewiele zostało do zrobienia, wiesz? Jeszcze tylko kilka spotkań. Następnym razem możemy umówić się w wydawnictwie, jeśli tak wolisz.

Na ich stoliku pojawia się herbata. Kelnerka stawia ją na blacie wraz z płatkami czekolady. Lea wpatruje się w porcelanową filiżankę ze złoconym brzegiem i usiłuje ukryć emocje, które w niej buzują.

– Mogliśmy zrobić wszystko na odległość. Przez e-mail. Naprawdę musiałam wrócić tu z Singapuru?

Nieświadomie posłużyła się słowami Vittorio, tak jakby on tkwił w jej głowie, jakby przemawiała przez nią jego zazdrość.

– Nie było to takie pewne, że dojdziemy do porozumienia, że nie będziemy musieli głębiej przedyskutować niektórych kwestii.

Lea ujmuje filiżankę w obie ręce, podnosi ją do ust tylko po to, by poczuć, jak bardzo jest gorąca, i odstawia ją natychmiast na spodeczek. Chwyta kawałeczek czekolady, nawet na niego nie patrzy, wkłada go sobie od razu do ust i przez sekundę wraca do niej wspomnienie: ma dwadzieścia lat i przygryza czekoladę, którą trzyma między dwoma palcami, w wystudiowanym, uwodzicielskim geście, podczas gdy Giacomo opowiada jej o fizyce, poezji i pożera ją oczami. Siedzący przed nią mężczyzna ma brodę przetykaną siwizną, bardziej zmęczone oczy, zwiotczone powieki, jest jednak równie niebezpieczny jak tamten asystent na uniwersytecie, z którym kochała się przez wszystkie te noce.

– A więc – pyta, nie tracąc czujności – co masz mi do powiedzenia na temat tego, co zdążyłeś już przeczytać?

– Te fragmenty, które usunęłaś, sprawiły, że całość staje się bardziej sugestywna. Na przykład tutaj... – Kartkuje maszynopis.

Lea obserwuje Giacomo gładzącego strony papierowego świata, zatrzymującego palec na akapitach, które podobały mu się najbardziej. Czyta jej na głos zdania, które według niego wciąż wymagają obróbki, a ona nie może oderwać wzroku od jego ust. Porusza nimi powoli, dobitnie wypowiadając zdania, rozciąga je w ledwo zauważalnym uśmiechu, a czasem wygina w kącikach w hipnotyzującym grymasie. „Czym są dla mnie twoje usta” powiedział jej kiedyś, cytując wers z wiersza Cummingsa, kiedy stała przed nim zupełnie naga.

– Teraz znowu zabiorę się spokojnie do pracy i... wszystko znajdę w zapiskach na marginesach, zgadza się?

– Tak.

Lea znów podnosi filiżankę z herbatą, próbuje upić łyk. Jest ostrożna, lecz gorący płyn wciąż parzy. Przygryza usta i ociera je serwetką. Teraz to jego zachłanne spojrzenie przypomina jej przeszłość, kto wie, która z chwil ich intymności pojawiła się w jego głowie.

Giacomo wyciąga dłoń w kierunku jej twarzy, wciąż nie odrywając od niej wzroku. Lea zamiera, czuje się przezroczysta, odchyła się, lecz on ledwie przesuwając dłoń i mówi:

– Masz tu czekoladę. – I wreszcie muska palcami jej policzek, tuż obok kącika ust. Przeszywa ją dreszcz, po raz kolejny, od kiedy znów go spotkała, przemyka oczy, jednak natychmiast dochodzi do siebie. Złości się na samą myśl o nim. Zastanawia się – co teraz wykombinuje? Zaproponuje mi kolację na mieście? Pewnie spróbuje. Wydaje mu się, że to takie proste, przez dwadzieścia lat nigdy nie zdołałam mu odmówić, myśli, że i teraz tego nie zrobię, chociaż po drugiej stronie świata czeka na mnie mąż.

Giacomo jednak nie próbuje niczego podobnego, znów skupia się na książce, dopytuje, czy Lea ma jakieś zastrzeżenia do swojej pracy.

– Myślałam o zakończeniu – odpowiada. – Ślubu nie będzie. Zgadzam się z tobą, to decyzja na wyrost. Całują się, i to tylko początek nowej drogi. Dzięki temu czytelnik będzie się zastanawiał nad tym, co postanowi Amelia, czy zdecyduje się przystać na zasady rządzące tamtym miejscem, czy też nie. Oznacza to, że będę musiała wyrzucić dwa ostatnie rozdziały. Miałaś rację, wybiegłam za daleko w przyszłość.

Teraz to Giacomo przełyka ślinę, jego twarz nabiera powagi, myśli



intensywnie.

– Jasne – powtarza. – Wybiegłaś za daleko w przyszłość.

Przez chwilę spogląda na nią nieruchomo. Wreszcie rzuca okiem na zegarek, jakby szukał pretekstu, czegoś, co przyciągnie jego uwagę, i zwraca się do niej już bardziej oficjalnym tonem:

– Czy masz jeszcze do mnie jakieś pytania? Jeśli uda mi się na nie odpowiedzieć, nie będziemy musieli tu siedzieć do późna.

Jest tyle rzeczy, o które chciałabym cię zapytać, uświadamia sobie Lea. Choćby o to, co miałeś na myśli, gdy powtarzałaś po mnie: „wybiegłaś za daleko w przyszłość”. I jeszcze: co cię dziś czeka? Dokąd pójdziesz i z kim? Gdzie byłeś przez te wszystkie lata? Dlaczego jako młody chłopak postanowiłeś, że tak właśnie będzie wyglądało twoje życie, dlaczego zmarnowałeś tyle czasu, bo ukrywałeś się przed własnymi marzeniami, uciekałeś przede mną, gotową kochać cię miłością, którą nie potrafiłam obdarzyć nikogo innego? Jak potworna rzecz musiała ci się przydarzyć, że stałeś się człowiekiem, którego kiedyś poznałam, i być może osobą, którą wciąż jesteś?

Nie mówi jednak nic, milczy przez chwilę, po czym powoli kręci głową i ze spuszczonego wzrokiem odpowiada: – To już wszystko.

– Wyślę ci tekst, kiedy tylko będę mógł, w międzyczasie przyjrzyj się pozostałej części książki i zastanów nad zakończeniem. – Wyjmuje portfel, kładzie dwadzieścia euro pod paragonem leżącym na stole. Zdaje się, że nagle zaczęło mu się bardzo spieszyć. – Jesteś samochodem? – pyta. – Mieszkasz w centrum? Podwieźć cię?

– Nie, dziękuję. Zatrzymałam się u Bianki, mojej przyjaciółki z liceum, pamiętasz ją?

Giacomo zmusza się do uśmiechu i jak zmęczony wojownik odpowiada:

– Bianca. Pamiętam ją. Może cię do niej odwiozę?

– Nie, dziękuję. Zostanę tu jeszcze chwilę, muszę zadzwonić w kilka miejsc.

Giacomo rzuca jej nieprzeniknione spojrzenie, wstaje od stołu i zanim Lea zdąży zareagować, jej twarz znajdzie się w ciasnym uścisku między jego dłonią a policzkiem. Składa ciepły pocałunek tuż przy jej uchu i mówi:

– Cześć. – Jeden gest wystarczy, by ugięły się pod nią nogi, przymyka oczy, a rozpalona niewidzialna ręka znów ściska jej żołądek.

– Chciałem ci pogratulować – dodaje. – Stałaś się tym, kim zawsze chciałaś być.

W tym ostatnim zdaniu nie ma już zuchwałości ostatnich dwudziestu lat, młodszej bezczelności niesfornego adiunkta ani niepewności szarpanej walką duszy broniącej się przed zażyłością i stereotypami, tak dobrze znanej jej z Grecji. W mężczyźnie, który przed nią stoi, jest tylko bolesna dojrzałość, cień frustracji i cynizmu.

– A ty? Kim chciałeś być? – pyta Lea.

Długa chwila oczekiwania tonie w ciszy, a kiedy Lea się odwraca, widzi, że Giacomo jest już przy drzwiach.

Kiedy zostaje sama, wpatruje się w tętniący życiem drewniany bar i myśli o wszystkich nieostrożnych decyzjach, o niepohamowanej intensywności nieznaną czasu ani przestrzeni, która tyle razy ich połączyła i rozdzieliła. Czuje, że rozpala się w niej ogień przeszłości i zastanawia się, jak zdoła przeżyć kolejne cztery tygodnie i się nie sparzyć.

Jesteśmy jak kolorowe krople rozsiane po świecie, każda o innej barwie, każda o innym odcieniu. Czasem udaje nam się osiągnąć wysoki poziom skupienia i kondensat naszych istnień tłoczy się w kolejkach, na placach, wypełnia szkoły. Gdybyśmy na siebie spojrzeli przez oko satelity, moglibyśmy ujrzeć się jako wielką barwną plamę. A przecież wiemy, że wcale tak nie jest, że każdy z osobna jest zupełnie inny i w myśl tego przekonania uciekamy przed zapomnianą elementarną prawdą – gdzieś na kuli ziemskiej istnieje druga kropla. I choć może różnić się od nas rasą, charakterem, może wierzyć w innego Boga, ma identyczny odcień, tak samo intensywny koloryt. Niewiele kropli zdoła się odnaleźć i złąć w jedność. Niewielu uda się kiedykolwiek rozpoznać siebie nawzajem, nawet jeśli żyją na wyciągnięcie ręki.

Zamyślona Lea wraca do domu i zastaje Biankę i Andrea przed telewizorem. Obejmują się i oglądają stary film z Charlie Chaplinem i sam fakt, że śmieją się do rozpuku przy czymś tak odległym w czasie, wiele mówi o ich wspólnym życiu.

Bianca i Andrea przywodzą na myśl słoneczną słomkową żółć z żyłkami czerwieni. Bianca odwraca się i znad oparcia kanapy woła do przyjaciółki:

– Ale wcześniej wróciłaś! – Z jej spojrzenia wyziera ulga, jak z oczu matki, spokojnej, bo jej dziecko już znalazło się w domu.

Lea wchodzi do pokoju, zapala lampkę w kształcie róży stojącą niezmiennie na biurku i włącza komputer. Na pulpicie widnieje zdjęcie, na którym ona i Vittorio obejmują się na plaży w Wietnamie. Pamięta dokładnie chwilę, kiedy zostało zrobione, i bezzębnego rybaka, który zabrał ich tam drewnianą łódką pokrytą łuszczącą się błękitną farbą, a potem nacisnął spust migawki. Przez cały czas śmiali się jak dwójka nastolatków. Widok tego zdjęcia przyprawia ją o dreszcze. Pospiesznie otwiera plik z książką, by oddalić wszelkie myśli niezwiązane z czekającą ją pracą.

Tej nocy jednak bohaterowie jej powieści zdają się bardziej odlegli niż

kiedykolwiek. Poruszają się w świecie o rozmazanych konturach, jak aktorzy w niemym filmie. Mogłoby się wydawać, że nie mają już sobie nic do powiedzenia.

Otwarty laptop przyciąga ją jednak bardziej niż zwykle, jakby coś wołało ją niezmordowanie, a ona nie mogłaby już dłużej ignorować tego głosu. Akceptuje zaproszenie do grona znajomych, które wysłał jej Giacomo.

Giacomo od zawsze oszczędnie dzielił się swoim prywatnym życiem na Facebooku. W ostatnich latach niewiele się zmienił, choć w albumach widnieje kilka zdjęć z jego dzieciństwa, ze szkolnych lat, z protestów na placu, kilka zatrzymanych w kadrze chwil beztrioskiej rozrywki. Być może stał się bardziej nostalgiczny. Choć niewiele o nim wiadomo, Lea się domyśla, że nie ma stałej partnerki i że żadna kobieta nie zdołała uczynić go ojcem. Wiele z nich do niego pisze, komentuje, oznacza go na zdjęciach, być może nawet bez jego wiedzy. Lei rzuca się w oczy zdjęcie z nadmorskiego spaceru, na którym dwie dziewczyny trzymają go za ręce: odwrócony tyłem idzie przed siebie w wyświechtanych džinsach i luźnym swetrze. Jego świat nie zmienił się za bardzo od czasów studenckich. Wciąż ci sami bliscy przyjaciele. Lea nie może jednak oprzeć się wrażeniu, że wszystko, co publikuje, składa się na obraz kogoś, kto patrzy na rzeczywistość z dystansu i widzi jej dojmującą i bezlitosną kruchość.

Zdjęcia na swoim profilu umieścił w oddzielnych albumach. Jeden z nich nosi nazwę Lorenzo – znajdują się w nim szkolne fotografie, kilka kadrów uchwyconych na imprezach. Być może za sprawą nieobrobionych odbitek Lorenzo zdaje się chudy, wręcz kościsty, wygląda trochę jak wypchany ptak. Jest też zdjęcie książki leżącej na biurku, dzieła wydanego przed kilkoma laty. Giacomo skomentował je tak: „Chciałeś być redaktorem, by móc rozbudzać ludzką ciekawość dobrą lekturą. Byłbyś dumny z tej historii, Lorenzo. I ty byś ją opublikował”. W albumie znalazła się także fotografia, na której obaj z Giacomo stoją przy resztkach muru berlińskiego. Pod zdjęciem jakaś kobieta, Giulia B., pozostawiła komentarz: „Giacomo, próbowałam się z tobą skontaktować tu, na Facebooku, ale nie odpisujesz. Muszę z tobą porozmawiać. Również o nim”. Lea klika na jej zdjęcie profilowe – przedstawia Sagradę Familię w Barcelonie. W Lei budzi się ciekawość, chce wiedzieć, kim jest ta kobieta.

Na profilu Giulii B. znajduje jej zdjęcie. Kobieta ma jasnokasztanowe włosy, długie i proste, takie same jak włosy Lei. I jej usta przyciągają uwagę – czerwone i pełne, i choć bardziej wydłużony owal jej twarzy wskazuje, że jest starsza, mogłyby uchodzić za siostry. W rzeczywistości nie są nawet wirtualnymi znajomymi i Lea nie może przejrzeć wszystkich jej zdjęć. Ale publicznie dostępne informacje wskazują, że wraz z Giacomo uczęszczała do tego samego liceum w Turynie, że chodzili do jednej klasy jeszcze przed jego przeprowadzką do Rzymu. W tej samej chwili Lei przypomina się jego wyznanie sprzed wielu lat: „Przypominasz mi dziewczynę, w której byłem w szkole szaleńczo zakochany”.

Lea wraca do przeglądania wirtualnych albumów. W starych postach szuka śladów swojej nieobecności, czegoś, czym kiedyś byli, czegoś, co uwolni ją od nieznośnego poczucia wykluczenia. Szuka Giulii B, chce wiedzieć, czy jeszcze się spotkali, czy darzyli się miłością i czy wciąż się kochają. Nie znajduje nic, ani o niej, ani o sobie. Po chwili jednak natyka się na album, który zapiera jej dech w piersiach.

Giacomo obfotografował cały domek na Andiparos. Zupełnie pusty. Pokoje, łazienka, grill, plaża, kościół. Niektóre miejsca obiecują wieczność, jakby na nas czekały, wyglądają tak samo jak wtedy, kiedy zamknęliśmy za sobą drzwi – uświadamia sobie Lea.

W domku na Andiparos zmieniło się tylko jedno: we wgłębieniach pod dachem, w którym ptaki wity swoje gniazda, wznosi się stos szczelnie ułożonych szlifowanych kamieni. Właściciel postanowił udaremnić wysiłki ptaków szukających schronienia, a widok warstwy otoczków pod altaną, gdzie jedli śniadanie, jest jak gwałtowna i nieprzyjemna podróż w czasie i Lea staje twarzą w twarz z zapłakaną dziewczyną, która patrzy na umierającego wróbelka i też pragnie zniknąć z tego świata.

Przesuwa myszką po ekranie i trochę niżej widzi grotę Agios Ioannis oraz zdjęcie, które Giacomo zrobił zeszłego lata. Kto wie, co pomyślał na widok daty wyrytej na ścianie jaskini: 1 sierpnia 2008. Zaraz pod spodem, równanie Diraca:  $(\partial + m)\psi = 0$ . Wciąż tam jest i być może przetrwa kilka najbliższych stuleci, by opowiadać ich historię każdemu, kto zejdzie do grotty i zechce podejść bliżej.

W chwilę po tym, jak stworzył swój ostatni album, Giacomo opublikował piosenkę Miny: *La voce del silenzio*. Słuchali jej w samochodzie podczas tych jedynych wakacji, które spędzili razem. Lea spogląda na dobrze znaną jej datę

pod postem – to dzień jej ślubu, dzień, w którym szła do ołtarza na plaży ubrana w białą sukienkę. Wpatruje się w twarz Giacomo, w jego niespokojne błyszczące oczy, które uśmiechają się ze zdjęcia profilowego, i rozzarzone ostrze przeszywa jej serce.

Jeśli wciąż wtedy o niej myślał, dlaczego pozwolił jej odejść? Jakież człowiek postanowiłby tak bardzo pokrzyćować ich koleje losu? Jaka udręka serca musiała okazać się silniejsza od potrzeby jakiegokolwiek ukojenia?

Był tchórzem. A jeśli nie, to znaczy, że wykorzystał ją, by wciąż na nowo podsycać swoje rozterki, bez których tacy jak on nie potrafią żyć. Nieważne, co wydarzyło się w przeszłości, w obliczu wyzwania teraźniejszości musiała skupić się wyłącznie na swojej pracy i jak najszybciej powrócić do własnego życia.

Minęło dziesięć dni, zanim Giacomo wysłał jej drugą korektę maszynopisu, niechybny znak, że po ich wieczornym spotkaniu i w nim coś się zmieniło.

„Nauka nie może rozwiązać ostatecznej tajemnicy natury. A to dlatego, że w ostatecznym rozrachunku my sami jesteśmy częścią tajemnicy, którą staramy się rozwikłać”. Powiedział jej to kiedyś, cytując słowa jakiegoś fizyka, którego nazwiska nie może już sobie przypomnieć i który całe życie usiłował nadać rzeczom sens.

Lea nie rozumie, dlaczego Giacomo wprowadził w jej tekście jedynie drobne poprawki, ograniczył się do wycięcia kilku fragmentów. Teraz siedzi przy biurku i wpatruje się nieruchomo w strony książki, które musi jeszcze przeredagować.

Mijają kolejne dni, kontakty telefoniczne z Vittorio stają się coraz trudniejsze. Nie mogą ustalić pory, w której mają dzwonić, różnica czasu nie współgra z ich planem dnia, staje na przeszkodzie ich rozmowom – za każdym razem, gdy do niego dzwoni, Vittorio jest zajęty i na odwrót. Wciąż zabiegany, nerwowy, zaferowany problemami w pracy, twierdzi, że niedługo mają dokonać ważnej fuzji. Wspólnie z Angelą Merkel sprawdzają dokumenty potrzebne do transakcji, pracują nocami i są wiecznie zmęczeni. I Lea zaczyna czuć się równie zmęczona, śpi w zbyt wąskim łóżku, brakuje jej własnej przestrzeni i męczy ją wiecznie zajęta łazienka, choć ciepło i atmosfera panująca w tej licznej rodzinie podtrzymują ją na duchu.

Obraz Vittorio i Merkel baraszkujących pod kołdrą zniecka pojawia się w jej głowie któregoś popołudnia, gdy bierze prysznic. Woda spływa jej po włosach, lecz ma wrażenie, że znajduje się w szczelnie zamkniętej bańce, wewnątrz której widzi twarz męża dochodzącego w ciele innej kobiety, jęczącego z rozkoszy, boleśnie i zwierzęco, jeszcze bardziej intensywnie niż wtedy, kiedy jest w łóżku z Leą. W jej głowie pojawia się i inny obraz – Vittorio w marynarce i krawacie na jednej z oficjalnych kolacji, gdzie musi pojawić się ze względu na swoją pracę, siedzi obok Lin Yu, chorej na serce

urbanistki, Chinki, którą Lea poznała w domu Van Der Meerów na krótko przed wyjazdem. Jest elegancka i eteryczna, taka, jaką ją pamięta, a Vittorio nie spuszcza jej z oka, pozwala jej drzemać w swych najskrytszych fantazjach. Woda wciąż spływa po skórze Lei, gdy wreszcie czuje jej strumień, pojawia się w niej strach, że oddali się zbyt od porządku swojego dawnego życia, stanie się zwykłą obserwatorką nieuchronnej klęski. Dopiero gdy zdoła skupić się na spokojnej twarzy Lin Yu, opanowanej i dodającej otuchy, obrazy w jej głowie zmieniają się raptownie, nabierają wiarygodności. Teraz widzi ich dwójkę pogrążoną w niewinnej rozmowie o Singapurze, o jego potrzebie przyszłości, o istocie przeszłości, a jej niepokój się ulatnia, jakby rozpuścił się w wodzie i spływał spienioną strugą do łazienkowego odpływu.

Otulona szlafrokiem, z włosami zawiniętymi w ręcznik, Lea wraca na swoje miejsce przed komputerem i gorąco pragnie jak najszybciej rozprawić się z ich historią. W tej samej chwili Stella wyskakuje zza jej pleców.

- Przeczytasz mi to, co napisałaś? – pyta, wychylając się zza drzwi.
- Nie spodobałoby ci się, to nie dla takiej dziewczuszki jak ty. Ale jeśli chcesz, opowiem ci historię o Shen, tajemnicy wszechświata. Ta mogłaby ci przypaść do gustu.
- Kim są Shen? – dopytuje dziewczynka, zafascynowana.
- Musisz wyobrazić sobie wszechświat jako wielki brzuch. Shen unoszą się w jego wnętrzu i podświetlają od środka. Są kwintesencją nas samych, to boskie iskry, które trafiają na ziemię w chwili, gdy życie przychodzi na świat. Według starej chińskiej legendy Shen mieszka w naszym sercu, i to w nim znajduje się nasza misja, zadanie, które otrzymaliśmy do wykonania na tej ziemi.
- I co musimy zrobić?
- Każdy z nas ma inne zadanie, choć wielu ludzi całkiem o nim zapomina. Stella zastanawia się przez chwilę.
- Ciociu, a twoim zdaniem, czy jak ktoś się chce nauczyć jeździć konno i przeskakiwać przez przeszkody, to się liczy jako misja?
- Myślę, że jak najbardziej się liczy. – Lea się uśmiecha.
- A ty co musisz zrobić, ciociu?
- Teraz muszę dokończyć tę książkę. A później pójść do łazienki wysuszyć włosy.



Rozmowa ze Stellą o Shen była jak otwarcie świetlistego przejścia, które przyciągnęło bohaterów jej powieści i przekonało ich do powrotu. Tej nocy w palcach Lei znów znowu płynie krew, przesuwają się po klawiaturze komputera z dawno niedoświadczaną werwą. Los bohaterów książki wreszcie jest dla niej jasny. Odnalazła nowy klucz, taki, jak zasugerował jej Giacomo: stara się ograniczyć wszystko do minimum.

Kiedy podnosi głowę, dociera do niej, że na zewnątrz zaczęło już świtać. Żółta elewacja kamienicy za oknem lśni fioletowym odcieniem nieba i widok w okiennej ramie przypomina obraz tworzący idealną scenerię do opowieści o pożegnaniu. Lea nie traci nawet czasu, by raz jeszcze przeczytać wszystko to, co napisała, skorygować ewentualne błędy, czuje tylko nagłą chęć, by wysłać tekst. I po raz pierwszy od momentu, kiedy znów się spotkali, naprawdę ma nadzieję, że już nigdy więcej nie będzie musiała go oglądać, że pożegna się z nim raz na zawsze, tak jak zamierza rozstać się z wymyślonymi przez siebie postaciami, zostawić je w eterycznym, fasadowym świecie wyobraźni.

Bianca znowu zaczęła pracować w przychodni San Giovanni i wydaje się bardziej zadowolona, pogodna. Nie zostałyśmy stworzone, by siedzieć w domu, jak nasze babki, powtarza. A gdy w jej życiu pojawiły się teraz nowe obowiązki, Lei nieoczekiwanie jest lżej na duchu. Niepokój związany z powieścią ustąpił pragnieniu powrotu do rytmu codzienności – pomaga w domowej krzątaniu, robi zakupy i razem z Bianką odbiera dzieci ze szkoły – jednocześnie stara się nie myśleć o odpowiedzi Giacomo, który tym razem zachowuje się opieszale, i o przyjeździe Vittorio, który zbliża się wielkimi krokami.

Od tamtego wieczoru nie zaglądała na Facebooka. Dusząca potrzeba obecności Giacomo rozluźnia swój uścisk, jak widmo, które rozplywa się w świetle dnia, i wtedy nie wydaje się już takie straszne.

Jeśli to prawda, że każdy z nas ma jakąś misję, myśli Lea, to może misją Giacomo było pojawić się w jej życiu po raz ostatni i poprowadzić ją do zakończenia i wydania powieści, przywrócić jej równowagę, którą burzył przez ostatnie dwadzieścia lat. A kiedy dostaje od niego e-mail z ostatnią korektą w załączniku, otwiera go z silnym przekonaniem, że wreszcie będzie mogła się uwolnić.

„Mamy to – pisze – włożyliśmy ogrom pracy, a ty uporałaś się z poprawkami szybciej, niż zakładałem. Powieść wiele na tym zyskała, Grazia jest naprawdę zadowolona. Chciałaby się jutro z tobą zobaczyć, żeby wstępnie przedyskutować kwestie promocyjne. Zgodziliśmy się również na tytuł, długo się nad nim zastanawialiśmy i wreszcie doszliśmy do wniosku, że *Dziennik ekspatki* to bez wątpienia najlepszy wybór. Przesyłam Ci ostatnią, poprawioną wersję, tym razem już bez notatek na marginesach. Tylko wyczyściłem tekst, wygładziłem kilka fragmentów. W razie jakichkolwiek wątpliwości nie wahaj się ze mną skontaktować”.

*Please, do not hesitate to contact me*, formułka wyciągnięta z zakończenia e-maila od pierwszego lepszego sklepu internetowego. Oboje są dorośli, oboje zdecydowali wybrać różne drogi życiowe. Nie mogą się przecież wahać.

Instynkt podpowiada jej, by odejść bez słowa, nie zaszczycając go nawet ostatnim spojrzeniem, zostawić go razem z jego tajemniczymi znajomymi z Facebooka, jego nierozstrzygalnymi problemami; w końcu jednak ulega pokusie i otwiera chat na WhatsAppie.

Giacomo jest online, informuje ją o tym jego status obok zdjęcia profilowego, takiego samego jak na Facebooku.

„Jutro niestety nie mogę – pisze. – Wiem, że powieść jest w dobrych rękach, informujcie mnie na bieżąco. Cieszę się, że się wam spodobała”.

Jest wciąż podłączony, a ikonka, która pojawia się pod wiadomością, świadczy o tym, że przeczytał ją w czasie rzeczywistym. Napis online nie znika, jednak Giacomo nie odpisuje.

Lea patrzy na jego zdjęcie i wyobraza sobie, że po drugiej stronie i on się wpatruje w ekran, w jej status online, i nie jest w stanie ruszyć palcem. Ich wirtualne spotkanie twarzą w twarz sprawia, że pocą jej się dłonie. Wreszcie, na ekranie pojawia się „...pisze” i Lea czuje, jak serce podskakuje jej w piersi. Ale czyta tylko idiotyczne: „Życzę Ci wszystkiego dobrego”, i po chwili Giacomo znika z czatu. W miejscu statusu online pojawia się godzina ostatniej wizyty, a Lea stoi z telefonem w ręku i ma ochotę upuścić go na ziemię.

Nigdy nie wystawiliście waszej miłości na próbę codzienności – mówi jej Bianca, ściągając z regału opakowanie ciastek i trafiając nim do sklepowego wózka.

– Dlaczego teraz mi o nim mówisz?

– Bo cię znam, Lea. Od kiedy skończyłaś książkę, całkiem przygasałaś. Wiem, że to jego wina, że to on wpędził cię w ten stan. Robił to za każdym razem, kiedy pojawiał się w pobliżu. Ale wy nigdy nie byliście razem. Najprawdopodobniej w życiu codziennym zupełnie byście się ze sobą nie zgodzali, ale nie miałaś okazji się o tym przekonać. I on utknął ci o, tu. – Pokazuje dłonią na gardło, przykładając sobie w poprzek tubkę mleka skondensowanego, którą właśnie wyjęła z kartonowego pojemnika. – Kto wie, czy kiedykolwiek uda ci się to przełknąć.

Podczas gdy Bianca porusza się swobodnie po rzymskim supermarkecie i wybiera potrzebne produkty, Lea zastanawia się, czym przez ostatnie lata stały się dla niej wyprawy na zakupy, gdy porusza się po omacku pomiędzy alejkami i próbuje zgadnąć, co oznaczają chińskie napisy na nieznanym jej towarach. Choć minęło tak dużo czasu, wciąż nie zdołała się przyzwycząić do innego niż włoski sposobu przyrządzania makaronu i do gotowych sosów pełnych niepotrzebnych przypraw. Kiedy się nad tym wszystkim zastanawia, dochodzi do wniosku, że jej codzienność z Vittorio polega na ciągłej próbie ucieczki przed rutyną. Bianca ma jednak rację: ona i Giacomo nigdy nie zrobili wspólnie niczego, co jest elementem prozy życia. Nie weszli nawet razem do głupiego supermarketu.

– Mówię ci, mylisz się. Tym razem Giacomo nie ma tu nic do rzeczy.

– A więc skoro to nie jego wina, to co ci jest? Masz depresję? Problemy z mężem? Już niewiele brakuje, kilka dni. Vittorio po ciebie przyjedzie i wreszcie udacie się na wakacje. Ale ty nie wyglądasz, jakbyś szalała ze szczęścia.

– To pewnie na myśl o powrocie do Singapuru – przyznaje Lea, kierując się

z Bianką w stronę kasy. – To tak, jakby nie czekało tam na mnie nic mojego. Od kiedy wróciłam, zaczęłam zdawać sobie sprawę, jak bardzo tęsknię za tym miejscem. Tęsknię za tobą, za naszymi przyjaciółmi. Nawet za moją matką, jeśli chcesz wiedzieć.

– Powinnaś z nim wobec tego porozmawiać.

– Nie wróciłby tutaj nawet martwy. To byłby dla niego prawdziwy cios.

– To co zamierzasz zrobić? Sama wolisz się poświęcić?

Lea spogląda na Biankę, która wyklada zakupy z koszyka na taśmę.

– Muszę ci coś szczerze powiedzieć – dodaje tak cicho, by nie usłyszała ich kasjerka. – Jesteś inteligentną, wrażliwą, piękną kobietą, ale masz jedną ogromną wadę – zatracasz się w miłości, potrafisz oddać duszę za darmo. Jakbyś chciała powiedzieć osobie, którą kochasz: proszę, to jest moje życie, tu masz klucze, możesz wejść i zrobić, co ci się tylko podoba, tylko nigdy mnie nie opuszczaj.

– Naprawdę tak o mnie myślisz?

– Znam cię od pierwszej klasy podstawówki, Lea. A poza tym, nie zapominaj, że jestem psychologiem... – Puszczą do niej oko.

Przez trzydzieści lat ich znajomości Bianca po raz pierwszy mówi coś, co prawie zwała ją z nóg. W tej samej chwili dociera do niej sygnał odebranej wiadomości. Wyjmuje telefon z torebki i to, co czyta na ekranie, jest jak kolejny wstrząs, jeszcze silniejszy niż słowa przyjaciółki.

„Świetne wieści – pisze Giacomo – udało się przyspieszyć datę wydania książki. Będzie w księgarniach jeszcze przed świętami, a ja chcę się z Tobą zobaczyć, choćby po to, by wznieść toast”.

Lea zamiera na kilka sekund. Zaczynają jej drżeć ręce.

– To on? – Pyta Bianca.

– Przyspieszyli datę wydania książki. Ukaze się jeszcze przed Bożym Narodzeniem...

– I...?

– Pyta, czy spotkamy się, żeby wznieść toast.

– I...?

– Chciałabym tylko zrozumieć.

– Co takiego?

– Z czym walczyłam przez te wszystkie lata.

Bianca potrząsa głową.

– A kiedy wreszcie zrozumiesz, to...?

– Kiedy wreszcie zrozumiem, wtedy odzyskam spokój.

Tym razem Lea nie okaże słabości, co zarzuca jej Bianca. Tym razem to on będzie musiał przed nią uklęknąć, a ona zrobi wszystko, by nie dać mu satysfakcji. Starannie wybrała czarną sukienkę, która wysmukła jej talię – ostatnie miesiące pełne przekąsek i resztek dziecięcych zupek sprawiły, że przybyło jej kilka kilogramów. Żadnych błyskotek, kunsztownych fryzur – odrobina pudru i maskary, muśnięte błyszczącym usta i kozaczki na obcasie.

Kiedy dociera do lokalu w centrum, który Giacomo zaproponował na miejsce ich spotkania, cele Lei wydają się coraz wyraźniejsze – uwieść go, rozniecić w nim pragnienie zdobywcy i wreszcie dać mu odczuć, co oznacza odmowa, frustracja próżnego oczekiwania. Pewna swego idzie wyprostowana, wchodzi do lokalu gotowa przyciągnąć spojrzenia wszystkich mężczyzn siedzących przy stolikach.

– Tędy. – Kelner wskazuje jej schody prowadzące na pierwsze piętro.

Giacomo już na nią czeka. Na palcach jednej ręki może policzyć wszystkie ich wspólne kolacje. Jedynie na Andiparos, w małej tawernie zaraz przy porcie, pachnącej smażonymi rybami, mieli okazję spożyć ją tylko we dwoje i przy winie i toastach patrzeć sobie w oczy.

Giacomo ma na sobie ciemnopurpurową koszulę z kołnierzykiem wystającym spod bawełnianego golfu, schludnie przygładzone włosy i nieodgadnione spojrzenie. Gdy ją dostrzega, z trudem udaje mu się je utrzymać. Lea z daleka widzi jego wahanie, a kiedy podchodzi do stolika, powolnym, uwodzicielskim ruchem zajmuje miejsce na krześle naprzeciwko niego. Pewność siebie sprawia, że czuje się wyższa. Czuje napięcie wibrujące w jej ciele, nie może się go pozbyć, próbuje jednak nie zwracać na nie uwagi. Pragnie być dla Giacomo niezdobytą fortecą. On wydaje się wręcz zakłopotany. Nalewa jej wina, i przysuwa swój kieliszek.

– Za pisarkę – mówi, po czym natychmiast spuszcza wzrok.

Lea dziękuje. Wie, że dziś wieczorem opadły już maski profesjonalizmu, za którymi dotychczas się kryli. Przy stoliku siedzą tylko dwie osoby, znajomi od dwudziestu lat, między którymi nigdy nie doszło tak naprawdę do konfrontacji.

Odpręż się, myśli Lea. Dziś wieczorem on jest w twoich rękach. Zabaw się

przez chwilę i wreszcie go zniszcz.

Giacomo zaczyna mówić, by złagodzić napięcie. Rzuca żartami, jest wesoły jak nigdy przedtem. Opowiada anegdoty o swojej drodze zawodowej, o autorach, z którymi miał okazję pracować, o kuriozach rynku wydawniczego w kraju, w którym ludzie najczęściej czytają horoskopy i przepisy kulinarne.

Wreszcie mówi:

– Trudno ci pewnie zrozumieć te problemy, bo na stałe mieszkasz w miejscu, gdzie ludzie parkują samochody we własnych domach, na szczycie wieżowców.

Lea słyszy, jak w głowie dzwoni jej alarm ostrzegawczy:

– Daj spokój, ja jeżdżę wyłącznie komunikacją miejską – odpowiada mu. – Nie mam pojęcia, skąd czerpiesz niektóre informacje...

– Jakiś czas temu czytałem taki artykuł, było tam zdjęcie wieżowca...

– I co? Ja nie widziałam niczego podobnego, może zwyczajnie nie zwróciłam uwagi. W każdym razie nie wiem jak ty, ale ja wolałabym widzieć przez okno sielski krajobraz wsi niż luksusowy samochód.

– To dlaczego wybrałaś właśnie to miejsce? Domyślam się, że z twojego okna roztacza się widok na długi szpaler wieżowców.

– Naprawdę chcesz wiedzieć, co widać z mojego okna?

Giacomo znów opuszcza wzrok, nie odpowiada, upija odrobinę wina i pyta:

– A czym zajmuje się twój mąż?

– Jest prawnikiem.

– Despotyczny prawicowiec, taki, jak sobie wyobrażam? – Śmieje się.

– A dlaczego miałbyś sobie go właśnie tak wyobrażać?

– Łatwiej przychodzi nam konkurować z kimś, kto znajduje się na przeciwległym biegunie, niż z kimś, kto choć trochę nas przypomina.

Lea czuje dreszcz biegnący wzdłuż kręgosłupa.

– Nie wydaje mi się, żeby była tu mowa o konkurencji.

– Rzeczywiście, konkurs odwołany. Nawet gdyby się odbył, na starcie zostałbym zdyskwalifikowany.

Przemilcz to, ostrzega samą siebie Lea. Nie zagłębiaj się w ten temat, to ryzykowne. Nie może jednak wytrzymać:

– Prawdę mówiąc, myślałam, że masz w sobie więcej z wojownika.

– Zastanawiam się, czy nie przeprowadzić się gdzieś nad morze – odpowiada ironicznie. – Założyć hodowlę, czy ja wiem? Przegrzebków? Podobno jest na nie coraz większy popyt. Może to uświadomi ci, jaki jest

obecnie poziom moich ambicji.

– Jeśli znajdziesz kobietę gotową ci towarzyszyć, można to uznać za całkiem niezły pomysł – mówi Lea, spoglądając na niego uważnie.

– Nie jest powiedziane, że na starość nie zaczyna doceniać się również samotności.

– Będziesz mógł sobie wyhodować rodzinę przegrzebków.

Giacomo wybucha śmiechem i rozbawiony odchyła głowę w tył.

– Zawsze to lepsze niż wychowywanie dzieci. Nikomu nie życzyłbym takiego ojca jak ja.

– Dlaczego? Nie byłbyś dobrym ojcem?

– Zawsze byłem egoistą, rozkojarzonym, narcystycznym i zmiennym. Bardzo zmiennym – odpowiada z powagą.

Lea czuje przypływ niechęci, nie ma jednak najmniejszego zamiaru pozwolić, by narastające rozgoryczenie przejęło kontrolę nad sytuacją. Skupia się na grissini, wyjmując jeden z nich z matowego opakowania i wkłada go sobie do ust.

– A ty? Nie chcesz zdecydować się na dziecko?

– Próbujemy – odpowiada, przygryzając paluszki grissini, nieumiejętnie ukrywa chłód, który zabrzmiał w jej słowach.

– Wiesz, Matteo niedawno został ojcem – opowiada, jakby chciał wydostać się z zaminowanego terenu, i stara się nie pokazywać po sobie reakcji, jaką wywołała jej odpowiedź. – Pamiętasz go?

– Pewnie, że pamiętam. Ożenił się?

– Nie, i nie wiem, ile jeszcze wytrzyma z matką swojej córeczki, ale jako ojciec spisuje się na medal. Kiedy jest na miejscu, poświęca się jej cały.

Bezczelna twarz Matteo tańczącego w Grecji nad morzem, przyklejonego do ud Angeliki aż prosi się o siarczysty policzek i w wyobraźni Lei nie potrafi ustąpić poważnej roli ojca troskliwie zajmującego się córką.

– Teraz jest w Etiopii, a jego zdjęcia podróżują po całym świecie. Pozostawią po sobie ślad.

– A ty? – pyta Lea.

– Co ja?

– Ty też pozostawisz po sobie ślad?

– Właśnie zamierzam opublikować bestseller dziesięciolecia. Jasne, że pozostawimy po sobie ślad.

Lea opuszcza oczy, a on podnosi kieliszek z winem.

- Toast za powieść! – mówi Giacomo, ale Lea nie przyłącza się do niego.
- Za *Dziennik eskpatki!* – próbuje ponownie, unosząc brwi w rozbrajającym grymasie.
- *Mężczyzna z czerwoną aktówką* nie brzmiał najgorzej – odpowiada wreszcie Lea i unosi swój kieliszek.

Po kolacji spacerują zaułkami centrum, po raz pierwszy od wielu lat. Giacomo nalegał, że to on zapłaci rachunek, jest troskliwy i szarmancki, być może te cechy obudziły się w nim z upływem lat. Maszeruje obok niej, utrzymuje nawet bezpieczny dystans, idzie w znoszonych butach, ręce trzyma w kieszeniach starych zielonych spodni, w których wydaje się postawniejszy. Jego broda w rozproszonym świetle latarni wygląda na ciemniejszą niż jest. Nawet jeśli w Giacomo tli się pragnienie, by zaciągnąć ją do pierwszej lepszej bramy, świetnie je maskuje budzącym ufność, dystygowanym spokojem kogoś, kto nareszcie postanowił usunąć się w cień.

Spektakularnej zemsty nie będzie, konstatuje rozczarowana Lea. Teraz, gdy wino dodało myślom lekkości, jej forteca jest bezpieczna, a wszyscy żołnierze, dotychczas zwarci w szykach za jej murami, gotowi w razie potrzeby obnażyć miecze i wycelować działa, zrezygnowani obserwują, jak wróg z własnej woli oddala się z pola bitwy.

Zastanawia się, co zrobić z całą tą bezużyteczną bronią, jak poskromić dreszcze, które podczas kolacji ani przez chwilę nie przestały przebiegać jej po plecach i towarzyszą jej nadal podczas wieczornego spaceru z Giacomo. Gdy przecinają corso Rinascimento i zbliżają się do vicolo del Divino Amore, Lea zwalnia kroku, bo wreszcie dociera do niej, że prawie dotarli na miejsce. Są właściwie pod bramą wejściową do jego mieszkania.

– Czy ja cię właśnie odprowadziłam do domu? – pyta i próbuje uśmiechem zamaskować napięcie. Czuje rosnące podniecenie mieszające się z instynktownym poczuciem zagrożenia.

– Tak naprawdę to chciałem zaprosić cię do środka – odpowiada z tą samą naturalnością, z którą w przeszłości za każdym razem zdobywał ją dla siebie, z chłopięcą arogancją, z intymną pewnością, której nie potrafiła się oprzeć.

– Mówiłeś mi, że w przeciwieństwie do innych redaktorów nigdy nie zabierzesz mnie do siebie do domu.

– Na pewno nie po to, żeby pracować.



Lea wreszcie ma okazję, na którą czekała. Postój taksówek jest tuż za jej plecami, kilka samochodów może ją stamtąd zabrać. Teraz musi tylko przeorganizować swoje zbrojne szeregi, nakazać łucznikom, by stanęli w gotowości, zbliżyć się uwodzicielsko do Giacomo i wzniecić w nim pożądanie, poczuć je przez jego koszulę i sweter, a kiedy zacznie w nim wrzeć, co zmusi go do tego, by uczynił pierwszy krok, Lea go odepchnie. Oddali się z podniesionym czołem i wróci do domu Bianki. I choć nagle czuje się słaba i bezwolna, choć boi się, że działanie przeciwnika może przynieść jej porażkę, wie, że nie wolno jej stracić kontroli i musi postępować zgodnie z narzuconą sobie strategią.

Giacomo stosuje jednak element zaskoczenia:

– Mam coś, co do ciebie należy i chciałbym ci to zwrócić – mówi.

To z pewnością nie jest zwykła wymówka. To nie w jego stylu.

Rzeczywiście musiała tam kiedyś coś zostawić, nie tylko w sensie metaforycznym – pewnie o czymś zapomniała jeszcze przed ich greckimi wakacjami, tyle że nie ma pojęcia, co to może być.

– Mogę zaczekać tutaj – proponuje z wahaniem.

– Będę zmuszony nalegać. Tylko i wyłącznie dlatego, że nie chcę ci tego oddawać na środku ulicy.

Wejdz, Lea, odzywa się głos w jej wnętrzu. Doprowadź go do ostateczności, odzyskaj to, co do ciebie należy, i pozbądź się go raz na zawsze.

Na klatce schodowej unosi się zapach świeżej farby. Giacomo naciska włącznik światła i neonowa lampa zaczyna mrugać w świeżo odnowionym białym korytarzu. Lea idzie tuż za Giacomo, oddycha powoli i głęboko, stara się ignorować to, że trzęsą się jej nogi.

Kiedy on otwiera drzwi do mieszkania, przeszłość już tam na nią czeka, przyczajona w przedpokoju ich dawnego sekretnego schronienia. W kuchni i pokoju dziennym nie zmieniło się nic, choć teraz każdy kąt w tej części mieszkania, w przeciwieństwie do ostatniego razu, gdy tu gościła, zdaje się żywy i zamieszkały.

Giacomo przeniósł tu wszystkie swoje stare książki – ułożył je na regałach, których wcześniej nie było, i teraz tłoczą się na ścianach salonu. Na kanapie leży niedbale rzucony sweter, znalazło się nawet miejsce dla telewizora.

– Co się stało z suteroną?

– Trzymam tam fortepian i czasem poprawiam maszynopisy. Śpię, jem i żyję tutaj, tak jest bardzo wygodnie. Na dole panuje nieznośna wilgoć. Napijesz się

wody? Chce mi się pić, może kolacja była za słona.

To mieszkanie obudziło w niej wspomnienia i dawne oczekiwania. Wspomnienia z *via dei Serpenti*: ich cielesna miłość, jakiej oddawali się, nie myśląc o przyszłości, tutaj przecież Giacomo całował ją, trzymając palce na klawiaturze fortepianu, rozniecił w niej nadzieję na dojrzałe, rzeczywiste uczucie. Lea teraz już wie, że ta nadzieja okazała się mostem wiszącym nad przepaścią... Po siedmiu latach, które minęły od tamtych chwil, nie pozwoli sobie na to, by znów musiała próbować się przez niego przeprawiać.

Rzuca okiem na zawartość otwartej lodówki i tam również zauważa oznaki małej rewolucji: jest pełna, niczym nie przypomina lodowej pustyni sprzed lat – kątem oka Lea dostrzega szczelnie zamknięty pojemnik z sosem i befsztykiem. Giacomo wyjmuje butelkę z wodą i sięga do kredensu po rum.

– Wciąż tyle pijesz?

– Czasami, kiedy jestem zdenerwowany. – Uśmiecha się i nalewa sobie trochę alkoholu. – Masz ochotę?

– Woda wystarczy, dziękuję.

– Ale przynajmniej przestałem palić skręty – dodaje żartobliwie i wychyla łyk ze szklanki. W jego oczach wciąż tli się niepokój. – Słyszałem, że to za bardzo młodzieżowy nałóg.

– To znaczy, że dorosłeś? – pyta Lea i już sekundę później gani się w myślach za to prowokacyjne zachowanie. Przykazała sobie przecież zachować spokój.

Odwraca się w stronę pokoju dziennego, by odzyskać kontrolę, i w tej samej chwili jej wzrok zatrzymuje się na zdjęciu Matteo, które trafiło na jedyną, kiedyś wolną, ścianę w mieszkaniu łączącą salon z sypialnią. Lea podchodzi bliżej.

Pod zdjęciem znajduje się tabliczka z tytułem: *Los dwóch cząstek kwantowych*.

– To jedyne prawdziwe dzieło sztuki, które mam – wyjaśnia pospiesznie Giacomo. – Jedyne egzemplarz, Matteo nigdy nie zrobił kopii.

Nie ma innych zdjęć w zasięgu jej wzroku i Lea przygląda się bliżej błękitnym punkcikom, które kiedyś uważała za metaforę ich dwojga. Przypomina sobie nastoletniego Giacomo, skupionego na liczbach, szybkiego jak komputer i zimnego jak maszyna.

– Byłam pewna, że odkryjesz równanie wyjaśniające początki wszechświata – zwraca się do niego w sposób, który zdradza, że niespodziewanie ogarnęła

ją melancholia.

– Daj mi trochę czasu. Jestem pewien, że jeśli jeszcze przez chwilę popatrzę ci w oczy, mogę doznać olśnienia.

Nareszcie, wyciągnął jedno ze swoich podręcznikowych zdań, nieco banalne i nieskuteczne, bo te słowa nie robią na Lei wrażenia. On jest najpewniej przekonany, że to wystarczy, w przeszłości zawsze tak przecież było – nigdy nie uważał jej za zbyt wymagającą, i to w gruncie rzeczy pozwoliło mu pielęgnować w sobie poczucie wyższości. Przekonanie, że jest niezwykły potęguje jego pewność siebie. Sądzi, że wie, jak zakończy się ich spotkanie, w przeciwnym razie nie zaprosiłby jej tu dziś wieczorem. Lea zna go wystarczająco dobrze, by wiedzieć, o czym teraz myśli, i miałaby ochotę powiedzieć mu: nie masz pojęcia, jak bardzo się mylisz.

Wchodzi do salonu przekonana, że może wycofać się w najbardziej odpowiedniej chwili, lecz raz jeszcze traci panowanie nad tonem głosu i pyta go prowokacyjnie:

– A więc? Co takiego musisz mi oddać?

Giacomo jest spokojny, wciąż się uśmiecha.

– Spieszysz się dokądś?

– Mieszkam u Bianki, nie wiem, czy na mnie nie czekają.

– Wyznaczyli ci godzinę policyjną jak nastolatce?

– Przestań, jestem bardzo ciekawa.

– Usiądź – mówi i zapraszającym gestem wskazuje kanapę.

Lea nie rusza się z miejsca.

Giacomo podchodzi do biblioteczki.

– Powinien tu być. – Zaczyna przerzucać stos papierów i dokumentów.

Po chwili odwraca się i podaje jej stary zeszyt.

– Co to takiego? – pyta Lea. Dopiero gdy obraca go w dłoniach, widzi okładkę z postacią z komiksu, pobazgraną mazakami, z powyginanymi rogami i pozółkłymi stronami wewnątrz.

Nie jest w stanie nawet go otworzyć. Rozpoznaje koło zakreślone błękitnym pisakiem wokół twarzy jej ulubionego bohatera z dzieciństwa i wie, że wewnątrz znajdzie swoje równania, kobiece akty, bazgroły. W środku kryje się zapis najdłuższego semestru ze wszystkich licealnych lat.

Znów widzi błękitne kółka narysowane na skórze jej i Giacomo, ich smukłe i nerwowe palce, pisak zaciśnięty w jej dłoni, zbliżający się do jego ręki z zamiarem pozostawienia na niej znaku, który w jej nastoletniej naiwności

miał być niezmywalny, wieczny. Znowu czuje ten sam ból w piersi, który pewnego popołudnia wiele lat temu towarzyszył jej podczas ucieczki.

Podczas drugiej wojny światowej Singapurczycy spodziewali się, że Japończycy zaatakują ich od strony morza. Wróg nadciągnął drogą lądową, pieszo i na rowerach, od strony Malezji, a tam nikt się go nie spodziewał. Gdy kilka chwil wcześniej Lea i Giacomo spacerowali załkami centrum, jego spokojny krok i uległość były jak armia japońskich rowerzystów przygotowujących się do zadania ostatecznego, podstępного ciosu.

Dłonie Lei stają się zimne, słowa grzęzną jej w gardle. Zawładnął nią obezwładniający strach, który nie pozwala jej podnieść wzroku. Najważniejsze, żeby Giacomo nie zauważył, jakie emocje teraz nią targają. Taką reakcję wywołało w niej to, że zachował jej zeszyt przez wszystkie te lata, lecz kiedy tylko ta myśl pojawia się w jej głowie, on wyjaśnia:

– Znalazłem go w domu moich rodziców, kiedy robiłem tam porządk.

Jego słowa są dla niej jak cios, Lea zaciska zeszyt w ręku z rosnącą złością:

– Teraz naprawdę muszę już iść – mówi, usiłując zachować równowagę do chwili, aż dojdzie do drzwi wyjściowych.

Gdy wyciąga rękę, by nacisnąć klamkę, czuje za plecami ciepły ciężar jego ciała, jakby miał ją objąć. Chłód metalowej klamki, której dotyka, sprawia, że próbuje zebrać siły. Nie odwraca się, powtarza sobie. Wyjdź, teraz. Odnosi jednak wrażenie, że w żołądek wbił jej się zaostrowany hak. Wyjdzie z tego mieszkania, zejdzie po schodach, a hak wciąż będzie tkwił w jej trzewiach, to przykre odczucie nie zniknie. Za tydzień odbierze Vittorio z lotniska, spróbuje uśmiechać się wraz z nim, ze strażnikiem jej czystości, a kiedy będą snuli rozmowy o niedokończonych planach na przyszłość, hak w jej żołądku znowu da o sobie znać. Czuje się pokonana, zagubiona. Odwraca się, bo nie potrafi inaczej. Bierze głęboki oddech. Usiłuje znaleźć w sobie odwagę, by znowu spojrzeć Giacomo w oczy.

Tym razem nie może pozwolić mu na zwycięstwo. Ścisła zeszyt w dłoni, ma ochotę rzucić nim w niego, wepchnąć mu go do gardła, kawałek po kawałku, dać mu skosztować goryczy, którą dławiała się przez lata. Jedyne zwycięstwo, na które może liczyć, to wyzwolenie, a jedyny sposób, by je odnieść, to zanurzyć się w nim do samego końca, zastosować się ściśle do wskazówek jej męża: powinna być odporna na uczuciowe zawilości i podejmować decyzje z komputerową chłodną kalkulacją, której nauczył ją Vittorio.

Giacomo wpatruje się w nią intensywnie. Stoi z rękami opuszczonymi

wzdłuż ciała, czeka bezsilny. Lea kładzie mu ręce na piersi i z wściekłością popycha go na ścianę. Widzi, jak w jego oczach pojawia się zdumienie, a przestrzeń między nimi przeszywa błysk podniecenia.

Zbliża się do jego ust, czuje jego oddech na wargach:

– Nie zakocham się w tobie drugi raz – mówi.

On stoi nieruchomo i z chłopięcą bezczelnością i głosem zmienionym alkoholem odpowiada:

– Nie musisz.

Lea zaciska palce na jego swetrze i przyciąga go do siebie.

– Zmęcę się tobą – obiecuje mu. – Nasycę się tak, że już nigdy nie będę chciała o tobie słyszeć, będzie mi niedobrze na sam twój widok.

– Tego ci życzę.

Bóg jeden wie, jak bardzo chciałyby zrobić mu teraz krzywdę, czego tak naprawdę pragnie tej nocy, musi to przeżyć, bo tylko tak może zdjąć z siebie tę klątwę. Nigdy jeszcze nie czuła tak palącej potrzeby, by zadać mu ból i by go poczuć. Nigdy jeszcze nie upadł tak nisko w jej oczach.

Ich usta zaczynają szukać się nawzajem, zachłannie jak nigdy dotąd, jakby chciały się nie tylko posiąść, ale pochłonać. Dłonie Lei odpowiadają siłą na natarczywość jego dłoni, jakby ścierały się w wyścigu, kto pierwszy zyska przewagę, kto zawładnie, kto okaże się zdobywcą.

Jedna dłoń Giacomo wślizguje się między jej uda, druga ściska jej piersi, a po chwili sięga jej twarzy. Jego palce wkradają się do jej ust, szukają jej języka, lecz Lea nie ustępuje, nie poddaje się, chce dominować. I jej ręce, zaciekle w ich miłosnej walce, szukają jego ciała, tak samo bezlitosne i nieustępliwe.

Chwilę później tarzają się już po stole i usiłują zerwać z siebie ubrania. On rozchyła jej nogi, przytrzymuje ją za kolana, chciałby ściągnąć z siebie spodnie, ale Lea nie pozwala mu na to, czuje zimny metal paska jego spodni na swojej skórze i napierającą męskość ocierającą się o jej udo. Jest mokra na samą myśl o tym, że on znów będzie jej, lecz wie, że samo oczekiwanie to epicentrum przyjemności. Wyślizguje się z jego uścisku, wygina plecy w łuk, a kiedy on przygryza jej sutek, czuje ciepło spływające po jej pachwinie. Podnosi się i chwyta go za szyję, zanurza twarz w jego włosach, obejmuje od tyłu.

– Nienawidzę cię – mówi, a on dyszy przy jej uchu, szuka znów jej warg, przyciska usta do jej ust i ze złością chwyta ją za nadgarstki, usiłuje

przytrzymać ją na stole, choć Lea wciąż próbuje się mu wyrwać.

Jej paznokcie wbite w skórę jego pośladków sprawiają mu ból, choć i jego palce bezlitośnie przytrzymują ją za włosy, by ją unieruchomić. Lea krzyczy tak długo, że wreszcie Giacomo musi ją puścić, wycofać się. Wtedy ona odwraca głowę, spogląda na niego z rękami wciąż opartymi o regał i falującą piersią.

Wstaje, ociera usta grzbietem dłoni, odgarnia włosy z twarzy, usiłuje uspokoić oddech. Po chwili odwraca się i znika w sypialni. Jej czarna sukienka jest rozdarta z boku. On nieruchomieje na moment, zaciska ręce w pięści i śledzi wzrokiem jej nagie plecy znikające w ciemności drugiego pokoju, po czym zdecydowanym krokiem rusza za nią, gotowy znów ją osiąść.

Popycha ją na łóżko, rzuca się na nią, zrywa z niej resztki ubrań. Lea gryzie go z całych sił, uderza pięściami w jego pierś i pozwala mu się gryźć. Zęby kochanka pozostawiają ślady na jej skórze, Lea wydaje z siebie głośny krzyk, który łagodnieje i zmienia się w długi jęk rozkoszy. Czuje w sobie Giacomo, on wdziera się w nią jednym gwałtownym pchnięciem, które odbiera jej oddech.

Teraz Lea pozwala się poskromić, staje się uległa, wręcz bezwolna, lecz wreszcie sztywnieje i odzyskuje kontrolę. Teraz to ona wyznacza rytm i sekwencję ruchów. Jeszcze nigdy dotąd nie pozwoliła, by zawładnął nią zwierzęcy instynkt, nigdy nie była tak dzika i tak posłuszna jednocześnie. Stała się władczynią swojego ciała, umysłu i gestów, w których splatają się ich ciała.

Są nienasytzeni. Lea straciła poczucie czasu, nie wie, jak długo to trwa, lecz zdaje jej się, że wszystko dookoła nie tylko się zatrzymało, ale nawet cofnęło do jakiegoś odległego wymiaru, jakby wydarzyło się już tysiące razy. Pierwszy raz wcale nie w jej wspomnieniach z przeszłości czy najbardziej ukrytych fantazjach, lecz o wiele, wiele wcześniej i jednocześnie wiele razy później.

Kiedy Lea zaciska ręce na oparciu łóżka, czuje, jak Giacomo porusza się wewnątrz niej, co jest zapowiedzią spełnienia. Lea uświadamia sobie, że nigdy nie doświadczyła niczego podobnego, i nie wyobrażała sobie nawet, ile przyjemności można odnaleźć w tak brutalnym akcie. Wreszcie słyszy jego jęk, który w niczym nie przypomina ludzkiego głosu, i czuje, jak drży, niczym zmartwiała z zimna, odarta ze skóry istota. Gdy jest już po wszystkim, opada

ciężko na łóżko, przysuwa się do niej na resztkach podartego w szale namiętności prześcieradła. Boli ją każda część ciała – ślady po ugryzieniach, które wkrótce zmieniają się w siniaki, twarz, skóra, nawet cebulki włosów. Ale nic, cała ta przemoc, która ich napędzała i doprowadziła do aktu spełnienia, nie zdołała zboleć jej tak bardzo jak jego gest, kiedy wyciąga rękę, podnosi kołdrę, która spadła na podłogę, i z troską otula ją miękką tkaniną. Gładzi jej splątane i wilgotne włosy i całuje ją miękko w spocony bark.

– Jesteś moją małą dziewczynką, wiesz – szepce, przyciskając ją do piersi, nieświadomy nawet, że w tej nagłej ciszy po twarzy Lei spływają łzy, których nie potrafi już dłużej powstrzymać.

„Wtedy odzyskam spokój”. Lea obiecała to Biance, zanim zgodziła się na spotkanie z Giacomo. Teraz spogląda na swoją twarz odbijającą się w lustrze wiszącym w windzie – ma czerwone policzki podrażnione jego kłującym zarostem, posklejane w strąki włosy i różowawy cień na szyi, prawie niewidoczny, choć sprawiający ból przy najmniejszym ruchu. Przypomina jej się tablica na Changi Beach upamiętniająca jedną z wielu rzezi dokonanych przez Japończyków w Singapurze. Historia uczy, że pokój czasem musi zostać okupiony niewyobrażalną przemocą, która wypacza dotychczasowy porządek rzeczy. Lea myśli o wszystkich tych chwilach, w których miłość do Giacomo wynosiła ją wysoko ponad przyziemne sprawy świata, by po chwili jednym ruchem strącić ją na samo dno. A jeśli to naprawdę miłość, to z tym uczuciem było coś nie tak; coś, co wyziera teraz z jej odbicia w lustrze: ma spojrzenie zaszczutej ofiary. To coś nieodwracalnego.

Tego ranka nie czekała nawet, aż Giacomo się obudzi, zanim wyszła z jego mieszkania. W półcieniu panującym w sypialni włożyła na siebie czerwoną koszulę znaną w jego szafie i parę dżinsów, w których mogłaby się utopić. Podartą sukienkę wsunęła do siatki, którą zostawiła na stole w kuchni wraz z zeszytem z okładką z Dylan Doga i karteczką: „Uciekam do Bianki. Znajdę sposób, byś odzyskał swoje ubrania”.

Czy tego właśnie chciała? Zniknąć? Dlaczego zostawiła tam ten zeszyt? Pragnęła, by znów ją do siebie wezwał, czy wolała o nim zapomnieć? Zastanawia się nad tym teraz, kiedy naciska dzwonek do drzwi mieszkania swojej najlepszej przyjaciółki. Ma na sobie sukienkę z Zary, którą po drodze pośpiesznie kupiła w sklepie, a jej twarz płonie ze wstydu.

Bianca otwiera drzwi i usiłuje zrobić na jej widok przyjazną minę.

– Przykro mi – mówi Lea.

– Powiedziałam, że poszłaś na kolację do matki i że miałaś tam zostać. Nie czekaliśmy na ciebie, jeśli się tym przejmujesz. Wiedziałam, że nie wrócisz na noc.



Prowadzi przyjaciółkę do kuchni.

– Chcesz kawy? – pyta, manewrując przy palnikach kuchenki.

Lea siada na stołku, czuje pieczenie między nogami, oddycha głęboko. Światło jest zbyt jasne, prawie oślepiające, odbija się od wszystkich białych mebli upstrzonych rysunkami i śladami dziecięcych paluszków.

– A dzieci?

– Andrea zabrał je do zoo.

– Muszę się przespać.

– Domyślam się – odpowiada Bianca, która podchodzi do niej z filiżanką kawy i już bez uśmiechu na twarzy.

– I zniknąć z powierzchni tej planety.

– Tego też się domyślam.

Kiedy Lea otwiera drzwi do pokoju Stelli, czuje się przytłoczona i niepasująca do tego słodkiego pomieszczenia. Boi się, że doświadczenie jej ubiegłej nocy, które wciąż na sobie czuje, zaburzy energię tego miejsca. Idzie do łazienki, bierze prysznic.

Kiedy kilka minut później wraca do pokoju i siada na łóżku, dociera do niej, że woda może zmyć brud z jej ciała, ale nie zdoła sprawić, by zniknęły ślady, jakie ostatnia noc wyryła w jej wnętrzu. Co stało się z kobietą, która miała jasny cel i strategię, i żelazne postanowienie, żeby się ich trzymać? Dlaczego teraz ogląda z każdej strony swój telefon, tak jak robiła to wiele lat temu, z nadzieją, że dostanie wiadomość? Prawdziwa kobieta – władczyni swoich emocji – nie wchodziłaby teraz na Facebooka kierowana obsesyjną myślą, by śledzić jego poczynania. Giacomo zajrzał tu kilkakrotnie w ciągu dnia, opublikował jakieś melancholijne zdanie i zniknął. Widziała też jego status online na WhatsAppie. A jednak nie próbuje się z nią skontaktować. Zresztą dlaczego miałby to robić? Czy list, który zostawiła mu na stole, nie był dość jasny? Czy to właśnie nie ona pragnęła go uwieść i porzucić? Dlaczego wobec tego nie dotrzyma słowa danego samej sobie i nie przestanie o nim myśleć?

Tuż obok tych emocji otwiera się przepaść o imieniu Vittorio, a Lea dostaje zawrotu głowy na samo jego wspomnienie. Tak bardzo nie może się otrząsnąć po tym, co się stało, że kiedy mąż dzwoni do niej tego samego popołudnia, Lea wysyła mu wiadomość: „Dostałam gorączki. Wiesz, z dziećmi wystarczy chwila i już łapiesz wirusa. Nie mogę mówić, gdybyś usłyszał mój głos,

przestraszyłbyś się. Porozmawiamy, jak tylko poczuję się lepiej i odzyskam głos”.

Nawet kiedy była małą dziewczynką, kłamstwa nie przychodziły jej tak łatwo. Nieważne, że teraz usiłuje zamaskować swoje kłamstwo, nadać mu odcień prawdopodobieństwa. Bo przecież dreszcze, które ją przechodzą, to właśnie gorączka, przekonuje samą siebie. To, co wydarzyło się minionej nocy, to nic innego jak uderzenie gorączki. Zanurza twarz w poduszce, zaciska mocno powieki: Śpij, proszę cię, śpij. Wymaż to wszystko z pamięci.

Tego wieczoru Stella chce, żeby Lea przeczytała jej bajkę:

– Lubię twój głos, kiedy czytasz – prosi.

Właśnie minęła ósma, a dziewczynka wyciąga do niej rączkę z książką.

Cały dzień Lea bezskutecznie usiłuje przegnać sprzed oczu obrazy poprzedniej nocy, ale te powracają wciąż na nowo. Nadzieja, że wreszcie uda się je odgonić sprawia, że postanawia skupić się na historii żyrafy z krzywą szyją, która uśmiecha się do niej z okładki.

Twiga, żyrafa z książeczki, zakochała się na zabój w słońcu i postanowiła poświęcić resztę życia na to, by próbować się zbliżyć do ukochanego. Jest przekonana, że natura ofiarowała jej tak długą szyję, by ułatwić realizację miłosnego zamiaru. Twiga cierpi, rozpacza, nie może żyć bez słońca, nie potrafi jednak zadowolić się obserwowaniem swojego obiektu z tak dużej odległości.

Lea zbliża się już do końca tej wzruszającej historii, kiedy jej telefon zaczyna dzwonić. Podskakuje na łóżku, gdy widzi imię Giacomo na wyświetlaczu komórki. Pospiesznie wstaje, przeprosza Stellę i biegnie do łazienki, żeby odebrać telefon.

Odnosi wrażenie, że serce podchodzi jej do gardła, ale jednocześnie udaje się jej mówić spokojnym, niemal znudzonym głosem.

Giacomo jest pogodny, wesoły, skory do żartów:

– Chyba nie myślisz, że pozwolę ci wrócić do Singapuru w moich ulubionych džinsach?

– Prześlę ci je kurierem w najbliższych dniach.

– Mam inny pomysł.

– Hm, słucham.

– Jeszcze kilka dni i, teoretycznie, zbierasz się do wyjazdu, prawda?

Słowo „teoretycznie” napęła ją dziecięcą radością, przewyższającą nawet szczęście Stelli, jakie odczuwała, kiedy Bianca podarowała jej bajkę o Twidze.

– Zgadza się.

– Proponuję ci, żebyś się do mnie przeniosła. Jeszcze dziś wieczorem. Nigdy razem nie mieszkaliśmy, pomijając tych kilka dni na Andiparos, chociaż podejrzewam, że robiłaś wszystko, by o nich zapomnieć. Przygotowałem już coś na kolację. Choć prawdę mówiąc wczoraj w nocy wykręciłaś mi nadgarstek i miałem problem z mieszaniem sosu w garnku. Jesteśmy oboje dorośli, możemy pozwolić sobie na szaleństwo, nie?

Nastał czas ostatecznej próby, dużo bardziej ryzykownej niż wstępna propozycja. Twarz Lei rozjaśnia się uśmiechem, jest jak kwiat, który wreszcie znalazł się w wodzie, czuje przyjemne drzenie w całym ciele. Wie, że nie zdoła mu odmówić, ale mimo to odpowiada:

– Muszę to przemyśleć.

– A co ja zrobię z kolacją?

Lea zaczyna się śmiać:

– Nie wierzę w sosy przygotowane z wykręconym nadgarstkiem.

– A kto mnie zapewni, że nie pojawisz się tutaj tylko po to, by uszkodzić mi kolejną część ciała?

Kiedy się żegnają, staje się jasne, że Lea myśli już tylko o tym, by chwycić za walizkę i pod byle pretekstem: że jest chora albo że jej matka znalazła się w kryzysowej sytuacji, wyprowadzić się od Bianki. Jest gotowa okłamać przyjaciółkę i powiedzieć, że wyrusza do Morlupo.

– Gdzie włożyłaś moją walizkę? Nie ma jej w szafie Stelli.

Bianca odwraca się, zaskoczona i nieufna.

– Nie rób tego.

– Podejdiesz tu na chwilę?

Składa ubrania na łóżku przyjaciółki i mówi:

– Przenoszę się do niego, na tych kilka dni, które pozostały.

Bianca delikatnie potrząsa głową.

– Wiem. Wiem, proszę cię, nic nie mów. I powiedz Andrei, że jadę do mojej matki do Morlupo, dopóki nie spadnie jej gorączka, czyli to samo, co właśnie powiedziałam twojej córce.

- Andrea to najmniejszy problem.
- To kwestia czasu. – Czuje się zmuszona dorzucić, kiedy wsuwa ostatnie ubrania do torby. – Muszę sobie na to pozwolić. Potraktuj to jak kaprys, który muszę zaspokoić. Zanim przyjedzie Vittorio, zdążę się nim zmęczyć. Tęsknię wyłącznie za jego ciałem, wiem, że nie może dać mi nic więcej. A poza tym sama tak powiedziałaś: jesteśmy od siebie zupełnie różni i nie znieśliśmy się w życiu codziennym, ale nigdy nie mieliśmy okazji, by się o tym przekonać.
- Życie codzienne nie trwa tydzień, Lea.

Ileż to razy w jej głowie pojawiała się myśl o rutynie, o zwyczajnych dniach, które mogliby dzielić. Ileż to razy wyobrażała sobie, że przeprowadza się do niego na stałe, nawet gdy mieszkał w śmierdzącej dymem suterenie. Te wszystkie chwile jej się przypominają, gdy stoi przed bramą jego kamienicy z walizką w ręku, a on schodzi, by jej pomóc. Uśmiecha się i prowadzi ją aż do drzwi mieszkania. Zanim przekroczą razem próg, pamięć Lei przywołuje krzywy pyszczek Twigi, głupiutką minę rozmarzonej żyrafy wpatrującej się w niebo. Wyobraża sobie jej różki, które płoną od żaru, i zastanawia się, jak bardzo trzeba być naiwną, by pragnąć czegoś tak niedosiężnego jak słońce.

Wchodzi do kuchni i zastaje tam dymiący garnek ravioli z sosem, starannie nakryty stół, na środku którego stoi koszyk z chlebem, i otwartą butelkę wina. Jest i jej stary zeszyt z okładką z komiksu, leży obok jej talerza niczym dowód miłości, który koniecznie należy zwrócić prawowitej właścicielce. Na jego widok Lea czuje się jak młoda dziewczyna, którą kiedyś była i która wraz z nim jadła szkolną kanapkę w kuchni jego matki.

– Nawet nie próbuj mi powiedzieć, że dzisiaj zrobiłeś ten sos, bo już wczoraj wieczorem widziałam, że stoi gotowy w lodówce – żartuje Lea, jakby cała brutalność ubiegłej nocy nagle zmieniła się w niewytłumaczalną chęć zabawy.

– Ileż to się trzeba nakłamać, co? Wszystko po to, żeby ofiara wreszcie wpadła w sidła.

Ciarki przechodzą jej po plecach, ale nakazuje sobie spokój.

Tego wieczoru zaczynają przeglądać razem stary zeszyt, wspominając z rozrzewnieniem udręki i katusze długich popołudniowych godzin, które upłynęły im na nauce.

– Ten akt wygląda całkiem niezłe – komentuje Giacomo w którymś

momencie, wskazując palcem na jeden ze szkiców Lei na marginesie. – A tu, jak zwykle, błąd w równaniu. Zawsze to samo – piszesz krzywą ósemkę, a później myślisz, że to dwójka. Wciąż ci się to zdarza?

Porównują swoje charaktery pisma, bawią się długopisem i kalkulatorem. Lea chętnie wystawia go na próbę, chce sprawdzić, czy wciąż posiada tę samą zdumiewającą umiejętność szybkiego liczenia w pamięci. Rzuca mu działania: 327 razy 13 i zasłania przed nim wynik widoczny na ekranie kalkulatora. Giacomo podaje rezultat nieomylnie. Być może zajmuje mu to trochę więcej czasu niż kiedyś, lecz wciąż jest w stanie odpowiedzieć bez wahania i poprawnie na wszystkie jej pytania.

Taki zmarnowany talent, chciałaby skonstatować Lea, ale tylko posyła mu uśmiech. Powstrzymuje się, tak jak tłumi w sobie chęć zadawania pytań na temat śmierci jego ojca lub Lorenzo.

Minione lata nauczyły ją, że z Giacomo należy obchodzić się ostrożnie, oswajać go, cierpliwie przekonywać, by wynurzył się ze swojej skorupy i zaczerpnął powietrza.

– Wszystko mnie boli – skarży się, wślizgując się pod kołdrę, która pachnie czystością. Dziewczęcy entuzjazm, jakiego dawno nie odczuwała, i wypite wino sprawiają, że kręci się jej w głowie.

– Ciebie boli? A mnie? Pewnie będę musiał wsadzić sobie rękę w usztywniacz! – I śmieją się, śmieją się razem tak, jakby nie mieli nigdy przestać.

Później, gdy szuka jej ciała i wchodzi w nią ostrożnie i delikatnie, Lea pyta:

– Pamiętasz zasadę orgazmu?

– Jaką zasadę? – mruczy w odpowiedzi.

– Wszystko to, co mówi się przed orgazmem lub po nim, nie ma znaczenia.

Giacomo kiwa głową, może powraca do niego cień jakiegoś dawnego wspomnienia. Uśmiecha się, gdy zaczyna się w niej poruszać.

– Przez te lata nigdy nie przestałam o tobie myśleć – wyznaje Lea.

– A ja nigdy nie przestałem cię pragnąć.

W myślach Lei tego pierwszego poranka nie ma miejsca dla Vittorio. Został z nich usunięty w wyniku nieodwracalnego procesu, który już się rozpoczął. Mąż znajduje się daleko od niej, tak w przestrzeni, jak również w czasie... Gdy Lea otwiera oczy, ma wrażenie, że wcale nie spała, tak wielkie emocje wywołuje w niej pobudka u boku Giacomo.

On wciąż jest pogrążony w głębokim odrętwieniu, jakby wspólnie spędzone godziny zwiększyły tylko jego senność równie skutecznie, jak spędziły sen z powiek Lei. W niej kotłuje się zbyt wiele emocji, by mogła znów zasnąć. Przewraca się z boku na bok, a jej skóra zdaje się wrażliwa nawet na najłżejsze ruchy powietrza.

Kiedy pierwszy promień słońca dociera do pokoju, Lea zaczyna przyglądać się mężczyźnie leżącemu tuż obok, jakby obawiała się, że w jednej chwili on mógłby zniknąć, rozpuścić się w świetle dnia jak we mgle.

Lea chciałaby coś zjeść, lecz kredens jest prawie pusty. Gotowy sos, który jedli wczorajszego wieczoru, był prawdziwym cudem, ale nie można wymagać zbyt wiele.

Dręczące ją myśli gdzieś uleciały, ustąpiły miejsca nagłej chęci zrobienia zakupów, wypełnienia lodówki wszystkimi smakołykami Giacomo, które podpowiada jej pamięć: serkiem kanapkowym i pizzą *quattro stagioni*. Czuje potrzebę przeżycia tych wspólnych dni w atmosferze beztroski, bez zastanawiania się nad tym, co wydarzy się za chwilę. Jak może być tak nieodpowiedzialna? Co stało się z jej pragnieniem zemsty, którym pałała? Głos ze środka, tak przekonujący, a jednocześnie tak niepewny, podpowiada jej, by wyłączyć wszystkie systemy bezpieczeństwa. Spróbować żyć tylko tym, co dzieje się tu i teraz, każdą wpływającą minutą.

Przed wyjściem Lea rzuca ostatnie, prawie niespokojne spojrzenie na drzwi prowadzące do sypialni: Giacomo wciąż tam jest, nieruchomy, z twarzą ukrytą w poduszce i z pogniecionym prześcieradłem owiniętym wokół bioder. Lea uśmiecha się na myśl o tym, że zakłęcie wciąż jeszcze nie prysło. Zastanawia

się, ile w rzeczywistości ich różni – ona, niespokojna i podekscytowana, on – spokojny, spełniony, daleki od jakichkolwiek rozterek. Zwierzę, które zapadło w zimowy sen.

Kilka godzin później, kiedy wraca z targu na Campo dei Fiori z torbami pełnymi wszelkich smakołyków, na które naszła ją chęć, Giacomo już nie śpi. Pije kawę ubrany w powyciąganą koszulkę z napisem Woodstock, starą jak świat.

Lea przyniosła świeże owoce, colę, piwa, ser do kanapek i nawet kilka kawałków pizzy *quattro stagioni*. Ma ze sobą też bukiet świeżych kwiatów, które kupiła u obwoźnego sprzedawcy sunącego ze swoim wózkiem przez piazza Navona. Spacer po targu wprowadził ją w jeszcze lepszy nastrój. Wita się z Giacomo całusem w policzek, mierzwi mu włosy, a on spogląda na nią z zachwytem.

- Już myślałem, że znowu postanowiłaś uciec.
- I zostawić cię bez zakupów godnych studenta pierwszego roku?
- Kto wie. Mam już wystarczające dowody twojego szaleństwa.
- I kto to mówi?
- Chcę spędzić cały dzień z tobą w łóżku – mówi, pomagając jej wypakować zakupy.
- Nie musisz iść do pracy?
- Wziąłem sobie tydzień wolnego.

Lea jest oszołomiona jego beztróskim wyznaniem.

- Żadnych niebezpiecznych i fascynujących pisarzy, którzy mogą wpaść z niezapowiedzianą wizytą, tak że będziesz im musiał mnie przedstawić?
- Powieść jedynej niebezpiecznej i fascynującej pisarki, jaką znam, skończyłem właśnie redagować. Rzecz dzieje się w Singapurze...

Całują się, dotykają, gotowi, by po chwili znów zacząć się kochać. A kiedy on ciągnie ją do sypialni, Lea go powstrzymuje:

- Najpierw włożymy to wszystko do lodówki. I wstawimy kwiaty do wody – decyduje, a on, prawie rozbawiony jej poleceniami, zanurza palec w opakowaniu serka.
- Mhm.. Jeśli tak dalej pójdzie, pewnie zaraz dasz mi szlaban. Będziesz idealną matką, wiesz? – Dodaje po chwili.
- A skąd niby taka pewność? – Pyta Lea, usiłując nie zagłębiać się w te

słowa.

– Choćby dlatego, że budzisz się wcześniej rano i idziesz na targ, żeby kupić rzeczy na śniadanie. – Wyjmuje brzoskwinię z papierowej torby, wyciera ją o koszulkę i zatapia w niej zęby.

Lea woli mu nie mówić, że dziś w nocy niewiele spała, że zazwyczaj nie cierpi wcześniej wstawać tak bardzo, jak nie lubi robić zakupów. Choć był taki czas, że chętnie robiłaby to codziennie, gdyby tylko ją o to poprosił, i to z o wiele większym entuzjazmem, niż wyobraża sobie zakupy dla ewentualnych dzieci.

– Plany na dziś? – pyta lakonicznie.

– Oprócz tego, że mam zamiar się z tobą pieprzyć – odpowiada, unosząc jej brodę i przytrzymując ją palcami. – Pieprzyć się z tobą i jeszcze raz się z tobą pieprzyć, aż do ostatniego tchu. Dopóty, dopóki ptaszek nie opadnie mi na ziemię i będziesz miała wreszcie dobry powód, by wrócić na drugą półkulę, jestem cały w twoich rękach.



Nastały letnie dni beztroski, podczas których miasto wypełniło się turystami i milionami barw; a które upływają Lei i Giacomo jak we śnie, na wspólnych prysznicach, posiłkach spożywanym w łóżku, ciekawych lekturach. A dla Lei ten czas składa się także z kłamstw mamrotanych pospiesznie zabieganemu mężowi czy niespokojnej matce, którzy dzwonią do niej w mniej więcej równych odstępach. We wspólnym śnie jej i Giacomo jest wiele z rajskich przyjemności, bezpiecznie odległych od piekła wspomnień z przeszłości i od czekającego na nich czyścica, do którego zostaną zepchnięci, w chwili gdy wszystko to okaże się wyłącznie szaleństwem: cudownym i przemijającym czasem obłąkania.

Giacomo siedzi nago przy małym biurku w sypialni przed komputerem i czyta artykuł o sytuacji politycznej w Grecji. Zadziera brodę w grymasie oburzenia i nieustannie marszczy nos, co powoduje, że podrygują tkwiące na nim okulary.

Lea nadal leży w łóżku, z francuską powieścią w dłoni, ale nie może się skupić na czytaniu, bo zerka na Giacomo i rozpoznaje w nim pełnego pasji i woli walki mężczyznę, którym był w czasach studenckich.

– Pamiętasz jeszcze właściciela domku na Andiparos? Był rybakiem i któregoś razu powiedział mi: „Gdyby nie to, że mam wnuczkę, rozpieszczoną jak wiele ateńskich dzieciaków, nie miałbym pojęcia, co zrobić z tymi wszystkimi pieniędzmi, które płacisz mi za wynajem. Tak wielu ludzi goni za rzeczami, których zupełnie nie potrzebują”.

Po tych słowach odwraca się do niej i mówi: – Chciałbym znów cię tam zabrać tego lata. Poleciałbym z tobą na Andiparos, żeby zobaczyć czy znalazłoby się tam jakieś miejsce na... Czy ja wiem? Hodowlę przegrzebków?

Lea uśmiecha się i czuje, jak szybko bije jej serce:

– Muszę niestety ci przypomnieć, że jesteśmy dalecy od orgazmu i w ten sposób łamiesz naszą zasadę.

– Nie tak bardzo dalecy. Zapomniałaś chyba, że jestem nagi i gotowy.

Kiedy dołącza do niej w łóżku, Lea uświadamia sobie, że teraz, bardziej niż kiedykolwiek wcześniej, towarzyszy jej poczucie, że nie ma pojęcia, jak po upływie tych niewielu dni, które są im dane, uda się jej wyplątać z tej relacji z Giacomo. I choć w tej chwili nie potrafi sobie tego wyobrazić, głęboko w niej tli się nadzieja, że jednak zdoła odnaleźć spokój ducha, a ona i Giacomo staną się dla siebie obcy i zdołają spojrzeć sobie w oczy i powiedzieć:

– W porządku, nie wyszło nam, wróćmy do dawnego porządku rzeczy. Na początku będzie bolało, ale później jakoś damy sobie radę.

Kiedy do przyjazdu Vittorio zostały już tylko dwa dni, Giacomo proponuje jej spacer po mieście. Udają się do Palazzo delle Esposizioni na wystawę malarstwa surrealistów. Później kierują swoje kroki w stronę Kwirynału, podziwiają rzymskie dachy z marmurowego balkonu, na który kiedyś wychodzili papieże i królowe. Giacomo proponuje *aperitivo* i wypad do kina z parą przyjaciół, których chce jej przedstawić, a Lea uśmiecha się szeroko.

Wszystko zdaje się takie normalne – myśli, gdy wsiada na jego skuter – a jednocześnie tak nieracjonalne i niestosowne. Nie obawia się już prowizorycznej przeszłości, niebezpiecznego pędu, lecz ciepłej skorupki, w której znaleźli schronienie, i wrażenia, że poza nią staliby się zbyt delikatni i bezbronni, by odnaleźć choć cień nadziei na przetrwanie.

Para przyjaciół Giacomo czeka na nich w małym lokalu na Zatybrzu, w którym podają przekąski i oliwki wraz z kieliszkiem prosecco. Na pierwszy rzut oka widać, że w przeszłości byli zaangażowani politycznie. On, Federico, łysiejący filolog klasyczny, i ona, Giovanna, młoda nauczycielka z dołeczkami w policzkach. Połączyła ich miłość do kina.

– Rzadko udaje się nam namówić Giacomo na pójście z nami na film – tłumaczy Giovanna Lei. – Mówi, że jesteśmy przesłodzeni, nie może znieść widoku dwojga ludzi wyjadających popcorn z jednego kubeczka!

Giacomo nic sobie nie robi z ich żartów, widać, że znają się od wielu lat i bardzo się lubią.

Korzystają z obecności Lei i wdają się w dyskusję o Azji, o jej pełnym szacunku, powolnym rytmie życia oraz o możliwościach, które oferuje tak bogaty kraj jak Singapur.

Lea opowiada im o Lee Kuan Yewie, o systemie społecznym i politycznym. Mówi również o przyjęciu w domu pewnego profesora, w filmowej wręcz willi wewnątrz kampusu uniwersyteckiego, na które została zaproszona wraz z mężem.

– Tam ten poziom życia jest czymś zupełnie normalnym. Docentom oferuje się właśnie takie zakwaterowanie, nie wspominając o pensjach przyprawiających o zawrót głowy.

– Federico, chyba pomyliliśmy kontynent – komentuje z rozbawieniem Giovanni.

Giacomo zachmurzył się jednak niespodziewanie, wyraźnie zamilkł. Kto wie, być może sam dźwięk imienia Vittorio zepsuł mu humor, może i on zaczyna odczuwać tak ludzkie uczucie, jakim jest zazdrość.

– Zrobiło się późno – ucina po chwili i podnosi się gwałtownie. – Musimy iść, film zaraz się zacznie.

Lea wstaje i rusza za nim. Jej samopoczucie zdecydowanie się poprawia po tej pierwszej scenie prawdziwej zazdrości, która przeciąga się i trwa przez całą projekcję filmu. Giacomo zapomina o czułości, jaką sownie okazywał jej dotychczas, jakby całkowicie pochłonęła go samotna i zachłanna konsumpcja orzeszków, na znak protestu przeciw jedzeniu popcornu.

Kiedy docierają do vicolo del Divino amore, Giacomo zdejmuje z głowy kask i mówi:

– Szkoda, że musimy teraz zabrać się do gotowania. Gdybyśmy byli w jednym z kin w Singapurze, gdzie od razu podają kolację, oszczędzilibyśmy sobie zachodu. – Po czym dodaje sarkastycznie: – Łatwo dokonywać wielkich rzeczy z kupą forsy na koncie.

Po chwili jednak, gdy jest już przy bramie, odwraca się, i jakby pożałował swojego nagłego wybuchu, mówi:

– Wybacz mi. To wina mojej wrodzonej awersji do bogactwa.

Lea w milczeniu wyciąga do niego rękę, ale czuje, że on nie odwzajemnia jej uścisku, a po chwili wysuwa dłoń, by włożyć klucz w zamek.

– Muszę popracować trochę dziś wieczorem – uprzedza ją. – I nie chciałbym ci przeszkadzać, więc zejdem do sutereny.

– Nie wzięłaś sobie wolnego?

– Muszę wrócić do normalnego rytmu, wolne niedługo się kończy.

Za sprawą bezsennych nocy Lea jest tak zmęczona, że jak tylko kładzie się na łóżku, zapada w głęboki sen. Nie ma nawet siły, by długo analizować to, co się właśnie wydarzyło.

Jakiś czas później budzi ją muzyka fortepianowa.

Kiedy wstaje i idzie w kierunku schodów, bez trudu rozpoznaje melodię, pod wpływem której natychmiast odechciewa jej się spać. Schodki wykonane ze zmurszałego cementu prowadzą do pomieszczenia, w którym kiedyś spędzali większość czasu. Giacomo gra na fortepianie. Tym podarowanym mu kiedyś przez ojca.

Zdjął spodnie i teraz ma na sobie tylko koszulę. Sprawia wrażenie, że całą jego uwagę pochłania granie. Kosmyki ciemnych włosów opadają mu na twarz, plecy ma napięte, przygarbione, jego ciało porusza się pod dyktando dłoni uderzających w klawisze.

Na podłodze stoi otwarta butelka rumu, a przy niej pusty kieliszek. Minęło siedem lat od chwili, gdy Lea słuchała tego utworu, lecz wystarczyło jej kilka nut, by rozpoznać, że to *II Koncert Fortepianowy Chopina*.

Giacomo wyczuwa jej obecność i natychmiast przestaje grać. Wydaje się roztrzęsiony, jego oczy zasnuwa mgła smutku. Być może to nie zazdrość doprowadziła go do tego stanu, ale odległe cierpienie. Zawsze z trudem je znosił, ten ból, który kryje w swojej duszy, jest dostrzegalny i obciążający nawet dla kogoś, kto obserwuje go z zewnątrz. Lea może rozpoznać to w jego spojrzeniu, które widziała już wiele razy w przeszłości, a teraz znów wywołuje w niej to samo poczucie bezsilności.

Giacomo w milczeniu przełyka ślinę. Nagle jego oczy się rozjaśniają i widać w nich niemal złowieszczy cień.

Chwyta Leę za nadgarstek i przyciąga do siebie. Sadza ją na poźółkłej klawiaturze fortepianu, która reaguje na jej ciężar niskim przeciągłym brzęknięciem. Jego dłonie przesuwają się po talii kobiety, ściąga z niej majtki i przez kilka chwil patrzy na nią z dołu.

Siniaki, które pozostawił na jej ciele ostatnim razem, są teraz ciemniejsze i bardziej wrażliwe na dotyk. Lea czuje najpierw jego palce zaciskające się na jej udach, a potem przepraszające, rozdzierająco delikatne pocałunki.

Mniej niż dwadzieścia cztery godziny dzielą ich od przyjazdu Vittorio. Na jednym z pasów startowych lotniska Changi w powietrze właśnie wzbija się jego samolot. Dzielą ich trzy kontynenty i przesiadka w Dubaju. Nazajutrz wylądaje na rzymskim Fiumicino.

Lea i Giacomo jedzą śniadanie w kuchni, ona popija kawę z filiżanki, on smaruje serem kromkę chleba.

– Jestem w tobie od zawsze zakochana. I zamierzam zostawić mojego męża.

Mówi mu to z daleka od łóżka, z daleka od jego ust, robi wszystko, by uniknąć niejednoznaczności. Kiedy wypowiada te słowa, ma spięty kręgosłup i trzęsący się głos. Odnosi wrażenie, że chwyciła właśnie całe swoje życie w rękę, wyrzuciła wysoko w górę i teraz obserwuje z dołu, jak ono unosi się w powietrzu, niebaczone na prawo grawitacji, wyzute z wszelkiej stabilności, przyprawiające o zawrót głowy i... piękne. Jej deklaracja pada w chwili, gdy udało jej się wspiąć na zawieszony w powietrzu najwyższy element jej egzystencji, a ona sama jest jak linoskoczek wspinający się wyżej i wyżej, który wreszcie staje w równowadze na czubkach palców, z dumnym i zarazem nieprzytomnym uśmiechem.

Giacomo na dźwięk słów Lei podnosi oczy, które zdają się mniejsze, jakby właśnie dosięgło go uderzenie bata. Zdezorientowany, jest w stanie wydusić z siebie tylko:

– Masz ochotę na obiad nad morzem?

Lea czuje, jak najwyżej zawieszona lina chybotrze pod jej stopami, i z trudem zachowuje równowagę:

– Słyszałeś, co właśnie powiedziałam?

– Chciałbym z tobą o tym porozmawiać przy winie i talerzu spaghetti z małżami.

Dzień jest bezwietrzny, a słońce ani na chwilę nie znika z błękitnego nieba, przez które przemyka się tylko kilka kosmatych nitek chmur, przywodzących na

myśl niedbałe pociągnięcia pędzla rozkojarzonego malarza. Morze nieznacznie marszczy niewielka fala, z daleka woda zdaje się nawet czysta. W miejscu, które wybrał Giacomo, na północ od stolicy, nie ma dziś zbyt dużego ruchu. Chociaż rok szkolny dobiegł już końca, wiele matek musi pracować i nie może w tygodniu zapewnić swoim dzieciom zdrowej dawki jodu.

Siadają przy stoliku w rogu, w słomianej altanie, niedaleko małego placu zabaw. Na pustej zjeżdżalni zaklinowała się porzucona piłka. Giacomo wpatruje się jak zaczarowany w mizerne stadko mew szybujących na horyzoncie i usiłuje wypełnić czas rozmową o błahostkach.

Chce zabrać cię nad morze i powiedzieć ci coś romantycznego, powtarzała sobie Lea w duchu, gdy jechali samochodem, a on utyskiwał na korki. W powieściach niezapomniane sceny miłosne nigdy nie rozgrywają się podczas śniadania w domu...

Teraz Giacomo bawi się okruszkami chleba rozsypanymi na serwetce, a kiedy pojawia się kelner, nachodzi go chęć nawiązania rozmowy – wypytuje, od kiedy lokal jest otwarty, wreszcie obaj zaczynają żartować na temat wyniku ostatniego meczu. Za ich plecami nieprzerwanie szumi morze, i kiedy tylko nadejdzie odpowiedni moment – nie traci nadziei Lea – usłyszysz wszystkie te słowa, na które czekasz od zawsze.

– Musisz koniecznie spróbować ich *spaghetti alle vongole* – wreszcie zwraca się do niej.

Lea spokojnie przegląda menu, ale bardziej niż wybór potrawy zajmuje ją to, by zachować naturalny uśmiech. Giacomo zawsze był inny niż wszyscy, a jego „uczuciowy nonkonformizm” przecież wydawał jej się pociągający. Czekając więc i próbuje wyczytać nazwy dań z wytłuszczonej i poplamionej laminowanej karty dań.

– Przyrządzają je w wyjątkowy sposób – zachęca ją Giacomo. – Używają garnka ciśnieniowego. Dodają pietruszki i czosnku, a sos jest niezwykle aksamitny.

Jasne, nie to, co te wszystkie siedmiogwiazdkowe restauracje, do których zabiera ją Vittorio, czy trattorie w Posillipo, gdzie chodziła z rodzicami w dzieciństwie. Tam garnek ciśnieniowy byłby obelgą dla kuchni, w której wszystkie owoce morza lądują obowiązkowo na patelni. Cóż, nigdy nie była wyjątkową fanką kulinariów, lecz skoro droga do szczęścia wybrukowana jest przepisami mniej lub bardziej wiernymi tradycji, to nie będzie stanowiło dla niej problemu. Czy w jej historii z Giacomo cokolwiek wydarzyło się

w tradycyjny sposób? Właśnie wyznała mu miłość, on natomiast opowiada jej o czosnku, pietruszce i o garnkach. Jakimi ścieżkami podąża umysł kogoś, w czyich rękach spoczywa los drugiej osoby, jeśli w takiej chwili zabawia się okolicznościową pogawędką?

– Jakie wino zamówimy? – pyta wreszcie Giacomo.

– A na jakie masz ochotę?

– Na takie, które nie zawróci mi w głowie – odpowiada i uśmiecha się ironicznie.

– Miałam nadzieję, że zawróciło już nam obojgu.

– Wobec tego weźmiemy białe, z owocową nutą – decyduje Giacomo, udaje, że nie zrozumiał jej aluzji.

Lea czuje ucisk w okolicy żołądka, jakby ktoś wbił jej tam pięść. Nie jest nawet głodna, a kiedy na stole pojawia się tak bardzo zachwalane przez niego spaghetti, wpatruje się w nie, jakby porcja przekraczała jej możliwości, a mężczyzna, z którym chciałyby spędzić resztę swojego życia, pałaszuje swoją porcję ze smakiem. W historiach miłosnych, którymi zaczytują się czytelnicy, nie ma miejsca na konsumpcję porcji spaghetti – Lea pewnie uśmiechnęłyby się na tę myśl, gdyby nie to, że ona sama czuje się tak, jakby właśnie znalazła się w kiepskim filmie o miłości. Może w scenariusz jej życia wkradł się błąd, skoro przytrafił jej się tani, sentymentalny dramat albo absurdalna komedia. Mimo to usiłuje uzbroić się w cierpliwość i dlatego skupia się na szumie morza i wybuchach śmiechu kilku dzieciaków, które biegną blisko brzegu.

– Nie jesz? – Zdaje się, że słyszy głos Giacomo w tle, lecz ma nadzieję, że to tylko jej wyobraźnia.

Kiedy znów szuka wzrokiem jego twarzy, czuje, jak rośnie w niej irytacja. Zacięcia, z jakim wysysa kolejne małże, nie mógłby przewidywać żaden scenariusz. To przecież właściwa chwila na *climax*, najważniejszy moment całej historii.

– A co ty na to, żeby przestać udawać i porozmawiać o tym, co ci powiedziałam? – Lea słyszy swoje słowa wypowiedziane dobitnym tonem.

– Tak – odpowiada, odkładając skorupkę na talerz.

– Co: tak?

– Wzięłaś mnie z zaskoczenia – wyznaje, usiłując złagodzić napięcie wymuszonym uśmiechem.

– Powiedziałam ci, że jestem w tobie zakochana i chcę wszystko dla ciebie

zostawić, a ty mi odpowiadasz, że wzięłam cię z zaskoczenia, i snujesz opowieść o tym, jak przyrządza się małże?

– To był tylko sposób, żeby trochę złagodzić... – Podnosi kieliszek z winem i wypija je do samego dna.

– Co ty, kurwa, chciałeś złagodzić?

– Wiesz, że wolno reaguję...

Lea bierze głęboki oddech i wbija paznokcie w poduszkę, na której siedzi.

– Idę do łazienki, a ty spróbuj przenieść się z epoki lodowcowej i znaleźć się tu i teraz. – Wstaje z krzesła i wbrew temu, co przed chwilą powiedziała, kieruje się w stronę plaży. Wchodzi na białą kładkę prowadzącą nad morze, a kiedy dociera do jej krańca, ściąga buty, podwija dzinsy do kolan i idzie prosto przed siebie, w stronę linii horyzontu. Myśli, że mogłaby się teraz rzucić do wody i utonąć, i już za chwilę unosić się na jej powierzchni nieruchomo, a ten drań, który nadal siedzi przy ich stoliku, nie kiwnąłby nawet palcem, by ją uratować. To położyłoby kres jej wszystkim zgryzotom spowodowanym przez nierealne marzenia o szczęściu i źle ulokowane zaufanie. Poza tym kto powiedział, że i po drugiej stronie nie można marzyć? A może jednak Giacomo by za nią pobiegł, i gotów położyć na szali własne życie skoczyłby do wody jak prawdziwy romantyczny bohater, bez wahania rzucający się za ukochaną nawet we wzburzone morskie odmęty? Przecież on właśnie za kogoś takiego się uważa.

Zanurza stopy w coraz bardziej rozgrzanym piasku, ale nie czuje, że on ją parzy. Zanim wejdzie do wody, odwraca się na sekundę, by zobaczyć, czy Giacomo odprowadza ją choćby spojrzeniem, czy jest mu jej żal. Ale jej kochanek wpatruje się w stojący przed nim kieliszek wina.

Fale rozbijające się o brzeg sięgają kostek jej nóg. Lea zastanawia się, czego właściwie oczekiwała. Przecież Giacomo wciąż dręczył te same koszmary. Prawda jest taka, że nigdy nie był w niej zakochany. Przecież miał dwadzieścia lat, by jej to okazać, lecz nigdy tego nie zrobił.

Teraz naprawdę jest jej niedobrze – w małżach, które on pochłaniał z taką zachłannością, dla niej było zbyt wiele czosnku.

O wyniku wojny z pewnością nie decyduje odwaga. Nieustraszeni żołnierze w szeregach armii, gotowi na śmierć, mogą zawsze przegrać z potężniejszym wojskiem wroga.

Po chwili, gdy siedzi nad samym brzegiem, dołącza do niej Giacomo.

– Tak po prostu uciekłaś... – mamrocze siadając obok.



– Ja uciekłam? Naprawdę, masz czelność... – Potrząsa głową zdumiona.

Giacomo zaciska zęby, zanurza palce w piasku, przesypuje ziarenka. Jego niewytłumaczalnie powolne ruchy zdają się wynikać z niekończącej się medytacji.

Niedaleko nich mały chłopiec bawi się ze swoim jamnikiem: rzuca mu kijek do wody i czeka, aż pies popłynie, by go złapać. Jamnik robi, co może, rzuca się mężnie do wody, płynie przebierając krótkimi łapkami, wyęcza małe błyszczące ślepka i dyszy, usiłując złapać kijek.

– Widzisz, przeraża mnie spojrzenie tego psa. – Wyrzuca z siebie wreszcie Giacomo, przerywając ciszę.

– Słucham?

– Zobacz, jak patrzy na swojego pana. Wszystko by dla niego zrobił. Jeśli ten chłopiec byłby w stanie rzucić patyk daleko na głębie, pies popłynąłby tam, nawet gdyby miał zdechnąć pośród fal – mówi.

W tym momencie dla Lei staje się jasne, że gdyby rzuciła się w morze, nie ruszyłby się z miejsca, żeby ją ocalić. Giacomo nie jest bohaterem z jej historii.

– Ja widzę tylko rozkochane spojrzenie.

– To jest potrzeba, uzależnienie – twierdzi on. – Przeraża mnie, jak można się w ten sposób do kogoś przywiązać. To, do czego jest się zdolnym przez uczucie, które ty nazywasz miłością, budzi we mnie strach.

W Lei rodzi się złość tak wielka, jakiej nie czuła nigdy wcześniej. Musi się powstrzymać, by nie złapać go za włosy. Chciałaby zaciągnąć do morza, przytrzymać jego twarz pod powierzchnią wody i utopić w przybrzeżnym błocie.

– Naprawdę? – dziwi się. – Spodziewałam się czegoś bardziej oryginalnego. Choćby jakiś gładki cytat z Prousta, coś w rodzaju: kochamy tylko to, czego nie możemy mieć na własność. Wiem, że stać cię na więcej – cedzi słowa powoli i spogląda w stronę fal.

– Wybrałaś jednego mężczyznę, Lea. Poślubiłaś go, pojechałaś za nim na koniec świata. Ja jestem twoim kaprysem, odwetem za nastoletnią porażkę.

– Mówisz, że pieprzyłam się z tobą dzień i noc przez dziesięć dni tylko po to, by wynagrodzić sobie to, że mnie odrzuciłeś, gdy miałam trzynaście lat? Ot, spełnione marzenie małej nimfomanki. Kto wie, może i o tym napiszę książkę.

– Lea, nie mogę dać ci tego, co zapewnia ci twój mąż. Trudno na mnie polegać, nie jestem stałą, nie znoszę pisać SMS-ów i są takie dni, kiedy nie

mam ochoty z nikim rozmawiać. – Słyszysz jego strapiiony, pełen rozpaczny głos.

Lea odwraca się, zaczyna się mu przyglądać – widzi, jak bardzo jest rozdygotany, jak nerwowo przerzuca piach, zwilża usta i zanurza palce we włosach. Jest przerażony, jak rozbitek wyrzucony na nieznany ląd.

– Błagam cię, nie mów tylko, że robisz to dla mnie, żeby mnie chronić.

– Żeby chronić ciebie i żeby chronić siebie samego – zapewnia. – Mieszkam w suterenie, nie jestem w stanie nawet zapanować nad kalendarzem spotkań zawodowych. Wiesz, przecież ja muszę trzymać klucze od domu pod wycieraczką, w przeciwnym razie bym je zgubił. Moja lodówka jest prawie zawsze pusta i czasem mijają długie tygodnie, a ja nie mam ochoty zrobić zakupów. Ile byś ze mną wytrzymała, ty, która mieszkasz w wieżowcu górującym nad najbogatszym miastem świata, po tym, jak minie początkowa euforia?

Skojarzenia Lei biegną w kierunku tematu, który wcześniej poruszał Giacomo. Uświadamia sobie, że kiedy potrawa jest już gotowa, garnek ciśnieniowy zaczyna gwizdać. Daje sygnał. Nie ma brzęczących pokrywek, wody wypływającej bokami. Ze wszystkich wymówek, które mogła usłyszeć, te wydają się jej naprawdę zbyt idiotyczne. Wstaje, otrzepuje się z piasku, a jej sygnał to spokojny, wyważony gest.

– Ani minuty dłużej – mówi tylko.

– Dokąd idziesz? – Giacomo wciąż siedzi na ziemi, podnosi jednak głowę, dokładnie tak jak jamnik, którego obserwowali.

Lea nie odpowiada, tylko odwraca się, żeby podnieść buty.

Giacomo zrywa się gwałtownie, idzie za nią.

– Zatrzymaj się!

Lea przystaje, lecz tylko po to, by włożyć buty i odwinąć nogawki dżinsów.

– Daj mi skończyć. – Usiłuje przytrzymać ją za ramię, ale Lea wyrывa mu się i szybkim krokiem maszeruje przed siebie. Gdy dociera do stolika, ciężko oddycha. Przenosi wzrok od swojego wciąż pełnego talerza na jego już prawie pusty, spogląda na dwa kieliszki i klucze do samochodu leżące na opakowaniu papierosów.

– Poczekaj, pozwól mi spokojnie wyjaśnić.

Dopiero teraz Lea się odwraca.

– Gdybym nie była spokojna, wbiłabym ci ten nóż w jakąś część ciała. Wystarczy mi to, co zdążyłeś mi powiedzieć.

– Tylko chwilę, proszę cię.

Ogrom czułości i cała ostrożność, którymi Lea dotychczas usiłowała sprawić, by wynurzył się ze swojej skorupy, nie odniosły skutku. Teraz jednak, gdy on wyłonił się ze swojej skorupy, zmieniła taktykę, a Giacomo zachowuje się jak szczur przebiegający przez pokój, przerażony, że ktoś zaraz go złapie.

– Nie umiem mówić o niektórych rzeczach, wiesz o tym... – Miota się, jakby zabrakło mu argumentów.

Lea wciąż stoi nieruchomo z pustym spojrzeniem wbitym w jeden punkt. On wodzi raz jeszcze dłonią po włosach, jabłko Adama na jego szyi rytmicznie przesuwają się w górę i w dół jak oszalała bila. Nie rusza się jednak z miejsca.

– Przykro mi, wszystko zrobiłem źle, jeszcze raz wszystko zrobiłem źle...

Lea milczy przez chwilę, która zdaje się trwać wieczność.

– To ja wszystko zrobiłam źle – odpowiada wreszcie.

Giacomo łapie ją za ramiona, zmusza, by spojrzała mu w oczy.

– Chcesz wiedzieć, co ma do tego ten pies? – Nigdy jeszcze nie słyszała, by mówił tak błagalnym tonem. – Boję się, Lea. Ja się tego boję. Boję się...

Lei przypomina się zdjęcie z domu na Andiparos, to, na którym widać stos kamieni pod drewnianą altaną mający uniemożliwić ptakom wicie gniazd. Widziała je w jego albumie. Ich scenariusz się powtarza, wciąż taki sam, niezmiennie od dwudziestu lat. A kamienie to jedyna rzecz, która tak naprawdę się w nim zmieniała. Jedyna sensowna metafora.

Bierze ze stołu klucze do samochodu. Odwraca się na pięcie i idzie w stronę parkingu, nie bacząc na to, co zostawia za plecami. Giacomo stoi boso, nieporadny, wygląda jak ostatni głupek, a w jego oczach pełno jest niewypowiedzianych słów. Kelner, który właśnie podszedł z menu, żeby wziąć zamówienie na drugie danie, spogląda na niego ze współczuciem.

Lei udaje się odpalić silnik i z piskiem opon wyjeżdża po żwirze przez bramę restauracji. Po raz ostatni rzuca okiem w lusterko wsteczne, by zobaczyć, jak Giacomo stoi skamieniały na ścieżce, jak staje się coraz mniejszy, aż w końcu znika z pola widzenia.

Kiedy zaczyna dzwonić jej telefon i widzi jego imię na ekranie, Lea po raz pierwszy, od kiedy się znają, bez zastanowienia odrzuca połączenie. Nie spuszcza nogi z gazu, zmienia biegi, nie zwracając przy tym uwagi na zgrzyty sprzęgła. Z całej siły ścisną kierownicę wytartą dłońmi Giacomo, który siada za nią już od prawie dziesięciu lat. Tę lodowatą kierownicę, której nawet tak bezlitosne słońce nie zdołało ogrzać.

Ciepło rozchodzi się z ciepłych obiektów na zimne. To prawo fizyki. Atomy

w ogrzanej substancji poruszają się zwawiej, on jej to wyjaśnił jeszcze w szkole. Lea to ciepła substancja, rozgrzana przyspieszonym biciem serca, szybszym tempem, z jakim krew krąży teraz w jej żyłach. I dopiero w tej chwili zdaje sobie sprawę ze wszystkiego, co wydarzyło się przez wszystkie te lata, przez które tylko traciła swoje ciepło, oddawała je dobrowolnie, nie okazując oporu, jak wymagają tego prawa fizyki, i nigdy na nic się to nie przydało.

Kiedy dociera do vicolo del Divino Amore, wchodzi po schodach, wyjmuje klucze spod wycieraczki i zostawia kluczyki od auta na stole w kuchni. W jej spojrzeniu jest nieme pożegnanie, po raz ostatni patrzy na wszystko to, co kochała, czego pożądała, czego się bała. Sięga wreszcie do szafy po walizkę, trzęsącymi się rękami zbiera swoje rozrzucone po kątach rzeczy, oczy ma zasnutę mgłą. W jej pamięci, jak film w zwolnionym tempie, odtwarzają się wszystkie sceny ucieczek – wychodzi z pokoju, w którym udzielał jej korepetycji, z niebieskim kółkiem narysowanym na dłoni. Przysięga sobie, że już nigdy nie spróbuje się z nim skontaktować. Odpływa z portu w Andiparos, a słońce barwi czerwienią jej skórę. Za każdym razem miała nadzieję, że Giacomo pobiegnie jej śladem. Teraz po raz pierwszy liczy na to, że tak się nie stanie.

Dociera do postoju taksówek i spogląda na swoją komórkę pełną nieodebranych połączeń od Giacomo. Wyłącza ją bezlitośnie i wsiada do pierwszego wolnego samochodu. Ma zamiar włączyć ją ponownie dopiero nazajutrz, kiedy dotrze na lotnisko, by odebrać swojego męża.

– Dokąd jedziemy? – pyta taksówkarz, a Lea zaczyna się zastanawiać: no tak, dokąd jadę?

Nie ma teraz najmniejszej ochoty na słuchanie kazania Bianki ani na tłumaczenie się przed matką, i instynktownie prosi taksówkarza, by zawiózł ją do najbliższego hotelu.

Ospały portier w małym pensjonacie w centrum miasta odbiera jej walizki, a Lea czuje dziwny ucisk w skroniach, jakby miała na sobie zbyt ciasny kask. Chce jej się wymiotować.

Wchodzi do windy śmierdzącej dymem papierosowym, która wiezie ją na odpowiednie piętro. Z trudem dociera do swojego pokoju. Wlecze za sobą ociężałe nogi, prawie osuwa się na podłogę, i choć na zewnątrz jest bardzo

gorąco, najchętniej zanurzyłaby się w wannie pełnej ciepłej wody, zamknęła oczy w nadziei, że przestanie jej się kręcić w głowie.

Mdłości nie mijają nawet, kiedy wchodzi do wanny. Widzi swoje ciało unoszące się w wodzie, pełne siniaków, ciemnych bryzgów układających się jak cętki na skórze żyrafy, które teraz wreszcie przestały sprawiać jej ból.

Kiedy para gorącej wody zaczyna zasnuwać lustro, zbiera jej się faktycznie na wymioty. Udaje jej się tylko przechylić przez krawędź wanny i zwrócić na podłogę.

Przydałyby jej się jakieś proszki.

Dzwoni na recepcję, jednak portier nie może jej pomóc:

– Proszę pani – przeprasza. – Jestem tu sam.

Jedyna osoba, która mogłaby przyjść jej z pomocą, to Bianca.

Po kilku sygnałach telefon odbiera Andrea. Jest rozgorączkowany i dyszy w słuchawkę. Nie trzeba wiele, żeby się domyśleć, że zadzwoniła w najmniej odpowiednim momencie. Być może to jedna z tych rzadkich chwil, w której dzieci nie ma w domu.

Po chwili przekazuje telefon Biance.

– Mogłabyś podjechać do pensjonatu Olinda na piazza della Cancelleria? Źle się czuję i potrzebuję cię.

Na twarzy Bianki maluje się zaniepokojenie, gdy wchodzi do pokoju z siatką leków z apteki. Ma na sobie sukienkę w kwiatki i wygląda identycznie jak Carla, jej matka. Lea, owinięta w szlafrok, kładzie się do łóżka i prosi, by przyjaciółka usiadła przy niej.

Bianca najpierw rozpuszcza saszetkę leku w szklance wody, nie zadając żadnych pytań, po czym układa się w nogach łóżka, jak za studenckich czasów. Tylko że teraz Bianca przypomina swoją własną matkę, która czytała z kart Tarota i interpretowała horoskop Lei.

Obie są już dorosłe, obie wyszły za mąż i nadały kierunek swojemu życiu, choć ich plany są diametralnie różne. Bianca ma prawidłowo funkcjonującą rodzinę. Lea właśnie zdradziła swojego męża, a na jej ciele wciąż pełno jest znamion i ugryzień to upamiętniających. Na Biancę miłość jej życia czeka w małżeńskim łóżku, Lea nie wie już, czym jest miłość. Wciąż ma jednak nadzieję, która krystalizuje się przez ostatnie godziny, chce zawalczyć o własną niezależność, dopiero teraz, po tak dotkliwej klęsce, po dwudziestu

latach, w ciągu których nie była sobą, a tylko częścią kogoś innego. Życ dla siebie samej i odżyć, jak jaszczurki, którym odrasta oderwany ogon; jak Bianca, która w wieku osiemnastu lat pojechała w ramach programu Erasmus do Paryża, bo zakochała się do szaleństwa w chłopcu, który spędzał wakacje w Rzymie. A kiedy ją zostawił, przepłakała cały tydzień, aż wreszcie otarła łzy i wróciła na studia, a potem już zmierzała wprost do celu. I również dzisiaj, gdy Andrea i dzieci stały się częścią niej – jak jej własne zebra czy organy wewnętrzne – gdyby w jednej chwili trzęsienie ziemi zabrało jej wszystko, Lea jest przekonana, że Bianca znalazłaby w sobie powód, dla którego warto się podnieść i iść dalej z podniesioną głową.

I Lea chciałaby się dowiedzieć, jak sprawić, by odrósł jej ogon.

Przyjaciółka spogląda na nią z ukosa. Nie musi pytać, by wiedzieć. Lea wykrzywia twarz w grymasie niezadowolenia, a gest jej dłoni oznacza: daj spokój, nie warto o tym mówić. Jednocześnie ma wrażenie, że gdzieś w środku rozluźnia się bolesne napięcie, które nosi w sobie już bardzo długo. Odczuwa wzruszenie, gdy patrzy na pulchne ręce Bianki trzymające pustą szklankę. Chciałaby móc jej opowiedzieć o wszystkim, co wydarzyło się między nią a Giacomo, o swoim planie odzyskania niezależności, ale nie wie, od czego zacząć. Jest jeszcze jeden ważny punkt jej planu, nieodzowny i bolesny – musi zostawić Vittorio. Ta myśl pojawiła się jeszcze tego ranka, kiedy sądziła, że jej przyszłość związana jest z Giacomo, kiedy wreszcie przyznała się przed sobą, że go kocha. Teraz dopiero dociera do niej, że to autonomiczna myśl, która zachowuje słuszność, niezależnie od okoliczności. To w gruncie rzeczy będzie z jej strony szlachetny gest, który pozwoli jej wydostać się z ciepłej i wygodnej enklawy, w której ukrywała się przez lata.

– Mam trzydzieści pięć lat – mówi w przypiływie litości nad samą sobą. – Nie mam pracy, niczego nie zbudowałam...

– Ale przecież napisałaś fantastyczną książkę! – Sprzeciwia się Bianca.

– Przeczytałaś ją? – pyta Lea i rozjaśnia się na twarzy jak mała dziewczynka, czując jednocześnie, jak mdłości ustępują powolotku.

– Pewnie, że przeczytałam, w jeden dzień. Skończyłam wczoraj wieczorem i nawet się popłakałam!

– Zajęło ci to tyle czasu, ile mnie, by zrozumieć, że skończyłam z Giacomo raz na zawsze.

Bianca wytrzeszcza oczy, chciałaby jej uwierzyć.

– I nie płakałam. Tym razem ani jednej łzy – dodaje z nieznaną dotąd

determinacją w głosie.

– To znaczy, że to nie była jedna z tych pięknych historii, które sama opisujesz. – Jej przyjaciółka uśmiecha się dobrotliwie.

– Takie historie dobrze wyglądają na papierze, ale moje życie to jedna wielka katastrofa.

– W każdym życiu jest trochę katastrofy, Lea. Ja mam dwie lewe ręce do kwiatów i usychają mi wszystkie roślinki na balkonie...

– To rzeczywiście nieszczęście... – przerywa jej.

– Poważnie. Gdyby nie Andrea, to i pies już by pewnie zdechł gdzieś w kącie. Za każdym razem zapominam nasypać mu karmy do miski i zamknąć dokładnie wiadro ze śmieciami, żeby nie wyjadał pieluszek Luisy. Za każdym razem, kiedy wędną kolejne kwiatki, a pies dostaje rozwolnienia, to ja czuję się wszystkiemu winna... Czasem lepiej wychodzi mi pocieszanie pacjentek w poradni niż zapanowanie nad moimi własnymi płaczącymi dziećmi. I wiesz, na czym polega cały sekret? Trzeba sobie odpuścić i pogodzić się z tą ludzką niedoskonałością.

– Niemożliwe, żebyś sobie kiedyś odpuściła. – Lea się śmieje. – A poza tym łatwo ci mówić, bo w domu na łóżku czeka na ciebie mężczyzna, żeby dokończyć to, co tak niefortunnie przerwałam.

– Andrea potrafi czekać, właśnie dlatego wyszłam za niego za mąż.

– Przynajmniej przyznajesz, że trafiłaś na właściwą osobę.

– Na każdego czeka gdzieś właściwa osoba, Lea. Wystarczy ją zobaczyć.

– Skąd ty bierzesz te teksty, z pudełka czekoladek? Jeszcze jedno takie zdanie, a wyrzucę cię z grona znajomych.

– Ale właśnie tak jest! – mówi Bianca ze śmiechem. – Pamiętasz, co mówiłam przed pierwszą randką z Andrea? Że ma krzywy nos i zbyt gęste brwi, nie podobał mi się do tego stopnia, że nawet się nie umalowałam i poszłam z przetłuszczonymi włosami. No coś ty, nie pamiętasz? Byłam prawie pewna, że umrę z nudów podczas tej kolacji. On jednak potrafił mnie rozśmieszyć. Gdybyśmy spotkali się w dzieciństwie, bylibyśmy najlepszymi kumplami z podwórka, i wtedy do mnie dotarło, że w tej myśli jest coś niezwykle pociągającego. I od tamtego dnia zawsze starałam się mieć świeżo umyte włosy. Możesz jednak być pewna, że w tej chwili wcale się nie palę, żeby wrócić do domu i dokończyć to, co tak szczęśliwie przerwałaś.

– Bo jesteś złośliwą krową.

– Jestem wieczną marzycielką, moja droga.

Lea nie potrafiłaby wyjaśnić słowami nagłego błogostanu, który ją ogarnia, gdy Bianca przykrywa ją kołdrą. Bolesny hak gdzieś głęboko w środku wciąż daje o sobie znać, a twarz Giacomo co rusz pojawia się w jej myślach. Zastanawia się, jak długo jeszcze będzie musiała cierpieć, zanim zdoła naprawdę pozwolić mu odejść. Kiedy Bianca gładzi siniaka na jej szyi i pyta, czy ją boli, Lea odpowiada, że już nie tak bardzo. I ma nadzieję, że kiedy ostatni fizyczny ślad udręki zniknie z jej ciała, wreszcie będzie mogła odetchnąć pełną piersią.



Kiedy Singapur został odłączony od Malezji w 1965 roku, Lee Kuan Yew płakał przed kamerami państwowej telewizji. W swojej autobiografii porównuje ten moment do nieuniknionego rozvodu. „Miasto było jednym wielkim bagnem – opowiada Lea w swojej powieści – zmagającym się z problemem narkotyków, prostytucji i konfliktów na tle rasowym. Mieszkańcy obawiali się, że kraj, pozbawiony protekcji Malezji, nie poradzi sobie, dziś jednak wyrósł na jedno z najbogatszych państw świata”.

Kiedy skręca z via Cristoforo Colombo na autostradę w kierunku lotniska Roma Fiumicino, przypomina jej się twarz Lee Kuan Yewa płaczącego jak dziecko w obecności dziennikarzy. I Lea ma wrażenie, że ugrzęzła w bagnie, dotyk rąk Giacomo jest wciąż żywy na jej skórze jak powracające widmo. Nie wie, czy poradzi sobie bez opieki i wsparcia swojego męża.

Prowadzi wypożyczony samochód i wpatruje się w swoje dłonie ściskające kierownicę, w grubą obrączkę połyskującą na palcu. W myślach odtwarza najważniejsze momenty ostatnich pięciu lat i z niedowierzaniem stwierdza, że wszystkie zdają się tak bardzo odległe, jakby wydarzyły się w równoległym wszechświecie: wakacje, podróże, kolacje, kilka ostrzejszych dyskusji, kilka kłótni. Żadna kłótnia z ostatnich pięciu lat nie osiągnęła intensywności jedynej awantury z Giacomo. Nie widziała Vittorio od ponad dwóch miesięcy. Z trudem przypomina sobie rysy jego twarzy, szczegóły budowy ciała. Przeraza ją myśl, że znów będzie się z nim kochać, a przecież to ten sam człowiek, z którym jeszcze dwa miesiące temu chciała mieć dziecko. Pamięta go w stroju kąpielowym, jego gładki tors, kształtną sylwetkę, jego czyste piękno, ubrania bez najdrobniejszej fałdki. A teraz czuje, że jest jej obcy. Nawet biała linia blizny przy ustach, która zawsze wydawała się jej seksowna, teraz, przywołana w pamięci, nie jest w stanie rozbudzić w niej dawnego zaklęcia.

Drogowskazy prowadzą ją pod terminal przylotów. Lea odnosi wrażenie, że wszystko dookoła pokrywa się matową farbą, która rozmywa krawędzie

i wciąż wprowadza ją w błąd.

Kiedy zatrzymuje samochód przed jednymi z drzwi wejściowych na lotnisko, spogląda na zegarek. Nadszedł moment, by włączyć telefon. Vittorio pewnie jest już przy taśmie bagażowej, ale biorąc pod uwagę dysfunkcyjność tego lotniska, może spędzić tam nawet godzinę.

Ekran jej komórki budzi się do życia, a wraz z nim pojawia się cała lawina wiadomości. Komunikaty o nieodebranych połączeniach od Giacomo. Próbował o każdej porze, również w nocy. Ostatnia z nich to pusty SMS, który wysłał jej właśnie w tym momencie. Ten jedyny raz, kiedy miała nadzieję, że nie będzie próbował jej szukać, on prawie depreczuje jej po piętach. Budzi się w niej złość, a tylko ona potrafi ukoić ból.

Podnosi spojrzenie i już z oddali rozpoznaje swojego męża. Idzie w jej stronę, ma na sobie jasne dżinsy, bawełnianą beżową kurtkę. Wygląda gorzej niż wtedy, gdy się ostatnio widzieli: ma trochę zapuchnięte oczy i coraz cieńsze włosy, przesuszone klimatem Singapuru. Porusza się szybkim krokiem, ciągnie za sobą walizkę. Szybko się uwinął, nic dziwnego, w końcu ktoś taki jak on rzadko napotyka przeszkody na swojej drodze. Jakby zupełnie ich do siebie nie przyciągał, jakby na każdym etapie jego życia świat posłusznie dostosowywał się do jego pragnień, czekał na jego zgodę. Tylko z kobietą, z którą poślubił, sprawy mają się inaczej, myśli Lea, czekając na niego.

Vittorio przebiega przez ulicę i kiedy wreszcie jest przy niej, przyciska ją mocno do siebie, jakby brał głęboki oddech ulgi po bardzo długim czasie.

Lea pozwala się objąć, nie odwzajemnia jednak uścisku, ma sztywne plecy, a dłonie zaciska w pięści. Zdaje się, że zauważył napięcie w jej ponętym ciele, które zawsze mu się podobało, być może dostrzegł, że zrobiło się krągłejsze i bardziej zaniedbane – tego ranka Lea nawet się nie uczesała, dla Vittorio jest jednak wciąż tak samo atrakcyjna. Ona nie rozpoznaje nawet jego zapachu. To pewnie wina wody kolońskiej, którą rozdawali w samolocie, jej zbyt intensywny zapach maskuje ślady podróży: woń śniadań składających się z przesolonych jajek owiniętych w celofan i zapach siedzeń rozgrzanych jeszcze przez poprzedniego pasażera.

– Jak się masz? – pyta, ujmując jej twarz w dłonie, i wpatruje się w nią z pełną zdumienia radością.

– W porządku. – Lea rozchyła usta w wymuszonym uśmiechu, a on korzysta z okazji, by ją pocałować, ale ona przymyka wargi, zanim jego język zdoła wcisnąć się do środka.

Odwraca się i patrzy na drogę:

- Jak minęła ci podróż? Wszystko w porządku? Jak daleko mamy nad morze?
- Nie patrzy mu w oczy, które zerkają na nią zdezorientowane i zranione.
- Nie dalej niż godzinę drogi. – Słyszy jego odpowiedź zza otwartej kłapy bagażnika, do którego wkłada walizkę. Jego entuzjastyczny ton sprzed chwili wyraźnie przygasał.

– Chcesz, żebym prowadził?

– Nie, pewnie jesteś zmęczony.

Lea chce usiąść za kierownicą, musi się czymś zająć. Próbuje na nowo przyzwyczaić się do jego obecności. Niezależnie od tego, co mu powie, powinna zachować ostrożność, bo wie, że stąpa po kruchym lodzie. Pozostało jej tylko próbować ograniczyć szkody do minimum.

Skupia się na drodze, na samochodach, które wyprzedza, spogląda na stacje benzynowe.

– Nie udało mi się zbyt długo pospać. Na całej trasie były turbulencje.

Już zdaje sobie sprawę z jej dystansu, ale być może stara się go wciąż bagatelizować. Lub też stara się nie pogorszyć sytuacji, obserwuje ją uważnie, by skonfrontować się we właściwym czasie. Vittorio to jedna z osób, którym życie mija na obserwacji.

Opowiada jej tymczasem o ich letniej rezydencji, małej willi przyklejonej do skał przy trasie widokowej prowadzącej do Santo Stefano.

– Zobaczysz, spodoba ci się.

Korzysta z włoskiego numeru telefonu, żeby powiadomić rezydenta o przyjeździe i uniknąć pisania e-maila.

– Tak, witam, wkrótce będziemy na miejscu... Zostawił nam pan zakupy?... Zgodnie z moją listą?... Świetnie, dziękuję. Do zobaczenia.

Lea wciąż koncentruje się na trasie, na polach kukurydzy układających się w nienaganne geometryczne kształty, na regularnie ułożone stogi siana. Krajobraz nie przynosi jednak pocieszenia, którego nie znajduje też w zaradności swojego męża. Pomyślał już o wszystkim. Kupił wędliny, ser i wszystkie pyszności, którymi zazwyczaj zajądają się we Włoszech.

– Przypomniałem sobie markę tego sera, który tak bardzo ci ostatnio smakował. – Stara się zwrócić jej uwagę, chwytając żonę za rękę, którą ta trzyma nieruchomo na gałce skrzyni biegów. Nie ma pojęcia, że Lea od dwóch dni nie może patrzeć na jedzenie, a i ten gest nie zdołał przywrócić jej apetytu.

Vittorio wypożyczył też łódkę, żeby mogli nią wypłynąć, a potem kąpać się

na pełnym morzu. Rozmawia przez telefon i ustala szczegóły z firmą, która mu ją dostarczy, a Lea wyobraża sobie jego wakacje upływające w samotności. Możliwe, że rozpoczną się już jutro. A ona? Dokąd pójdzie? Wróci do matki? Rozwiedziona, bezdzietna trzydziestopięciolatka bez pracy, która mieszka w Morlupo z matką. Wszystko, co przyciąga jej uwagę, budzi wyłącznie czarne myśli. Marszczy czoło, przygryza dolną wargę. Największym przerażeniem napawa ją to, że go zrani, że robi mu krzywdę. Nastąpiła jednak chwila, by powstać i pójść dalej na własnych nogach, nie powinna bać się swojej drogi w stronę niezależności, chociaż może jej się teraz wydawać wybrukowana niepewnością. Nawet jeśli jest spore ryzyko, że robi sobie krzywdę, to właśnie oznacza dla niej dorosłość.

Kolejny telefon, tym razem z pracy. W głosie Vittorio słyhać asertywność, momentami posługuje się słowami, w których pobrzmiwa cień groźby. Na początku te rozmowy zdawały się jej ekscytujące, aż do chwili, gdy była świadkiem poważniejszej awantury. Zdenerwowany Vittorio prawie budzi w niej strach.

Rozłącza się i przeprasza, obiecuje, że przez najbliższe dni postara się jak najczęściej wyłączać telefon. Lea próbuje się uśmiechnąć, nie mówi jednak nic.

Ich letnia rezydencja wznosi się na skalistym wybrzeżu, zaraz przy portowej zatoce, z której oprócz turystycznych łódeczek i kutrów wypływają również promy kursujące na wyspę Isola del Giglio i z powrotem.

Wisi nad nimi niebo ciężkie jak mokry gałgan, wygląda na to, że dzień nie przyniesie niczego dobrego. Lea ma tylko nadzieję, że szybko minie. Zapowiadali słońce, narzeka Vittorio; ten klimat zrobił się już zupełnie nieprzewidywalny, mówi.

Dom znajduje się po prawej stronie trasy widokowej, zaraz przy drodze do portu: podjazd obsadzony szpalerem oleandrów prowadzi do zielonej metalowej bramy. W wilgotnym powietrzu zapach kwiatów zdaje się jeszcze bardziej intensywny, docierają tu też lekkie podmuchy morskiej bryzy, słyhać fale rozbijające się o pobliski klif.

Żwirowa ścieżka wije się aż do wejścia. Ich lokum to parterowy domek gościnny położony przy większej willi znajdującej się za ich plecami. Mają do dyspozycji kuchnię, salon, sypialnię i mały kamienny taras, z którego rozpościera się widok na morze. Można zejść schodkami na małą kamienistą plażę z gumową trampoliną i miejscem do opalania. Dozorca, starszy

przygarbiony pan o zmęczonej twarzy, otwiera im drzwi i oprowadza po domu. Białe meble pamiętają jeszcze lata siedemdziesiąte, farba łuszczy się na oparciach krzeseł, lakier zniknął dawno z drewnianej podłogi, a politura czarnego stołu stojącego na środku wytarła się na rogach. Swoje najlepsze czasy dom ma już za sobą, podobnie jak ich małżeństwo. Jak w jej historii z Giacomo. Jak w marzeniach o wakacjach, które mieli razem spędzić w Grecji, przytłaczających Leę, kiedy idzie za Vittorio odstawić walizki do pokoju.

– Co ci jest? – pyta Vittorio i przyciąga ją łagodnie do siebie. – Nie podoba ci się tutaj?

Lea posyła mu wymuszony uśmiech:

– Żartujesz? Jest przepięknie...

– A więc?

Vittorio patrzy na nią zaniepokojony. Jest jednak zbyt wcześnie by odpłacić mu szczerością, na którą zasługuje. W przypływie czułości Lea zmusza się, by pogłodzić go po policzku. Vittorio sadowi ją na łóżku, a ona momentalnie sztywnieje, znów jest nieswoja.

– Nie czuję się dobrze – mówi, powstrzymując się przed tym, by nie zerwać się z łóżka. – Od dwóch dni tak mam.

– Wciąż bierzesz antybiotyk? – dopytuje Vittorio, głaszcząc jej czoło. – Jesteś taka blada. Może lepiej, żebyś odpoczęła, nie chcesz chyba tutaj upaść?

Zbyt późno, na próżno szuka w sobie odwagi, by mu odpowiedzieć. Upadłam już bardzo nisko, Vittorio. Słyszałeś ode mnie tylko kłamstwa, w tym to o gorączce. Nie mówi jednak nic, wpatruje się tylko na przemian w narzutę w kwiatki, w wiklinowe szafki, w żyrandol w kształcie łodzi.

– Ja muszę się trochę przespać – ciągnie Vittorio, przesuwając palcami po jej szyi, u nasady włosów, właśnie tam, gdzie starannie zamaskowała siniaka grubszą warstwą podkładu. – Położysz się tu obok mnie?

– Jak leżę, to czuję się jeszcze gorzej, kręci mi się w głowie. Wyjdę na chwilę zaczerpnąć świeżego powietrza, ty się nie przejmuj i odpocznij. Mamy dużo czasu.

Wstaje i zostawia go w sypialni. Mamy dużo czasu, pewnie, powtarza sobie, gdy szybkim krokiem kieruje się do kuchni, gdzie zaczyna szukać szklanki. Bezskutecznie. Odkręca kran i pod bieżącą wodą chłodzi nadgarstki, składa ręce w koszyczek i pije z nich, ochlapuje sobie twarz. Oddychaj, powtarza. Podchodzi do lodówki i znajduje w środku zapasy wszelkich dóbr, które

Vittorio polecił kupić. Pomyślał nawet o pojemniku mielonego mięsa. Lea nie jest wybitną kucharką, nigdy nie pociągało jej stanie przy garnkach, ale przypomina sobie popisową pieczeń Bianki, tyle razy widziała, jak przyjaciółka ją przygotowuje. To proste. W tej chwili właśnie tego jej trzeba, gotowanie wypełni jej czas. Znalazła sposób, żeby się odprężyć.

Kilka godzin później, kiedy Vittorio otwiera oczy, zapach pieczeni rozchodzi się po domu. Trochę przypaliła się po bokach, ale mimo to pachnie smakowicie. Pogoda jest zbyt niepewna, by jeść na tarasie, Lea nakryła więc do stołu w salonie, przed oknem balkonowym. Jest zmęczona i nie zdołała się pozbyć wewnętrznego napięcia. Wyciera półki wilgotną szmatką i podchodzi do zlewu, żeby umyć ręce; mydło raz po raz wyślizguje się jej z rąk. Wyciąga blachę, przytrzymuje jej brzeg i szpatułką podważa pieczeń, żeby przełożyć ją na talerz. Ryzykuje, że cała kolacja rozsypie się jej w rękach, dokładnie tak, jak dzieje się z jej życiem.

Do kuchni wchodzi Vittorio, zbliża się i obejmuje ją od tyłu. Jest pozytywnie zaskoczony kolacją, którą przygotowała.

– Robi się z ciebie perfekcyjna pani domu, jesteś jak Bianca – mówi, kiedy Lea się odwraca. Jego błękitne oczy szukają w niej odpowiedzi. Ona odsuwa się, wyjmując szklanki z szafki, żeby zanieść je na stół, i wchodząc do salonu, postanawia, że podejmie temat jeszcze tego wieczoru.

– Muszę z tobą porozmawiać – zaczyna, odkładając widelec na talerz zaledwie po kilku kęsach dania, które ugotowała, i przy prawie pełnym kieliszku wina, bo upiła dopiero kilka łyków. Przypomina jej się wyraz twarzy Giacomo z poprzedniego dnia. Teraz zna również cenę szczerości, wie, jak potrafi ranić.

Vittorio kładzie rękę na jej przedramieniu, zaciska delikatnie palce wokół jej nadgarstka.

– Ja też. – Przerywa jej. Podnosi kieliszek i trzyma go w górze, obserwując słomkowe refleksy światła, tańczące w jego wnętrzu. – Nie jestem głupi, widzę, że coś jest nie tak.

Przenosi na nią wzrok, znów jest poważny, mógłby zdawać się wręcz zły, w jego oczach błąka się jednak tylko cień smutku.

– Rozumiem, że coś się stało. Widzę, że dręczy cię potrzeba, żeby o tym

porozmawiać. – Odstawia kieliszek, wzdycha. Ton jego głosu jest spokojny; wyciąga rękę w kierunku jej szyi, muskając palcami dokładnie to miejsce, w którym Lea ma siniaka.

Ona przetyka słowa, których szukała przez całe popołudnie, i czuje, jak opada z niej napięcie. Jeszcze ci wszystko ułatwia, mówi do siebie. Być może i on musi ci coś wyznać.

– Dwa miesiące rozłąki nigdy nie przynoszą korzyści – ciągnie Vittorio. – Mieliśmy wspólne plany, szliśmy prosto do naszych celów, aż wreszcie za sprawą twojej książki musieliśmy zmienić kierunek. Nie mogłem ani nie chciałem stawać ci na przeszkodzie. Wiele razem przeszliśmy przez ostatnie lata: moja praca, coraz bardziej stresująca, przeprowadzki, miasto, którego nie lubisz. Przecież widzę, że nie lubisz Singapuru. Wiem, że wolałabyś zostać w Londynie. Byłaś tam szczęśliwsza, nad czym szczerze ubolewam.

Wzdycha ponownie, tym razem w jego spojrzeniu pojawia się prawie dziecinny żal. Lea nie widziała go takiego, odkąd się znają: jest dorosły, doskonale panuje nad emocjami.

– Naszych ostatnich telefonów nie można nazwać rozmową – zauważa. – Czułem, że jesteś zupełnie gdzie indziej. Spędziłaś ostatnie dwa miesiące w domu swojej przyjaciółki, poświęciłaś się powieści i oddaliłaś się od nas. I tak może się zdarzyć: małżeństwo to ciągły trud, poświęcenie. Dwa miesiące rozłąki w tak delikatnym momencie to nic dobrego. Tak samo jak mówienie wszystkiego, całej prawdy. Nie warto tego robić, Lea. Pary, które borykają się z trudnościami, wcale nie potrzebują znać szczegółów życia partnera, choć czasem o nie błagają. To tak, jakbyś proponowała szklaneczkę szkockiej choremu na marskość wątroby. Możesz zdecydować się na szczegóły, poprosić, bym i ja to zrobił i uświetnić tę wysmienitą kolację szkocką, która też wcale nam nie posłuży. Możesz również na mnie spojrzeć tak, jak patrzy się na męża, wiedząc, że pokonaliśmy wspólnie tyle trudności, i zastanowić się, czy nie warto spróbować pokonać i tej. Przed nami długie wakacje, Lea. Jeśli o mnie chodzi, pierwsze wakacje po długim roku ciężkiej pracy bez wytchnienia. I proszę, teraz przede mną na stole stoi kolacja, pierwsza, którą zrobiłaś mi od tak dawna. Nie wiem jak ty, ale ja nie mam ochoty na mocny alkohol dziś wieczorem.

Lea unosi brwi poruszona. Wyciera usta serwetką. Usiłuje wyobrazić sobie go jako dziecko, tak jak Bianca wyobraziła sobie Andrea na ich pierwszej randce. Nie potrafi. Wydaje się jej, że był dorosły i pełen woli walki już

w wieku ośmiu lat. Jest urodzonym prawnikiem, wie, jak wziąć życie we własne ręce i uformować je wedle własnych potrzeb. Lea jest tym zafascynowana, tak jak w chwili, gdy postanowiła go poślubić, teraz jednak zastanawia się, czy kiedykolwiek naprawdę go kochała. Mimo to wciąż się obawia, że to właśnie on jest tą właściwą osobą.

– A gdybym ja już dłużej nie chciała mieszkać w Singapurze? – Nie przestaje Lea, wiedząc, że choć została poproszona, by nie sięgać sedna, nie może już teraz dać za wygraną.

Vittorio zwilża usta, przez chwilę wydaje się ogłuszony jej pytaniem, pociąga łyk wina:

– Myślałem już o tym – odpowiada ku jej zaskoczeniu. – Nie mam prawa prosić cię, byś mieszkała w miejscu, którego nie znosisz. Kiedy brałem z tobą ślub, pragnąłem tylko uczynić cię szczęśliwą. Powrót do Londynu byłby dla mnie krokiem wstecz. Nie wiem, czy uda mi się znaleźć równie inspirujące zajęcie, ale możemy spróbować.

– Co to znaczy?

– To znaczy, że potrzebuję kilku miesięcy, żeby się zorganizować. Musisz dać mi trochę czasu, Lea, a później wrócimy do Londynu. Jeśli tego właśnie chcesz.

– A Włochy? Wyklucasz je z góry?

– Chciałabyś, żeby w tym kraju dorastały twoje dzieci?

– Co w nim takiego złego? I my tu dorastaliśmy.

– Od tamtego czasu wiele się zmieniło. Niekoniecznie na lepsze.

– Czy twoim zdaniem zawsze musimy żyć jak najlepiej?

– Moim zdaniem, żeby naprawdę kochać Włochy, nie można zjawiać się tu zbyt często, najlepiej tylko na wakacje. Tutaj to ja mógłbym czuć się nieszczęśliwy.

Odsuwa krzesło od stołu, odkłada serwetkę obok talerza i podchodzi do niej zdecydowanym krokiem. Ściska jej dłonie i patrzy prosto w oczy. Policzki Lei płoną czerwienią, jakby nie potrafiły ukryć jej poczucia winy.

– Staram się ze wszystkich sił – wyznaje. – Wierzysz mi, Lea? Wierzysz mi, kiedy mówię ci, że nie pragnę niczego prócz twojego szczęścia?

Lea kiwa głową, tym razem pozwala się pocałować. Czuje smak jego śliny, ciepło jego ust. Vittorio jest delikatny. Jego ręce wędrują ku jej twarzy, gładzą ją, przytrzymują, jakby prosiły, by już nigdy nie uciekała. Odrywa się wreszcie od jej warg i dotyka jej czoła.



– Jesteś rozgrzana, wiesz? – Spogląda na nią z ojcowskim niepokojem. – Boję się, że wróciła ci gorączka.

Jego stwierdzenie wyrywa ją z zakłopotania spowodowanego pocałunkiem, łagodnym i niezbędnym wyznaniem miłości. Czuje, że potrzeba jej czasu.

– Zjedz jeszcze trochę mięsa – nalega. – A później idź do łóżka. Posprzątam tu i do ciebie przyjdę.

Lea jest posłuszna, jego spokój i asertywność dodały jej otuchy, tak jak i te oczy, które nigdy nie kryły żadnych niespodzianek.

Kiedy wraca do łóżka, ona kuli się już pod kołdrą. Ściąga z siebie koszulę, szuka piżamy w walizce. Jest zbyt zmęczony, by się rozpakować, ale Lea zna go wystarczająco dobrze, by wiedzieć, że nie znosi widoku rzeczy nie na swoim miejscu.

– Poczytasz mi trochę? – pyta. – Czy nie masz ochoty?

Lea podnosi głowę z poduszki.

– Nie wiem, czy mam coś do czytania, a Kindle jest gdzieś głęboko w walizce. Przez ostatnie miesiące skupiałam się raczej na pisaniu.

– Wobec tego to może ci się przydać – mówi jej, wyjmując papierową torbę z logo księgarni. – Ta książka zdobyła różne nagrody, ty lubisz takie cięższe lektury, a ja przynajmniej usnę w sekundę – żartuje i wywołuje uśmiech na jej twarzy.

Lee Kuan Yew kazał sobie codziennie czytać na głos pamiętnik swojej żony. Kochał ją przez całe życie, a kiedy u kresu swych dni zapadła w śpiączkę, gdziekolwiek by się znajdował – choćby po drugiej stronie świata – codziennie dzwonił punktualnie do szpitala i prosił pielęgniarkę, żeby zbliżyła słuchawkę do ucha jego żony, by czytać jej wycinki z gazet, fragmenty jej najukochańszych książek, sonety Szekspira. Kiedy Lea, pisząc swoją powieść, usłyszała o tym po raz pierwszy, natychmiast pomyślała o sobie samej, o tym, jak co wieczór czyta Vittorio, by pomóc mu zasnąć.

– Będiesz mnie tak kochał przez całe życie? – zapytała go wtedy. – Jak Lee Kuan Yew kochał swoją żonę?

– O wiele bardziej.

Morze to szafirowa gładka tafla, na horyzoncie jednak majaczy ciemna plama, wyglądająca jak rozlana ropa. Długi pas przytłaczających chmur unosi się w oddali, niczym groźba wisząca nad ich pierwszym słonecznym porankiem.

Lea spogląda na nie zza okna. Prawie nie zmrużyła oka, obudziła się wcześniej, by szukać telefonu, który teraz kurczowo ściska w dłoni. Zerwała się natychmiast z łóżka, by uniknąć ewentualnych awansów Vittorio, który teraz wyrasta niespodziewanie za jej plecami:

- Już na nogach? Jak się czujesz?
- Miałaś rację, znów dostałam gorączki, nie spałam zbyt dobrze. Dlaczego nie skorzystasz z tych kilku godzin słońca i nie pójdziesz się wykapać?
- Może masz ochotę wziąć ponton i popłynąć na Cala Grande?

W godzinę później Vittorio skacze z pontonu do wody, wypływa z błękitnej toni i unosi się nieruchomo na jej powierzchni. Lea obserwuje go z dziobu pontonu, ma w ręku telefon i od czasu do czasu spogląda przelotnie na jego ekran. Po ostatniej pustej wiadomości Giacomo nie dał już znaku życia. Życia, które Lea zna zbyt dobrze. Nieokiełznanego napięcia przeplatającego się z eleganckim, intelektualnym wyrefinowaniem; wybuchów zniecierpliwienia, których ceną jest niepewna przyszłość pełna kłótni, gróźb, pojednań, nagłych zmian nastroju. Jego nieumiejętność życia w sytuacjach, które nie byłyby prowizoryczne. Jego tchórzostwo. Lecz nade wszystko niezaprzeczalny fakt, że jej miłość do niego była i zawsze będzie nieodwzajemnionym uczuciem. Lea powiedziała już ostatnie słowo: nie, raz na zawsze i teraz musi sobie o nim przypominać.

Podskakuje, gdy dłonie Vittorio łapią za sznurowy uchwyt i ponton przechyla się gwałtownie, ściągnięty ciężarem jego ciała wynurzającego się z wody.

- Będzie padać, musimy się zbierać – mówi, owijając się ręcznikiem.

Lea usiłuje się uspokoić, koncentrując całą swoją uwagę na jego sylwetce, rękach zajętych uruchamianiem motoru, jego skupionych, metodycznych

ruchach, które zawsze dawały jej poczucie bezpieczeństwa.

Przygotowała sałatkę caprese, a sposób, w jaki ozdobiła pomidory i mozzarellę listkami bazylii, sugeruje, że włożyła w nią trochę serca. Jednak i tym razem Lea próbuje w ten sposób tylko rozładować napięcie.

Kiedy ustawia talerz z sałatką na stole stojącym na środku tarasu i zerka na coraz ciemniejsze niebo na horyzoncie, proponuje:

– Może lepiej będzie, jeśli zjemy obiad w środku.

Vittorio nie słyszy jej słów, jest jakby nieobecny, sprawdza coś w telefonie. Właśnie wziął prysznic, a teraz opiera się o balustradę, całkowicie zatopiony w treści wyświetlającej się na ekranie komórki.

– Vittorio? – Lea natychmiast traci cierpliwość, zdaje się, że szuka tylko pretekstu, być może myśli, że tylko kłótnia mogłaby jej naprawdę pomóc.

Kiedy on wreszcie odrywa wzrok od aparatu, myślami jest zupełnie gdzie indziej.

– Mam spory problem – wyjaśnia, jakby wszystko, co go otacza, nagle straciło znaczenie.

– Co takiego?

– Van Der Meer. – Jego głos brzmi poważnie. – Składa dymisję.

– W jakim sensie? Dlaczego?

– Jego żona powypisywała głupoty na którymś z portali społecznościowych. Pogardliwe komentarze o smutnych ludziach w miejskim autobusie

– Ale gdzie? Na swoim prywatnym profilu?

– Prywatność praktycznie nie istnieje, jeśli jesteś żoną prezesa ważnego banku. Wystarczyło, że ktoś puścił to dalej i wybuchła afera. Rządowi się to nie spodobało.

– A co ma do tego rząd?

– Mówimy o Singapurze, Lea. Nieodpowiednie komentarze o singapurskich środkach transportu odnoszą się również do rządu. Bank w zasadzie zmusza go do dymisji.

– To absurd.

– Jasne, zwłaszcza w kraju, w którym politycy nie rezygnują, nawet jeśli przyłapiasz ich na gorącym uczynku, z rękami w państwowym sejfie. W Singapurze jest inaczej.

Lea zaciska zęby poirytowana prowokacyjnym tonem Vittorio. Nie jest to

mimo wszystko odpowiednia chwila na dyskusje o polityce, a widać jak na dłoni, że jest niezmiernie wstrząśnięty skandalem.

– I co teraz będzie?

– Muszę tam jutro wrócić.

– Chyba żartujesz! Wynajęliśmy dom na piętnaście dni!

– Wiem. – Usiłuje się uspokoić, zdaje się żałować wybuchu zdenerwowania sprzed chwili. – Przykro mi, Lea. Ale trzeba się tym zająć we właściwy sposób, i ja muszę być na miejscu.

Lea wreszcie odnalazła pretekst, którego szukała.

– Nawet jeśli musisz przerwać wakacje? – Wybucha bez zastanowienia łamiącym się z rozżalenia głosem. – Po co zarabiać tyle pieniędzy, skoro nie możesz sobie pozwolić nawet na pieprzone wakacje? – Być może po raz pierwszy jest tak wulgarna w jego obecności.

– Choćby po to, żeby móc bez skrupułów je przerwać, jeśli zajdzie taka potrzeba. – Lea z ulgą przyjmuje złość narastającą w jego głosie, to przyzwolenie na jej podniesiony ton.

– Myślisz, że łatwo mi się z tym pogodzić?

– Nikt cię nie zmusza, żebyś ze mną jechała. Jeśli chcesz, możesz tu zostać przez najbliższe dwa tygodnie.

– I co niby miałabym tutaj sama robić?

Vittorio jest coraz bardziej wzburzony.

– Mogłabyś odpocząć – cedzi przez zęby. – I wrócić do mnie, kiedy poczujesz się gotowa. Kiedy rozjaśni ci się w głowie. – Kładzie nacisk na ostatnie zdanie, gorzko brzmiące w jego ustach.

Z ciemnego pasma chmur zaczynają kapać pierwsze krople deszczu. Opadają ciężko na ich twarze, naczynia, na kieliszki, sałatkę na środku stołu.

– Zdajesz sobie w ogóle sprawę z tego, co mówisz?

Niebo robi się coraz czarniejsze, a ton Lei brzmi jeszcze głębszą wrogością. Zdaje się, że wraz ze zmianą pogody i w niej przygasło światło, jest przytłoczona rozmytym w deszczu krajobrazem i ciężarem swoich emocji. Vittorio podchodzi do niej i z całą delikatnością, którą w sobie znajduje, chwytą ją za rękę na znak przeprosin.

– Chodź, wejdziemy do środka.

Lea wrywa dłoń, lecz idzie za nim do salonu. Vittorio się odwraca, staje blisko niej.

– Uwierz mi, Lea – nalega. Zdaje się zmęczony, wyczerpany, ma podkrążone

oczy. – Nie wiesz nawet, jak bardzo chciałbym tego uniknąć, ale naprawdę nie mogę. Kiedy tylko wszystko się uspokoi, zabiorę cię dokądś, wynagrodzę ci to.

Lea chciałaby kłócić się dalej, jednak jego uległość wytrąca jej broń z ręki. Z nich dwojga tak naprawdę jedyną, która ma za co przeproszać, jest ona sama.

Vittorio znów jest spokojny, skupiony, przeciera telefon rękawem koszulki i klika gorączkowo w klawiaturę.

– Poprosiłem sekretarkę, żeby przebukowała bilety – oznajmia jej po chwili. – Są jeszcze dwa miejsca na lot o piętnastej. Przesunąć i twój?

Teraz Lea ma nie tylko związane ręce, odnosi wrażenie, że znajduje się w ciasnej klatce. Na samą myśl o przedwczesnym powrocie do Singapuru oddycha z trudem. Potrzebuje więcej czasu. Ale zbyt kategoryczna odmowa zniszczyłaby tylko wszystkie jego dotychczasowe wysiłki.

– Chciałabym zostać tu przez kilka dni – odpowiada mu. – Przynajmniej tydzień nad morzem.

– Tydzień? – powtarza Vittorio, wydymając nozdrza. To on zaproponował jej, żeby została, nie może teraz się wycofać.

Lea kiwa głową, wbija wzrok w ziemię.

Za oknem pada coraz gęstszy deszcz. Usta Vittorio zaciskają się w cienką linię.

– Już nie jestem głodny – oznajmia jej lodowato. – Idę na chwilę odpocząć, jet lag mnie wykończy.

Lea odwraca się i patrzy na widok zza okna zasnuty szalejącą za szybą burzą, plastry mozzarelli i pomidora pływające w talerzu na stole. Słyszy dźwięk oddalających się kroków męża, a potem głośno zamykane drzwi do sypialni.

Przez kolejne dwie godziny czas zdaje się stać w miejscu. Lea nie ruszyła się z kanapy. Wymieniła kilka wiadomości z Bianką, włączyła telewizor, by wypełnić ciszę, i wyłączyła go po niespełna dziesięciu minutach.

Deszcz wreszcie ustał, lecz silne podmuchy wiatru nie zdołały rozwiać chmur zasnuwających niebo. Wieje jak na otwartym morzu, gałęzie drzew przyginają się do ziemi, brzęczą szyby w oknach. Lea podchodzi do jednego z nich i zauważa muchę odbijającą się od szklanej tafli, przekonaną, że przebije się na drugą stronę. Spogląda na nią bez cienia litości. Jaka jesteś

głupia, miałyby ochotę jej powiedzieć w chwili, kiedy otwiera okno, a mucha nawet tego nie zauważa. To szkło, a nie niebo.

Cichy dźwięk oznajmia nadejście wiadomości. Tym razem to nie Bianca.

„Lea, muszę się z tobą zobaczyć” – pisze Giacomo. Zdaje się prawie błagać. W tej samej chwili Vittorio zachodzi ją od tyłu. Lea odsuwa telefon, jakby parzył ją w rękę.

Vittorio przesuwa wzrok z niej na komórkę, wreszcie patrzy na niebo za oknem.

– Zapowiadają rozgwieżdżoną noc – mówi. – Zdaje się, że we Włoszech klimat jest równie nieprzewidywalny jak w tropikach. – Ma zapuchnięte oczy, jeszcze bardziej zmęczone, niż kiedy wstał rano, a w dodatku zgaszony wyraz twarzy.

– Powiedz mi tylko jedno – prosi, siadając na fotelu przed nią, a Lei mięką kolana. – Powiedz mi tylko, czy to miłość.

Głośno przełyka ślinę. Musiała zrobić się blada niczym kreda, bo czuje, jak krew odpływa jej z policzków i zbiera się w piersi, jakby chciała ją zatopić. Ciszę wypełnia niespodziewanie niespokojne brzęczenie muchy, raz po raz uderzającej w szybę, wyznaczającej rytm uderzeń serca Lei. Vittorio rzuca powolne i zmęczone spojrzenie na telefon leżący na parapecie i wreszcie, także wolno, przenosi wzrok na nią.

– Powiedz mi i tyle – nalega prawie rozdzierającym głosem. – Powiedz mi, czy go kochasz.

Lea wzdycha, próbuje wziąć się w garść, uzbroić w całą odwagę, którą straciła poprzedniego wieczoru, kiedy wychyliła jednym haustem kieliszek wina i przypomniała sobie beczelny wyraz twarzy Giacomo, gdy ten robił dokładnie to samo. Usiłuje sklecić w głowie kilka sensownych zdań.

– Nie, czekaj – przerywa jej Vittorio. – To nieodpowiedni moment, by o tym dyskutować. Obawiam się, że szykuje się długa rozmowa. – Krzywi wreszcie twarz w lekkim grymasie, przeciera oczy i bierze głęboki oddech zakończony ziewnięciem. – Zarezerwowałem stolik w „Pelikanie” na dziś wieczór. Masz jeszcze tę czarną krótką sukienkę, która tak mi się podoba?

Lea jest zbita z tropu, ale kiwa głową potakująco, z półotwartymi ustami.

– O ile czas nam na to pozwoli – ucina Vittorio, wstając z fotela i kierując się wolnym chwiejnym krokiem do sypialni.

Dorodny rożek księżycy rozjaśnia niebo pełne gwiazd. Wieczorem znów wróciła łagodna temperatura, a nocne godziny płyną powoli i spokojnie, dostrajają się do cichego pobrzękiwania kieliszków i talerzy, które nienaganni i wyniośli kelnerzy dyskretnie ustawiają i zabierają. Włochy to naprawdę tropikalny kraj, gotowy w każdej chwili zaserwować swoim mieszkańcom niespodziewaną ulewę. Wciąż jednak znajdują się w nim miejsca bardzo przewidywalne, w których zachowała się elegancja dawnych czasów, takie jak restauracja, do której Vittorio zabrał ją ich ostatniego wspólnego wieczoru.

Siedzą przy tarasie wychodzącym na morze, w którego tafli księżyc odbijający się od fal rozszcza się na tysiące małych kawałeczków. Próbuje powitalnej przekąski szefa kuchni: piana z aragosty podawana na mikroskopijnej grzance, którą Vittorio włożył sobie do ust, nie upuszczając przy tym ani jednej okruszyny, i którą Lea zdołała już poplamić obrus.

Ujmuje jej dłoń, ściska ją między palcami, zdaje się, że chciałby uspokoić i ją, i samego siebie. Jeszcze jeden tydzień, ostatni wysiłek, z pewnością nie pogorszy to sprawy. Lea zostawiła telefon w domu, nie ma zamiaru ponownie go włączać.

Vittorio kładzie małe zawiniątko na stoliku.

– To prezent. – Uśmiecha się. – Czekałem na właściwą chwilę, żeby ci go wręczyć.

Lea patrzy na niego oczami przestraszonej gazeli. Przypomina sobie wieczór, kiedy poprosił ją o rękę. Dokładnie pamięta radość tamtej chwili i zastanawia się, co się z nią stało. Nieśmiało odwija paczuszkę. Przez chwilę mocuje się z zamknięciem etui, ale od razu wyczuwa, że to ważny prezent, i jest prawie poirytowana, bo Vittorio dobrze wie, że zawsze żywiła niechęć do biżuterii. Kolejne wyrzucone pieniądze, myśli. Kiedy jednak wyjmuje łańcuszek ułożony w welurowym wnętrzu opakowania, widzi maleńki i elegancki naszyjnik. To symbol nieskończoności wysadzany rzędem drobnych brylantów. Przypomina sobie moment, w którym zauważyła go na szyi tej kobiety, Lin Yu, w ostatni wieczór przed wyjazdem. Powiedziała mu wtedy, jak bardzo się jej spodobał. Jej mąż po raz kolejny zdołał zaskoczyć ją swoją niesłabnącą atencją obojętną na upływ czasu i dbałością o szczegóły, jak adorator wciąż starający się o jej względy.

Podnosi na niego wzrok i ma wilgotne oczy, w których odbijają się brylantowe refleksy. Wielka gula ściska ją w gardle i jest w stanie wydusić z siebie jedynie: „dziękuję”.

Vittorio pochyla się ku jej twarzy, jakby chciał powierzyć jej sekret.

– To miejsce przypomina mi czasy studenckie – mówi i rozjaśnia mu się spojrzenie. – Mój ojciec wziął kredyt pod hipotekę domu, żeby wysłać mnie na studia do Stanów, a ja wieczorami pracowałem w takich miejscach jak to. Niektórzy klienci zostawiali spore napiwki, inni besztali mnie za najdrobniejszy błąd. Ale codziennie rano budziłem się gotowy stawić czoło małym radościom i upodleniom, byle tylko móc skupić się na książkach. Wiedziałem, dokąd zmierzam. I wiedziałem, że droga będzie pełna przeszkód.

W tej chwili młody kelner, kryjący swoje zmartwienia za poważną i surową miną, zabiera z ich stołu puste talerze. Vittorio milknie, obserwuje jego ruchy. Czeka, aż będą sami, by znów spojrzeć jej w oczy.

– Kiedy zobaczyłem cię po raz pierwszy na przystanku przy Piccadilly, myślałem, że nawet się nie odwrócisz, by na mnie spojrzeć, tak bardzo byłaś piękna i pogrążona w swoich troskach. Błagałem cię oczami, byś to zrobiła, a kiedy tak się stało, pomyślałem sobie: chcę właśnie ją. Przez pierwsze miesiące byłaś myślami gdzie indziej, nie zawsze odbierałaś ode mnie telefon i zapominałaś oddzwaniać. To było upokarzające. Ale wciąż cię chciałem. I wiedziałem dokładnie, dokąd zamierzam cię zaprowadzić. Droga była pełna pułapek, jasne, z taką kobietą, jak ty, u boku, pułapki czają się za każdym rogiem. Ale nigdy nie myślałem, żeby się poddać. I nie chcę tego zrobić nawet w tej chwili.

Mężczyzna, którego poślubiła, któremu powiedziała z oczami pełnymi łez: tak, i ja tego chcę. Byłaby głupia, gdyby pozwoliła mu odejść i za nim nie pobieгла. Jest zaskoczona stanem własnego ducha, który tak bardzo zmienił się przez ostatnich kilka godzin. Ale gdyby sobie na to nie pozwoliła, gorzko by tego pożałowała. Nie potrafi jednak powiedzieć nic ciepłego, nie umie rzucić mu się w ramiona, tak jak pragnęłaby pewnie jakaś część jej samej.

Kelner korzysta z ciszy, która zapadła między nimi, i stawia na stole dania główne. Vittorio zamówił sauté z małży i po chwili ostry zapach skorupiaków uderza Leę, wywołując w niej nagłe mdłości.

Powstrzymuje odruch wymiotny, odwraca się w stronę morza, bierze kilka głębokich wdechów, ale wciąż czuje, jak policzki jej drętwieją.

– Co ci jest? Źle się czujesz?

Przełyka ślinę, raz po razie, wreszcie zasłania dłonią usta, by zablokować coraz silniejsze torsje.

– Przepraszam – mamrocze ostatkiem sił, wstaje i biegnie do łazienki.



– Po raz pierwszy doprowadziłem do wymiotów kobietę tym, że podarowałem jej prezent i wyznałem miłość – żartuje Vittorio kilka godzin później, kiedy kładą się już spać.

Twarz Lei odzyskała swój naturalny koloryt, czuje się już lepiej, chociaż nie zdołała tknąć jedzenia i jest pewna, że mięczaki i skorupiaki nie zagoszczą na jej talerzu do końca życia.

Vittorio gładzi ją nieśmiało, z głęboką troską, lecz w jego spojrzeniu widać podniecenie, lekko drżą mu wargi. Powoli przyciąga ją do siebie, szuka jej ust. Nie poddaje się w obliczu jej początkowego oporu, jest zdeterminowany, by wyrwać ją z bezwładu, wymusić odpowiedź, czyli pocałunek, nawet z grzeczności, jeśli nie z pasji. Lea wreszcie ustępuje. Usiłuje nie myśleć o Giacomo, choć robi się mokra, wyłącznie kiedy zamyka oczy i przypomina sobie detale jego ciała, kiedy górował nad nią, i wini się za swoje myśli, przeklina się za to, co zrobiła. Jeszcze większe poczucie winy wzbudza w niej fakt, że poprosiła Vittorio, by zgasił światło, bo chciała ukryć ślady swego występku, czyli sińce rozsiane po jej ciele. Chwyta swojego męża za nadgarstki, prawie z wściekłością, i wspina się na niego. Patrzy mu prosto w twarz – jaśniejącą w zachwycie, a końcówki jej włosów muskają jego barki. Jest jej siłą, jej odwagą. To on powinien być obiektem jej pragnień. Powtarza to sobie, przytrzymując go niecierpliwie i opadając na jego męskość. Unosi się nad nim rytmicznie, przyciska kurczowo dłonie do jego piersi. Zaczyna odczuwać przyjemność, kiedy on przesuwa palcami wzdłuż jej szyi i popycha ją delikatnie do tyłu, podnosi się i sadowi ją sobie na kolanach. Układa ją na plecach i wchodzi w nią z czułością, coraz bardziej podniecony. Bliski orgazmu, zatrzymuje się, wychodzi z niej i próbuje się jeszcze powstrzymać, wbija wzrok w komodę za ich plecami, by przeciągnąć przyjemność, i zaczyna od nowa. Ledwie jednak Lea zdoła zakreślić biodrami i wydać z siebie jęk rozkoszy, on ustępuje, przeprasza, gdy między jednym a drugim spazmem dochodzi w niej.

Kilka chwil później, odzyskując oddech zanurzony w jej włosach, mówi jej na ucho:

– Może to właśnie ten wieczór... Podobno nad morzem dochodzi do największej liczby poczęć.

Na dźwięk jego słów Lea czuje ukłucie bólu w skroniach.

To zawsze Vittorio zwracał jej uwagę na daty, kalkulował dni jej owulacji, wytykał spóźniające się miesiączki. Cykl Lei, wydłużony i nienaturalny, towarzyszył jej od czasu dojrzewania, i nie po raz pierwszy nie potrafi sobie przypomnieć dokładnej daty krwawienia. Przez dwa miesiące musiała przynajmniej raz dostać okres, a więc wystarczy przywołać w pamięci tę chwilę w domu Bianki. A jednak przez jej powieść, przez napięcie związane z sytuacją z Giacomo, ostatnie tygodnie zdają się niejasne, rozmyte.

Próbuje nie wpadać w panikę, wstaje i rusza do łazienki. Siada na muszli klozetowej, oddycha i chwyta się najbardziej pewnego obrazu, który udaje jej się odnaleźć w głowie: gmera w szafce łazienkowej Bianki w poszukiwaniu podpasek. Tak, to na pewno musiało mieć miejsce, usiłuje się uspokoić. Tylko kiedy? Mdłości, których dostała w restauracji, odruch wymiotny, który zaskoczył ją na plaży z Giacomo dwa dni temu. To tylko nerwy, bagatelizuje. Wszystko przez te małże. Panika wraca na wspomnienie wszystkich tych nocy, kiedy się kochali. Byli przecież ostrożni, zawsze tak się mówi. Teraz podchodzi do lustra i przesuwa dłonie po policzkach.

– Nie możesz być w ciąży – usiłuje zaklinać rzeczywistość. – Nie z Giacomo. Nie dostaje się mdłości w tydzień od poczęcia. I przecież tak naprawdę mogłaś wcale nie dostać miesiączki, od kiedy wyjechałaś, z twoim mężem wcale się nie zabezpieczacie. – Lea nie ma najmniejszych wątpliwości co do tego, kogo wolałaby obarczyć odpowiedzialnością, gdyby jej obawy okazały się uzasadnione. W każdym razie musi rozproszyć te niebezpieczne myśli i na powrót zwizualizować obraz samej siebie przeszukującej szafkę łazienkową. Udaje jej go połączyć z końcowym okresem prac nad książką. Nie minął nawet miesiąc, przekonuje się, nic jej się nie spóźnia, nie ma powodów do obaw, a mdłości nie mają nic wspólnego z ciążą. Wygładza sobie włosy, rzuca stanowcze spojrzenie w stronę lustra, po czym wychodzi z łazienki i bez słowa układa się w łóżku obok Vittorio.

Wtula się w niego, jakby chciała w ten sposób oddalić resztki dręczącego ją niepokoju. Jego szerokie plecy są jak zapora chroniąca ją przed pesymistycznym scenariuszem, którego nie byłaby w stanie sama znieść. On, zaskoczony i poruszony jej niespodziewanym gestem, głaszcząc ją po włosach.

– Tak bardzo za tobą tęskniłem – mówi.

– Ja też – odpowiada Lea bez wahania. W tej chwili pragnie tylko stać się małą, maleńką, żeby ułożyć się bezpiecznie w zagłębieniu jego obojczyka i pozostać tam na zawsze. – Dasz radę przebukować też mój bilet? – Pyta

zaskoczona swoją niespodziewaną potrzebą, by wrócić razem z nim.

Vittorio rozciąga usta w uśmiechu pełnym satysfakcji.

– Myślę, że tak – odpowiada i zasypuje ją pocałunkami. – To pierwsza rzecz, którą zrobię jutro rano.

W jednej chwili na nowo rozpala się pożądaniem. Jego dłonie i usta znów szukają jej bliskości.

Jak to możliwe, że nie ma już miejsc?

– Sama wiesz, że Singapore Airlines nie ma codziennie bezpośrednich lotów z Rzymu. To i tak cud, że udało im się przebukować mój bilet.

Vittorio kończy pakować swoją walizkę, Lea podaje mu ostatnie rzeczy leżące na łóżku. Wyraz jej twarzy pełen jest niepokoju, gdy wyglądaza prześcieradło, na którym spędzili w objęciach ostatnią noc. Chciałaby zawrócić. Chciałaby nigdy nie wyjechać z Singapuru.

– Twój samolot odlatuje jutro rano, Lea – przypomina, chwytając ją za rękę. – Jeszcze wczoraj wieczorem chciałaś tu zostać na kolejny tydzień, a teraz nie możesz znieść niecałej doby oczekiwania? – Uśmiecha się, rozczulony dziecinnym drżeniem jej palców. – Mnie też nie cieszy myśl, że muszę cię tu zostawić samą. Dałem ci numer do rezydenta, tak na wszelki wypadek. Taksówkarz pojedzie jutro o siódmej, zostawiłem ci też jego numer telefonu. Bądź spokojna.

– Wiesz, że nie lubię latać bez ciebie – kłamie Lea, która tak naprawdę boi się dnia, który musi tu sama spędzić. Jak oddalić od siebie wszystkie obawy, które czekają tylko, aż Vittorio wyjdzie za próg domu, by na nowo rozpanoszyć się w jej głowie. Nawet gdy nie chce jej się wymiotować, wystarczy, że przywoła wspomnienie mdłości, by poczuć, jak jedzenie podchodzi jej do gardła.

Odprawdza męża aż do bramy. Słońce znów wisi wysoko na niebie, ożywiając kolory klifu, morza, obsadzoną oleandrami ścieżkę prowadzącą do trasy widokowej, nasycającą powietrze intensywnym zapachem. Oczy aż bołą od intensywnego światła. Może przecież przejść się do portu lub usadowić się na dryfującej platformie i poczekać na zachód słońca? Vittorio ma rację, to mniej niż dwadzieścia cztery godziny, szybko minie jej czas.

Włożyła białą koszulę podkreślającą lekki odcień opalenizny, której nabrała poprzedniego ranka. Ma zaczerwienione policzki, wysuszone usta, jej skóra pachnie jodem.

– Nienawidzę żony Van Der Meera – mówi Lea zatopiona w ciasnych objęciach męża. – Zawsze myślałam, że to idiotka.

– Jadę ją zamordować – żartuje Vittorio. – A później zabiorę cię nad Mekong. Wybierzemy się w podróż jak najszybciej.

– I odejdiesz z banku, prawda? Poszukasz sobie czegoś ciekawego w Londynie?

– Obiecałem ci to. – Następnie, jakby chciał natychmiast zmienić temat, dodaje: – Miej włączony telefon, Lea. Nie podoba mi się, że jesteś tu sama jak palec. Mój samolot to jeden z tych nowszych modeli, mają wi-fi, więc będę mógł do ciebie zadzwonić.

Powraca obawa, że nie tylko on może mieć takie zamiary. Widok zamglonego nagle wzroku Lei napawa Vittorio niepokojem.

– I ja wolałabym, żebyś nie leciał tam sam – rzuca jeszcze Lea udręczonym głosem, kiedy Vittorio otwiera okno samochodu. – Wcale mi się to nie podoba. – Powtarza z wyrzutem skierowanym do siebie samej, jakby chodziło o coś o wiele bardziej poważnego.

– To nie twoja wina, Lea – odpowiada, a jego spękane nieco wargi rozciągają się w melancholijnym uśmiechu, w którym błąka się coś jeszcze. – Naprawdę. Nie twoja wina – podkreśla, jakby postanowił wziąć na siebie część odpowiedzialności.

Z westchnieniem zasiada za kierownicą.

Kiedy jest już na ulicy, wystawia rękę przez okno w ostatnim, szybkim geście pożegnania.

Lea zostaje sama w domu. Wychodzi na taras i obserwuje morze. Na stoliku za jej plecami znajduje się wciąż wyłączony telefon i książka, którą podarował jej Vittorio. Odwraca się pełna wątpliwości. Podchodzi do stołu, chwytając za komórkę i wreszcie postanawia ją włączyć.

Dzwonek rozlega się po krótkiej chwili. Giacomo znów do niej napisał, wczoraj, późnym wieczorem. Kolejna pusta wiadomość. Lea wyobraża sobie jego twarz, palce przesuwające się nerwowo po klawiaturze, kasujące to, co napisał. Jego tchórzostwo. Jego tupet.

Wstaje od stołu i schodzi pospiesznie po schodkach prowadzących do platformy. Rzuca się między fale. Czuje niespodziewany chłód, który ustępuje między jednym wymachem ramion a drugim. Wytłumione dźwięki w tle, woda obmywa jej myśli, wypłukuje te najbardziej uparte, sprawia, że wszystko wydaje się bardziej odległe.

Dobry scenariusz buduje się na prawie matematycznej strukturze, dowiedziała się tego w szkole w Londynie. Geometrii życia z kolei nauczyła się na własnej skórze, doświadczyła jej milimetrowej dokładności, jeszcze bardziej precyzyjnej niż dobrze napisany scenariusz. „Jak ognia należy unikać przypadków – donosił stary podręcznik o strukturze dramatu w trzech aktach – ujawniają bowiem obecność autora”. Kto wie jednak, czy przypadki w prawdziwym życiu nie są właśnie dowodem drobnego niedopatrzenia kogoś, kto siedzi w górze z piórem w ręku, myśli Lea chwilę po wyjściu z wody, kiedy zawinięta w ręcznik stoi i wpatruje się w leżącą na stole komórkę, na której ekranie wyświetla się imię Giacomo.

Nie zamierza odbierać. Po kolejnym sygnale, kiedy telefon jest już prawie rozładowany, zmienia nagle zdanie i raptownym gestem łapie za aparat. Wszystko albo nic.

– Słucham?

– Lea.

Jego głos tonie w morzu niezidentyfikowanych hałasów w tle, jest zdyszany. Nigdy go takiego nie słyszała.

– Mogę z tobą porozmawiać?

– Chciałabym, żebyś już do mnie nie dzwonił.

– Choćby miał być to ostatni raz, muszę się z tobą zobaczyć.

– Nie mogę.

Nieokreślone odgłosy ulicy milkną po chwili.

– Jestem w tym cholernym miejscu i mam zamiar zadzwonić do drzwi wszystkich domów w okolicy – mówi jej uparcie. – Jeśli mi tego oszczędzisz, rozwiążemy tę kwestię, nie psując nikomu wakacji. Powiedz mi, gdzie możemy się spotkać. To naprawdę ważne. Później dam ci spokój, przysięgam.

Mogła odmówić, wyrzuca sobie, gdy siedzi na kanapie i czeka na niego. Mogła nie podawać mu adresu domu albo zaproponować mu spotkanie na neutralnym gruncie, w barze, wśród innych ludzi. Ale w jego żarliwym: „powiedz mi” usłyszała autentyczną rozpacz. To zupełnie nie w jego stylu, przez wszystkie te lata nie widziała go w podobnym stanie. Lea wie, że jest już zbyt późno na konfrontację, a jednocześnie czuje, że coś się zmieniło.

Podrywa się z miejsca, gdy słyszy zgrzyt kół na żwirowej ścieżce. Krew

płynąca w jej żyłach spowalnia, jest jak płynny ołów, przed oczami wciąż ma ponury obraz męża odjeżdżającego tą samą ścieżką w odwrotnym kierunku zaledwie kilka godzin wcześniej.

I wreszcie widzi, jak Giacomo wysiada z samochodu. Wygląda jak ten sam chłopak, z którym wyjechała do Grecji w 2008 roku. Ma na sobie sprane bermudy, granatową koszulkę. Zastanawia się, czy sfatygowany plecak w kolorze militarnej zieleni to ten sam, który zabrał na Andiparos. Po raz pierwszy dostrzega w Giacomo coś, czego wcześniej nie widziała: niespotykane wzburzenie widoczne w jego niespokojnych krokach, kiedy pospiesznie kieruje się w stronę drzwi.

– Cokolwiek masz mi do powiedzenia, pospiesz się.

– Gdzie on jest? – pyta Giacomo, przesuwając dłonią po włosach w geście, a może raczej tiku, nad którym nigdy nie panuje, gdy jest zdenerwowany.

– Nie twoja sprawa.

Giacomo zdaje się perfekcyjnie przygotowany na tę chwilę, wziął pod uwagę każdą możliwą reakcję Lei i przygotował cały arsenał uników.

– Będę potrzebował trochę czasu, Lea. Jeśli wolisz, możemy się przejść.

– Nie rozumiem.

– To historia sprzed dwudziestu lat. Rozmowa o niej przed drzwiami to niezbyt dobry pomysł.

Przechodzi ją dreszcz, który niczym nagłe pęknięcie zostawia ryse na jej determinacji, natychmiast jednak zamyka się w swoim poczuciu żalu:

– Jeśli masz na myśli naszą historię, to nie potrzebuję streszczeń.

– To się wydarzyło wcześniej, zanim cię poznałem. Ale i ty masz w tym swój udział.

I prawie despotycznie przekracza próg domu. Pozostawia ją samą przed wejściem, a ona czuje się tak, jakby ześlizgiwała się w głąb ogromnego leja.

Widok Giacomo poruszającego się po pomieszczeniach, które Vittorio wybrał dla niej, wywołuje w Lei potrzebę alienacji, podsycą jeszcze jej poczucie winy. Przez chwilę wpatruje się z zachwytem w jego sylwetkę wiecznego chłopca w zmiętym T-shirtcie odcinającą się na tle morza w zimnym świetle wnętrza domu i zastanawia się, jakim ktoś taki mógłby być ojcem. Kiedyś miała go za geniusza, rewolucjonistę, ale rewolucji nie można poprowadzić z ukrycia. Teraz jest już za późno na wyjście z kryjówki, wojna

dobiegła końca.

Giacomo siada na tej samej kanapie, na której ona i Vittorio kilka godzin temu czytali tę samą gazetę. Jego widok w tym miejscu wzmaga jej odrazę.

– Nie zaproponuję ci kawy – mówi i nadal stoi.

Rozpoznaje w swoim głosie ton rozkapryszonej dziewczynki, ale nie potrafi powstrzymać fali negatywnych uczuć, która zalewa ją za każdym razem, gdy na niego spogląda.

– No proszę, posłuchajmy, co masz do powiedzenia.

Giacomo siedzi w pozornie zrelaksowanej pozycji, trzyma łokcie na kolanach, wypina pierś. Jednak jego nieruchoma szyja zdradza, że jest maksymalnie skupiony. Przygotowuje swoją przemowę.

– Nazywała się Giulia Baldi – rozpoczyna, nie zdając sobie nawet sprawy, że Lea wciąż stoi wyprostowana i wpatruje się w niego z taką samą wrogością, z jaką go powitała. Mimo to na dźwięk tego imienia w jej głowie zapala się lampka – fanatyczne poszukiwania na Facebooku, zdjęcie Lorenzo.

– Dołączyła do nas w drugiej klasie – ciągnie, wciąż sztywno siedząc w tej samej pozycji. – Posadzili ją w pierwszej ławce i przez trzy lata nie spojrzała nawet na ostatnią, w której siedziałem ja. – Podnosi wreszcie opuszczoną głowę, widzi, że Lea dalej przed nim stoi i chyba po raz pierwszy od kiedy wszedł do środka, skupia na niej swój wzrok. Dodaje nieco spokojniejszym tonem: – Lea, proszę cię, usiądź.

Ona chwieje się na nogach, lecz nie daje po sobie poznać ciekawości, która powoli w niej pęcznieje. Jeden krok dzieli ją od poznania prawdy o tym, co mu się przydarzyło. Wcześniej bardzo jej zależało, by powierzył jej swoją tajemnicę, teraz jednak czuje jedynie odrazę i zastanawia się, co on wymyśli tym razem. Jak bardzo podkoloryzuje całą historię? Podchodzi wreszcie do fotela i opada ciężko na siedzenie. Dopiero wtedy on rozluźnia mięśnie szyi i ramion, odchyła plecy tak, że stykają się z oparciem kanapy, lecz nie czuje się na tyle pewnie, by spojrzeć na Leę. Opuszcza wzrok, kieruje go na przewróconą muszelkę porzuconą na stole. Wpatruje się w kolorowe żyłki skamieliny, a w rzeczywistości jego spojrzenie sięga gdzieś dalej, jakby widział coś, czego nie może zobaczyć Lea.

– Byłem w niej zakochany i zdarzyło mi się to po raz pierwszy w życiu, miałem tylko piętnaście lat – opowiada jej, a drżenie jego głosu wreszcie zdradza przepelniające go emocje. Lea nigdy wcześniej nie miała okazji poznać go od tej strony. – Trzy lata walenia konia, jakby jutra miało nie być.



Wyobrażałem ją sobie na wszystkie możliwe sposoby – mówi dalej, uśmiechając się z goryczą. – Trzy lata w tym wieku ciągną się jak *Boska Komedia*, Lea. Nie miałem przyjaciół i, szczerze mówiąc, nigdy tak naprawdę nie chciałem ich mieć. Myślałem tylko o nauce. A kiedy mieszkałem w Turynie, wciąż miałem obsesję na temat liczb, widziałem je wszędzie. Lorenzo, w pewnym sensie, był do mnie podobny. I może dlatego, że i on był sam, towarzyszył mi jak cień. Sam fakt, że nie odstępował mnie ani na krok, czynił z nas łatwy cel dla tych, którzy czują się bezpiecznie, gdy nabijają się z najsłabszych. Ale ja nie byłem słaby, Lea. Potrafiłem stawić czoło wrogości innych, być może miałem tak już od urodzenia. Z Lorenzo było inaczej, on zawsze próbował sprawić, by inni go lubili. – Przerzywa na chwilę. Podnosi oczy znad muszli i patrzy w stronę okna, jakby podązał wzrokiem za ruchem niewidzialnego przedmiotu.

– Posadzili nas w jednej ławce – podejmuje wątek. – I tak zaczęliśmy spędzać razem większość czasu. Nie było między nami długich rozmów, dyskusji. Zacząłem przyzwyczajać się do jego obecności, zabierałem go czasami ze sobą do kina, poza tym dawał mi alibi w domu, mogłem przynajmniej uspokoić moich rodziców, że nie jestem aż takim samotnikiem. Był jak pies, który wlecze się za tobą i nie chce wiele w zamian. Ale na swój sposób on mnie fascynował: pamiętał daty narodzin i śmierci wszystkich znanych pisarzy i poetów. Wydawał się prawie... autystyczny, jeśli chodzi o naukę. Podtykał mi do czytania teksty, które budziły w nim zachwyty, snuł opowieści o swoich planach na przyszłość. Chciał zostać redaktorem. Był chudy i przygarbiony, wyglądał jak wrona. I nigdy nie pokazywał się w kąpielówkach, bo miał, jak to się mówi, ptasią klatkę piersiową, wiesz, chodzi o takie wgłębienie na wysokości serca. To był jego sekret, tylko ja o tym wiedziałem. Z tego powodu nie uprawiał żadnych sportów i nigdy nawet nie pojawiał się w przebieralni. Ale pojechał ze mną do Berlina, kiedy namówiłem moich rodziców, żeby mnie tam zabrali, bo chciałem zobaczyć resztki słynnego muru. Czasem sypiał u nas w domu. W końcu nawet miałem okazję zobaczyć go bez koszulki. Wyglądało to tak, jakby jakieś zwierzę wgrzyzło mu się w mostek. Nie, żeby gdzie indziej był szczególnie urodziwy, wręcz przeciwnie. Nigdy nie przeleciał żadnej dziewczyny i chociaż podobały mu się wszystkie, nie potrafił nawet sobie wyobrazić, że mógłby spróbować którąś zdobyć. Taka dziewczyna jak Giulia była dla niego nieosiągalna, nie zaszczycałaby go nawet spojzeniem.

Lea się zastanawia, dokąd zmierza jego opowieść, i w oczekiwaniu podkula nogi.

– Ale zamiast tego czasem spoglądała na mnie – kontynuuje Giacomo. – Tak, od czasu do czasu oglądała się do tyłu ze swojej ławki i natychmiast odwracała głowę. Zdawała się zdenerwowana, jakby to, że budzę w niej ciekawość, doprowadzało ją do wściekłości. Ja wymykałem się schematom, ona była poza zasięgiem. Nieskazitelna istota, absolutnie doskonała, nie mogłaby jednak przechadzać się ze mną jak z trofeum przed koleżankami. I owszem, boleśnie odczuwała ciężar osądów innych. Była piękną córką bankiera. Niczego i nikogo nie potrzebowała, a przecież obawiała się wszystkich, usiłowała przypodobać się każdemu bez wyjątku. Byłem dla niej jak niebezpieczny owad. Ja siedziałem cicho i kłułem ją wzrokiem z głębi klasy. Kiedy się do mnie zbliżała, w jej obecności nie potrafiłem wydobyć z siebie słowa. Ale było mnie już stać na erotyczne gesty, któregoś razu podałem jej ściągę z całym zadaniem z matematyki, przechodząc zuchwale przez całą salę podczas testu, przekonany, że mnie nie przyłapią. Pomagałem jej za każdym razem, gdy miała jakiś problem, i zadowalałem się swoim niespełnionym uczuciem, miłością na odległość. Tak naprawdę zawsze, kiedy miękla, odwracała się, żeby na mnie popatrzeć, i wtedy była na wyciągnięcie ręki, a ja dotkliwie odczuwałem, że ma nade mną władzę. Czasem w jej oczach zapalało się prawie okrutne światło. Być może dlatego, że targały nią przeciwstawne uczucia: wiedziała, że nie byłem obiektem godnym jej zainteresowania, a jednocześnie nie potrafiła go w sobie stłumić. Albo tylko łudziłem się, że tak było.

– A więc były czasy, gdy kobiety nie padały ci do stóp – Lea ucieka się do sarkazmu, by rozładować nieco napięcie.

Giacomo zdaje się nie zwracać większej uwagi na jej słowa. Mentalnie jest gdzie indziej, a ona spogląda na niego nieufnie. Ale potrafi zwizualizować twarz Giulii, jej pozę, wywyższanie się, całą szkolną salę, w której się znajdują – kolegów z klasy, ławki, podwyższenie katedry, nawet wielką ciemną tablicę, pod którą stoją wszyscy, ustawieni jak do zdjęcia. Potrafi wyobrazić sobie również Giacomo rozwiązującego zapisane kredą równanie, dającego popis swych umiejętności, a potem na powrót milczącego i spiętego wracającego na swoje miejsce. Zastanawia się, ile jest prawdy w tej chwili głębokiej intymności, której nie zdołała nigdy zgłębić ani podczas rozmów o Kafce i Dickensie, ani podczas seksu. I czy to nie kolejna poza, strategia,

którą się posługuje, by znów przeciągnąć ją na swoją stronę.

– W czwartej klasie zorganizowali nam wycieczkę. Pierwszą zagraniczną, prawie na tydzień. Mieliśmy zabrać się ze szkołą do Aten, a ja i Lorenzo w samolocie obiecaliśmy sobie, że latem po maturze pojedziemy z plecakami na wyspy greckie. Byłem z nim coraz bardziej zżyty, myślałem, że kiedy wreszcie skończymy szkołę, zaznamy trochę szczęścia. Marzyłem o tym, nigdy wcześniej nie miałem takich myśli. Zobaczyliśmy Andiparos w jakimś katalogu, uścisnęliśmy sobie dłonie i ja przeciąłem naszą przysięgę jak zakład. Prawdę mówiąc, to ja bardziej próbowałem rozbudzić w nim większą chęć do życia, bo w ostatniej klasie stał się jeszcze bardziej ponury i czasem był tak bardzo pogrążony we własnych myślach, że zaczynałem się o niego bać. Choć tamta wycieczka zagraniczna była dla nas wszystkich czymś ekscytującym, dla niego i również dla mnie oznaczała spojrzenie na świat przez trochę większe okno. Byliśmy jak dwa cielaki na pastwisku. Nie przychodziło nam nawet do głowy, żeby zerwać się z postronka czy naruszyć zasady. Również dlatego, że zasady nigdy nie wzbudzały w nas ani strachu, ani odrazy; były jak każdy inny schemat i nie potrzebowaliśmy ordynarnych popisów, żeby się z niego wyślizgnąć. Wystarczy poznać mechanizmy ich działania, myślałem w tamtym czasie. Cała reszta klasy zapijała się na umór i wrywała drzewa z korzeniami, a my tylko rozmyślaliśmy nad Grecją epoki klasycznej. Obnosiliśmy się z naszym poczuciem wyższości, żeby nie czuć się jak ostatni frajerzy. Ale spojrzenia, jakie posyłała mi Giulia podczas tej wycieczki, stawały się coraz bardziej przeciągłe. A tego wieczoru, ostatniego dnia, kiedy zostawiła karteczkę pod drzwiami naszego pokoju, wiedziałem, że to ja jestem jej adresatem. Po plecach przeszedł mi dreszcz...

Po raz pierwszy Lea zauważa jego wahanie, jakby wciąż trzymał w dłoni tamten bilecik. Jakby jeszcze nie było za późno na to, by powiedzieć lub zrobić coś, czego w końcu nie zrobił ani nie powiedział. Lea dostrzega niewidzialny ciężar spoczywający na jego piersiach, spowalniający jego gesty i dławiący oddech, to niezbywalne brzemie, które tkwi tam, od kiedy go zna, jakby od tamtego dnia i ona musiała się pod nim uginać. Czuje, jak coś się rozpada w jej wnętrzu, jakby mur z piasku poddał się pierwszym uderzeniom fal. Chciałaby wstać, podejść bliżej, jednak udaje się jej tylko przesunąć na fotelu, opuścić nogi i pochylić się w jego stronę, by lepiej słyszeć, co mówi.

– Spaliśmy w tym samym pokoju. To Lorenzo pierwszy odczytał karteczkę. – Giacomo mówi coraz ciszej, przełyka ślinę, a po chwili rwącym się głosem

kontynuuję opowieść. – Kurwa, ma na ciebie chęć, zaczął mi mówić. Ja oczywiście zaprzeczyłem, przekonywałem go, że równie dobrze karteczka mogła być skierowana do niego, nie było przecież na niej mojego imienia. Powtarzałem mu w kółko wszystkie te bzdury, które się mówi, kiedy chce się uciec od czegoś oczywistego, a jednocześnie przerażającego. To było zaproszenie do jej pokoju, jeszcze na tę samą noc. Krótkie zdanie, nic romantycznego, tylko: „Chodź, dawaj”, coś w tym stylu. Ja się zaparłem. Jak koń wyścigowy, który nie ma najmniejszego zamiaru dać się wyprowadzić z boksu na inną trasę niż zazwyczaj. Prawda jest taka, że bałem się Giulii. I wyczuwałem coś dziwnego w jej zaproszeniu. Słyszałem wcześniej szepty, śmiechy na korytarzu. Nie ufałem jej. Myślałem, że to pułapka. A poza tym byłem zbyt wstrząśnięty na samą myśl, że mogę ją osiąść. Miałem pewność, że gdybym nawet zjawił się w jej pokoju i zobaczył ją nagą na łóżku, doszedłbym od razu, w spodniach, albo stałbym z założonymi rękoma jak zwykły tchórz, którym zresztą byłem. Mój umysł mógł uporać się z najbardziej absurdalnymi twierdzeniami, takimi, które były poza zasięgiem jakiegokolwiek chłopca w moim wieku, ale kiedy tylko myślałem o Giulii, zasnuwał się gęstą mgłą, zamieniał się w ołów. Powiedziałem mu: „Idź tam. Jeśli chodziło o mnie, to pewnie każe ci mnie zawołać, albo możesz ją mi tu od razu przysłać do pokoju”. Lorenzo się śmiał, podniecony i przerażony jednocześnie, powtarzał mi: Zwariowałaś? Zacząłem go podpuszczać, wmawiałem mu, że spojrzała na niego kilka razy w autobusie, a on tego nie zauważył. Przekonałem go, że może ją mieć, i zrobiłem to celowo. Wyglądał jak mysz, cała rozpromieniona na widok kawałka sera, zupełnie nieświadoma istnienia pułapki, która oddziela ją od smakołyku. Tylko ja byłem w stanie dostrzec zagrożenie, ale przyjąłem postawę widza, ciekawego, jak to się wszystko skończy. Patrzyłem, jak Lorenzo wychodzi z pokoju, a w jego oczach widziałem lęk i wdzięczność.

– Wchodzę w to, okej? – powiedział mi. – I mówię ci jeszcze: jeśli na mnie wskoczy, to od tej chwili nie poczuwam się do odpowiedzialności za to, że to i twój sen erotyczny, kumasz? – On też nie był przekonany co do autentyczności tego zaproszenia. Ale miał w sobie odwagę. I chociaż pewnie umierał ze strachu na myśl o tym, że miałby zapukać do jej drzwi, w końcu to zrobił. Zrobił to dla mnie. A wszystko to, co stało się później, spędzało mi sen z powiek przez długie lata.

Giacomo przerywa, by zaczerpnąć powietrza, przeciera twarz dłońmi,

przyciska je do czoła, wciska ręce we włosy. Wreszcie patrzy na Leę wzrokiem pełnym niepokoju:

– Widzę go nawet teraz, wiesz? – mówi. – Jak wchodzi do pokoju, a ona czeka na niego na łóżku w skąnym kostiumie nimfетки, z ciałem, które ogłupiłoby każdego. Giulia zawahała się, kiedy zobaczyła, że to Lorenzo, a nie ja. Albo i nie, może właśnie tego chciała? Wystawić jego, zamiast mnie. Widzę, jak wstaje, podchodzi do niego i usiłuje go przekonać, że to właśnie na niego czekała. Wyobrażam sobie też minę Lorenzo, kiedy zaczęła go rozbierać. Pewnie się odsunął, trochę dlatego, że się wstydził, a trochę, bo czuł się podle z tego powodu, że zaraz dojdzie do zbliżenia między nim a obiektem moich erotycznych fantazji. Ona pewnie miała minę małej zdziry, jednej z tych, które pochylają się nad tobą, żeby zrobić ci dobrze... Tylko głupi uciekłyby w takiej chwili. I tak – nie mam pojęcia w jaki sposób – ale udało się jej go rozebrać, ściągnąć mu nawet majtki, odsłonić to jego mizerne i śmieszne ciało. Pewnie nawet go pocałowała, może z odrazą, a kiedy niespodziewanie uchyliły się drzwi szafy, w której czaiło się tych kilku nędznych dupków z polaroidem, wreszcie poczuła się wolna, nie musiała już dłużej udawać. Zdjęcia nagiego Lorenzo, z wklęsniętą piersią i przygłupim wyrazem twarzy, krążyły pod naszymi ławkami przez długie miesiące. Raz je widziałem, przelotnie, za ich sprawą wyleciałem ze szkoły przez czyjś złamany nos. Ale bardziej niż zdjęcia pamiętam wyraz jego twarzy, kiedy wrócił tamtego wieczoru do naszego pokoju. Jakby był ze szkła, które ktoś rozbił. Jak jeden z tych ludzi, których możesz nawet podłączyć pod aparaturę, a oni i tak są martwi w środku. Bo dla mnie on umarł już tamtej nocy, Lea. Na długo przed tym, zanim któregoś dnia, pod koniec roku szkolnego, podczas klasówki wszedłem do toalety i ujrzałem go wyprostowanego jak strunę, z szyją przechyloną lekko na jedną stronę. W pierwszej chwili wydało mi się, że patrzy nieruchomo za okno. Padało i było dość ciemno. Nie od razu zwróciłem uwagę na to, że zdawał się o wiele wyższy, a nad jego głową prężył się sznur zwisający z sufitu, idealnie prosty, jakby ktoś wyznaczył linijką doskonałą linię w przestrzeni. A między jego stopami i podłogą było dobre czterdzieści centymetrów. Próbowałem go uwolnić, wzywałem pomocy, ale jego ciało było już zimne i sztywne, a ja jak mały bezradny chłopiec zanosilem się szlochem...

Łamie mu się głos i ma wilgotne oczy, w których Lea jeszcze nigdy dotąd nie widziała łez. Nie potrafi się powstrzymać, podchodzi do niego, gładzi go po ręce, ostrożnie, jakby się obawiała, że może ją uszkodzić.

– Nie przyszedłem tu po to, żeby wzbudzać w tobie współczucie, Lea – mówi. – Inaczej: nie przyszedłem tu po to tylko, by opowiedzieć ci, kim naprawdę jestem. Kiedy przeniosłem się do Rzymu, w tym samym roku, w którym się poznaliśmy, byłem załamany. Wychodziłem z domu i liczyłem swoje kroki, samochody, mijane lampy. Liczyłem, to był mój sposób na to, by uciec przed wszystkimi, których napotkałem na swojej drodze. Wysłałem na śmierć jedyną osobę, która zdobyła moją przyjaźń, nie zasługiwałem na to, by pozwolić sobie na przywiązanie do kogokolwiek innego. Pozostało mi tylko jedno: nie pozwolić na to, by historia zatoczyła koło.

Pociąga nosem, przeciera palcami oczy.

– Zmusiłem moją rodzinę do tego, by rozpoczęła nowe życie w obcym mieście – opowiada. – Widziałem bezradność mojego ojca, mimo całej jego wiedzy: wszystkich ksiązek o psychoanalizie, które przeczytał i napisał, niewiele potrafił zrobić, by pomóc swemu jedynemu synowi. Wpędziłem moją matkę w depresję. I nosiłem w sobie ciężar tej winy przez długie lata, to on decydował o moim życiu – o studiach, pracy. Nosiłem w sobie sny, które nie należały do mnie, i każdego dnia usiłowałem zatrzeć w sobie to poczucie. A wszystkie kobiety, które poznawałem, zasługiwały tylko na karę, w tym jedna bezczelna dziewczynka. Chciała mi tylko pokazać, jak bardzo jest gotowa, by mnie kochać, lecz jej oczy budziły we mnie strach. Bo ja cię nienawidzę i Kocham, Lea. Od kiedy cię znam. I byłoby naiwnością prosić cię teraz o przebaczenie, tylko ze względu na moją przeszłość, tak bardzo odległą. Przyszedłem tu, bo... jestem ostatnim fiutem, a życie ze mną to życie pełne błędów... ale jeśli nie zbłądzą z tobą, nie zdołam zbłądzić z żadną inną... To ty mi to uświadomiłaś, to ty rzucasz mi w twarz moje demony, za każdym razem, gdy cię spotykam. I to ty wzbudzasz we mnie chęć ucieczki, kiedy mówisz mi, że mnie Kochasz, i zdajesz się taka szczerą. – Bierze głęboki oddech, spogląda jej w oczy. – Przyszedłem tu z całą odwagą, na jaką kiedykolwiek było mnie stać. I mam też pomysł – jeśli chcesz, możesz nazwać go głupim, dziecinny, jak ci się tylko podoba, nie, żebym sam miewał dotychczas takie pomysły. – Na te słowa otwiera plecak, ten sam idiotyczny plecak, który miał ze sobą w Grecji, Lea wreszcie to sobie przypomina, gdy widzi, jak wyjmuje z jednej z jego kieszeni mazak, tak jak kiedyś w grocie Aghios Ioannis, żeby zapisać wzór matematyczny na ścianie. – Pamiętasz go? – Pokazuje jej błękitny pisak. – Powiedz, że pamiętasz, w przeciwnym razie pocuję się jak ostatni kretyn.

– Nie zapomniałam go nawet przez chwilę. – Kiwa głową Lea i czuje, jak węzeł ściska jej gardło, a pierś dygocze, jakby w środku tykała jej bomba. Śmieje się i płacze jednocześnie.

On chwyta ją za rękę, jakby miał nałożyć pierścionek na jej palec, i na grzbiecie jej dłoni, między kciukiem a palcem wskazującym, w tym samym miejscu co dwadzieścia lat wcześniej, rysuje niebieski okrąg, a po chwili kopiuje go na swojej ręce. Kiedy odkłada mazak i spogląda na Leę, wydaje się, że na jego twarzy pojawiło się kilka nowych zmarszczek – wygląda na bardzo starego, a jednocześnie ma w sobie coś z dziecka. – Cóż, oficjalnie jestem jednym z tych nieuleczalnych romantyków, których zawsze szczerze nie znosiłem, a do tego zaraz ci powiem, że kocham cię jak pies, gotowy wypłynąć na otwarte morze, by przynieść ci w pysku każdy patyk, który zechcesz mi kiedykolwiek rzucić. Bo za każdym razem, kiedy o nas myślę, przychodzi mi do głowy zdjęcie Matteo, te błękitne punkciki w takim samym kolorze jak nasze okręgi. Właśnie tym jesteśmy, Lea – dwoma supersymetrycznymi częstkami. – Ściska ją za rękę, spogląda na znaki na ich skórze. Są teraz tak blisko, że prawie się ze sobą stykają. – Cokolwiek zrobisz lub powiesz, gdziekolwiek postanowisz odejść, wciąż będziesz miała wpływ na moje życie, czy tego chcesz, czy nie. Jeśli jednak zdecydujesz się zostać, jeśli zdecydujesz się mnie kochać, wszystko będzie o wiele prostsze.

Lea widzi oczy chłopaka, którego pragnęła przez całe życie, jaśniejące teraz nowym blaskiem. Widzi, jak wszystkie wysokie mury wzniesione w obronie przed światem kruszą się na kawałki. Widzi, jak chwieją się i upadają fundamenty, na których wybudował swoje życie, życie należące do kogoś całkiem innego. Cisza jego młodzieńczego pokoju, ściany z cienkiego papieru, otwarte szeroko okna wpatrzone w nicość. Widzi, jak ustępują zamki, drzwi wypadają z zawiasów, widzi tylko chłopca łkającego w kącie, samotnego i przygniecionego poczuciem winy, chłopca, którego opuściły marzenia i nadzieje, igrającego z własnym strachem, dążącego do autodestrukcji, niezdolnego poprosić o pomoc.

W prawie wszystkich kobietach współistnieją matki i małe dziewczynki, choćby nigdy nie stały się matkami, a z dzieciństwem pożegnały się dawno temu. Dziewczynka mieszkająca w Lei przerwałaby pewnie na dźwięk słów: „Nienawidzę cię i kocham, od kiedy cię znam”, by spełnić przepętniające ją pragnienie i go pocałować. Matka jednak trwała nieruchomo, słuchając go uważnie i trzymając czule za rękę, tak jak chciała tego od samego początku.

Od chwili, kiedy patrząc w jego nastoletnie oczy, wyczuła obecność skulonego w ciemnym kącie dziecka, czającego się w ciele dorosłego już matematyka chłodno analizującego otaczający go świat. Być może właśnie dlatego nigdy nie przestała tego pragnąć. Nie przez rzucone sobie wyzwanie czy zwykły upór. Obok tupiącej nogami dziewczynki domagającej się uwagi, matka trwała przy swoim z jeszcze większą stanowczością.

Gdy Giacomo nie jest już w stanie dłużej powstrzymać łez, Lea zarzuca mu ręce na szyję, przyciąga go do siebie, całuje. Ześlizgują się na podłogę jak dwójka dzieciaków w szale pierwszego zauroczenia. Powtarzają bezustannie: „kocham cię”, jakby chcieli w ten sposób wynagrodzić sobie te wszystkie chwile z przeszłości, gdy nie mieli odwagi na takie wyznanie. Tarzają się po zimnych i twardych kafelkach, które ktoś położył być może dawno temu, kiedy nie było ich jeszcze na świecie. Obejmują się, jakby nie otaczała ich żadna materia, jakby dryfowali w bezkresie.

To Giacomo pierwszy zdaje sobie sprawę, że leżą na podłodze na środku salonu, i pyta ją ironicznie:

– Na łóżku niewygodnie? – I dopiero wtedy Lea powoli zaczyna zauważać drewniane listwy na suficie, stolik pociągnięty czarną politurą, przy którym jadła kolację z Vittorio, taras wychodzący na morze, otwarte drzwi do sypialni i walizkę rzuconą na łóżko. Wraca do rzeczywistości tego domu, terażniejszości nieudanych wakacji... Podciąga się na łokciach, w jej oczach błyska nagłe wzburzenie i spogląda na Giacomo z powagą, usiłując zachować optymistyczny ton głosu.

– Co się dzieje? Wraca? – pyta on.

– Nie, wyjechał kilka godzin temu. A ja mam samolot, który jutro rano odlatuje z Fiumicino. – Oddycha głęboko, odgarnia włosy z twarzy. – Posłuchaj, Giacomo – nie mogę tak po prostu tu zostać i nie powiedzieć mu tego prosto w oczy. To mężczyzna, który towarzyszył mi przez ostatnie sześć lat. Może to nie tak długo, ale to jednak mój mąż. Polecę do niego, a potem wrócę pierwszym lotem do Rzymu, możemy go wspólnie zarezerwować, jeśli chcesz. – Przygryza usta, uśmiecha się na myśl, że to dzieje się naprawdę. Dodaje jeszcze:

– Ja cię kocham i Bóg jeden wie, jak bardzo spieszy mi się, żeby zacząć nasze wspólne życie. Ale chcę, żeby Vittorio cierpiał jak najmniej. I musimy wynieść się z tego domu. Nie chcę położyć się z tobą na łóżku, na którym spędziłam z nim noc. Na plaży znajdzie się jakiś skrawek wolnego miejsca,



który przyjmie nas jak dwójkę szczeniaków. Bo to właśnie z tego miejsca musimy zacząć, prawda?

Giacomo głaszcze ją po policzku kciukiem i palcem wskazującym dłoni oznaczonej niebieskim mazakiem, zatrzymuje się na podbródku. Na jego twarzy maluje się czułość i wdzięczność.

– Usypiać cię w mych ramionach, wsłuchując się w morze... O ile tylko pozwoli mi na to mój kręgosłup. – Śmieje się. Wreszcie dodaje: – Od teraz zostaw, proszę, Boga w spokoju.

– A kto sprawi, że mój samolot się nie rozbije? – żartuje Lea.

– Nasza miłość – odpowiada Giacomo tekstem z jednej z tych książek, których za nic w świecie by nie wydał. – Przysięgnij, że wrócisz. – Szeptem jej do ucha.

– Pod jednym warunkiem: nigdy więcej spaghetti z małżami.

Stewardesy z Singapore Airlines są nad wyraz grzeczne. Jedna z nich podaje Lei słuchawki i pokazuje pilota wbudowanego w podłokietnik fotela, którym można włączyć ekran i obejrzeć film lub posłuchać muzyki. Ostatni pasażerowie wchodzą na pokład. Lea obserwuje ich, każdego z osobna. Zazwyczaj to właśnie start napawa ją największym strachem, chwila, w której samolot przyspiesza i zdaje się, że odkręcają się w nim wszystkie śrubki, że za chwilę wybuchnie i rozpadnie się na tysiąc kawałeczków. Zazwyczaj, kiedy jeszcze drzwi są otwarte, jej już zaczyna brakować powietrza, narasta w niej pewność, że dojdzie do katastrofy i wyobraża sobie krzyjące nagłówki gazet następnego dnia: „Dwustu pasażerów bez szansy na ratunek”. Zazwyczaj nie spuszcza oczu z twarzy współtowarzyszy podniebnej podróży, zastanawiając się, czy to przypadkiem nie są oblicza tych, którzy stoją na progu śmierci, czy ich spojrzenia nie zdradzają przecucia nadchodzącej katastrofy.

Tego dnia Lea jest jednak zaskakująco spokojna. Ma wciąż pełno piasku we włosach. Myśli o Giacomo, o ostatniej nocy, którą spędzili razem na plaży. O ich ciałach obejmujących się mocno w drewnianej łódce ratowników, a potem ześlizgujących się powoli w otchłań snu, wciąż pobudzonych, lecz już u kresu sił. O tym, jak jechali autostradą, gdy świt okrywał blaskiem pola kukurydzy, a stogi siana w pierwszych promieniach słońca lśniły jak wielkie cukierki, niczym w bajce z dzieciństwa, jak w fabryce czekolady Willy'ego Wonki. Teraz Lea a to spogląda za okno na hangary lotniska mającego w oddali, a to znów patrzy na swoją rękę, na niebieskie kółko, które Giacomo narysował na grzbiecie jej dłoni. Jest tak krzywe, że kiedy naciąga trochę skórę, wygląda prawie jak serce. To wywołuje uśmiech na jej twarzy. Przypomina sobie jego twarz, prawie ogłupiała ze szczęścia, kiedy zegnali się przy punkcie kontroli bezpieczeństwa.

– Wracaj natychmiast do mnie. – Śmiał się, kiedy próbowała się ustawić w kolejce. – Coś ty mi zrobiła? – pytał, przyciągając ją jeszcze raz do siebie. – Mamy po dwanaście lat. – I Lea też się śmiała w jego ramionach pijana

ze szczęścia..

– Powiedz mi prawdę – poprosiła go tej nocy, kiedy kąpali się w morzu. – Wydalibyście moją powieść w waszym wydawnictwie, gdyby maszynopis nie był podpisany moim nazwiskiem?... Przestań się śmiać, to poważna sprawa.

– Ty jesteś najpoważniejszą sprawą, kochanie, ty.

– To nie jest odpowiedź!

– W porządku. Kiedy zobaczyłem twoje imię, wiedziałem, że się do ciebie odezwę, nawet nie zaglądając do środka. Ale później przeczytałem to, co napisałaś. I jestem bardzo szczęśliwy, że wydamy to na Boże Narodzenie, to świetna powieść.

– Nigdy nie powiesz mi prawdy.

– Prawda jest taka, że umieram z zimna i że mam na ciebie ogromną ochotę.

Myślała już o tym przez wszystkie te lata, wiele razy wyobrażała sobie świat, w którym go zdobędzie, niemal czuła smak szczęścia, za którym przyszło jej gonić tak długo. Teraz przychodzi jej na myśl zapach kawy i kocie języczki, ciasteczka, które zamówili w barze na lotnisku na chwilę przed odprawą. Kolejny nawrót mdłości. Być może naprawdę jest w ciąży, ale teraz ta myśl wywołuje w niej wyłącznie uśmiech.

To by była prawdziwa katastrofa, szepce jej coś w środku. Miałabyś dziecko z drugim dzieckiem, które całe życie spędziło w ukryciu. I nawet jeśli jesteś pewna, że szczęście będzie miało smak jego pocałunków także wtedy, gdy będziecie trzymać wasze niemowlę na rękach, nie znasz go, nie wiesz, jak spala się w banalności zwykłych dni, nie wiesz, do czego jest zdolny. Lea nie przestaje się jednak uśmiechać, ignorując ten wewnętrzny głos, bo wie, że nawet jeśli jej życie zmierza ku katastrofie, będzie to szczęśliwy kataklizm. Szczęście oznacza dla niej teraz również to, że może po raz pierwszy wsiąść do samolotu i nie odczuwać przy tym ani krzty strachu.

– Tak, to może być prawdziwa katastrofa – powiedział jej na chwilę przed pożegnaniem, mając na myśli ich wspólne życie po jej powrocie. – W każdym razie nieunikniona.

Owszem, to może być i katastrofa, powtarza sobie teraz Lea, rozmyślając nad tym, że cała ta historia będzie okupiona przynajmniej jedną ofiarą. Wyobraża sobie minę Vittorio, kiedy mu o wszystkim powie. Myśli o dziecku, które tak bardzo pragnął z nią mieć, o całym bólu, którego nie jest w stanie mu oszczędzić. A gdyby nawet pojawiło się dziecko – dowie się tego, jak tylko będzie miała okazję kupić test ciążowy – gdy myśli o tym teraz, na trzeźwo,

a przerażenie sprzed dwóch nocy już z niej wyparowało, wie, że mogłoby to być wyłącznie dziecko Giacomo. Waży słowa, które wypowie, kiedy stanie przed swoim mężem, by oszczędzić mu zbędnego cierpienia, uczynić tę trudną sytuację jak najbardziej znośną. Wyobraża sobie wyraz jego twarzy w chwili, kiedy będzie musiała zmyć uśmiech z oblicza człowieka, który przez sześć lat trzymał w rękach stery jej życia.

Rozmyśla nad ich małżeństwem i przypomina jej się karta Tarota, którą odczytywała jej Carla, matka Bianki, podczas gdy ona, wtedy dwudziestoletnia, cierpiała katusze za sprawą Giacomo: Koło Fortuny. W Tarocie Marsylskim symbolizuje je właśnie ster wsparty na dwóch płozach, które poruszają się po wodzie. – Woda to symbol naszych wewnętrznych rozterek, organów naszego ciała, w których płynie krew, a we krwi rozbrzmiewa głos, który nas do siebie woła – mówiła jej Carla za każdym razem, gdy wychodziło Koło Fortuny. Nad okrągłym sterem na karcie góruje skrzydlaty sfinks w koronie i z mieczem. Po obu jego stronach poruszają się dwa zwierzęta, a te, nie znalazłszy równowagi, skończą wessane przez wodne wiry, które tworzy kręcące się nieustannie koło. Lea myśli o swoich udrękach i o słowach Carli: – Musisz nauczyć się sterować kołem, Lea. To ty masz kontrolę nad własnym życiem, a jeśli popycha cię ono w ramiona Giacomo, być może to rodzaj lustra, przed którym będziesz musiała stanąć, może to próba, której musisz się poddać. Nie wolno ci jednak zdradzić głosu wołającego w twojej krwi. Jeśli on każe ci go kochać, prędzej czy później znów wrócisz do punktu wyjścia.

I Lea pisała o życiowym powołaniu, którego tropem należy podążać, a miłość w jej powieści spełniała konkretną funkcję – była zdolna obdarować osobę kochaną umiejętnością zrozumienia siebie samej. Jesteś głupia, znów odzywa się wewnętrzny głos. Vittorio był jak twój kręgosłup, z nim byłoby o wiele prościej, jaśniej. Nie zaznałabyś niedostatku, zająłby się tobą i wszystkimi dziećmi, którymi zdołałabyś go obdarować.

Teraz Lea jest już w stanie wznieść mur oddzielający ją od tego głosu, bo wie, że jej dalsze życie z mężem oznaczałoby oddanie mu już na zawsze sterów jej życia, a powrót do Giacomo jest jak spojrzenie w głąb lustra. W tych, których kochamy, szukamy zawsze czegoś, co opowie nam prawdę o nas samych, o tym, kim jesteśmy.

Cierpienie Vittorio to cena, którą należy za to wszystko zapłacić, cena za szczęście, które czasem może mieć smak rozpacz. W każdym razie, jak mówi

Giacomo, to nieuniknione. Jak mdłości, które znów chwytają ją za gardło.

Tym razem podnosi się i biegnie szybko do łazienki. Zatrzymuje ją stewardesa, prosząc grzecznie, by zajęła miejsce, zapięła pasy, bo właśnie startują. Lea zatyka dłonią usta i przepycha się do drzwi toalety. Samolot zaczyna toczyć się po pasie, a ona wyrzuca z siebie kawę i ciasteczka rozpuszczone w kwaśnym płynie. Wyciera wreszcie usta chusteczką, odwraca się znów do stewardesy, która poszła za nią i teraz nalega, żeby wróciła na swoje miejsce. Lea chce poprosić ją o szklankę wody, ale zamiast tego mówi: *a glass of waterloo*.

Kobieta odprowadza ją aż do fotela z uśmiechem pełnym zakłopotania, ale nie odpowiada na jej prośbę. Podaje jej papierową torebkę i pospiesznie zapina jej pasy, by wrócić na swoje miejsce obok drzwi wejściowych.

– Please, a glass of waterloo! Waterloo! – Nalega Lea, nieświadoma absurdalności swojego żądania.

– I don't understand. – Odpowiada skonsternowana stewardesa. Dopiero teraz Lea uświadamia sobie, że chciała powiedzieć: *water*, ale z jej ust wydobyło się inne słowo. A może to w jej głowie woda przekształciła się w Waterloo? Nagle czuje się tak, jakby znalazła się w przejściowej fazie między snem a jawą, wskutek czego rzeczywistość nakłada się na to, co przeżyła podczas snu.

Samolot rozpędza się na pasie, a siedzenie zaczyna coraz silniej wibrować. Panika rośnie w niej proporcjonalnie do tego, jak maszyna nabiera prędkości. A kiedy odrywają się od ziemi i wszystko nagle się uspokaja, Lea zaczyna szukać w głowie innych słów, których niespodziewanie nie potrafi już znaleźć. Fotel, pasażerowie, stewardesa. Patrzy na znane jej rzeczy i nie potrafi nazwać ich po imieniu. Jej umysł przypomina archiwum wywrócone do góry nogami: roztrzaskane regały, podmienione katalogi.

Trzęsą jej się ręce, gdy spogląda za okno. Nawet ten wycinek nieba i morza w oślepiającym prawie słońcu, które rozświetla całą kabinę, nie znajduje nazwy w jej głowie. Wszystko staje się niejasne, nieczytelne, a narastająca panika wprowadza jeszcze większy zamęt. Zamęt, który jest tylko w jej głowie, bo tuż obok niej siedzi kobieta z dzieckiem na kolanach, śpi mężczyzna w marynarce i krawacie, chichocze dwójka nastolatków wpatrzonych w ekran, ze słuchawkami na uszach. Lea zaczyna dostrzegać dychotomię, jaka powstała między otaczającym ją światem a tym, co się dzieje wewnątrz niej.

Bierze swoją torebkę i czuje, jak pustka wsysa ją do środka. Szuka

gorączkowo kropli na uspokojenie w wewnętrznej kieszeni, próbuje głęboko oddychać, chwytając się przyjemnych myśli i obrazów, by odwrócić uwagę od tego, co się z nią dzieje. Przywołuje twarz Giacomo, jego ciało na jej ciele, ale wszystko znika, wymyka się z jej głowy. Samolot skręca ostro w prawo, a pod nią otwiera się bezdenna przepaść. Słowa odpływają coraz szybciej, ponaglone turbulencjami w paśmie chmur. Lea z całej siły przywiera do siedzenia, rozchyła usta i trzęsącymi się dłońmi wlewa w siebie tyle kropel, ile tylko może, nawet nie próbuje ich liczyć.

Morze jest tuż pod jej twarzą, rozsmarowane na plastikowej szybie okienka. Samolot kręci przerażające spirale, a może wszystko tylko wiruje w jej głowie? Czuje ostry ból w lewej skroni i zamyka oczy. Wydaje się jej, że wszystko zaczęło się kręcić w przerażającym tempie, że samolot obraca się wokół własnej osi. Lea dziwi się, że nikt nie krzyczy, że wokół niej wszyscy zdają się nieporuszeni. Żadnych latających po kabinie przedmiotów, roztrzaskanych walizek ani ciał lądujących na suficie. Wszystko zdaje się być na swoim miejscu. Dychotomia między światem a umysłem Lei wciąż trwa.

Wreszcie, powoli, pod wpływem silnego działania leku, jej serce odzyskuje normalny rytm i nawet samolot zaczyna wreszcie lecieć prosto. Między jednym a drugim głębokim oddechem Lea zapada w sen głęboki jak studnia.

Czyjaś ręka szarpie ją za ramię, raz za razem, wyrывая ją z objęć ciemnego snu bez snów.

– Madame – damski głos nalega coraz bardziej. Mija kilka chwil, zanim Lea widzi wyraźnie twarz stewardesy i tę samą skonsternowaną minę, z którą patrzyła na nią przed startem.

Do Lei dociera, że samolot stoi nieruchomo na pasie. Ma wrażenie, że ciasna obręcz ściska jej skronie i czuje, jakby ktoś skleił jej powieki.

Przez cały czas siedziała z czołem opartym o okienko, miała zapięte pasy. Kropelki na uspokojenie wessały dwanaście godzin podróży. W pierwszej chwili nie pamięta nawet, że je brała, nie wie też, gdzie właśnie wylądowała. Tylko odznaka Singapore Airlines na mundurku kobiety uświadamia jej, że podróż dobiegła końca. Próbuje złożyć w całość fragmenty wspomnień poprzedzających to, co stało się podczas startu.

– *Do you need help?*

Lea korzysta z jej pomocy, by podnieść się z siedzenia i wyjąć swoją

walizkę z półki nad głową. Kobieta podaje jej dokumenty do wypełnienia dla kontroli celnej, na które Lea rzuca nieprzytomne, przelotne spojrzenie. Zauważa wyłącznie słowa „Death penalty” – kara śmierci grożąca każdemu, kto posiada narkotyki i ma przesiadkę w Singapurze. Wolnym i niepewnym krokiem rusza do wyjścia.

Lotnisko Changi rozpościera przed nią swe ogromne ramiona, by przywitać ją jak wielki inkubator z miękką, nieskazitelną wykładziną. Jednak nawet to nie jest w stanie dodać jej otuchy, a zimny dreszcz niespodziewanie przebiega wzdłuż jej kręgosłupa. Rozpoznaje sklepy i bramki, które niejedną raz były świadkami tego, jak ona i Vittorio wspólnie wracali do domu, i wie, że zaraz go zobaczy. Zawsze był jej podporą, lecz nawet ta myśl nie jest w stanie złagodzić zmęczenia, które płącze jej nogi, ani migreny zaostrejającej się z każdym krokiem. Również jej własne serce zdaje się obce. Bije swoim nieokiełznanym rytmem, jakby chciało wyrwać się z piersi, i nawet osierdzie nie jest już w stanie go chronić.

Kiedy Lea wlecze się w kierunku punktu odbioru bagażu, ma sztywną szyję i spięte plecy. Druga fala mgły zasnuwającej jej umysł łączy się ze słabością fizyczną, nic nie ma sensu, tak jak słowa, które myliła podczas odlotu. *Water*. Samolot, siedzenia, stewardesa. Wszystko faluje, jakby Lea znajdowała się wewnątrz bańki wodnej, niezdolna dostosować swojego kroku do innych podróżnych, którzy idą wyprostowani, świadomi swoich ruchów. Tak jak ten, który przygotowuje dokumenty dla celników lub wie, co chce kupić w strefie bezcłowej. Ludzie stoją w kolejce do kasy, sprzedawczynie szybkimi precyzyjnymi ruchami pakują prezenty, które podróżni zabiorą ze sobą do domu.

Lea znajduje się w innym stanie świadomości, jej czoło skrapia pot, a kiedy wreszcie dociera do ruchomych schodów połykających kolejne stopnie z dźwiękiem, którego echo rozlega się w jej uszach, widzi, że kawałek dalej znajduje się punkt kontroli paszportowej. Znowu ludzie świadomi swoich gestów wydają wizy, stawiają pieczętki, skanują. Idealna maszyna, której nic nie jest w stanie zatrzymać. Lea z trudem stawia kolejne kroki.

Gdzieś w jej torebce jest karta Employment Pass zaświadczająca o tym, że ma miejsce w tym doskonałym świecie. Dzięki niej może ominąć kolejki i dotrzeć do najbliższego punktu pierwszej pomocy. Instynkt przetrwania każe

jej wyjąć paszport z torebki. W tej samej chwili karta wypada na ziemię, a ona schyla się, żeby ją podnieść.

Jeszcze trochę, już prawie ci się udało, słyszy męski głos, który nie należy do niej, brzmi znajomo, rozbrzmiewa w jej głowie.

Drżą jej palce, kiedy wsuwa kartę do czytnika. Metalowy pręt bramki porusza się, Lea przechodzi powoli. Myśli o Vittorio, dzieli ich teraz zaledwie kilka kroków. Bardziej niż kiedykolwiek potrzebuje w tej chwili jego wsparcia, pewności, że jak zwykle będzie potrafił jej pomóc, pokłada w nim całą swoją nadzieję. Ostatkiem sił posuwa się naprzód jak ranny żołnierz, który próbuje ukryć się za wzniesieniem okopu. Musi mu tylko powiedzieć: – Vittorio, zabierz mnie natychmiast do... – chciałaby wymówić słowo „szpital”, ale znów nie może znaleźć w pamięci odpowiedniego wyrazu.

Podnosi wzrok na tablicę odbioru bagaży. Z trudem odczytuje nazwy miast, jakby litery były nakładającymi się na siebie liniami, których nie potrafi rozszyfrować ani nadać im sensu. Numery lotów wyglądają jak hieroglify, obraz powoli traci ostrość, aż ekran zmienia się w błękitną plamę, jakby był lustrem wody, w której odbija się jej udręka.

– Lea? – Słyszy wołanie.

Odwraca się.

Jej mąż stoi zaraz za barierką. Z trudem rozpoznaje jego twarz: uśmiecha się do niej. Jego obecność dodaje jej otuchy, jednak nie jest w stanie poruszyć nawet palcem, by przesunąć się w jego stronę. Pracownik ochrony spogląda surowo na Vittorio, gdy ten za bardzo wychyla się za barierkę, która została tu przecież postawiona w konkretnym celu. Na twarzy Vittorio maluje się dziecięca radość, śmieje się do pracownika lotniska, wykrzywia się, jakby chciał powiedzieć: „Przestań, to moja żona, pozwól mi ją chociaż zawołać”. To zupełnie nie w jego stylu, stroić sobie żarty z nieustępliwości ochroniarzy na lotnisku. To nie w jego stylu igrać z zasadami. Ale tego dnia jest tylko mężem pragnącym chwycić swą żonę w objęcia. Jest szczęśliwym człowiekiem.

– Lea, chodź tu! – powtarza jej. Ona nie odpowiada, dyszy ciężko, otwiera usta, z których nie wydobywa się żaden dźwięk. Twarz Vittorio poważnieje w jednej chwili. Lea wzdryga się, słysząc łoskot uruchamiającej się za jej plecami taśmy bagażowej, a na widok sunącej do przodu gumowej tulei zatacza się tak bardzo, że odruchowo chwyta za ramię Azjatki stojącą obok, by nie stracić równowagi.



– Pomocy – mówi do niej. Chciałaby zawołać „help”, ale to słowo nie przychodzi jej do głowy, i jakby nie potrafiła powiedzieć nic więcej, wciąż powtarza: – Pomocy, pomocy.

Kobieta nie rozumie, sztywnieje i reaguje strachem, chciałaby uwolnić się z tego niepokojącego uścisku. Lea patrzy na twarz nieznajomej, która teraz zaczyna kręcić się razem z całą resztą. Jej dłoń powoli rozluźnia przymusowy zacisk i opada wraz z ramieniem, i po chwili kobieta osuwa się na ziemię.

– Pomocy – powtarza po raz ostatni, na kolanach, z głową zadartą do góry w stronę modułowych ledowych świateł, które zalewają wszystko mlecznobiałym blaskiem. – Pomocy. – I to słowo jest dźwiękiem zupełnie bez znaczenia.

Ostatnie słowo, które dociera do jej świadomości, to wypowiedziane przez Vittorio.

– She’s my wife! – Lea słyszy, jak jej mąż krzyczy te słowa, kiedy przeskakuje przez barierkę.

Wreszcie widzi przed sobą tylko Azjatę.

Tym razem to mężczyzna. Okrągła serdeczna twarz, pulsująca w ciszy. Twarz Chińczyka, jednego spośród milionów zamieszkujących miasto przyszłości, która przez chwilę nabiera rysów Lee Kuan Yewa, ma jego podłużne oczy zwięzające się w pierwszym uśmiechu skierowanym wyłącznie do niej.

– Spokojnie – mówi jej, a Lea rozpoznaje głos, który słyszała niedawno. Wszystko wokół niej nagle milknie, zapada prawie nierealna, perfekcyjna cisza. Wpatruje się w niego jeszcze przez kilka chwil, wreszcie zamyka oczy i wypuszcza z siebie powietrze. Zanim straci świadomość, przez jej głowę przemknie ostatnia myśl. Trzeźwa i spokojna.

Przed śmiercią nie dowiesz się, dokąd trafisz, gdy już się to stanie. A kiedy to już się wreszcie dzieje, to trwa tylko chwilę. I wtedy wiesz.

Vittorio patrzy przez okno w poczekalni w Elisabeth Hospital. Opiera rękę o szybę, jakby próbował ją podeprzeć, a może po raz pierwszy w życiu to on potrzebuje czyjś wsparcia.

Światło dnia jest mdłe, wodniste. Leje deszcz. Mężczyzna obserwuje proste linie ulic dzielnicy, które giną wśród wieżowców jak sondy przesywające przestrzeń, rozplływają się we mgle, nie widać ich końca, choć trudno oprzeć się wrażeniu, że dalej znajduje się nieznany ląd. Tego dnia wszystko wymknęło się spod jego kontroli i teraz Vittorio stoi, zamarły, zszokowany widokiem swojej żony upadającej na ziemię jak złamana gałąź.

Wszystko wydarzyło się tak szybko.

Jeszcze kilka minut wcześniej przygryzał wnętrza policzków i gnał mazdą w ślad za pogotowiem, starając się nie stracić z oczu pulsującego światełka karetki mknącej na sygnale. Przejeżdżał przez miasto. Asfalt, wyczyszczony przez deszcz, wyglądał jak płyta z żelaza w cieniu milczących i wyblakłych nagle drapaczy chmur i spowolnionych samochodów; jakby cały świat wchłonął impet upadku Lei, jakby połknął jego echo i teraz wstrzymywał wraz z nim oddech. Znów przypomina mu się Lea niesiona na noszach chwilę przed tym, zanim zabrali ją na ostry dyżur – była nienaturalnie blada i już zaintubowana. Widział ją wtedy po raz ostatni.

Z jedną ręką wciąż opartą o szybę Vittorio ociera łzy płynące mu po twarzy. Próbuje pozbyć się dojmującego przecucia, które jest jak widmo nagle nabierające kształtu, ale nie potrafi. Nie trzeba być lekarzem, by zrozumieć, że stan Lei jest poważny. Wyczytał to z oczu ratowników próbujących reanimować ją na lotnisku, na którym życie jakby na chwilę zamarło. Wyczytał to z pośpiechu i ostrożnych ruchów ratowników przenoszących ją na nosze, i z troski lekarza pierwszej pomocy, który zajął się nią zaraz po przyjeździe do szpitala. Niski i szczupły Chińczyk reanimował Leę, robił jej masaż serca i mówił mu coś o tomografii i parametrach życiowych, a wszystko dookoła przybierało formę buzującego ożywionymi głosami wszechświata,

składającego się z rurek i neonów biegnących pod sufitami w sobie tylko znanym kierunku.

Teraz czeka w samotności w tym kurczącym się pomieszczeniu.

Vittorio przygląda się swojej twarzy odbijającej się w okiennej szybie – ma opuchnięte powieki, jakby oberwał od kogoś pięścią. Prawie nie spał tej nocy, musiał wstać o piątej, by odebrać Leę z lotniska, i czekał niecierpliwie, aż ją zobaczy. Teraz nie rozpoznaje się w lustrzanym odbiciu, nie jest już tym samym mężczyzną, którego widział jeszcze tego dnia z rana, zmienił się w kogoś innego. Odrywa się od szyby, jakby chciał pociągnąć za hamulec bezpieczeństwa, zatrzymać trwający już proces. Zaczyna chodzić nerwowo wzdłuż okna, jak zwierzę miotające się w klatce. Nie może zostać tu sam i dać się pokonać poczuciu bezradności.

Chwyta za telefon, dzwoni do Caroline, koleżanki z pracy, którą Lea ironicznie nazywa Angelą Merkel. Potrzebuje sojusznika, kogoś, z kim stawi czoło otaczającej go lodowej powłoce, a Caroline to jedyna przyjazna istota na tym odległym krańcu świata, która przychodzi mu teraz do głowy.

– Halo?

Musiał ją obudzić, ma zaspany głos.

– Caroline, tu Vittorio.

– Co się stało?

– Chodzi o Leę. Jestem w Elizabeth Hospital. Źle się poczuła. Jest w ciężkim stanie.

Głos Caroline staje się wyraźniejszy:

– Co takiego?

Powstrzymywane łyżę dławia słowa Vittorio.

– To się stało na lotnisku – mówi. – Proszę cię, przyjedź tu szybko.

Vittorio wsuwa telefon do kieszeni z głową opuszczoną w geście niemocy. Za uchylnymi drzwiami, za którymi stoi, znajduje się długi biały korytarz prowadzący do głównej sali reanimacyjnej. Na niektórych drzwiach wiszą tabliczki zezwalające na wstęp wyłącznie personelowi szpitalnemu, jedna z nich to gabinet doktora Kewa. Ordynatora oddziału, który w tej chwili zajmuje się wnikliwą oceną tego, co pojawia się na ekranie jego komputera.

Wyznacza punkty odniesienia, mierzy odległości, analizuje obrazy przypominające z zewnątrz labirynt bez wyjścia, który on potrafi

zinterpretować. Doktor Kew zgłębia tajniki mózgu Lei, a wynik badania tomograficznego, które wykonali na oddziale radiologii, nie wróży niczego dobrego. Lekarz odczytuje plamki, kształty, wgłębienia, odszyfrowuje kody i swoiste didaskalia, wszystko jednak prowadzi do jednego wniosku – na podstawie wszystkich dostępnych danych diagnoza może być tylko jednak: Leę czeka śmierć. Jej mózg tonie we krwi.

Doktor Kew odchyła się na oparcie fotela. Zamyka na chwilę oczy, i utwierdziwszy się w przekonaniu o nieuchronności tego, co ma nastąpić, podnosi słuchawkę telefonu i dzwoni do informacji oddziałowej. Pyta pielęgniarkę, czy rodzina włoskiej pacjentki została poinformowana.

– Był z nią jej mąż – odpowiada kobieta. – Czeka na nią.

Doktor Kew się rozłącza, krzyżuje palce pod brodą, wzdycha. Znow opada na fotel w swoim białym i teraz rozpiętym fartuchu. Dobiega pięćdziesiątki, ma głęboko osadzone podłużne i czujne oczy, które w połączeniu z rysami jego twarzy sugerują, że jego przodkowie to przedstawiciele różnych ras. Teraz wpatruje się w nieokreślony punkt w przestrzeni, rozważając coś dogłębnie. Wreszcie, wiedziony impulsem, Kew siada wyprostowany, znow chwytając za telefon i wybiera numer wewnętrzny oddziału transplantologii.

Odbiera doktor Wang. Dobrze się znają i widują czasem również poza murami szpitala, Wang w mig pojmuje, że to nie kurtuazyjny telefon kolegi po fachu. Kew dzwoni, bo jedna z pacjentek na jego oddziale znajduje się w stanie śmierci mózgowej. Dramatyczne doniesienie to również początek nowego procesu.

Caroline zdecydowanym krokiem dociera do poczekalni, w której zastaje Vittorio siedzącego na fotelu, z łokciami wbitymi w kolana i dłońmi wczepionymi we włosy. Podchodzi bliżej i klęka przy nim.

Kiedy Vittorio podnosi wzrok, jest prawie purpurowy na twarzy, ma błyszczące zaczerwienione oczy, zdaje się wstrzymywać oddech.

– Jest w stanie krytycznym – powtarza, z trudem hamując płacz.

Caroline jest spięta, jej blond włosy są starannie gładko zaczesane, musnęła cienkie wargi szminką i maznęła policzki pudrem. Patrzy mu prosto w oczy:

– Vittorio, postaraj się nie tracić kontroli – mówi. – Nie możesz teraz się poddać. Znam jednego lekarza, który tu pracuje. Już do niego dzwoniłam, ma się szybko zorientować, co się dzieje, i do mnie oddzwonić.

Po chwili drzwi przeciwpożarowe za ich plecami się otwierają i w progu staje doktor Kew. Vittorio podnosi się gwałtownie, chce do niego podbiec, ale z wyrazu twarzy lekarza odgaduje, że nie ma pośpiechu. Czuje się jak sparaliżowany, niezdolny do wykonania jakiegokolwiek ruchu. Doktor Kew patrzy na niego ponuro, lecz zdecydowanie, ręce trzyma w kieszeniach fartucha lekarskiego, wydaje z siebie długie westchnienie, które zapowiada straszliwe słowa. Vittorio stoi nieruchomo jak solna rzeźba.

– To pan jest mężem Lei Federici? – Pyta lekarz powoli, spokojnym głosem, z ciężkim chińskim akcentem.

Vittorio kiwa głową, nerwowo zgrzytając zębami.

– Może pan pójść ze mną do mojego gabinetu?

Kolejne sekundy rozpościerają się między nimi jak przepaść. Vittorio zatrzymuje się na jej krawędzi tylko przez chwilę, na jeden krótki zawrót głowy. Wreszcie zbiera w sobie resztki sił, by powiedzieć:

– Słucham, doktorze. Proszę od razu przejść do sedna, nie potrzebuję półprawd.

Lekarz przełyka ślinę, patrzy mu prosto w oczy.

– Pana żona miała tętniaka mózgu, który pękł – odpowiada. – Trafiła tutaj już w śpiączce. Nie możemy dla niej nic zrobić.

Do gabinetu doktora Kewa dotarł już doktor Wang. Vittorio siedzi na metalowym krześle naprzeciwko dwóch lekarzy, tak bardzo od siebie różnych. Bliskowschodnie rysy twarzy Kewa układają się w nieprzenikniony, stanowczy grymas. Chińczyk Wang zdaje się bardziej ustępliwy, ma przygarbione plecy, wygląda prawie na zmęczonego. Vittorio patrzy na nich, jakby widział dwie zjawy, jakby nagle znalazł się w samym środku koszmaru sennego. Wciąż jeszcze nie stracił całkiem nadziei, że obudzi się w swoim łóżku u boku Lei.

Tymczasem odpowiada na szereg pytań dotyczących historii choroby swojej żony, opowiada wszystko, co wie o chorobach w rodzinie, o przebytych operacjach. Słowa płyną prawie automatycznie, oderwane od rzeczywistości, która wciąż wydaje się tylko złym snem, Vittorio bezwolnie poddaje się procedurze. Odpowiada na pytania niemal beznamiętnie, wpatrzony w płaszcz na wieszaku na ścianie, myślami i emocjami jest zupełnie gdzie indziej, oddalony zarówno w czasie, jak i w przestrzeni. Pływa w wodzie, unosi się na falach przy Cala Grande, a Lea spogląda na niego z dziobu pontonu. Przestrzeń drży nieprzerwanie, przerzuca go w teraźniejszość, przypomina o telefonie. Wykonał go na chwilę przed wejściem do gabinetu i obudził nim matkę Lei w samym środku nocy – w Rzymie było tuż po czwartej. A teraz, gdy opowiada o migdałkach, różyczce i wirusie denga, wciąż słyszy ostry głos teściowej, pełen przerażenia, bo zięć kazał jak najszybciej zarezerwować bilet do Singapuru. Ważył słowa, dobierał je najrozważniej, jak tylko potrafił, wiedział jednak, że w tej sytuacji nie może jej okłamać.

Vittorio opowiada lekarzom o dniach poprzedzających zapaść.

– Mówiła mi, że ma gorączkę – tłumaczy. – Była blada, wydaje mi się, że bolała ją głowa i tak... miała też mdłości. Wymiotowała wieczorem dzień przed odlotem. Ale nie wyglądało to na nic poważnego, co najwyżej na zatrucie pokarmowe.

Kew kiwa głową, odpowiada ogólnikowo:

– To mogły być pierwsze symptomy – wyjaśnia. – Często się zdarza, że pęknięcie tętniaka poprzedzają mdłości i ból głowy. – Szybko jednak wraca do prawdziwej przyczyny tego wywiadu, dla której próbuje uzyskać wszystkie informacje o życiu Lei, i przechodzi do sedna:

– Pana żona może zostać dawcą organów – mówi, nawiązując do upoważnienia, które Vittorio, jako członek rodziny, musiałby podpisać, by sfinalizować eksplantację.

Vittorio znów słyszy w głowie echo zduszonego płaczu swojej teściowej. Raz jeszcze próbuje się odizolować, nie myśleć o ciele Lei, o niespodziewanym przerażeniu, które wzbudzają w nim te słowa. Za oknem szamocze się ptak, przedstawiciel jakiegoś egzotycznego, nieznanego mu gatunku. Przysiada na parapecie i ich obserwuje. Vittorio przypomina się kanarek, którego miała Lea, kiedy jeszcze mieszkała w Londynie. Trzymała go w łazience razem z żółwiem. Przypomina mu się to małe mieszkanie pełne książek i papierów, silny zapach ptasiej karmy witający go już przy wejściu; zaraźliwy uśmiech roztargnionej dziewczyny, której dni upływały na wymyślaniu coraz to nowych historii i która zawsze wszystko gubiła. Przypomina mu się jej ciało, w chwili gdy pierwszy raz ją rozebrał i chwycił w ramiona, znów poczuł dumę, która ogarnęła go dwa lata później, gdy brał ją za żonę i wierzył, że podaruje jej wszystko to, o czym od zawsze marzyła – słoneczny schludny dom, w którym będzie na nią czekał troskliwy mąż.

– Robimy wszystkie badania potrzebne do tego, by sfinalizować procedurę – mówi wreszcie Wang, ale jego słowa selektywnie przebijają się przez skorupę myśli Vittorio. Do chwili, gdy lekarz zaczyna mu wyjaśniać, że wedle jego taoistycznych przekonań, gdy śmierć nadchodzi nieoczekiwanie i brutalnie, dusza tkwi jakby w zawieszeniu. Zdarza się to, zwłaszcza kiedy nie jest się martwym i wciąż nie narodziło się na nowo: „... jak w przypadku Lei”, dodaje. – Wierzmy w istnienie tych dusz, które w naszej tradycji nazywają się *gui*.

W tym momencie Vittorio wbija oczy w Chińczyka w białym kitlu, a jego odrętwienie zaczyna zmieniać się w niechęć.

– Co pan mi próbuje powiedzieć?

– Żeby ułatwić przejście pana żony i jej spotkanie z przodkami, musiałbym przeprowadzić sesję akupunktury na jej ciele, jeśli mi pan na to pozwoli.

Vittorio składa usta w pełen goryczy uśmiech, a oczy wypełniają mu się łzami.

– Niezależnie od tego, jakich udzielę wam upoważnień – odzywa się wreszcie łamiącym głosem – nie jesteście w stanie zwrócić mi mojej żony, prawda?

Lekarze wpatrują się w niego w milczeniu. Być może zaskoczył ich płacz tego z pozoru chłodnego i zdystansowanego mężczyzny, który może po raz pierwszy daje upust emocjom w obecności kogoś zupełnie obcego.

– Chcieliśmy założyć rodzinę – mówi dalej Vittorio, jego spojrzenie gubi się w pustce, a łzy ciekną mu po twarzy. – Chcieliśmy mieć dziecko.

Wreszcie przeciera rękoma policzki, próbuje odzyskać oddech:

– Mogę wam dać wszystkie upoważnienia, których potrzebujecie – ucina, patrząc im w oczy. – Ale muszę ją zobaczyć.

Pokój tonie w cieniu, oczy wchodzących potrzebują chwili, by się do niego przyzwyczaić i rozróżnić aparaturę, meble i ciało. Mógłby być to zwykły pokój chorego, gdyby nie to, że panuje tu spokój po kapitulacji, kontrastujący z gorączkowym rytmem ostrego dyżuru. To sala reanimacyjna na oddziale, w którym znajdują się chorzy na granicy między życiem a śmiercią, to wszechświat złożony z korytarzy i salek, gdzie czas upływa na oczekiwaniu. Do pokoju, w którym znajduje się Lea, dochodzą tylko przytłumione dźwięki krzątania na oddziale, a szum aparatury medycznej przywodzi na myśl wypowiedany szeptem różaniec podczas czuwania przy zmarłym: to miejsce, w którym już nic nie może się wydarzyć.

Jej ciało spoczywa na łóżku podłączone do respiratora. Pielęgniarka musiała chwilę wcześniej poprawić jej poduszkę, na prześcieradle nie ma ani jednej fałdki. Lea leży w szpitalnej koszuli w kolorze spranego rózu, jej długie, blade, bezładne ramiona przypominają płaty mięsa ułożone wzdłuż jej ciała. Prześcieradło unosi się delikatnie i rytmicznie wraz z każdym wdechem. Zdaje się, że kobieta śpi. Ale jej ciało to teraz nic więcej niż pusta, niepotrzebna już skorupka wokół serca, które wciąż nie przestało bić.

Na jej twarzy widać już znamię śmierci – opuchnięta, prawie przezroczysta skóra emanuje jakimś dziwnym światłem, spokojem, równowagą, jakby w istocie była już gdzieś daleko. Zanim jednak dokona świętokradztwa, zacierając jej rysy, twarz Lei jaśnieje wciąż osobliwym cichym pięknem. Vittorio wciska głowę w przygarbione ramiona i rozpaczliwie ściska dłoń swojej żony, chociaż wie, że już nigdy nie poczuje jej ciepła.



Przy zgięciu nadgarstka znajduje się małe igła. Doktor Wang wyjaśnił mu, że to siódmy południk serca, znany również jako Wrota Shen, który ma ułatwić duszy Lei spotkanie z jej przodkami. Vittorio nie zwracał większej uwagi na to, co mówił lekarz, lecz wykrzywił usta w grymasie smutku, słysząc słowo Shen, które wielokrotnie wypowiadała Lea, gdy pracowała nad powieścią. Teraz to słowo przywołało w jego pamięci obraz żony siedzącej na łóżku z laptopem na kolanach, czytającej mu fragment książki. Vittorio zachwiał się na widok igły wbitej w jej nieruchomy nadgarstek przerażony myślą o tym, co stanie się z tą gładką i jasną skórą, którą tak kochał całować, kiedy aparatura medyczna zostanie wyłączona.

Gdyby Lea mogła widzieć... Gdyby w tej przestrzeni oczekiwania, do której trafiają ludzkie istnienia nieruchomiejące na szpitalnych łóżkach, istniał jakiś rodzaj świadomości, wciąż uchylone drzwi między rzeczywistością teraźniejszością a wyobrażonym „gdzie indziej”, gdyby *gui* były prawdziwe, jak wierzy doktor Wang, który wbił jej igły pod skórę przekonany, że odprowadza ją na drugą stronę, Lea byłaby pewnie zaskoczona łzami, które wylewa teraz Vittorio: jego dziecięcym łkaniem, jego dłonią ściskającą coraz mocniej jej dłoń. Jego lękiem, czy naprawdę znajdzie w sobie odwagę, by pozwolić jej odejść.

Gdyby tak było, Lea zapragnęłaby pewnie móc choć przez chwilę odwzajemnić ten uścisk, by móc pocieszyć męża.

Vittorio nie wyobraża sobie nawet, jak głęboka była jej zdrada. Nieznane są mu długie udręki wyznaczające ścieżki jej życia, nie wie, co tak naprawdę zabrało mu ją tak szybko. Być może było to krótkie spięcie, które dopadło ją w chwili, gdy znalazła się na rozstaju dróg. Jakby jej umysł nie wytrzymał. Jakby jej serce od zawsze zmierzało w przeciwnym kierunku.

Vittorio nie ma pojęcia o długiej wewnętrznej walce, którą Lea musiała stoczyć, ani o bohaterskim oporze, który musiała stawiać zimnej, obcej jej logice, o tym, jak wiele wysiłku włożyła w to, by tłumić w sobie głos serca. Uparcie bijącego serca, które teraz, gdyby tylko miało więcej siły, już dłużej nie ukrywałoby prawdy i zabrałoby ją daleko stąd, daleko od niego. Zwróciłoby ją mężczyźnie, którego kochała przez całe życie.

Gdyby Lea była świadoma, gdyby w tej niepewnej przestrzeni znalazło się miejsce na myśli, gdyby, jak wierzy Wang, przygotowywała się właśnie do kolejnych narodzin, wiedziałaby, że jej misja nie skończyła się całkowitą klęską, bo oto pozostawia światu małą część siebie, najważniejszą część.

A to, co dzieje się teraz po drugiej stronie miasta, jest jak echo, które odpowiada z bardzo daleka.

Gdyby Lea zmieniała się w *gui*, mogłaby teraz spoglądać na świat z innego wymiaru, przenosić się w przestrzeni i przenikać materię tego miasta-labiryntu, by znaleźć się w miejscu, które nieuchronnie by ją do siebie przyciągnęło. To miejsce to sala konferencyjna Raffles Place, jedna z rządowych siedzib EDB, Zarządu Rozwoju Ekonomicznego Singapuru, z której okien rozciąga się panoramiczny widok na całe miasto i w której teraz znajduje się jedna kobieta. Gdyby Lea mogła ją w tej chwili zobaczyć, zrozumiałaby przyczynę szczególnego uczucia, którym obdarzyła ją za pierwszym i jednocześnie ostatnim razem, gdy się spotkały.

Siedzi w swoim biurze, jak zawsze skrupulatna i precyzyjna w wykonywaniu swoich obowiązków, pomimo zaostrzającej się choroby. Zebranie, podczas którego przedstawiony został ostatni projekt dotyczący usprawnień ruchu miejskiego, skończyło się wcześniej, ale Lin Yu została jeszcze w biurze: chciała odpocząć na fotelu ustawionym przed przeszkloną ścianą wieżowca, by w spokoju nacieszyć się zachodem słońca.

Nieskromny, wręcz bezwstydnym Singapur rozpościera się przed jej oczyma. To przyszłość, którą sama zaprojektowała, przyszłość obleczona w szaty porażającego piękna, które sprawia, że każdy czuje się mały i nieistotny, jak ziarnko piasku. Właśnie tak czuje się Lin Yu, gdy patrzy z góry na miasto, zagubiona w nieustannym ruchu przesypanych się drobinek w klepsydrze. Zadanie, które jej powierzono, czyli wyobrażenie sobie tych ulic w przyszłości, zdaje się zbyt odległe dla niej samej.

Długimi palcami dotyka symbolu nieskończoności zawieszzonego na szyi, rozmyślając o tym, że jej czas dobiega końca i że wkrótce wszystkie jej plany spowiją ciemności. Czuje trwogę, ale silniejsza od niej jest chęć, by szeroko otworzyć oczy i nasycić je panoramą aż do bólu, aż do zawrotów głowy. Zdarzają się chwile, w których jej serce wali jak oszalałe, i choć otuchy dodaje jej fakt, że wciąż jeszcze je czuje, Lin Yu musi błagać, by zwolniło swój rytm.

Tego dnia jest tak samo. Uderzenia jej serca są jak tętent kopyt konia, który zerwał się z lonży. Obawia się, że to jego ostatnie podrygi, czuje to coraz wyraźniej.

Minęło sześć lat od chwili, gdy prześwietlenie wykazało wysięk w jamie opłucnej i powiększenie się cienia śródpiersia. Diuretyki, beta-blokery: wszystko po to, by zmniejszyć ryzyko poważnej niewydolności tego ważnego organu, wreszcie wszczepienie urządzenia, które miało zresynchronizować jej serce.

Diagnoza postawiona przez lekarzy i zapisana na kartce papieru była bezlitosna: kardiomiopatia rozstrzeniowa. Tego dnia, dokładnie sześć lat temu, Lin Yu nie skończyła jeszcze dwudziestu trzech lat. Zaraz po diagnozie jej matka rozpaczliwie płakała. Teraz od roku Lin Yu jest na liście oczekujących na przeszczep. Matka wciąż jeszcze nie zdołała otrzeć wszystkich łez.

Wracając do domu ze szpitala, tamtego dnia, kiedy matka zabrała się do przygotowywania zupy ryżowej *congee*, żeby rozluźnić napięcie, a ojciec rozważał możliwość modlitwy na rozżarzonych węglach Zhejiang, by odgonić złe duchy, Lin Yu, z nieprawdopodobnym, prawie nierzeczywistym spokojem, usiadła na dywanie na środku pokoju. Przypomniała sobie wszystkie rzeczy, których nauczyła się o sercu od dnia swoich narodzin, jakby ktoś jej szeptał je teraz na ucho. Wszystko to, co zostało zapisane w So Wen. „Serce pełni funkcję pana i władcy, jest promiennym światłem Shen”.

Tak jak wielu Chińczyków, Lin Yu zna Shen, boskie duchy pięciu organów Zang, i wie, że Shen serca jest najważniejszy ze wszystkich, jest elementem ognia, Imperatorem. Shen to boska iskierka pochodząca ze wszechświata, która łączy się z pierwszą komórką i daje początek życiu. Z niej promieniuje na pozostałe organy i ma w sobie zapisane zadanie Yang, misję naszego życia na ziemi.

Kto wie, czy kiedyś dostanę nowe serce, zastanawiała się Lin Yu tamtego dnia przed wielu laty, czy uda mi się żyć wystarczająco długo, by doczekać tej chwili. Wiedziała, że może zaufać wyłącznie komuś, czyje Shen będzie w harmonii z jej własnym, ponieważ w razie odrzucenia przeszczepu, według tradycyjnej chińskiej medycyny, winne są Shen, które miały zbyt rozbieżne misje. Nagle poczuła, że ma serce. Po raz pierwszy w pełni czuła swoje Yin. Serce kurczące się prawie sto tysięcy razy dziennie, by rozprowadzić aż pięć litrów krwi w minutę. Dotychczas nigdy o tym nie myślała w ten sposób. Ileż uczuć, miłości, rozczarowań zarejestrowało i zapisało w sobie aż do tamtego

dnia. Było jak czarna skrzynka jej ciała, jak siedziba jej Shen. Niczym nić jedwabnika oplatająca rzeczy, zabierająca je ze sobą. To z niego wzięły swój początek jej myśli i jej ambicje. Czy serce ma coś wspólnego z myślącą głową? Zastanawiała się nad tym. Tak. Może. Bo nagle była w stanie nie tylko poczuć każde jego uderzenie, lecz także usłyszeć jego głos.

Tego dnia w Raffles Place morze widziane z perspektywy ogromnego okna zdaje się mieć kolor kobaltu, niebo jest nieruchome, nie ma na nim ani jednej chmury, a powietrze gęstnieje od kurzu kanikuły. Wpatrując się z góry w miejski pejzaż, można odnieść wrażenie, że wisi się w powietrzu, a Lin Yu właśnie po to usiadła w swoim fotelu.

Całe swoje życie spędziła na planowaniu, organizowaniu, racjonalizowaniu i dopiero ostatnio zaczęło do niej docierać, i to coraz wyraźniej, że musi pochylić się nad swoim sercem i dać mu to, o co prosi.

Niedawno przekonało ją, by po raz drugi przeczytała *Wilka stepowego*. Codziennie wieczorem z większym spokojem kładła się spać. Tamtego dnia kazało się jej zatrzymać, zadzwonić do sekretarki i poprosić, by puściła z głośników muzykę.

Teraz Lin Yu tłumaczy kobiecie, co ma zrobić, wskazuje, w którym miejscu jej cyfrowego archiwum znajduje się utwór: to *Larghetto z II Koncertu Fortepianowego Chopina* w wykonaniu Barenboima.

Kiedy pierwsze nuty rozbrzmiewają w sali konferencyjnej, sekretarka podaje Lin Yu filiżankę dymiącej *kopi luwak*, najdroższej kawy świata, i oddala się, zgięta w półukłonie. Ostatnio Lin Yu często pozwala sobie na to, by wymagać, pozwala się rozpieszczać również w miejscu pracy. Bierze to, co w gruncie rzeczy jej się należy. Słucha Chopina, spogląda z góry na Singapur, by zyskać iluzję dominacji nad życiem płynącym gorączkowo jej arteriami. To wypełnia jej czas.

Herman Hesse wiedział, że zwierzęta mają w oczach cień smutku charakterystyczny dla kogoś, kto nie wdając się w dogłębne rozważania, wie, dokąd zmierza życie. Spojrzenie Lin Yu wyraża to samo. To oczy jej serca żegnające się ze światem, z książkami, które kochała, muzyką, która potrafiła podarować jej chwilę magii. Uderzenia jej serca są już policzone, wciąż jednak potrafi ono przyspieszyć na dźwięk wirtuozerskiego wykonania utworu czy na widok mistrzowsko oddanych emocji zapisanych na kartach książki.

Lin Yu porusza się lekko i płochliwie jak gazela. Nauczyła się nie uważać niczego za pewnik, by móc cieszyć się również najtrudniejszym z oddechów. Czeka na chwilę, w której dopadnie ją strzał myśliwego lub dosięgną ostre kły dzikiego kota. Czeka, nie wiedząc, że wkrótce zadzwoni jej telefon, sekretarka zawoła ją ze szczególną troską w oczach, a po drugiej stronie słuchawki usłyszy głos doktora Wanga, tym razem brzmiący inaczej niż zwykle. Lekarz dzwoni z oddziału przeszczepów, w sprawie niecierpiącej zwłoki, pilniejszej, niż można sobie to wyobrazić.

Gdyby Lea była naprawdę jednym z *gui* i mogłaby jego oczami zobaczyć to wszystko, teraz pewnie uznałaby, że może odejść na zawsze. W absolutnym spokoju i z niezachwianą pewnością, w kim dalej będzie biło jej serce.

## Singapur, 9 sierpnia 2019

*Spowite ciałem, które już do nas nie należy, kurczę się w spokojnych i ufnych uderzeniach.*

*Czasem jednak, Rozsądku, wciąż zdaje mi się słyszeć twoje sygnały: kiedy mówiłeś mi, że czekam na próżno, że przypominam ci te muchy, które letnią porą odbijają się od zamkniętych okien, uparcie wpatrzone w morze za szybą. I ja będę odbijać się od okrutnej niepewności, którą ta nieukończona historia mi pozostawiła, a teraz wciąż czuję słonawy zapach morskiej wody Andiparos, rybackich sieci pełnych homarów, marynowanych oliwek, ośmiornic suszących się w słońcu.*

*Wciąż wierzę w moje pragnienia.*

Airbus linii Emirates zaczął zniżać się między gęstymi warstwami deszczowych chmur, by za chwilę wylądować na lotnisku w Singapurze.

Różowawe światło rozjaśnia już zatokę, ale słońce jeszcze nie wzeszło. Statki i tankowce unoszą się nieruchomo w porcie w mieście przyszłości, jakby na coś czekały; tak jak pracownicy ochrony w żółtych płaszczach przeciwdeszczowych, z nogami wbitymi w mokry asfalt pasa startowego i wzrokiem zwróconym w stronę gigantycznej maszyny, która właśnie zbliża się do ziemi.

Giacomo nie zmrużył oka przez cały lot, żeby nie uszczknąć niczego z podróży na trasie, którą pokonuje pierwszy raz w życiu. Ale nie to było najważniejsze. Jego uwagę zajmowała Lea, myślał o niej prawie bez przerwy, trzymając kurczowo w ręce jej *Dziennik ekspatki*. Na kolejnych stronach zakreślił miejsca, które tak dokładnie opisywała i które on wkrótce wreszcie będzie mógł zobaczyć na własne oczy.

Przed odlotem, na Fiumicino, wpatrywał się w startujące samoloty, przypominając sobie każdy szczegół tamtego dnia, po ich ostatniej wspólnej

nocy, kiedy właśnie w tym miejscu się z nią pożegnał, czując słony smak jej warg na ustach, kiedy wyszeptał jej na ucho:

– Czekam na ciebie.

Podróże zawsze sprawiały mu trudność, nie potrafił poruszać się po nieznannej przestrzeni. Wciąż nienawidzi ascetycznej i bezosobowej atmosfery panującej w niektórych hotelach, i aż do tego dnia sypiał wyłącznie w miejscach, w których mieszkał. Jedynym wyjątkiem było Andiparos. Zawsze jednak wynajmował ten sam dom, zajmował to samo łóżko. Czuł, że z Leą u boku odnalazłby w sobie odwagę, by stawić czoło zmianie; wierzył, że to właśnie ona uwolni go od ograniczeń, które nakładał na niego umysł, że wyciągnie go z tej długiej zimy jego życia. Lea jednak nie wsiadła na pokład samolotu, w którym miejsce wspólnie zarezerwowali i którym miała wrócić do Włoch zaledwie dzień po przylocie do Singapuru. Giacomo pamięta dokładnie obsesję, z jaką oglądał przez telefon profil Lei na Facebooku, choć zawsze przecież wystrzegał się tego rodzaju uzależnień. Wreszcie zaczął myśleć, że zdecydowała się zostać z mężem, bez słowa wyjaśnienia, bez choćby zdawkowego telefonu czy nawet lakonicznej wiadomości. Przeklinał ją w duchu, a jednocześnie nie tracił nadziei i wciąż czekał, że da w końcu jakiś znak życia.

I wreszcie ten post Bianki. Pewnego upalnego poranka Giacomo mieszał bezmyślnie kawę, wpatrując się jak zaczarowany w kocie łby bruku, które w letnim słońcu zdawały się prawie rozpuszczać. I wtedy kilka linijek zapisanych w wirtualnej przestrzeni było niczym pożar, kataklizm, katastrofa.

„Spoczywaj w pokoju, Najdroższa. W moim życiu jest teraz miejsce na nowe oczekiwanie. By któregoś dnia znów się z Tobą zobaczyć. Bo w przeciwnym razie, jaki to wszystko miałyby sens?”.

Zerwał się gwałtownie, czując, jak rozstępują się pod nim kuchenne kafelki, odniósł wrażenie, że śmierć wyciąga po niego swoje lodowate ręce, że łapie go za plecy i ciągnie w dół. Drżącymi rękami szukał numeru telefonu do Bianki, miotał się jak topielec na dnie morza, niezdolny, by zaczerpnąć powietrza, rozpaczliwie usiłujący wydostać się z powrotem na powierzchnię. W końcu napisał do niej na Facebooku: „Proszę, odpowiedz mi szybko, powiedz mi, co się stało”. Upływały kolejne minuty, które zdawały się wiecznością; on stawał się coraz bardziej blady, a jego umysł, zawsze tak bystry i sprawny, zdawała się przerastać treść kolejnych kondolencji, które pojawiały się na jej Facebookowym profilu.



I wreszcie ta odpowiedź od Bianki: lodowaty sztylet, zimno rozlewające się po kościach. „Lea miała tętniaka mózgu, Giacomo. To się stało kilka dni temu w Singapurze. Msza pożegnalna odbędzie się w kościele Santa Maria in Trastevere, pojutrze o jedenastej”.

Wybuchnął płaczem. Duże twarde łzy spływały powoli po jego zarośniętych policzkach, by po chwili zginąć w czarnej szczecinie brody. Niewidzialna obręcz ścisnęła mu żołądek, dławiła oddech. Siedział nieruchomo jak posąg, wpatrując się w ekran komputera. Wreszcie śmiech Lei i jej jęki rozkoszy wypełniły pokój. Jej smak w jego ustach, tak bardzo intensywny. Każdy szczegół, nagle nieznośnie żywy, jak niepowstrzymana, zapętlona sekwencja obrazów i dźwięków.

Wtedy poczuł narastającą złość. Zerwał się z miejsca, zrzucił wszystkie książki z regałów, roztrzaskał naczynia i kieliszki o podłogę, okładał pięściami drzwi, szafki. Po chwili, prawie bez tchu, z sinymi i pulsującymi bólem knykciami skulił się przy wejściu. Widział ją. Małą dziewczynkę z zeszytem do matematyki na kolanach, studentkę pierwszego roku skrywającą swoją świeżą kobiecość pod miękkimi i luźnymi swetrami; jej ciało w kostiumie kąpielowym na plaży na Andiparos, piękne jak rozkwitły pąk. Giacomo zaciska powieki, jakby chciał, żeby ona zniknęła, żeby nie czuć już tej niewidzialnej obręczy wyrywającej mu trzewia. Wrócił do rzeczywistości, do tamtej teraźniejszości, tamtego domu. I ona tam była.

Kochał się z nią na stole w kuchni, opierał ją o ścianę w łazience, pieścił ją namiętnie i gryzł, ze złością, z rozdzierającą tęsknotą. Dociera do niego, jak nieprawdopodobnie mocno ją kochał. I jak bardzo ją krzywdził przez wszystkie te lata swoim milczeniem, swoimi ciągłymi unikami. Ból, który czuje tego dnia, to jego kara, którą musi odbyć. To jego wyrok. Strach przed miłością, który czuł jako chłopiec, egzemplifikowała właśnie Lea. To ona była w tym bólu, którego bał się od dziecka, a teraz w krwawiących knykciach jego dłoni. Właśnie przez ten dławiący ból bał się ją kochać.

Tamtej nocy wyszedł z domu i ruszył załkami centrum z butelką rumu w ręce. Nie mógł się powstrzymać, by nie kopać wszystkiego, co tylko znalazło się w zasięgu jego nóg. Przeciskając się przez tłumy pijanych, roześmianych, szczęśliwych dzieciaków, doszedł do brzegu rzeki. Przeskoczył przez kamienny murek, ześlizgnął się po zboczu pokrytym zaroślami, zdzierając przy tym skórę z dłoni, i wpatrywał się w wodę płynącą wartkim strumieniem kilka metrów niżej. Czuł coraz silniejszą pokusę, by się w nią

rzucić. Nigdy nie miał dość odwagi, teraz czynił sobie z tego powodu wyrzuty, gdy kolejny spazm płaczu chwycił go za gardło. A żeby umrzeć, potrzeba więcej odwagi, niż do tego, żeby wciąż żyć.

W kościele Santa Maria in Trastevere było tego dnia dużo ludzi, wiele zdumionych i niedowierzających par oczu. Rozpoznał w tłumie Biankę, wymienili szybkie spojrzenia. Nie widzieli się od czasów liceum. Błysk pogardy przebiegł po jej twarzy, by szybko zmienić się w grymas płaczu, kiedy zajmowała miejsce w jednej z pierwszych ławek. Giacomo stanął z tyłu.

Nie było trumny ani pożegnań kogoś, kogo można było sobie wyobrazić wewnątrz drewnianej konstrukcji. Ciało Lei znajdowało się daleko w przestrzeni, lecz również i w czasie, bo w oczach Giacomo wciąż poruszało się żywo, radośnie, młodzieńczo.

W pierwszym rzędzie siedzieli jej rodzice, nie widział ich od czasów, gdy na zmianę zjawiali się, by odbierać córkę ze szkoły. Postarzelisi i zmaleli pod ciężarem tej straty, siedzieli teraz obok siebie, mimo że tak wiele ich dzieliło. Matka opuściła nawet głowę na ramię swojego byłego męża, a ktoś, kto patrzyłby na nią z tyłu, mógłby odnieść wrażenie, że kobieta śpi.

Pod koniec mszy mała dziewczynka podeszła sama aż do pulpitu. Była to córka Bianki, na co wskazywało duże podobieństwo do matki i to, że przez całe nabożeństwo trzymała ją za rękę. Wspięła się na podest z nadzwyczajną odwagą dziecka, które musi coś powiedzieć. W drobnych palcach trzymała książkę, którą kiedyś dostała od kogoś, kogo już nigdy nie zobaczy,

Stała przed mikrofonem i zaczęła czytać:

– Od tego dnia żyrafa Twiga nie próbuje już dosięgnąć słońca, bo dzieje się tak, że to właśnie słońce codziennie rano budzi ją pieśczętą. – I wreszcie, z oczyma pełnymi łez, wyjąkała: – To jest koniec bajki, którą miałaś mi przeczytać, ciociu. Chcę, żebyś wiedziała, że dalej jeżdżę konno, i zrobię wszystko, żeby doprowadzić moją misję do końca.

Giacomo wyszedł z kościoła z obrazem Bianki i jej córki szlochających rozpaczliwie w swoich objęciach. Wrócił do domu i opadł na łóżko jak plastikowy worek ze śmieciami, jak ktoś, kto nie widzi powodów, by dalej istnieć w tym świecie.

Nie ruszył się z łóżka przez wiele dni, żywiąc się ciastkami i wodą, łykając garściami tabletki na uspokojenie. Czasem wstawał, opierał się plecami o ścianę i patrzył w sufit, próbując powstrzymać lawinę wspomnień. Spędzał godziny, kuląc się pod prysznicem, i czasem nocami krążył bez celu po ulicach

z puszką piwa, którym nie umiał zagłuszyć wspomnień. Myślał wtedy, że może spędzić tak resztę życia, i gdyby nie musiał pracować, by mieć co jeść, niewykluczone, że tak by się stało. Kiedy wrócił do wydawnictwa, na początku otwierał tylko maszynopisy i poprawiał je automatycznie, bez cienia dawnej pasji, widząc w czarnych literach wyłącznie sposób na zdobycie środków na utrzymanie.

Matteo budził go z rana, wpadał z wizytą, angażował go w projekty fotograficzne, przynosił mu jedzenie. Wziął na siebie rolę, którą Bianca odgrywała wobec Lei, gdy ta przeżywała trudne chwile. Giacomo odnosi wrażenie, że świat spowiło białe prześcieradło, jakaś biała płachta, która stłumiła wszelakie dźwięki i sprawiła, że wszystko, nawet pełen troski gest najlepszego przyjaciela, miało nieznośny ciężar.

Odwagę, by zacząć wszystko od nowa, zaczerpnął z artykułu. Czasopismo naukowe, którego był abonentem jeszcze od czasów dzieciństwa, w tamtym miesiącu poświęciło okładkę niedawnemu odkryciu w świecie fizyki.

*Dusza istnieje i jest nieśmiertelna, potwierdza to fizyka kwantowa* – brzmiał tytuł jednego z artykułów.

Dwóch światowej sławy naukowców, Amerykanin Stuart Hameroff i Anglik Roger Penrose, przedstawiło tezę, która mogłaby udowodnić istnienie duszy, a artykuł wyjaśnił wspólnie opracowaną przez nich teorię kwantową świadomości, potwierdzającą, że dusze zawierają się wewnątrz struktury tak zwanych mikrotubuli żyjących w komórkach mózgowych. Zdaniem dwójki naukowców dusza składa się z kwantowych produktów chemicznych, które w momencie śmierci uciekają z systemu nerwowego i wracają do świata idei. Ludzkie dusze w takim wypadku nie byłyby zwykłą interakcją neuronów, lecz czymś o wiele potężniejszym – prawdziwą esencją wszechświata istniejącą od zarania dziejów.

Giacomo przyjął ten artykuł jak znak. Dla agnostyka, takiego jak on, było to jak iskra wyzwalająca nowy proces. Pomyślał o duszach, które kochał w swoim życiu, i o tym, co ze sobą zabrały, gdy odchodziły. Ale także i o tym, co mu pozostawiły.

Zawsze wierzył, że śmierć Lorenzo zmieniła nieodwracalnie kierunek jego życia, oddalając go od najbardziej pewnej rzeczywistości składającej się z cyfr i liczb. A przecież w pewien sposób właśnie to go ocaliło, sprawiło, że poznał siłę poezji, literatury, która wybawiła go od jego nerwic i obsesji. Jeśli mózg jest z góry zaprogramowany, to u Giacomo przewagę miała lewa

półkula, ta logiczna, racjonalna. Lorenzo pomógł mu rozwinąć intuicję i emocjonalność prawej półkuli, która doprowadziła go do Lei.

Choć tak bardzo bronił się przed tym uczuciem, przed odkrywaniem tego nieznanego mu terytorium, dopiero w tej chwili był w stanie naprawdę zrozumieć jego ogromny potencjał. Całe życie zaczynało jawić mu się jako ścieżka złożona z sygnałów, zbiegów okoliczności, ech i odniesień. Jak mikrogalaktyka, w której należy się odnaleźć dzięki mapie własnych konstelacji. Z tego, kim był w dzieciństwie, pozostała mu świadomość umiejętności przeprogramowania się mózgu. I wreszcie poczuł ciężar cennego daru, który pozostawiła mu Lea, odchodząc.

Minęło kilka lat, a on znów zaczął żyć, jakby Lea i Lorenzo mogli obserwować go ze wszechświata, do którego powrócili. Wyobrażał ich sobie jako cierpliwych i ufnych widzów czekających na oznaki zmiany. Spoczywa na nim ta nowa odpowiedzialność, dlatego znów troszczy się o siebie i ścieżkę swojego życia.

Poświęcił się również powieści Lei, zadbał o jej promocję, wyprowadził sprzedaż na wysoki poziom i dołożył starań, by książka zdobyła uznanie krytyki. Zaczął widywać się, w miarę regularnie, ze zdolnym psychoterapeutą i nawet zapisał się na wydział fizyki. Wrócił do nauki z pasją, w której mniej już było szaleństwa, a więcej spokoju, równowagi. Znów zaczął widywać się z innymi kobietami, z szacunkiem traktował również te, które nie zdołały wywołać w nim emocjonalnego zaangażowania. Wierzył, że prędzej czy później zdoła odnaleźć dojrzałe, twórcze uczucie. Małymi krokami zdołał wydostać się ze skorupy, która zbyt długo nie pozwalała mu żyć naprawdę.

Wreszcie któregoś dnia odwiedził go Matteo, by przekazać wiadomość, którą musiał wziąć za ostateczny znak, a przynajmniej za zaskakujący zbieg okoliczności.

– Organizują mi wystawę w Gillman Barracks, artystycznej dzielnicy Singapuru – powiedział mu, wciąż zaskoczony i rozemocjonowany. – Chciałbym, żebyś ze mną pojechał i zabrał ze sobą swoje zdjęcie. Właśnie tak chcę zatytułować wystawę: *Los dwóch cząstek kwantowych*.

Mężczyzna wysiadający z samolotu Emirates tamtego dnia ma czterdzieści cztery lata, gładkie policzki i krótsze włosy przetkane siwizną. Jest w marynarce, która kiedyś należała do jego ojca, ma pod pachą bagaż podręczny i cylindryczny pojemnik, w których znajduje się zdjęcie autorskie.

Porusza się po tym idealnie zorganizowanym, technologicznym

wszechświecie bez jakichkolwiek uprzedzeń, z otwartością i prawie dziecinnyim zdumieniem. Chce zobaczyć to miejsce oczami Lei, przez jej doświadczenie, i stara się zepchnąć na bok rozdzierający smutek.

Kiedy wsiada do taksówki, cień melancholii podsuwa mu na myśl pożegnalny list miłosny z *Mauvais Sang* Leosa Caraxa, zapomnianego już prawie całkowicie filmu. „Na zawsze i nigdy” – głosiły jego ostatnie linijki. Giacomo odtwarza całą ich historię i myśli o idei dwóch istnień, które się spotkały zbyt późno lub zbyt wcześnie, lecz które zasmakowały miłości. Tej zniewalającej miłości, której nigdy nie dane było zmierzyć się z pułapką codzienności, która nie zaznała cierpkiego posmaku dogasającego pożaru uczuć. Miłości, która pozostaje w tobie na zawsze, choć nigdy nie zdołałeś jej przeżyć.

– Destination, sir? – Pyta mężczyzna za kierownicą, spoglądając na Giacomo we wstecznym lusterku parą małych skośnych oczu, które przywodzą mu na myśl oczy Lee Kuan Yewa, te same, w których w powieści Lei nigdy nie gości uśmiech.

– Chciałbym zobaczyć dom, w którym mieszkał Prezydent – odpowiada Giacomo.

Kierowca odwraca się, chyba po raz pierwszy turysta prosi go o coś podobnego.

– Dom Lee Kuan Yewa?

– Tak, właśnie ten.

– Już go nie ma, sir. Teraz jest w tym miejscu centrum handlowe. Nie ma tam nic do oglądania. Prezydent nie chciał nawet tabliczki upamiętniającej. Poza tym dzisiaj jest Zhong Yuan Jie, sir.

– Słucham?

– Święto Hungry Ghosts. Jak Dzień Zmarłych u was, sir. Będzie dużo zamieszania na drogach.

Teraz Giacomo jest zaskoczony. Ze wszystkich dni, w których mogli zorganizować wystawę Matteo, wybrali akurat to szczególne święto. Kolejny ciekawy przypadek, synchronizacja.

– Zamieszanie to nie problem – nalega Giacomo, kierując spojrzenie za okno i wlepiając spojrzenie w świat awangardowych drapaczy chmur, gigantycznych plazmowych ekranów i pociągów śmigających szybko po cienkich szynach z żelaza zawieszonych w powietrzu. – Niech mnie pan zabierze do domu Prezydenta.

Tego dnia przy wejściu do Urban Suites, nowoczesnego kompleksu, w którym mieszkała Lea, w rogu na chodniku pojawiły się kadzidełka i przedmioty z masy papierowej przedstawiające domy, telefony i samochody. Niewielu Chińczyków mieszka na tym osiedlu, lecz te ofiary zebrane dla dusz przodków zostały z troską przygotowane przez kogoś, kto szanuje dawne tradycje.

Tego ranka Vittorio obudził się wcześniej, czeka go ważne spotkanie w biurze w sprawie przejęcia przedsiębiorstwa telekomunikacyjnego. Myje zęby, a Caroline, wyciągnięta na łóżku, podłącza elektrody do brzucha i klatki piersiowej i uruchamia urządzenie do treningu pasywnego. Kiedy przewodami zaczyna płynąć prąd, również mięśnie szyi napinają się w regularnych skurczach, wykrzywając jej twarz w grymasie.

– Nie ma przeciwwskazań do używania tego ustrojstwa w okresie karmienia? – dopytuje Vittorio, wychylając się zza drzwi łazienki, usłyszawszy elektroniczny sygnał urządzenia.

– Najmniej wskazane jest dla mnie w tym momencie oglądać mój brzuch i cycki, które wyglądają jak wymięte prześcieradło – odpowiada Caroline z miną Angeli Merkel, która usilnie próbuje być zabawna.

Przez ostatnie cztery lata zmieniła się znacznie: choć ciąża zmiękczyła nieco rysy jej twarzy, krótka geometryczna fryzura sprawia, że cała reszta wydaje się jeszcze bardziej kanciasta. Vittorio nie zmienił się zbyt wiele. Pomimo cierpienia, które przyniosły mu ostatnie lata, nawet się nie postarzał.

W tym roku skończy pięćdziesiąt lat i ta okrągła rocznica wydaje mu się niezwykle przygnębiająca, choć ojcostwo było jego lekarstwem, balsamem na rany. Sprawilo, że znów jest energicznym i walecznym mężczyzną, jakim był, zanim okrutny los uczynił go wdowcem. Być może niedługo zostanie mianowany prezesem banku, w którym wciąż pracuje od czasu przeprowadzki do Singapuru. Caroline uważa to za szansę, z której koniecznie należy skorzystać, cel do osiągnięcia, a on, zwłaszcza ostatnio, odnosi wrażenie, że żyje zbyt szybko, obawia się, że nowe stanowisko mogłoby uczynić jego życie jeszcze bardziej nieznośnym.

– Philippe ma tylko trzy miesiące. – Próbuje ją uspokoić, stojąc wciąż na progu łazienki, z dobrotliwym uśmiechem. – Wrócisz do formy, daj sobie tylko trochę czasu.

Caroline zerka na zegarek i unosi brew. Przypomina mu:

– Spóźnisz się, Vittorio. Zadzwoń do mnie po zebraniu, chcę wiedzieć, jak się skończyło. I uważaj na korytarzu, bo jeśli obudzisz małego, będę musiała przerwać trening.

Vittorio zaciska węzeł krawata i zanim znikną w drzwiach, podchodzi do łóżka i całuje ją w czoło.

Na korytarzu rzuca pospieszne spojrzenie na świat pluszaków i miśków, który wyłania się zza przymkniętych drzwi, spokojny i bezpieczny ląd, na którym śpi jego syn. Wreszcie, z czułym uśmiechem, kieruje się do wyjścia.

Już prawie od dwóch lat Caroline zmusza go do picia kawy w barze na dole, bo nie może znieść jej zapachu w domu, a jednak za każdym razem przed wyjściem Vittorio wchodzi do kuchni, zgodnie z dawnym zwyczajem. Kiedy dociera do niego, że nie ma czego tam szukać, wychodzi ze smutkiem, wspominając ciepło śniadań sprzed lat.

Drzwi do windy otwierają się i wewnątrz widzi panią Akame, Japonkę, która mieszka piętro wyżej, i zdaje się, że potrafi się tylko uśmiechać. Mówią sobie „dzień dobry” i żegnają się przy szlabanie obok wyjścia z budynku, wypełniając wspólny czas zdawkowymi uśmiechami.

Zanim wsiądzie na swoją elektryczną hulajnogę, Vittorio rzuci okiem na figurki z masy papierowej ustawione w rogu chodnika i przypomni sobie, że to miesiąc, który Chińczycy poświęcają swoim zmarłym. Powracają myśli o Lei. Zamyka na chwilę oczy, bierze głęboki oddech.

Kilka razy w ciągu ostatnich tygodni miał wrażenie, że brakuje mu powietrza. Caroline nie ma łatwego charakteru, jest bardziej podobna do niego, niż miałby ochotę przyznać, i zupełnie różna od Lei. Decydując się na codzienność u boku Caroline, pragnął zaspokoić potrzebę odzyskania kontroli nad własnym życiem.

Śmierć Lei sprawiła, że stał się bardziej sentymentalny, uczuciowy, samoanalizujący. Narodziny Philippe’a uczyniły cały ten proces jeszcze bardziej precyzyjnym. Każdego dnia Vittorio mierzy się ze swoimi obsesjami, usiłując odebrać im rację bytu. Przypomina mu się często fragment powieści Lei, w którym opisywała serce z książki So Wen: „Nic nie przywiera do pustego i spokojnego Serca, nic w nadmiarze nie zajmuje przestrzeni, czyniąc z niej swą własną siedzibę. Wszystko zostaje przyjęte z rozwagą i szacunkiem”.

Z echem tych słów rozbrzmiewających w głowie Vittorio wsiada na

hulajnogę, zakłada słuchawki, włącza na telefonie playlistę ze Spotify z najnowszymi hitami i przejeżdża przez okolicę aż do baru, gdzie wreszcie będzie mógł wypić swoją poranną kawę.

Nie ma czasu, żeby usiąść, zamawia przy barze i gdy ostrożnie sączy gorący napój, żeby nie poparzyć ust, kątem oka widzi kobietę siedzącą przy jednym ze stolików w głębi. Dobrze pamięta wieczór, kiedy widział ją po raz ostatni, na przyjęciu w domu Van Der Meerów, przed wyjazdem Lei do Włoch. I ona go rozpoznała, uśmiecha się do niego.

Vittorio płaci za swoją kawę i zaniepokojony spogląda na zegarek. Wychodzi z baru pospiesznie w obawie, że spóźni się na ważne zebranie.

Lin Yu natomiast siedzi dalej przy stoliku, popijając małymi łydkami swój dymiący napój. Jej spojrzenie skrzyżowało się ze wzrokiem tego mężczyzny, który przez chwilę przeniósł ją w myślach w jej bardziej światową przeszłość. Przeszłość jej starego życia. Jej starego serca.

Jak każdego poranka i tego dnia obudziła się ze spokojem. Minęły lata, od kiedy przestała biec, pozostawiła za sobą gorączkowy rytm pracy i zaczęła cieszyć się życiem. Tego ranka, przed udaniem się do baru, podgrzała trochę wody ze skórką z cytryny, zapaliła kadzidełko i klęknęła na gumowej macie rozłożonej na środku salonu.

Ze wzrokiem zwróconym w stronę okna, z prostymi plecami i odchylonymi nieco barkami, wykonała kilka powolnych, okrągłych ruchów głową, by pozbyć się napięcia w odcinku szyjnym i rozluźniła barki, zataczając nimi małe kółka, po czym rozpoczęła ćwiczenie zwane Małym Cyklem Niebios, taoistyczną technikę oddychania uruchamiającą energię życiową zwaną przez Chińczyków Qi, która ma na celu poprawienie jakości komunikacji pomiędzy umysłem a organami ciała. W tej pozycji zaczęła nasłuchiwać, jak każdego poranka od pięciu lat, bicia serca, które przyjęła do swojego ciała.

Czasem się zastanawia, czy to był mężczyzna, czy kobieta. Pani psycholog, z którą spotyka się od czasu przeszczepu, zawsze pyta o jej sny, o to, czy przypisuje im jakieś szczególne znaczenie, czy coś się w nich zmieniło. Lin Yu nie zauważyła jednak niczego innego niż dotychczas, wyłącznie głęboki wewnętrzny spokój, jakby to serce było jak gruby kot zwinięty w kłębek pod jej mostkiem. Od czasu do czasu mruczy z wdzięczności. Nie zrywa się prawie nigdy do galopu i rzadko się zdarza, żeby wzburzyło się przez coś, co dzieje



się na zewnątrz. Lin Yu czasem myśli, że jest znieczulone. Przez ostatnie lata odbiera emocje raczej mózgiem – słuchając muzyki, oglądając przedstawienia, filmy, podróżując. Ale jej ciekawość jest coraz żywsza, jest coraz bardziej głodna poznania, a pragnienie zrozumienia świata jeszcze silniejsze niż przed przeszczepem.

Kilka minut później płaci za kawę i wychodzi na przystanek, by udać się na Oxley Road. Zawsze bierze ze sobą jakiś kwiat. Dzisiaj jest to róża.

Przy wyjściu z metra zaskakuje ją nagła ulewa, która zasnuła niebo i rozmyła zarysy budynków. Naciąga na siebie płaszcz przeciwdeszczowy, który nosi zwinięty w torebce, i rozkłada parasol. Czerwony. Gdyby widziała go jej zabobonna matka, pewnie by się zdenerwowała. Czerwień to kolor, którego należy unikać, kiedy bramy zaświatów są otwarte. W taki dzień jak ten żaden Chińczyk nie ubrałby się na czerwono, wiedząc, że może w ten sposób przyciągnąć zjawy. Ale Lin Yu nigdy nie zwracała uwagi na przesady.

Idzie ulicą z kwiatkiem w ręce i spojrzeniem skupionym na czekającym ją budynku – centrum handlowym, które kiedyś było domem Prezydenta.

Kiedy dociera do drzwi wejściowych, nie umyka jej uwadze większy niż zwykle rozgardiasz, chaotycznie płynąca ogłuszająca rzeka przechodniów. Lin Yu kuca w rogu, tym samym co zwykle, obok drzwi, i kładzie różę na podłodze. Dokładnie w miejscu, gdzie kiedyś znajdowało się wejście do domu Lee Kuan Yewa.

Minęły cztery lata, od kiedy Lin Yu kładzie tu codziennie rano kwiat. Kiedy dom stał jeszcze w posadach, znajdowała tu o wiele więcej podarunków i znaków pamięci gromadzących się dzień po dniu. Z czasem pojawiało się coraz mniej kwiatów, aż w końcu pozostały tylko te od Lin Yu. Kiedy to miejsce zmieniło się w plac budowy, czasem mijało wiele dni, zanim ktoś usunął dawno zwiędłe kwiaty. Od chwili, gdy stał się miejscem spotkań, Lin Yu nigdy nie odnajduje tutaj kwiatów, które pozostawiła dzień wcześniej.

– Przepraszam. – Podchodzi do niej jakiś mężczyzna. To ochroniarz z galerii, Azjata. – Czy mógłbym o coś zapytać?

Lin Yu podnosi wzrok i spogląda na niego z ciekawością:

– Proszę.

– Widzę tu panią codziennie i nie mam pojęcia, dla kogo są te kwiaty, ale myślę, że powinna pani wiedzieć, że niestety wieczorem muszę je stąd zabierać i dlatego lądują w dłoniach mojej zaskoczonej i zadowolonej żony. Nie wiem, czy nie powstrzyma to pani od tego szlachetnego zwyczaju, lecz ja

po prostu jestem zmuszony tak robić.

Lin Yu się uśmiecha.

– Cieszę się – odpowiada. – Pana żona to szczęśliwa kobieta – dodaje, nie wyjaśniając nic więcej.

Kiedy na powrót rozkłada parasol, wciąż się uśmiecha, myśląc o miłości łączącej Prezydenta z jego młodą żoną, gotowości poświęcenia się dla niej, która była w nim każdego dnia. Lee Kuan Yew ucieszyłby się z pewnością, gdyby wiedział, że podarunki, które składa mu w hołdzie każdego dnia, cieszą jeszcze kogoś innego, wiele lat od dnia ślubu.

Ma już udać się w powrotną drogę, kiedy wewnętrzne trzepotanie blokuje ją na chodniku. Jej serce kołacze niecodziennym rytmem. Ona, zawsze tak bardzo czuła na każde jego najmniejsze drgnienie, tym razem zupełnie się nim nie przejmuje, jest w tej anomalii coś budzącego otuchę, jakby jej serce dostrajało się do wibracji, którą dobrze zna i na którą z utęsknieniem czeka.

Wzrok Lin Yu pada na mężczyznę po drugiej stronie ulicy. Jego wysoka przygarbiona nieco sylwetka pojawia się i ginie w napływającym tłumie, ale wystarczy, że na niego spogląda, a jej serce uspokaja się w jednej sekundzie.

Kiedy taksówka zatrzymuje się przed chaotycznym strumieniem przechodniów przy centrum handlowym, Giacomo czuje niespodziewane poruszenie. Wewnętrzny niepokój, uczucie poprzedzające ważne spotkanie. Gdy wyjmuje z portfela pieniądze, czuje, jak pocą mu się dłonie.

– Mówiłem przecież, że będzie zamieszanie – burczy na pożegnanie taksówkarz.

Na zewnątrz pada. Giacomo stoi teraz na chodniku, w strugach deszczu, i zastanawia się, co się z nim dzieje. Nie ma parasola i powinien biec, by schować się przed ulewą, ale czuje, że jego serce zachowuje się jak wykrywacz metali. Teraz każe mu stać w miejscu, nieruchomo i wpatrywać się w tłum.

Gęsta i nieuporządkowana ludzka rzeka płynie ulicą w strugach deszczu. Parasole przypominają zbiór kolorowych molekuł jakiejś pieniącej się substancji.

W pewnej chwili pośród molekuł otwiera się szczelina i z szarości wyłania się profil młodej Azjatki odcinający się od tła niczym promień słońca.

To, co dzieje się dookoła niego, nie ma już znaczenia. Jest teraz tylko ta kobieta o długiej smukłej szyi i orientalnych rysach schowana pod czerwonym parasolem.

Ich spojrzenia się spotykają, a Giacomo stoi jak wmurowany na chodniku, niebacznym na strugi rzęsistego deszczu.

Wydaje mu się, że twarz nieznajomej ledwo dostrzegalnie zaczyna się przekształcać. Nic nie poruszyło się tak naprawdę: ani usta, ani brwi, a jednak na jej twarzy pojawiło się coś w rodzaju zdumienia, ukojenia... Giacomo nie może odgadnąć, czego dokładnie, nie umie tego nazwać. Czuje tylko, że może w tej chwili zrobić jedno.

Przejsć na drugą stronę.

## Podziękowania

Dziękuję w przypadkowej kolejności tym, którzy dotrzymywali mi towarzystwa podczas podróży, dostarczając mi inspiracji i materiału do pracy. Byli to: Carla, Luigi, Daniele, Cristina, Giovanna, Simone, Corrado i moja „dealerka nadziei” – Ilaria – dziękuję.

„Maestro” Alvise należą się podziękowania za dobór muzyki.

Tym, którzy uczestniczyli w wyborze tytułu, a było ich wielu. Wyrazy wdzięczności należą się zwłaszcza Veronice i Chiarze.

Szczególnie dziękuję mojej redaktorce, Donatelli, przeze mnie żartobliwie nazywanej Gordon Lish. Nawet nieszczególnie żartobliwie, bo jest najlepsza.

Specjalne podziękowania należą się wyspie Elbie i jej falom, które pozwalają marzyć. Złożyłam przysięgę jej mieszkańcom i mam nadzieję, że uda mi się jej dotrzymać.

Ostatnie „dziękuję”, to najważniejsze, dedykuję Penowi, który wie, dokąd iść, i zawsze wie, jak wrócić.

# Spis treści

1  
2  
3  
4  
5  
6  
7  
8  
9  
10  
11  
12  
13  
14  
15  
16  
17  
18  
19  
20  
21  
22  
23  
24  
25  
26  
27  
28

29

30

Podziękowania